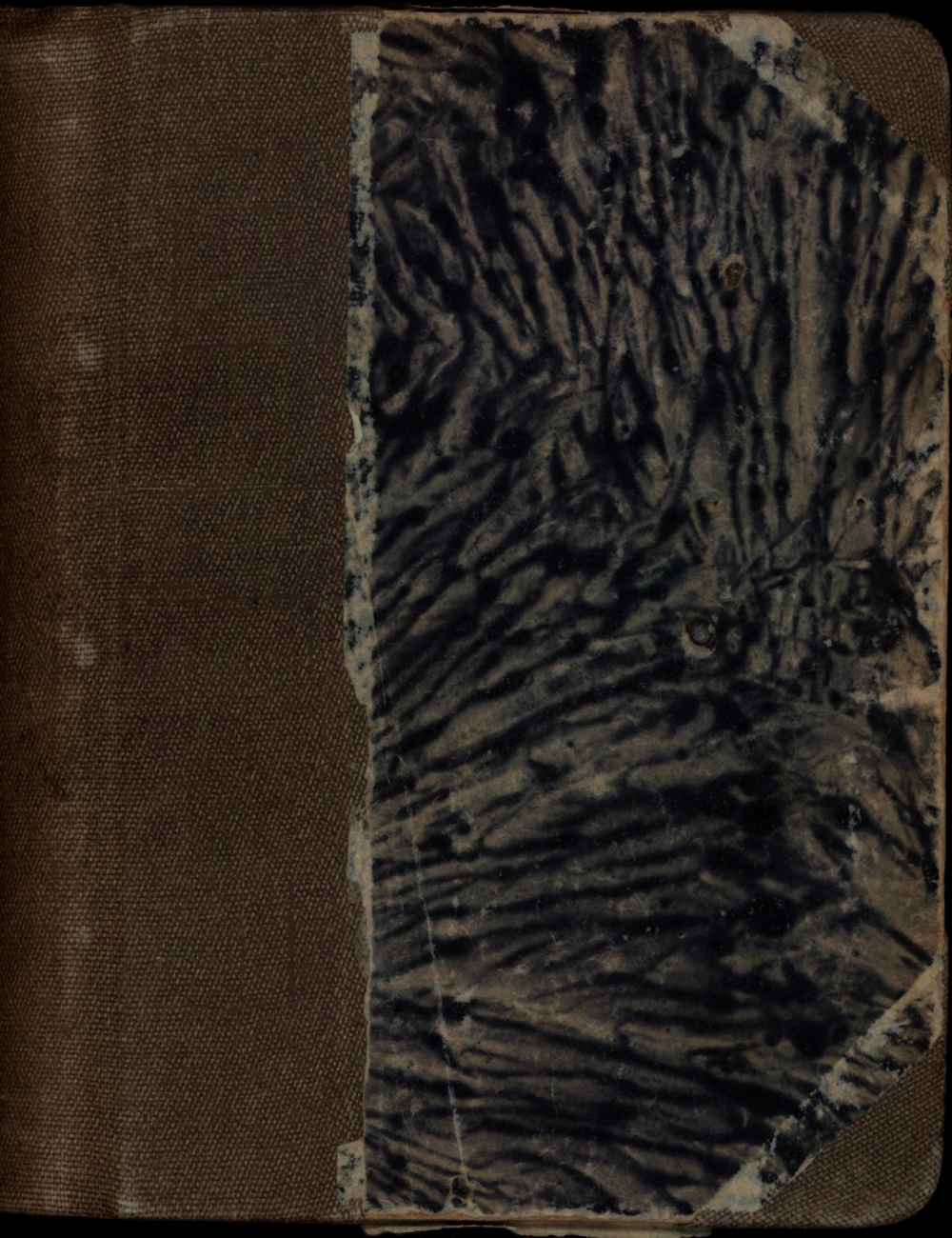
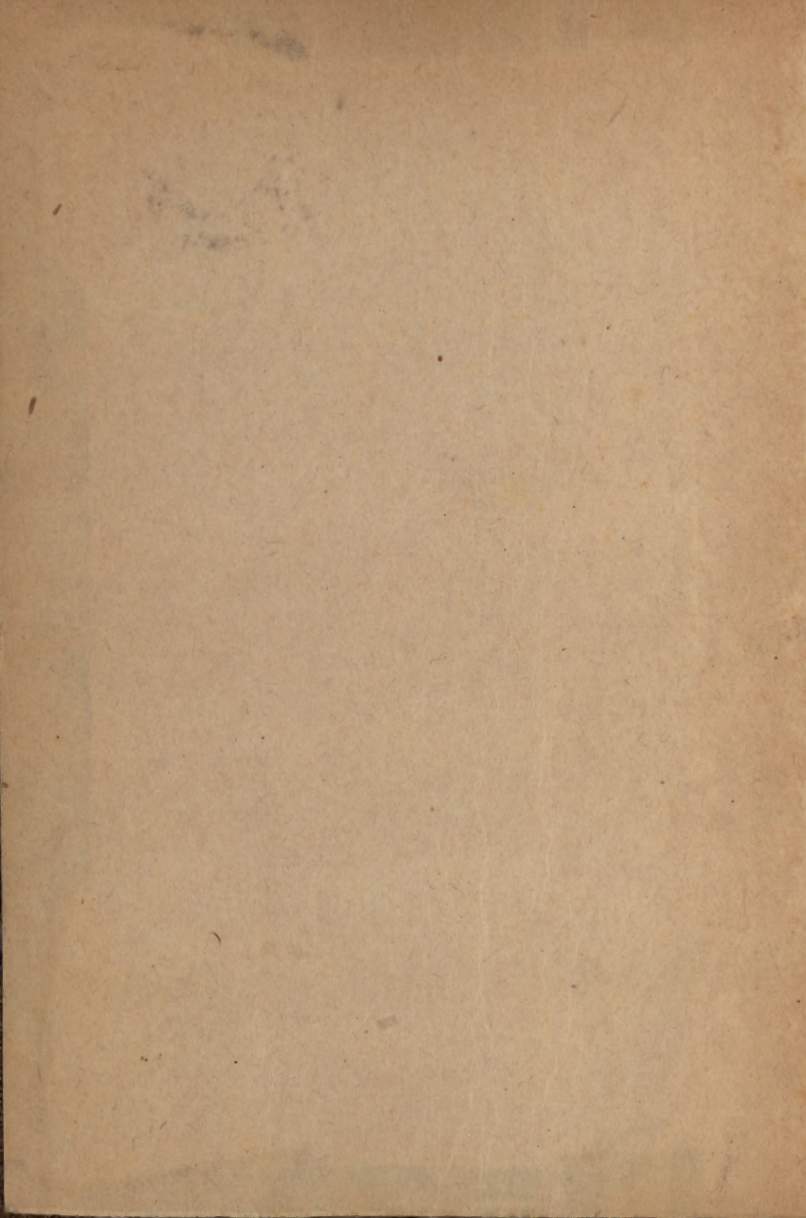
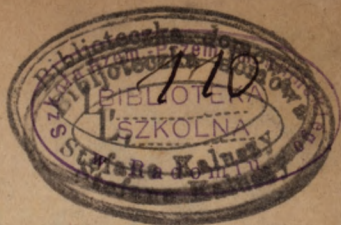










BOLESŁAW PR
(ALEKSANDER GŁOWACKI)



PIERWSZE OPOWIADANIA

PRZYGODA STASIA
ANTEK — POWRACAJĄCA FALA — MICHAŁKO,
SIEROCA DOLA

WYDANIE NOWE

BIBLIOTEKA

St. K.

Nr.

847



[1890]

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



101297



PRZYGODA STASIA





Bohaterem opowiadania jest osoba, która ma — trochę więcej niż łokieć wzrostu, około 30 funtów wagi i ledwie od półtora roku odbywa doczesną pielgrzymkę. Tę klasę obywateli kraju, ludzie dorośli przezywają dziećmi i wogóle — nie traktują dość poważnie.

Dlatego z pewną obawą przedstawiam czytelnikom niedużego Stasia i przede wszystkim proszę ich o cierpliwość. Jest to dziecko tak ładne i czyste, że mogłaby je ucałować każda dama, używająca czteroguzikowych rękawiczek. Włosy ma lniane, oczy duże szafirowe, zgrzebną koszulkę i tyle zębów, ile potrzeba do pójścia na własny chleb. Prócz tego posiada on kołyskę, pomalowaną w czarne i zielone kwiaty na żółtem tle, tudzież wózek, którego jedyną wadę stanowi to, że każde koło zdaje się toczyć w innym kierunku.

Czułbym się niepokieszonym, gdyby powyższe zalety nie zdobyły sympatji dla Stasia, który, na nieśćczęście, obok nich nie posiada żadnej niezwykłej cechy. Staś jest dzieckiem legalnem i niepodrzuconem; nie okazuje najmniejszych zdolności do kradzieży lub do gry na jakim instrumencie, a co gorsza — nawet cień głupkowatości nie daje mu prawa do tytułu: dobrze urodzonego.

A jednak — jest to dziecię niepospolite; tak przy najmniej twierdzi jego ojciec, Józef Szarak, z profesji kowal, jego matka Małgorzata ze Stawińskich, i dziadek Stawiński — młynarz, nie licząc kumów, przyjaciół i wszystkich osób czcigodnych, które miały możność stracić zimną krew przy obchodzie ceremonji Chrztu świętego.

Samo urodzenie Stasia zależało od nieprawdopodobnej kombinacji faktów. Naprzód bowiem musiał Pan Bóg stworzyć dwie rodziny: kowali Szaraków i młynarzy Stawińskich; powtóre — sprawić to, aby jedna z nich miała syna, a druga córkę; a potrzecie — zepsuć we młynie pewną sztukę żelazną i do odkucia jej sprowadzić młodego Szaraka w tej właśnie porze, kiedy serce Małgosi rozwinęło się, niby kwiat lilji wodnej na stawie jej ojca. Istny cud!.. jak słusznie mawiała stara Grzybina, dzieląca czas pomiędzy zamawianie chorób i żebranie, które to specjalności nadają starkom wiejskim prawa do rozumienia się na cudach.

Ponieważ według jednozgodnej opinii kobiet do świadczonych, Staś „wdał się“ w matkę, ośmielimy się więc jej przedewszystkiem poświęcić kilka wyrazów. Jest to tem niezbędniejsze, że kowalowa odegra rolę bohaterki w zdarzeniu, które (ze smutkiem wyznajemy!) nie będzie ani kryminalnym występkiem, ani romansem, wołającym o pomstę do nieba.

Przy grobli, którą tylko w piątej porze roku można przejechać, obok wielkiego stawu, w którym obficie rosły badyle wodne i przeglądał się olszowy gaj, stał młyn. Był to czarny i stary budynek, z oknami o drobnych szybkach i posiadał przy prawym boku

dwa ogromne koła, dzięki którym trząsał się i klekotał od lat trzydziestu, sporo grosza napędzając właścicielowi — Stawińskiemu.

Młynarz miał syna i córkę, właśnie Małgosię. Syna posłał w świat, aby zbadał sposoby otrzymywanej najdelikatniejszej maki, a córkę chował przy sobie. Nie brakło jej niczego, bo ojciec ani na szmatki dziewczynie, ani na domowe porządki nie żałował pieniędzy. Brakło jej tylko pieśczoł.

Stary nie był złym człeczyną; obejście jednak miał chłodne, odzywał się rzadko a ostro i tonął w interesach. To młynarczyków pilnował, aby zboża ludzom nie kradli, to frasować się musiał, aby, chrząkającym pod podłogą młyna wieprzkom, dziesięcinę z otrębów regularnie odsypywano, to znowu liczył procenta od sum wypożyczonych, odbierał jedne kwoty a inne w ruch puszczał...

W takich postawiona warunkach, Małgosia żyła tylko z naturą, a kochała swój młyn... Kiedy w dzień pracowała w sadzie, albo karmiła kury i kaczki wielkie i tłuste, albo pieściła się z krowami, które na głos jej biegły jak psy — młyn szumiał i trąkotał poważne, niesłychane melodje. W jego warkocie odzywały się wszystkie instrumenta: skrzypce, bębny, organy; ale grały coś takiego, czego żadna kapela, żadenby organista nie powtórzył.

Natura wydawała się Małgosi bardzo wielkiem eziorem, którego zwierciadło sięgało aż do nieba, a kroplami były: wsie rozrzucone po polu, gaj olszynowy, łąka, młyn, grusze po miedzach, kwiaty jej sadu, ptaki i ona sama... Niekiedy, przypatrując się

obłokom, co wychodziły z poza czarnego płotu lasów, przeglądwały się w stawie i bieły za zębate wzgórza—słuchając szumu wiatru, co marszczył wodę i zboże na polach, albo jęku trzciny, chwiejącej się na bagnie, zapytywała: czy własny jej byt nie jest tylko odbiciem się wszystkiego, co widzi i słyszy dokoła, jak te obrazy drzew i nieba, które odbijają się na falach stawu?... Wówczas bez żadnego powodu, łyzy nabiegały jej do oczu. Przeciągała się, jakby z ramion miały jej wyrosnąć skrzydła i porwać nad obłoki, i śpiewała na nieznaną nutę rzeczy, jakich nie było w żadnej pieśni ludowej. Aż ojciec wychodził z młyna i mówił markotny:

— Co ty wyśpiewujesz, dziewucho?.. Dałabyś lepiej spokój, bo się ludzie śmieją!..

Zawstydzona Małgosia milkła, ale za to przyjaciel — młyn, każdy wyraz jej i każdą nutę powtarzał, tylko, że jeszcze składniej i piękniej. I czy podobna było nie kochać go, choć wyglądał jak straszna głowa niebyswałego zwierzęcia, na kilkunastu nogach osadzona — choć ziały z paszczy gorącem i pyłem, a wył i trząsał się jakby jadących groblą chciał pogruchotać ogromnemi kłami?

We święta młyn cichnął. Tylko zardzewiałe choraławki na dachu skwierczały żałośnie, a przy stawidłach szemrały cienkie strumienie wody, z płaczem upadając na śliskie koła. Wówczas, jeżeli latem wieczór był ciepły, siadała Małgosia w czółno i płynęła het! na ogromny staw, skąd tylko było widać wierzby młyna.

Tu, zadumana nad głębią, gdzie jak cienie mknęły ryby okrągłookie, przysłuchiwała się szelestom tata-

raku na kępach, krzykom zwołujących się ptaków wodnych, albo, zwiesiwszy głowę na krawędź czółna, patrzyła jako z dna stawu wypływają gwiazdy jedna za drugą, a na powierzchni fali drży długi snop księżycowego światła. Niekiedy widywała cieńsze od pajęczyny szaty, które dziewice wodne wieszały na kropkach nocnej rosy... To welon... to płaszcz, a to... suknia powłóczysta... Płynęła ku nim, lecz wiatr odrzucał je na łakę, nad którą wnet tworzyło się jezioro mgły srebrno-białej, pełne płasających blasków i cieniów... Kto się tam bawił i dlaczego jej nie dopuszczano?..

Tymczasem nadchodziła północ. Łódka poczyniała dźwięc, między kępami rozlegały się ciche pluskania, po za trzciną zapalały się światła tajemnicze i blade. Zdradziecka mgła zasnuwała drogę Małgosi i słychać było, jakby ktoś szeptał po kępach: „Hej! hej!.. nie wyjdzie stąd dziewczyna!..“

Ale nad samotną czuwał młyn, wierny przyjaciel. Nagle drobnoszybne oczy jego w oponę mgły rzuciły płomienie, czarne wielonożne cielsko poczęło dygotać i w tej samej chwili doleciał uszu otumanionej dziewczyny, znany jej, hukliwy głos, który wołał z gorączkowym pośpiechem:

— Małgoś!.. Małgoś!.. Małgoś!.. Małgoś!..

Teraz dziewczucha spokojnie odkładała wiosło, bo, porwany w ogromną paszczę młyną prąd wody, sam ku stawidłom niósł czółno. Kładła się na dnie łódki, jak senne dziecię w łagodnie bujanej kołysce, z uśmiechem patrzyła na blade płomyki, skaczące z gniewu nad bagnem i na chłodne, wilgotne sieci dziewic wodnych, które ją omotać chciały. A stary młyn coraz

mocniej gniewał się i krzyczał: Małgoś!.. Małgoś!.. Małgoś!.. Małgoś!.. niespokojny o swoją dziewczynę. Wreszcie dziób łódki uderzał o belkowanie mostu.

Jednej nocy, wyskoczywszy po takiej wędrówce na brzeg, zobaczyła na moście ojca. Stał oparty o poręcz i z uwagą patrzył na siejącą się wodę. W Małgosi serce zadrżało na myśl, że i on czuwa nad nią, choć taki z pozoru obojętny. Wbiegła na most, i przytuliwszy się do ramienia ojca, rozmarzona spytała:

— Tatuniu! a kogoście tu wyglądali?..

— Myślałem, że chłopci ryby kradną! — odparł stary i ziewnął. Potem, podrapawszy się, z wolna pociągnął do chaty.

Nigdy jeszcze Małgosia nie czuła się tak samotną i opuszczoną, jak w tej chwili, i nigdy mocniej nie pragnęła, aby przecie i ją ktoś kochał. Teraz zdawało się jej, że stolarz z miasteczka, skąpy i brzydki wdowiec, który jadł za trzech, miał płaskie piersi i nogi rozbiegnięte jak widły, że stolarz ten jest człowiekiem bardzo dorzecznym. A już o mielniku, który dzierżawił wiatrak o dwie mile stąd, często się śmiał i w ogóle za głupkowatego uchodził, nie mogła myśleć bez wzruszenia!.. Nawet, podobne do podługowatych worków z mąką, chłopaki jej ojca, ludzie ordynarni i kłótlivi, w obecnym nastroju duszy wydawali się jej osobami posiadającymi dużo zalet, choć kilka miesięcy temu, patrzeć na nich nie mogła bez cikliwości.

* * *

W tem ciężkiem położeniu znowu młyn postanowił przyjść jej z pomocą, i pewnego dnia — pękł we

środku z wielkim hałasem... Aż omączone młynarczyki pośliznęły ze strachu, a Stawiński rzucił czapkę o ziemię!.. Czempredzej wstrzymano wodę i poczęto radzić, a nawet zaczepiać wszystkich, którzy przejeżdżali po grobli. W całym domu zapanował bezład. Chłopcy sejmikowali na moście, ku zgorszeniu podróżnych. Stary nie chciał jeść obiadu i począł kłać się na wszystkich świętych, że pewno niedługo umrze—a wieprzki, które mieszkwały pode młynem, widząc, że nikt im nie sypie otrębów, kwiczały—jak gdyby nadchodził koniec świata.

Wśród zamętu, ze sto razy wymieniono nazwisko kowala Szaraka, a wreszcie jeden z chłopców zaprzągnął konika do wozu i pojechał w stronę miasta. Małgosię ogarnął taki strach, jak onego dnia, kiedy to, zaziębwszy się, wyglądała felczera, który miał jej stawiać bułki. Przeczesała włosy, wciągnęła nowe trzewiki i wybiegła przed młyn, który, narobiwszy takiego kwasu wszystkim, rozwałił się teraz nad groblą i wyszczerzał zęby — bardzo kontent!..

Zaczerniała noc, powiał wiatr chłodny i dziewczyna musiała iść do swej komory. Ledwie układała się, gdy zatrajkotało na dworze i jakiś głos obcy doleciał ją od strony młyna. O Jezu!.. pomyślała Małgosia, i pędem odziewszy się, dalejże ładować wódkę, rozdmuchiwać ogień i grzać kiełbasę z sosem. W kwadrans wszystko było gotowe, czegoby rozespana służąca i przez godzinę nie robiła.

Tymczasem kowal, obejrzawszy młyn, jak baba chorego, przyszedł ze Stawińskim do chaty. Już w sieni zaleciała go woń wereszczaki i aż uśmiechnął się, tak mu było przyjemnie, że go młynarz szanuje i do pół-

nocy z kolacją czeka. Zdziwił się jednak, zobaczywszy w izbie stół ślicznie nakryty, na nim dymiący półmisek i dwa krzesła naprzeciw siebie, ale gospodyni — ani okruczał!

Zafrasowany młynarz przepił do niego wódką, zaprosił do jedzenia i sam jadł, milcząc, jak to było w jego zwyczaju. Dopiero po kolacji odezwał się:

— Małgoś!.. a trzebaby do młyna posłać poduszkę i derkę, bo pan kowal będą nocowali u nas.

Wyszła Małgosia czerwona, że aż jej wstyd było. Ze złości na siebie miętosila fartuch w rękę i patrzyła w ziemię. Ale kiedy podniosła żrenice i ujrzała młodą, wesołą twarz kowala i jego oczy z pod czarnych brwi błyszczące, parsknęła śmiechem i wybiegła do sieni wydać rozkazy służącej. Kowal także się śmiał, sam nie wiedząc z czego, a ciągle zmartwiony Stawiński mruczał pod nosem:

— At! czysta kozal!.. Ludzi rzadko widuje i dlatego taka chichotliwa... Głupie to jeszcze, ma dopiero osiemnaście lat...

Na drugi dzień Szarak o świcie wziął się do roboty, lecz nim wyrzuchiwał kowadło i przy ognisku miech urządził, już mu podano śniadanie. Pierwszy raz w życiu Stawiński przyznał, że jego córka jest dobra gospodyni i dba o gości! Ale młynarskie serce jego nie mogło się oprzeć wzruszeniu, gdy zobaczył jak Małgosia frasuje się o młyn, jak tam często zagląda i o wszystko zapytuje Szaraka. Mniej mu się już podobało to, że kowal dużo gada w ciągu roboty, albo pokazuje takie naprzykład sztuki, jak chwytywanie gołemi palcami żelaza do białości rozgrzanego. Milczał jednak

stary, widząc, że majstrowi pali się robota w ręku i że, choć pobaraszkuje chwilę, to jak zacznie kuć — aż ziemia stęka!..

Naprawianie trwało parę dni. W ciągu tego czasu kowal i młynarzówna zaprzyjaźnili się bardzo, a wieczory przepędzali stanowczo razem i tylko we dwójkę, bo uspokojony Stawiński począł znowu zajmować się interesami i na córkę mniej zważał. Otóż ostatniego wieczora, siedząc pod chatą na ławce, taką młodzi prowadzili rozmowę, półgłosem coprawda, bo im tak szło najskładniej.

— To pan Józef mieszka o pół mili za miastem, na górze? — spytała dziewczyna.

— Ale! ale!.. na onej, co do łąki idzie, co jest płot chruściany i trochę drzewin — odparł kowal.

— Jaki-by tam sad był! Zaraz-bym nasadziła i raków, kartofli, fasoli i kwiatów — żeby to mojej

Kowal spuścił głowę i milczał.

— I chatę pan Józef ma ładną. To ta, co przyniej studnia z żórawiem?

— Jużci że ta, ale co nie ładna to nie ładna! Niema komu dbać o nią...

— Żeby tak na mnie—mówiła Małgosia—obiłabym ją, jak się patrzy, w oknabym dała firanki i ceniczki, w izbie zawiesiłabym wszystkie te obrazy, mam... Czemu pan Józef tak nie robi, zarazby mu przecie było weselej?..

Kowal westchnął.

— Ehl — rzekł — żebyśmy tak bliżej mieszkali, toby mi Małgosia zaraz ochoty dodała i poradziła, gdzie co zrobić!..

— Oj! oj!.. samabył nawet zrobiła jakby pan Józef poszedł do kuźni...

— Ale na taką dalekość — ciągnął kowal, biorąc dziewczynę za palec — toby pewnie Małgosia nie chciała odejść starego?

Teraz młynarzówna umilkła.

— Okrutnie mi się Małgosia podobała, sprawiedliwie mówię!.. Psiakość!.. jak człowiek teraz wróci do domu, to rady sobie nie da... Ale Małgosi nic po tem!.. Małgosi toby się jaki rządca patrzył?..

— Ja przecie wiem, co pan Józef jest warty! — ofuknęła go dziewczyna, odwracając głowę. — O żadnych tam rządcach nie myślę, tylko o tem, żeby...

I znowu umilkła, ale teraz kowal wziął ją już za dą rękę.

— No — spytał nagle kowal — a poszłaby Małgo-
a za mnie?..

Tchu jej zabrakło.

— Ja tam nie wiem!.. — odparła...

W tej chwili Szarak schwycił ją w pól i pocałował w odchylone usta.

— I i... z takiemi żartami!.. — syknęła obrażona, wyrwała mu się z objęć i wpadła do chaty, zasuwając zwi za sobą.

Tej nocy żadne z nich nie spało.

Na drugi dzień zakręcono ostatnie śruby i podniesiono stawidła. Potok wody lunął z szumem na wysychające z nudów koła, które zachwiały się i zaczęły obracać. Młyn szedł doskonale!..

Stawiński, aby się nie zdradzić, przyciął wargi, ale mu ręce drżały z radości. Obejrzał wszystko, na-

wymyślał młynarczykom, a wreszcie zaprosił kowala po pieniądze do chaty i postawił butelkę miodu.

Kiedy wykładał na stół najnowsze papierki, Szarak drapał się w ucho i markotnie uśmiechał. Młynarz spostrzegł to i zapytał:

— A co, synku, jeszcze ci krzywdą, żeś mi dwadzieścia i trzy ruble z kieszeni wypłoszył?

— Za takie wyrychtowanie młyna, toby mi się córka od was należała!.. — szepnął Józef.

— Co?.. — krzyknął stary — może wolisz dziewczuchę niż pieniądze?..

— Wolę i to, i to...

Stawiński spojrzał mu bystro w oczy.

— Ale ja za nią teraz gotówki nie dam, dopiero po mojej śmierci — rzekł.

— Dłużej mnie, niż wam na świecie! — odparł Szarak i pocałował go w rękę. — Bez wyprawy przecie dziewczuchy nie oddacie, a mnie już samemu tak nudno, osobiwie, jak zima przyjdzie, że...

Za otwartem oknem mignęła się głowa Małgosi.

— A chodź ino tul. — zawołał ojciec.

— Ja tam nie pójdę!.. — odparła, zasłaniając oczy — niech tatunio sami uradzą!..

Stawiński pokiwał głową.

— Oj kowalul! kowalul!.. — rzekł — nie straciłeś tu, jak widzę, czasu na próżno. Ha! kiedy takie zrządzenie Boskie, to ci oddam dziewczuchę, boś dobry majster i wiem, żeś dostatni... Ino mi nie krzywdź dziecką, bo tegobym ci nie darował...

W kilka tygodni później, odjedzono, odpito i odtańcowano wesele Małgosi z kowalem. Przy okazji

pogodziło się ze sobą dwóch oddawna zwaśnionych sąsiadów, a pokłóciło się czterech. Jeden z młynarczyków Stawińskiego, podpisawszy sobie nieco, przysiągł, że się z desperacji utopi, lecz poprzestał tylko na upiciu się dokładniejszym. Natomiast pewien gospodarz, który oddawna miał zamiar wyrzec się wódki, wleciał niechcący w staw i od swej żony otrzymał energiczne napomnienie. Już w pierwszym dniu wesela, widłonogi stolarz i wiecznie śmiejący się posiadacz wiatraka, którzy obaj konkurowali o Małgosię, zaczęli rozpowiadać znajomym i nieznanym, jako dziewczyna ma defekt, a jej ojciec bawi się lichwą, skutkiem czego we młynie straszy i ludziom wykrada zboże z worków. Każdy z zawiedzionych konkurentów upewniał, że nigdyby się z młynarzówną nie ożenił, a tymczasem — państwo młodzi wyjechali do kuźni...

Tu Małgosia święcie dopełniła obietnic. Odnowiła chatę, opłotła ją dzikim winogradem, ozdobiła wewnątrz obrazami i sprzętami — i założyła piękny ogródek na wzgórku, co do łąki spadał. Pod jej nadzorem zwiększył się i wyprzystojniał dobytek kowala, chata wyglądała jak dworek szlachecki, a on sam, Szarak, sprawił sobie nowy fartuch skórzany, tak wielki, żeby z niego dwóch porządnych Warszawiaków wykroił i jeszczeby coś zostało na Warszawiankę...

* * *

Wśród tych zajęć upłynął rok młodemu gospodarstwu. Przyleciały bociany, z wiosną osiadły na przystarem gnieździe na stodółce i, jak zaczęły klekotać a klekotać, tak w końcu wyklekotały małego Stasia.

się uchwycić różnicę między swoją nogą a krawędzią kołyski, a nawet między łonem matki i sienniczkiem. W tym czasie był już bardzo mądry. Wiedział, że głód morduje go od strony nóg, że w jednych punktach głowy koncentrują się wszystkie możliwe hałasy, w drugich — wszelkie barwy, i że trzeci punkt służy do ssania.

W kilka miesięcy później porobił jeszcze więcej odkryć. Odróżniał już wypadki złe od dobrych i rzeczy ładne od brzydkich. Dawniej uśmiech i płacz, marszczenie czoła i wyciąganie rąk albo nóg, następowały po sobie bez żadnego porządku; posługiwał się nimi jak początkujący grajek klawiszami fortepianu, których dotyka, nie wiedząc, co z tego wyniknie. Dziś śmiał się tylko na widok matki, która mu jeść dawała; płakał po kąpieli, przeciw której protestowały wszystkie jego dwunożne instynkta, marszczył się na widok powiśniętych, krępujących ruchy dzieciom, a do garneczka z ocukrzonym mlekiem wyciągał rączki i nóżki.

Teraz poczęły się w nim tworzyć sympatje i antypatje, obawy i nadzieje. Lubił Kurkę, ponieważ pies był ciepły, lizał go i miał mordę jak aksamit. Lękał się ciemności, wśród której można się było rozbić; tęsknił za sadem, gdzie pełną piersią oddycha się i gdzie harmonijny szmer drzew, powtarzając rytmy pieśni matczynej, kołysał dziecko do snu. Barwy szare, które przypominały twardą podłogę lub niezawsze suche sienniczki, nie podobały mu się. Natomiast barwy czerwone i niebieskie, przedmioty błyszczące — podniecały go do śmiechu. Wiedział już, że płomień świecy, aczkolwiek ładny i skacze, nieuczciwie jednak obcho-

dzi się z palcami dziecka. Pamiętał też, że nogi ojca są twarde, czarne i większe od całego Stasia, a nóżki matki są tak niskie, że zaczynają się i kończą przy samej ziemi.

Dla matki czuł bezwzględną miłość, ona mu bowiem najwięcej sprawiała przyjemności. Ojciec zaś cieszył się o tyle względami Stasia, o ile posiadał zaciekawiające wąsy, tudzież najponętniejszą w świecie rzecz — zegarek. Za to pieśczęty ojcowskie nie nęciły go; bawił bowiem wtedy chłopca, gdy mu się jeść albo spać chciało — niemiłosiernie drapał go szorstką brodą, i ogromnemi, niezgrabnemi rękoma gniótł jego młode i wątłe kosteczki. Jedna tylko rzecz sprawiała, że Staś, na widok ojca, wyciągał niekiedy rączki i śmiał się; oto — huśtanie. Niewygodnie, co-prawda, było dziecku w tych potężnych ramionach, ale za to jak one go podrzucały wysoko, jaki się robił wicher około niego, jak mu włoski rozpraszał, i koszulkę podwiewał?..

Staś już umiał się bawić i figlować. Niekiedy matka brała go na kolana, a ojciec siadał naprzeciw i prosił:

— Chodź, Stasiu, do mnie, chodź!..

On niby idzie, wyciąga ręce, lecz nagle odwraca się i bęć!.. twarzą o ramię matki. Już Stasia niema ani na lekarstwo w całym domu, a przynajmniej — on sam nikogo nie widzi!

Czasami ojciec postawił go na stole i trzymał pod boczki, a matka się chowała. Chowa się matka za ojca z prawej strony, a Staś — mykl główkę na prawo i już ją znalazł... Chowa się matka za ojca

z lewej strony, a Staś — myk! główką na lewo, i znowu ją znalazł. Dziecko bawiłoby się tak cały dzień, ale cóż, kiedy ojciec musiał iść do kuźni, a matka do swoich krów! Kładziono wtedy malca w kołyskę i robił się ogromny harmider w domu, aż Kurta czekał..

Chłopiec niekiedy stawał na głowie, ale wnet zmiarkował, że pozycja to niewygodna i że najodpowiedniejsze dla natury ludzkiej jest chodzenie — na czworakach. Dzięki tym ruchom przekonał się, że ściany, krzesła i piec nie siedzą w jego oku, ale gdzieś zewnątrz, znacznie dalej, niż na długość ręki.

Potężnie wzrastające siły muskularne zmuszały go do wykonywania pewnych prac. Najczęściej dotyczyły one przewracania małego stołeczka, bicia łyżką w podłogę, lub bujania kołyską. Ponieważ zaś przez jakiś czas sypiali w niej razem z młodym Kurtą, pies więc, zobaczywszy kołysanie, wskakiwał na sienniczek i rozkładał się jak hrabia! To bezczelne nadużycie praw doprowadzało Stasia do zazdrości; krzyczał więc dopóty, dopóki psa nie wypędzono i nie ułożono jego samego w kołysce.

Później zaczęto go uczyć bardzo trudnej sztuki chodzenia. Chłopca bawiło to, że się tak wysoko wznosi nad ziemią; rozumiał jednak związane z przyjemnością niebezpieczeństwa i nader rzadko oddawał się jej bez pomocy osób starszych. W takim razie naprzód — stawał. Potem podnosił lewą rękę i prawą nogę, wyginał ją ku środkowi i — prawym brzegiem stopy — plusk! o ziemię. Następnie podnosił prawą rękę i lewą nogę, wyginał ją do środka, kulił palce i lewą krawędzią stopy — plusk o ziemię. Po kilku

tak skomplikowanych ruchach, nie posunął się ani na krok z miejsca, ale za to dostawał zawrotu głowy i upadał. Wówczas myślał, że jakkolwiek chodzenie na dwóch nogach dogadza ludzkiej próżności, niemniej jednak tylko suwanie się na czworakach ma wartość praktyczną. Widok osób, chodzących na dwóch nogach, budził w nim takie uczucia, jakich doświadczałyby musiał człowiek rozsądny, dostawszy się między gromadkę skoczków na linie. Z tego powodu bardzo szanował Kurte, posługującego się wszystkimi czterema kończynami i marzył o tem tylko, aby mu dorównać kiedyś w bieganiu.

Widząc niepospolity rozwój duchowych i fizycznych przymiotów dziecka, poczęto myśleć o jego edukacji. Nauczono go mówić: „tata“, „mama“ i „Kurta“, który przez pewien czas nazywał się tak samo jak „tata“; kupiono mu wysoki stołek z poręczą i podarowano piękną łyżkę lipową, którą Staś od biedy mógłby sobie głowę nakrywać. Ojciec, naśladowający we wszystkim matkę, chciał też jedynakowi swemu prezent zrobić i w tej myśli przyniósł pewnego dnia śliczną dyscyplinę na sarniej nóżce. Gdy Staś wziął do rąk cenny podarunek i zaczął ogryzać czarne dwuzębne kopytko, matka zapytała męża:

— Pociś ty to przyniósł, Józik?

— A na Staszka.

— Jakże? to ty go będziesz walił?

— Co go nie mam walić, kiedy on będzie taki wisus, jak ja.

— Widzicie gol!..—krzyknęła matka, tuląc syna.—
A skądże ty wiesz, że on będzie wisus?..

— Niechnoby nie był... tobym go dopiero
prał!..—odparł dobrodusznie kowal.

Ponieważ w tej chwili Staś zaczął krzyczeć, roz-
giewał więc matkę i nagiął ją do opinii ojcowskich.
Rodzice nie sprzeczekali się już, uznali środek za nie-
zbędny i — zawiesili dyscyplinę na ścianie, między
świętym Florjanem, który od niepamiętnych czasów
jakiś pożar gasił, i zegarem, który od dwudziestu lat
napróżno usiłował chodzić dobrze.

* * *

Niezależnie od pierwszych zasad moralności,
opartych na sarniej nóżce, starał się kowal o nauczy-
ciela dla syna. Był wprowadzie we wsi stały pedagog,
ale ten więcej zajmował się pisaniem denuncjacji i pró-
bowaniem dobroci wódek, aniżeli elementarzem i dziećmi.
Chłopi i żydzi gardzili nim, a cóż dopiero Szarak,
który nie myślał bynajmniej obciążać nauczyciela edu-
kacją swego syna, lecz odrazu zwrócił się do orga-
nisty.

— Ma teraz Staszek piętnaście miesięcy — my-
ślał kowal — za jakie trzy lata matka nauczy go czy-
tać, a za cztery — trzeba go oddać organiście...

Tylko cztery lata!.. Dziś więc już wypadało za-
marzyć sobie względy służby Bożego, który golił się
jak ksiądz, nosił długie czarne surduty, mówił przez
gardło i wtrącał do rozmowy łacińskie wyrazy z mi-
nistrantury.

Nie zwłócząc tedy, zaprosił Szarak jednego razu
organistę do Szulima na miodek. Pełen namaszczenia
tysta kościelny utarł nos w kraciatą chustkę, od-

chrząknął i — zrobiwszy taką minę, jakby chciał wypowiedzieć kazanie przeciw trunkom gorącym — doniósł Szarakowi, że dziś, i zawsze, i przez wieki wieków gotów jest chodzić z nim do Szulima na miodek.

Organista był dumny, drażliwy, a nadewszystko — miał słabą głowę. Już przy pierwszej butelce zaczął bredzić, a przy drugiej rozczulił się i zawiadomił Szaraka, że go uważa prawie za równego sobie.

— Bo to widzisz, mój... Panie Świąty!.. jest tak. Mnie, jako organiście miechem dmą, i tobie, jako kowalowi — Panie Świąty!.. także miechem dmą... Więc... niby już wiesz, co chcę powiedzieć? Oto, że kowal i organista — to bracia... Cha! cha!.. bracia!.. Ja, organista, i ty — smoluch!.. *Misereatur tui omnipotens Deus!*

Szarak, zwykle wesoły, przy butelce robił się ponurym. Nie zdołał więc ocenić komplementu współbiesiadnika i odparł tak głośno, że go Szulim i paru gospodarzy usłyszało:

— Bracia — nie bracia!.. kowal to prędzej do ślusarza przytyka, a organista... jak zwyczajnie organista — do dziada!..

— Co?.. ja do dziada?.. — krzyknął obrażony mistrz, przeszywając kowala płomieniejącym wzrokiem.

— A jużci tak!.. Przecież wy się nawet modlicie za pieniądze i gracie ładniej, kiedy wam kto...

Nie dokończył Szarak, w tej chwili bowiem otrzymał butelką tęgi cios powyżej ciemienia, tak, że szkło na sufit bryznęło, a lepki miód rozlał się po twarzy i świątecznych szatach kowala.

— Łapajcie go! — krzyknął poszkodowany, nie wiedząc, czy się obcierać, czy gonić organistę, który

uciekał po linji, według jego zdania, najkrótszej, lecz w każdym razie bardzo pociągłej.

Teraz obecni wdali się między obrażonych. Wyrzucili za drzwi organistę i poczęli mitygować kowala, który nie posiadał się z gniewu.

— Dam ja ci dławidudol!.. — wrzeszczał Szarak, ujrzawszy za oknem uroczystsą niż kiedy fizjognomię organisty.

— Józefie!.. kumiel!.. panie kowalu!.. — perswadowali pośrednicy — uspokujta się!.. Co się wam gniewać na pijanego?.. On dumny, on sam nie wie, co robi..

— Zbiję rozbójnika na nic!..

— Dajta spokój, panie Szaraku!.. Co to bić?.. bić nie każdego wypada... On-ci także duchowna osoba i zaraz po wikarym pierwszy!.. Jeszczeby was Bóg skarał...

— Nic mi będzie!..—odparł kowal.

— No — że wam nic... Ale macie żonę, dziecko!..

Ostatnie wyrazy cudowny wywarły skutek. Na myśl o żonie i dziecku, rozbestwiony kowal uspokoił się i nawet usiłował stłumić w sobie uczucie zemsty. Jużci co prawda, to prawda, że organista idzie zaraz po wikarym; a nuż-by się Pan Bóg za obicie go rozniewał, i na żonie lub dziecku krzywdy dochodził?..

Wyszedł z karczmy okrutnie markotny.

— Oj! z temi dziećmi — myślał — to ci kłopot!.. Mam dopiero jednego, a już muszę suszyć głowę o wynalezienie nauczyciela, tracić pieniądze na miód!.. Jeszcze mnie za to przy ludziach poniewierają i swego oddać nie mogę, bo mi o dziecko strach...

Oj! Stachu, Stachu!.. żebyś ty choć wiedział kiedy, co ja za ciebie wycierpiałem!.. Daj Boże, żeby mnie choć żona nie zbeształa!..

W domu nie obeszło się bez hałasu, ale odtąd Szarak jeszcze bardziej kochał syna, o którego edukacji myślał tak wcześniej i za co mu na głowie flaszkę miodu rozbito. Poczciwy kowal w parę miesięcy zapomniał o swojej krzywdzie, lecz strasznie było mu przykro, że się pogniewał z organistą, jedynym mężem, który mógł pokierować wychowaniem synka, co już sam chodził, gadać umiał, i wogóle niepospolite okazywał zdolności.

Tymczasem nadeszło lato, a wraz z niem chwila, w której nadspodziewanie dobrze miały zakończyć się ojcowskie kłopoty kowala.

.

* * *

Pewnego dnia położyła matka Stasia w sadzie pod gruszą, podesłała mu płachtę, podwinęła koszulkę i mówi:

— Śpijże tu chłopak i nie drzyj się, ty jagódko moja najśłodsza, jaką kiedy Pan Bóg stworzył i słońce wygrzało!.. A ty Kurta ligaj przy nim i pilnuj, żeby mi go kura nie dziobnęła, albo pszczoła nie ugryzła, albo jaki zły człowiek nie urzekł. Ja pójdę buraki pleć, a jak mi się tu nie będziecie dobrze sprawowali, to złapę tyczki i tak wam kości porachuję...

Ale na samą myśl wykonania groźby, schwyciła chłopca na ręce, jakby mu kto miał istotnie krzywdę

zrobić, utuliła go, wyciąłowała i wyhuśtała, wołając pieszczotliwym głosem:

— Jabym ciebie miała bić tyczką?.. To Kurte psubrata, nie ciebie!.. Mój ty pączku... mój gołąbku... mój synusiu jedyneńki, złoty!.. Nie śmiej się ty, Kurto, sobako kudłata!.. nie przymykaj ślepiów, nie wymachuj ogonem, bo ty wiesz, że jabym prędzej z ciebie trzy skóry zdarła, niż na niego, na Stasiénka mego serdecznego, jeden patyczek ułamała... Lu!.. lu!.. lu!.. lu!.. lu!..

A Kurta tył pod siebie zawinał, pysk z gorąca otworzył i czerwony jęzor wywiesił na lewo, jak chustkę. Wyrozumiały pies i chytry!.. On myśli sobie: gadaj ty zdrowa, a ja co wiem, to wiem, że ile razy sienniczek Staszкови suszyć wypadło, tyle razy dostawał chłopak takie bicie, że w kuźni słyszać było!..

Tak sobie myślał Kurta pyskaty, ale milczał, wiedząc, że od najlepszych racyj mocniejszy jest — ożóg, którym wszyscy domownicy, a gospodyni najpierwsza, mitygowali jego psie pretensje.

Staś tymczasem tarł oczy tłustemi piętuszkami i lniano - włosą głowę pokładał na ramieniu matki. Gdyby umiał mówić rozsądnie, niechybnie-by jej powiedział:

— Macie mnie kłaść, to kładźcie, bo po tem garnczysku kaszy z mlekiem dobrze człowiekowi spać się chce!..

Chłopiec-by już sam zasnął z własnego przeświadczenia, ale matce wydawało się, że go usypiać potrzeba, więc znowu huśtała go i lulała, śpiewając:

Cóżeś wskórała,
Ześ wędrowała
Po zielonej olszynie?
Jam choć to zyskał,
Lżem się wyspał
Na puchowej pierzynie!...

Dopiero gdy jej zaciężył i wetknął głowę między ramię a piersi, położyła go na płachcie, targnęła Kurtę za mokry język, i oglądając się, poszła w głąb sadu.

Staśkowi płachta zgrzebna, a pod nią ziemia, wydały się trochę zimne i twarde po matczynych objęciach. Więc choć mu już nogi doskonale spały, głową ocknął się jeszcze i podźwignął na tłustych rączkach. Chciało się dziecko rozejrzeć: gdzie matka?... a może i popłakać za nią. Ale że był mały jeszcze, więc dobrze rozglądać się nie umiał i zamiast przed siebie, patrzył pod siebie, na murawę. Tymczasem uczciwy Kurta raz i drugi oblizał go zawiesiście po opalonej twarzy i zaczął iskać w głowę tak serdecznie, że Staś upadł na lewy bok, podłożywszy sobie tłusty łokieć pod skroń. Jeszcze chciał się podźwignąć, oparł nawet prawą rękę na płachcie i usiłował rozplątać nożęta. Ale w tej chwili palce u rączki rozbiegły mu się, wiśniowe usta rozchyliły, oczy gwałtem przymknęły i — zasnął. W jego wieku sen bywa mocny, jak najtęższy chłop; pokłada człeka pierwej, nim się z nim zacznie borykać...

Wtedy od łąki świeżo skoszonej, gdzie długimi rzędami najeżone i pękate kopice dumały, powiał wiatr gorący, jak dmuchanie słońca. Połaskotał przysadziste kopy, pogwizdał w dziuple spróchniałym wierzbom,

które napróżno chciały go machaniem gałązek odstraszyć, przecedził się przez pleciony płot i pociągnął po kowalowym sadzie. Zielone liście buraków z pąsowemi wypustkami, wysmukły koper i pierzasta pietruszka zaczęły się trząść, jak w febrze, prawdopodobnie ze złości, bo to leniwy naród i nie lubi, aby go dotykano. A rozczochrana nać kartofli, jaskrawe słoneczniki i bladoróżowe makówki, kiwały się, jak żydzi w bóżnicy, zgorszone widzieć lekkomyślnością wiatru, który pszczoły od ulów het odpędzał, a samej kowalowej czepiec na głowie przekręcał, choć ona, mimo dwudziestu jeden lat, matka przecie Stasiowa, pani i gospodyni wszystkiego, co tylko jest w sadzie, w chacie, w oborze, i na sześciu morgach pola!...

— Aj! zbytłil zbytłil!... aj jakie zbytłi ten wiatr wyrabiał!—szemrały czerwonogłowe makówki, poglądające w niebo słoneczniki i tęga nać kartoflana.

A okrągłe listki gruszy, pod którą Stasia ułożyła matka na spoczynek, jak uczciwe piastunki szeptały:

— Cichol!... cichol!... cichol!... bo mi dziecinę rozbudzicie!...

Kurcie, który lubił być czynnym i w najgorszym razie przynajmniej karbował wieprzkom kłapciaste uszy, poczęło się okrutnie nudzić. Co to za świat! — myślał—na którym dzieci tylko śpią, gospodyni bawi się rwaniem listków, drzewa, zamiast uczciwie pracować, kiwają się i szeleszczą, bocian na klekotanie zrywa piersi, a gospodarz z chłopakami nie robią w kuźni nic, tylko ruszają miechem i kuja?.. On małym młotkiem bije w kowadło: dyńł dyńł dyńł dyńł.. a chłopcy

wielkimi młotami w żelazo: łup! łup! łup! łup!.. aż iskry lecą. Stałem nieraz przed kuźnią, tom widział...

I z rozpaczy nad powszechnem lenistwem, upadł pracowity Kurta na bok, aż ziemia jękała, spłaszczył się i nogi wyciągnął przed siebie, a chcąc lepiej uwydatnić pogardę dla świata, przymknął oboje oczu, aby na nic nie patrzeć...

Wtedy przed wzrokiem jego niespracowanej duszy rozwinęło się pole, pełne kapusty, należącej do gospodarza, wśród której żerowały stada zajęcy, przebierających łapkami i nastawiających uszy, jak palce... Ach damże ja wam hultaje! szczerknął Kurta i dalejże gonić szkodników na wszystkie strony!.. Gonił i gonił, a pole przeciągało się do nieskończoności, zające mnożyły jak krople deszczu ulewnego, a gospodarz, gospodyni i chłopcy, patrząc na tę jego bieżaninę, wołali: aj! Kurta, jaki to pies pracowity, ani godzinki nie odpoczniesz!..

A Kurta wyciągał się i cwałował tak, że aż ogon, który nie mógł podążyć za nim, został gdzieś zdaleka. Ledwie dyszał, ale gonił.

Wtem nad głową marzącego psiska poczęła krążyć mucha i wymyślać mu cieniutkim głosikiem:

— Oj! ty... ty... kundlu jakiś!.. próżniaku!.. Najadłeś się osypki i, kiedy cały świat rusza się na słońcu, ty leżysz, jak kłoda i drzemiesz!..

Ocknął się pies i kłap na muchę zębami.

— Widzicie ją, darmożjada!.. Ona mi tu będzie leżenie wymawiała, kiedy ja zające wyganiam z kapusty!..

I nie chcąc na obronę swego honoru czasu tracić, wyciągnął się jeszcze lepiej i — wrócił do czynności.

A mucha wciąż krążyła nad nim, choć się marszczył i pazury nadstawiał, i piszcziała:

— Oj! ty!.. ty... kundlu jakiś, legarciel.. Kazali ci dziecka pilnować, a ty się sam wysypiasz, próżniakul..

I od tej chwili, koper i pietruszka, nać kartoflana, makówki i słoneczniki, wiatr na niebie, oddech śpiącego Stasia, bociany na szopie i młoty w kuźni — wszystko to w takt szemrało:

— Leń Kurta!.. leń Kurta!.. leń Kurta!..

Ale pracowity Kurta wyciągał się pod gruszą i precz gonił zające!

* * *

Gdy tak Staś i Kurta spali ładnie pod chuchaniem ciepłego wiatru, Szarakowa obrała liszki z kapusty, oporządziła buraki i poczęła rwać w przetak sałatę na obiad. Dobrze to ziele żyło sobie w kącie sadu, przy chruścianym płocie, co biegł wzdłuż drogi. Gospodyni klękała nad niem ostrożnie i, wybierając młode listki, myślała: jak się też sałata ucieszy, kiedy ją w gorącej wodzie z kurzu obmyją, poleją octem i słoniną okraszają?

Narwała już z pół przetaka, prawie tyle, ile było potrzeba, gdy na drodze rozległ się szmer drobnego, powłóczystego chodu i stukanie kija o ziemię. Jednocześnie usłyszała Szarakowa jakby rozmowę:

— Ustatkujesz ty" się w końcu, ha?..—pytał zmęczony głos niewieści.

Kowalowej zdawało się, że odpowiedział na to krótki, niewyraźny szelest, jakby kto kij ciągnął po

piasku. Potem znowu nastąpiło kilka kroków i stukanie, połączone z owym osobliwym szelestem.

— Psia wiara! — mówił głos gniewnie. — Tak mi się wywdzięcza, żem mu tyle świata pokazała!.. Zgniłby gdzie pod płotem, alboby się palił w żarze, jak dusza potępiona, żeby nie ja... Durnyl..

Zaszeleściło znowu.

— A durny jesteś! mówię ci. Z pastuchami tobie najlepsza kompanja, nie ze mną... Byłbyś mądry, gdyby cię psy zgryzły, albo na świńskich kościach połamali. Kuternoga!..

Kowalowa podniosła się i, o kilkanaście kroków od płotu, ujrzała na drodze zgrzybiałą starowinę z wysokim kijem w ręku. Baba dźwigała na plecach wypchaną płachtę, a z pod chusty wymykało jej się parę siwych kosmyków, trzęsących się wraz z głową.

— Komu tak matulu klniecie?.. Grzybinol.. — zawołała ze śmiechem Szarakowa.

Stara zwróciła się do niej.

— To wy, kowalowa?.. — rzekła idąc do płotu. — Niech będzie pochwalony!.. A ja właściwie też do was chciałam wstąpić — od ojca i byłabym na śmierć zapomniała przez tego Judasza!..

Mówiąc to, podniosła swój kij i potrząsnęła nim gniewnie.

— Cóż tam tatunio do mnie nakazał? — spytała prędko Szarakowa.

— A no — płacze mi się przy nogach i nietylko nie pomaga, ale jeszcze przeszkadza chodzić. Za to, żem go z gnoju wydobyła!..

— Ale co tatunio mówił przez was?.. — powtórzyła niecierpliwie kowalowa. — Byliście we młynie dzisiaj?..

— Jużci że byłam... Ligaj podlecl!..—gniewała się dalej baba, rzucając kij na krawędź płotu. — Zamawiałam Sołtysiakowi *frybrę*, co go już drugi tydzień trzęsie i wstąpiłam wczoraj, po drodze, do młyna.

— Tatunio zdrowi?..

— Oj! oj!.. Kazał ino, żeby Małgosia przyjechała do niego jutro, ze Staszkiem, a wasz — żeby także na niedzielę był we młynie...

Babina, zapomniawszy widać o swym kiju, oparła się na płocie i mówiła dalej:

— Widzicie tak: organista ten niby wasz, Zawada, kupuje grunt i chce od Stawińskiego, niby od tatunia waszego, pożyczyć 500 złotych. Był we środe we młynie i prosił, ale Stawiński mu na to: a po co ja Wasanowi mam pożyczać pieniądze, kiedy Wasan pokrzywdziłeś kowala i gniewasz się z nim?..

— Sprawiedliwie mu tatunio powiedział!..—wtrąciła Szarakowa.

— Więc organista na to: ja się z kowalem pogodzę i będę mu syna uczył. A stary na to: więc się Wasan pogódź! A on na to: kiej boję się pójść do kuźni, bo mnie *potyra*. U was byłbym śmielszy, jeszczebym nawet za to parę butelek miodu postawił, żeby się pogodzić...

— Wykrętacz! — przerwała kowalowa. — A dawne to czasy, kiedy to gadał, co w Piśmie Świętem stoi, że kowale i kominiarze od Kaina i od Chama pochodzą i że się rodzą na bratobójców?.. Bodaj on *szczęśli*..

— No — jeśli tak w Piśmie Świętem stoi, to organista temu nie winien — zauważyła stara.

— Szczekał! — zawołała w uniesieniu Szarakowa. — My także wiemy, co gdzie stoi... Od Chama pochodzą chłopcy, a mój przecie nie chłop, a od Kaina — Turki, a mój przecie nie Turek. Nikogo nie zabił!..

Grzybina lubiła popisywać się wiadomościami wobec „potomków Chama“, tym razem jednak milczała dyskretnie, pamiętając, że ma do czynienia z osobą piśmienną, z kowalową, a do tego — córą młynarzy Stawińskich!

— Wstąpcie do chaty, odpocznijcie — rzekła nagle gościnną Szarakowa, patrząc na zmęczoną starszkę.

— Nie mogę! — odparła baba i pochwyciła kij. — Muszę iść do Mateuszowej, krowę jej okadzić, bo ją rozdęło... No — dodała wstrząsając kij — a ty się dobrze sprawuj na resztę drogi, bo cię...

— Co wy gadacie?.. — ostrzegła ją kowalowa.

— A co nie mam gadać?.. To niech bestja skacze prosto, a nie powłóczy się jak pijany...

— Wasze to nogi, matulu, nie statkują; kij temu nie poradził

— Ale!.. — odparła stara, machając niecierpliwie ręką. — Chodziły mi one przez osiemdziesiąt lat, a terazby miały zwodzić?.. Zostańcie z Bogiem!..

— Idźcie z Bogiem!.. — rzekła kowalowa za uciekającą babką.

Gdy została sama, znowu ją gniew porwał na organistę.

— Patrzajcie! — myślała — chłopca mi skrzywdził, odzienie mu poplamiał, a teraz chce się godzić, kiedy mu pieniędzy potrzeba... Nie bój się! — szepnęła, wygrażając pięścią w stronę szarej dzwonniczki — i pieniędzy nie dostaniesz, i gruntu nie kupisz, i jeszcze ci przy ludziach wszystko wypomnę!.. Akurat dla niego tatunio pięćset złotych uzbierał... Niedoczekanie twoje, dziadowodzie!..

Chcąc czempnąć zakomunikować uwagi swoje mężowi, przeskoczyła przez płot i pobiegła do kuźni. Zdawało jej się, że już cały świat wie o przewrotności organisty, bo nawet pękaty, połatany miech, gniewniej niż kiedy sapał i ział z paszczy płonące iskry.

Wywołała męża i opowiedziała mu wiadomość, przyniesioną przez babę.

— A to chwala Bogu, kiedy się organista chce pogodzić! — odparł dobrodusznie zasmolony olbrzym, wysłuchawszy opowiadania żony.

Młoda gospoia aż ręce załamała ze zgrozy.

— I tybyś się z nim pogodził?..—krzyknęła.

— Ma się wiedzieć!.. A kto będzie uczył Staszka? może profesor?..

— Ty się z nim pogodzisz, za to, że ci butelkę o łeb rozbił?..

— Przecież nie łeb pękł, ino butelka...

— Za to, że cię od smoluchów wyzywa, z kominiarzem równa?..

— Jakem nieumyty, tom smoluch — wszyscy o tem wiedzą a ty najpierwsza — mówił kowal, nie mogąc dojść powodu zawziętości żony.

Szarakowa wstrząsnęła głową.

— Doloż moja! — zaczęła biadać — otom ci los zrobiła!.. Toś ty chłop? to twój ojciec z moim stryjem służył w wojsku, a ty nie masz ambicji?.. Ja baba jestem — mówiła zadyszana — a oczybym mu wydrapała, a ty się chcesz godzić?.. Toś ty mąż Stawińszczanki, ze szlacheckiego gniazda żonę wziąłeś, a wstydu nie masz w oczach?..

Kował zachmurzył się.

— Co nie mam mieć wstydu w oczach?—mruknął.

— Przecież godzić się chcesz z organistą?..

— Co mam chcieć?..

— Przecie dopiero co mówiłeś?..

— Co miałem mówić?.. Toś ty gadała, że ojciec tak kazał, no — a nam wypada go słuchać...

— Albo mój tatunio to twój ojciec?.. Ty go nie potrzebujesz słuchać, tylko ja... Tyś nie powinien godzić się z organistą, choćbym ja nawet chciała na rozkazanie tatunia...

Ponieważ od kilku minut chłopcy w kuźni wodzili się za łby, co robiło dość wielki szelest, kował więc pragnął już wrócić do roboty, a może i uwolnić się od kłopotliwej rozprawy z żoną. Rzekł więc energicznie:

— No kiedy tak, to niema zgody z organistą! Ojciec niech sobie chce, czy nie chce, mnie tam wszystko jedno. Ale ja nie chcę!.. Nie będę się godził!.. nie pojadę na niedzielę do młyna, ani ty jutro ze Staszkiem i *bast!*..

— A właśnie że ja pojadę jutro, a ty w niedzielę—przerwała żona.

— He?... — spytał Szarak, i chciał się wziąć ręką pod bok, ale go w porę odeszło.

— Będziemy oboje we młynie i niech organista przyjedzie, ale po to, żeby przy ludziach usłyszał, co ja mu powiem!... Tak!...

Mąż popatrzył na nią z ukosa, może nawet chciał plunąć przez zęby, ale dał spokój i zawrócił powoli do kuźni, skrobiąc się w głowę. Tam chłopcy jeszcze się czubili; Szarakowi jednak łatwiej przyszło uspokoić ich, aniżeli przed chwilą wyrozumieć swoją małżonkę.

Gdy kowalowa wróciła do sadu, Staś już nie spał, lecz borykał się z Kurtą. Matka, ucałowawszy żwawego dzieciaka, zostawiła go pod psim dozorem na dworze, sama zaś z uzbieraną sałatą poszła do izby obiad kończyć. Cały czas aż do nocy zeszedł jej na przygotowaniach do jutrzejszej podróży i na układaniu planów zemsty. Jeżeli się uda, organista zostanie skompromitowany na wieki!

* * *

Na drugi dzień w chacie kowala był zamęt od świtu. Gospodyni wychodziła na dwie doby do ojca, musiała zatem gruntownie opatrzyć gospodarstwo. Zdawało się, że wszystko czuje jej odejście. Kurta jakoś mało jadł i tylko wyskakiwał około Stasia. Krowy, odchodząc na paszę, myczały bardzo żałośnie, a wieprzki aż wysadzały drzwi chlewka, tak im się chciało gospodynią pożegnać.

W dodatku, trzeba było wcześniej podać obiad i kłócić się z mężem, który co moment przychodził z kuźni i mruczał:

— Także diabli nadali z temi chodzeniami na-próżno. Mamy się godzić z organistą, to idźmy do młyna, a nie mamy się godzić, to nie idźmy. Po co sobie większego nieprzyjaciela robić?... Jeszcze nas przeklnie w czasie podniesienia i ogień sprowadzi na dom, albo choroby na nas i na bydło?...

Wówczas kowalowa brała męża za ramię i wypychała go z izby, mówiąc:

— Już ino ty się nie wtrącaj!... Ty masz serce kowalskie, ale ja mam rozum szlachecki i tak dogodzę organiście, że się pierwaj on spali ze wstydu, aniżeli my od ognia!...

Po obiedzie umywszy razem z dziewczuchą statki, Szarakowa jeszcze raz obeszła wszystkie zakątki i została na pożegnanie ucięta od pszczoły, aż się jej łzy w oczach zakręciły. Potem wyciągnęła wózek na podwórze, włożyła na dno sienniczek, na sienniczek poduszczkę, a na wierzch Stasia, i—ucałowawszy męża, ruszyła w drogę.

Wszystkie te przygotowania niezmiernie cieszyły Kurtę, a gdy gospodyni wzięła dyszel wózka do ręki, pies wpadł w szal. Skoczył naprzód na Stasia i zdarł mu chusteczkę z głowy, potem o mało co nie oberwał wąsa kowalowi, a zgromiony przez niego rzucił się z wielkim impetem na gospodynię, i ledwie jej nie przewrócił.

Tak gwałtowne oznaki radości na złe wyszły Kurcie. Szarakowa bowiem przypomniała sobie, że nie można domu bez psa zostawić i—kazała go wziąć do izby. Dziewucha, Magda, z niemałym trudem zaniosiła Kurtę do kuchni, psisko jednak w tej samej chwili

wyskoczył na dwór oknem i weselił się jeszcze bardziej. W rezultacie—dostał nieboże w kark chustką od pani, w bok obcasem od pana, w grzbiet drewnem od dziewczuchy, poczem zaniecono go do pustego chlewa i zamknięto na kolek. Pies wył tak strasznie, że niejedna baba w polu, usłyszawszy go, przewidywała nieszczęście i zawczasu modliła się za dusze zmarłych.

Dzień był skwarny. Tu i owdzie na niebie stały białe obłoki, jakby rozmyślając: gdzie ukryć się przed spiekotą? Pod nogami Szarakowej i kołami wózka ciśnie skwierczały ziarna ciepłego piasku. Niedostrzeżony w górze skowronek świergotem witał podróżną matkę i jej syna, a z pomiędzy zboża makówki i chabry ciekawie wychylały się na drogę, jakby chcąc sprawdzić, czy nie jedzie kto znajomy?

Zatrzymała się i spojrzała za siebie. Oto ich dom na wzgórzu, jak sukienką odziany winogradem. W tej chwili żóraw studni zniża się: pewnie Magda poszła po wodę. Przed kuźnią stoi jakiś człeczyna z konikiem, ale ich kowal widać jeszcze nie spostrzegł, bo bez przerwy biją młoty, nad których stukiem i brzękiem goruje żałosne skomlenie Kurty...

Istny obrazek! Zdało się, że Szarakowa zaczerpnęła w nim nowych sił i, ciągnąc wózek, pędem zbiegła ze wzgórka.

Droga szła kręto i falisto. Co kilkadziesiąt kroków wznosiły się pagórki coraz większe. Najwyższy przypada wśród brzozowego lasu, który leży tam w dole tak blisko, że na pozór dosyć rękę wyciągnąć, aby schwycić go za gałązki. W rzeczywistości było do tego z pół godziny marszu.

Powoli chatka i kuźnia znikły, a nawet lament Kurty ucichnął. Piasek pogłębiał się, słońce piekło coraz mocniej, obłoki stały w jednym miejscu, jak puste promy na brzegu Wisły i tylko coraz inny skowronek życzył wędrowcom szczęśliwej drogi!

Szarakowej tak było dobrze w tej chwili na świecie, że z jej serca ustępował nawet gniew na organistę. A gdyby też się pogodzić z nim?.. Niedoczekanie jego! mruknęła. Nie po to ja się męczę dziś na skwarze, żeby mu pięćset złotych wypracować...

Staś tymczasem leżał w wózku, oczarowany nowymi wrażeniami. Pierwszy raz wprost oczu widział nieograniczony horyzont i niezmierną głębię szafirowego nieba. Nie umiał jeszcze pytać: co to jest? ani dziwić się; czuł tylko rzeczy niezwykle. Ziemia, po której dotychczas chodził, znikła; gdzie zwrócił spojrzenie — spotykał niebo. Zdawało mu się, że leci, że tonie wśród ogromu, którego nie umiał jeszcze nazwać przestrzenią. Dusza jego zapełniała się treścią nieokreśloną i spokojną.

Był on, jak anioł, złożony z głowy i skrzydeł; unosił się wśród bezmiarów, nie pamiętał przeszłości, nie myślał o przyszłości, lecz w każdej chwili czuł nieskończoność. Taką formę bytu musi mieć — życie wieczne.

Nagle horyzont zaciemniły mnogie zielone gałązki, na wózek padł cień. Wjechali w las i zbliżali się do najwyższego wzgórka.

Spiekota, ciężar wózka i gniew na organistę wywarły pewny wpływ na kowalową. Uczuła zmęczenie. Chciała usiąść między drzewami i odpocząć, ale bała

się opóźnienia w drodze, a przytem... w lesie?.. Gdyby była sama, nicby ją las nie obchodził; ale obecność Stasia robiła ją ostrożną, niewiadomo przed czym? O wilkach i zbójcach nikt tu nie słyszał; kobieta jednak zlekłaby się teraz nawet zająca, gdyby wyskoczył...

Ach! ten las... długi na jakie dziesięć pacierzy... Żeby choć Kurtę wzięła z domu, byłoby jej weselej... On tam płakał zamknięty, a w tej chwili nawet psia krzywda padła na duszę kowalowej ciężkiem brzemieniem.

Ach! żeby z tego lasu prędzej wyjechać!... Żeby choć na ten wzgórek dostać się!... Szarakowa zdjęła chustkę i położyła ją na wózku. Mała ulga. Pot spływał z niej strumieniami, a wraz z nim i siły. Zdawało jej się, że chyba nie dosięgnie do wzgórka, a cóż dopiero mówić o szczycie.

Przed samym wzgórkim, na prawo od podróżnej, biegła z głębi lasu inna droga i w tej właśnie chwili, na tamtej bocznej drodze, rozległ się łoskot lekkiego powozika. W Szarakową wstąpiła otucha; teraz przynajmniej nie będzie samą!.. Pospieszyła się i—niebawem ujrzała powozik, nakształt biedki, ale bardzo ładnie zbudowany i skórzanym daszkiem okryty. Biedkę tę, na resorach, ciągnął piękny koń gniady; wewnątrz siedział jakiś pan, którego jednak Szarakowa dobrze zobaczyć nie mogła, ponieważ w tej chwili ekwipaż zawrócił na drogę i stanął do niej tyłem.

— Oj! żebyś ty mnie podwiózł!... — pomyślała kowalowa, lecz nie śmiała odezwać się do właściciela dryndulki, choć szła tuż za nią.

Biedką ową, zbudowaną tak kunsztownie, jechał pan Łoski, obywatel ziemski i sędzia gminny. Wracał on z sądów do siebie i niewątpliwie chętnieby podwiózł zmęczoną a ładną kobietę, gdyby ją spostrzegł! Nie-szczęściem, pan sędzia był głęboko zamyślony i nie-tylko nie zauważył Szarakowej na zakręcie drogi, ale nawet nie słyszał jej przyśpieszonego oddechu.

Podróżni dotarli do stóp wzgórka. Powozik toczył się noga za nogą; krok w krok za nim szła kowalowa, ciągnąc swoje brzemie.

Wzgórze miało ze dwieście kroków wzwyż i było dość przykre. Skutkiem tego, Szarakowej przyszła myśl ulżyć sobie na koszt konia. Nie zastanawiając się długo, zaczęła dyszelek wózka o oś biedki.

Plan był cudowny; zahaczony dyszelek trzymał się doskonale, wózek ze Stasiem jechał jeszcze lepiej, a kobiecina przynajmniej odetchnęła. Byle na szczyt!..

Sama szła z tyłu wózka i, ulegając głosowi znużenia, mocno, obiema rękoma oparła się na krawędzi. Było jej znakomicie lżej, tak lekko, że chętnie przeszłaby tym sposobem nawet dwa razy dłuższą drogę, niż z domu do młyna. Ale i cóż, kiedy na tym świecie zadowolenia ludzkie trwają bardzo krótko!.. Już przejechali połowę wysokości pagórka... Już tylko z pięćdziesiąt kroków do szczytu... Bóg ci zapłać koniku, żeś nas tu wciągnął!.. Pora odpiąć wózek od biedki...

Nagle koń ruszył kłusem i biedka, za nią wózek, a w nim Staś — zjechali na dół!..

Szarakowa skamieniała. Nim zdążyła krzyknąć: stójcie! już biedka sędziego i wózek Stasia były na dole.

— Ratunku! — jęknęła kobieta, puszczając się z rozpostartemi rękoma na dół. Jak błyskawica przemknęła jej myśl, że o byle kamień przewrócić się może wózek...

Ale wózek płynął w piasku jak w puchu, małe kółka kręciły się i chwiały jak szalone, Stasiowi zaś szybka jazda sprawiała niezmierne zadowolenie... Sędzia, nie wiedzący o niczem, był niemniej wesół, a jego koń, któremu nagle ubyło ciężaru, aż parsknął z radości i rwał się do galopa.

Przez chwilę zdawało się Szarakowej, że uciekających dopędzi, że ją choć usłyszą. Ale gdzie tam... Zatrzymała się, chcąc krzyknąć ze wszystkich sił, choćby jej płuca pękły. Lecz zaledwie otworzyła usta, głos w niej zamarł... Ujrzała, że coś wypadło z wózka. Dobiegła bliżej — to tylko jej chustka... Koń zwolnił... Zbliżyła się jeszcze bardziej. Już widzi wyraźnie główkę Stasia i jego rączki ślicznie ułożone około boczków...

— Stasięńku mój!... Ratujcie!

Wózek zachwiał się i potoczył jeszcze prędzej. Już dziecku rączek nie widać, już główka niewyraźna, już wózek coraz mniejszy...

Szarakowa nie mogła pojąć, dlaczego przed koniem nie wyrasta wał ziemi, dlaczego niebo drogi nie zagraджа, dlaczego drzewa nie zabiegają jadącym. Ileż tu ptaków siedzi na gniazdach i widzi jej macierzyńską rozpacz, a żaden nie śpieszy z pomocą. Żeby choć który ptaszek odezwał się do pana: stój!... żeby choć który kamień na tę ciężką chwilę ocknął się ze swej drzemki... Napróżnol wszystko milczy...

Spojrzała w niebo. Nad jej głową wiewiórka spokojnie gryzie szyszki. Obłoki stoją na miejscach. Słońce pali jak dawniej... Spojrzała na drogę, a tam — biedka już niewyraźna, a wózek ledwie żółcieje. Zdawało się, że na tym nieszczęsnym wózku leży jej serce, gwałtem z piersi wydarte, bez miłosierdzia niewiadomo gdzie ciągnięte, a przywiązane do niej nitką, która coraz bardziej cieńczała. Jeszcze chwilę — i pęknie nitka, a wraz z nią, serce i życie biednej matki!

Powozik stopniowo malał i tonął między chwiejącą się zielenią drzew. Już jest taki — jak ptak... Teraz na chwilę znowu znikł, lecz znowu się pokazał... Znowu znikł...

Szarakowa przetarła oczy pełne kurzu i łez. Nie widać nic!.. Wybiegła na środek drogi. Nic... Przeszła na drugą stronę... Coś w dali mignęło, lecz wnet znikło... Wyczerpana z sił, przywalona bólem, upadła twarzą na ziemię i, zwinięta w kłębek, poczęła wyć, jak samica, której od przepełnionych piersi oderwano szczenie.

Wówczas na pagórku, gdzie ją takie nieszczęście spotkało, ukazał się konik w hołobli, a za nim światobliwie ogolona fizjognomja, należąca do człowieka, który siedział w niewielkiej, lecz mocno trajkoczącej bryczce. Szarakowa nie słyszała turkotu, nie widziała podróżnika, ale za to on spostrzegł skurczoną postać ludzką na drodze i zatrzymał konia.

— Pijana — czy umarła?.. — myślał, uroczyście ogolony wędrowiec. — Cholery dostała, czy ją kto zabił?.. Jechać — czy wrócić?..

Patrzący z wysokości swego siedzenia na padół ludzkiej nędzy, lękał się zbójców, cholery i sądów i już pociągnął za lejc, aby skrócić, gdy wtem—przyszła mu na myśl ewangelja na niedzielę 12-tą po Świątkach, zapisana u św. Łukasza w Roz. 10, O zranionym i Samarytaninie. „A przystąpiwszy zawiązał rany jego, nalawszy oliwy i wina; a włożywszy go na bydlę swoje, wprowadził do gospody i miał pieczę o nim“.

Dzięki temu wspomnieniu, bryczka potoczyła się naprzód, jednak bardzo powoli i ostrożnie, aż do kobiety. Potem stanęła i siedzący w niej Samarytanin, pochyliwszy się, szturchnął zlekka kowalową biczyskiem.

— Hej! hej!.. — krzyknął.—*In nomine patris et...*

Szarakowa zerwała się na równe nogi, i patrząc błędnymi oczyma w ogoloną twarz podróżnego szepnęła:

— Pan organista?..

— A ja!..—odparł — ale co się stało?..

— Staś mi zginął!.. O dla Boga!.. — jęknęła i oparła się na krawędzi bryczki.

— Cóż to—cygany go porwały?.. Panie święty!..

Szarakowa opowiedziała w kilku słowach wypadek.

— Eh! kpij pani z tego!.. — zawołał organista.— To wyraźnie jakiś szlachcic jechał!.. Panie święty!.. no a tacy nie kradną dzieci. Siadaj pani do bryczki!..
Et cum spiriti tuo.

— Po co?..

— Jakto po co? Panie święty!.. Będziemy szukać chłopca i amen!..

— Może on już?

— Co może on już? Myślisz pani, że nie żyje?.. A kogóż jabym uczył?.. Jeżeli ja go mam uczyć, gdy będzie miał — Panie święty — lat sześć, to jużci chłopak nie umrze w drugim roku... *In saecula saeculorum...*

Dowodzenie organisty, a nadewszystko jego łaci-
na, były tak niepokonane, że kowalowa, milcząc, siadła
na bryczkę i pokornie umieściła się na koziołku, twa-
rzą do organisty. Ale wierny, choć popędliwy, sługa
kościółła nie pozwolił na to.

— Bardzo proszę... Panie święty!.. — zawołał. —
Bardzo proszę na siedzenie, a ja — na koziołek pójde!..
Introibo ad altare Dei...

— Panie organisto — co też pan robi?..

— Tak!.. Byłbym chyba — Panie święty — czło-
wiek bez edukacji, żebyś pani, żona i córka moich
przyjaciół, siedziała na kozle... Ja powożę, ja idę na
kozioł... *Sicut erat in principio...*

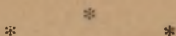
Szarakowa wykonała rozkaz organisty, nie śmie-
jąc mu w oczy spojrzeć. Wszakże to dla dokuczenia
mu wybrała się dziś w podróż!.. Ale Bóg dbały
o służę swoje, pomieszał plany zemsty i sprawił, że
właśnie organista wydobędzie ją z niedoli.

— Uważa pani Szarakowa — mówił szlachetny
opiekun. — Ja — Panie święty — mam interes od jęgo-
mości do pana Łoskiego, tego, co to jest sędzią gmin-
nym, ale pierwej odwiozę panią do miasteczka i tam
dowiemy się od Żydów: który szlachcic z tych stron

jeździ krytą biedką? Potem — wynajdziemy Staszka, potem odbierzemy go i panią odtransportuję z dzieckiem do młyna. *Indulgentiam, absolutionem et remissionem peccatorum nostrum...*

Ale Szarakowa nie słuchała już jego programmatu kaznodziejskim wygłoszonego tonem, lecz oparła głowę na rękach i zanosła się od płaczu. To ją uspokoiło nieco.

W pół godziny później bryczka wjechała na miejski rynek, przy akompaniamencie trzaskania batem i łaciny, hojniej niż zwykle szafowanej przez wzruszonego organistę.



Pan Łoski był to mężczyzna w średnim wieku, uczciwy i przyzwoity; miał przytem dużo rozwagi, spory majątek i angielskie faworyty. Niewielka łysina świadczyła, że dobry ten obywatel musiał niejednokrotnie za młodych lat mury głową przebijać i wogóle nie pędzić bogobojnego życia. Okoliczność ta jednak nie podkopywała szacunku, jaki miał u sąsiadów; dla żony zaś robiła go jeszcze droższym, miesząc do obecnego szczęścia w pożyciu małżeńskim—odrobinę żalu za wczoraj i niepokoju o jutro.

Wybrany na sędziego gminnego, pan Łoski pełnił urząd wśród powszechnego zadowolenia. Nie chcąc zaś ludzi odrywać od pracy, sprawił sobie elegancką, krytą biedkę na resorach, i do sądu o dwie mile odległego, jeździł sam. To też ile razy wracał z posiedzeń zbyt późno, pani miała zwyczaj zapytywać go od niechcenia:

— Wstępowałeś do sąsiadów?

— O nie!..—odpowiadał.—Wracam prosto z biura.

— Ach!.. — kończyła pani, żałując w duchu, że mężowi do owego biura nie towarzyszy stangret, a przynajmniej jaki chłopczyna.

Nie miniemy się z prawdą, nadmienając, że i znajomi sędziego, a najbardziej damy, podzielały do pewnego stopnia wątpliwości pani Łoskiej, co do niewinnego trybu życia jej małżonka. Sława, raz zdobyta, trwa wiecznie!

W dniu, w którym zdarzył się opowiedziany wypadek na drodze, pan Łoski wracał do siebie około drugiej po południu. Spraw w sądzie miał dziś niewiele, w domu oczekiwało go kilka osób z sąsiedztwa, więc pośpieszał. W chwili, gdy Szarakowa przyczepiła mu wózek do biedki, zastanawiał się nad procesem dwóch gospodarzy o kurę; później — myślał o sposobach zabawienia swoich gości, i ani przypuszczał, że może się stać niewinnym powodem ciężkiego zmartwienia kowalowej i—przedmiotem uciechy dla sąsiadów.

W końcu lasu, droga do majątku sędziego zbacziała od gościńca na lewo. Łoski wjechał na nią bez przygody i wydostał się na otwarte pole. W jednym miejscu kilku ludzi kopło rowy i sędzia zauważył, że ludzie ci, z wielkiem ożywieniem pokazują sobie nawzajem jego biedkę.

Później spotkał babę z małym chłopcem, którzy zatrzymali się na drodze i tak szeroko otworzyli usta, jakby mieli zamiar połknąć gniadego konia wraz z powozikiem. Te oznaki podziwu niezmiernie pochlebiały

sędziemu, który z pociechą przekonał się, że ulubiony jego ekwipaż zaczyna zwracać uwagę.

Staś z początku zachwycony prędką jazdą i podskakiwaniem wózka, znudził się i zasnął, marząc pewnie o figlach Kurty i pocałunkach matki. Niebawem biedka, stuknąwszy o próg bramy, wjechała na podwórze.

Przed dworem, wśród kwiatów, pod płócienną werandą, pani sędzina i towarzystwo dam i mężczyzn czekało na gospodarza. Sędzia spostrzegł to, i pragnąc zajechać z szykiem, postanowił okrążyć dokoła dużego gazon. Ściągnięty lejcamy koń począł wyrzucać do góry piękny łeb i przebierać nogami do taktu. Sędzia nie chcąc być gorszym od niego, także wyprężył nogi, wyprostował się wdzięcznie i przybrał postawę dżentelmana.

Rzeczywiście obrachowany efekt nie zawiódł go. Gdy bowiem, okrążając dziedziniec, znalazł się naprzeciw werandy, całe towarzystwo poczęło klaskać, wołać: brawo! i manifestować różne inne oznaki zadowolenia.

Łoski ściągnął lejce jeszcze mocniej, koń wyrzucił łbem jeszcze zręczniejsze, biedka i przyczepiony do niej wózek z dzieckiem toczyły się jeszcze uroczyściej, a aplauzy widzów przybrały pozory szalonej wesołości. To już zdziwiło sędziego, tembardziej, gdy spostrzegł, że nawet stary jego sługa gryzie sobie wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem.

— Brawo!... brawo!... winszujemy!... cha! cha! — wołali mężczyźni.

Łoski wysiadł z biedki i osłupiał, widząc, że damy przybrały minki bardzo dwuznaczne, a jego żona, jasna blondynka, istny anioł dobroci, ma niewyraźny

uśmiech na ustach, i — bardzo wyraźne łyzy w dużych, łagodnych oczach.

— Odprowadź konia do stajni! — rzekł, na dobre zakłopotany, sędzia do służącego.

— A z tem co zrobimy jaśnie panie?... — zapytał stary frant, pokazując serwetą na wózek.

Łoski obejrzał się i struchlał, zobaczywszy przedmiot, tak mało mający związku z jego stanowiskiem męża i stróża sprawiedliwości. Fatalna sprawa wylała się jeszcze bardziej przez to, że państwo Łoscy nie mieli własnych dzieci.

— Winszujemy znaleźnego!... — wołali mężczyźni.

— A zróbcież mnie choć ławnikiem!... — krzyczał 80-letni expułkownik, stary kawaler.

Damy tymczasem otoczyły wózek, na którym Staś obudził się i zaczął płakać.

— Śliczne dziecko! — mówiła jedna.

— Jakie delikatne! .

— Musi mieć przynajmniej rok — dodała trzecia.

— To też sędzia akurat dwa lata dla publicznego dobra! — huknął tubalnym głosem pułkownik.

— Ależ panowie, to musi być omyłka!... — tłumaczył się, zmienionym głosem, nieszczęśliwy sędzia.

— W takim adresie nie może być pomyłki! — wtrącił niepoprawny pułkownik. — Ale niema co mówić, chłopiec śliczny, jak malowidło!

Korzystając z rejuwachu, pani Łoska wymknęła się do pokoju. W kilka minut wróciła stamtąd z mocno zaczerwienionemi oczyma, ale już spokojniejsza i jakby zrezygnowana. Za nią toczyła się stara, gruba szafarka.

Gdy sędzina drżącemi rękoma wydobyła Stasia

z wózka i oddała go szafarce, biedny mąż, niezwykle pokornym głosem zapytał:

— Co z nim myślisz robić?...

— Przecież go nie oddam na folwark...—odparła cicho żona, z odcieniem wyrzutu w głosie.

Usłyszawszy to, młode panie zarumieniły się, starsze spojrzały po sobie, nawet mężczyźni spoważnieli, a pułkownik odezwał się:

— No, kochana sędzino, odkładając żarty na stronę, dobrze pani zrobisz, nakarmiwszy zaraz chłopca, który musi być głodny. Swoją drogą jednak trzeba dać znać do parafji i do wójta, ponieważ jest oczywiste nieporozumienie, a rodzice tego malca muszą być w djabelnych opałach...

Szafarka tymczasem, pilnie przyglądając się dziecku, mruczała:

— Jak rany Chrystusa kocham, wykapany nasz pan!.. Nasz pan był taki sam, kiedy miał rok!.. Pamiętam go przecie: nos, oczy, a nawet pieprzyk na szyi... Takuteńki sam! Oho!.. to nie chłopskie dziecko...

Aby przerwać niesmaczne uwagi, sędzina lekko popchnęła gadatliwą kobietę na ganek i kazała dziecko nakarmić i umyć. Towarzystwo już ochłonęło i wszyscy zaczęli narzekać na prawdopodobną nieuwagę piastunki, która wózek przypięła do biedki, a zarazem ubolewać nad zmartwieniem rodziców. Sędzia potakiwał im, usiłował odgadnąć w której wsi malca przyczepiono; a gdy rozmowa przeszła na inny temat i żona uspokoiła się przynajmniej na pozór, Łoski opuścił na chwilę gości i pobiegł do garderoby.

Tam, szafarka rozpędziwszy służbę, trzymała malca na kolanach i karmiła go bułką z mlekiem. Staś jadł, lecz zarazem oglądał się niespokojnie po nieznanym pokoju, jakby szukając matki. Gdy sędzia wszedł, chłopiec, ujrawszy mężczyznę, z wyciągniętymi rękoma rzucił się gwałtownie naprzód i zawołał w swoim pieśczośliwym języku:

— Tatal.. tatal..

— Głos krwil.. Jak rany Chrystusa kocham! — krzyknęła szafarka. — Ach! co to za mądre dziecko... rychtyczek jak pan...

Sędzia zbliżył się do malca, popatrzył na niego uważnie, delikatnie dotknął jego opalonej buzi, a potem—obejrzawszy się na prawo i na lewo—pocałował Stasia. Zrobiwszy to, ku nieopisanemu rozczuleniu szafarki, wyszedł do sieni. — W sercu jego budziło się dziwne uczucie. Był roztkliwiony, niespokojny, ale zarazem kontent i dumny. Staś podobał mu się bardziej, niż jakiegokolwiek inne dziecko.

Na kurytarzu spotkał żonę, lecz nie śmiał jej spojrzeć w oczy. Widząc to, podała mu rękę i rzekła półgłosem:

— Ja już się nie gniewam.

Łoski przycisnął ją mocno do piersi i nagle wyszedł na ganek, obawiając się, by nie spostrzegła, że jest wzruszony.

* * *

Sobota w małych miasteczkach bywa dniem ciszy i wypoczynku. Z tego powodu pan burmistrz mieściny

X., pani burmistrzowa i rejent, ich przyjaciel — wyszli po południu na spacer.

Burmistrz, człek mały i pękaty, szedł naprzód. Prawą rękę, w której trzymał laskę, założył na plecy; lewą, zgiętą w łokciu, niósł przed sobą w taki sposób, jak kwestujący w czasie sumy dziad nosi tackę. Przytem uśmiechał się ciągle i przymykał oczy; ludzie mówili, że robi tak, aby: „nie wiedzieć skąd pada“, naturalnie na ową wyciągniętą rękę.

O kilkanaście kroków za nim postępował rejent, wysoki, podstarzały kawaler, z panią burmistrzową pod rękę. Wątpimy bardzo, aby taki sposób spacerowania dziwił kogo w miasteczku. Wszyscy do niego przywykli, nie wyłączając burmistrza, który był zawsze kontent i myślał o tem tylko, ażeby: „gęsto padało“.

Na cześć tej trójki miejscowych znakomitości, pod drewnianymi domami rynku, ziewało paru szabasujących Żydków, a obok zepsutej pompy, drapał się leniwie pies, którego wyraźnie zarysowane żebra stanowiły ilustrację tutejszego dobrobytu.

W chwili, gdy spacerujący dosięgali granicy rynku, wpadła prawie na nich, z ogromnym impetem bryczka organisty. Pan burmistrz aż na bok uskoczył, a pan rejent, widocznie ze wzruszenia, poprawił sobie kołnierzyk.

Jednocześnie bryczka stanęła naprzeciw rejenta.

— Zwarjowałeś acan, że tak pędzisz?.. — zapytał rejent.

— *Laudetur Jesus Christus!*.. — odparł organista, dotykając biczyskiem czapki.

Burmistrz spostrzegł zapłakaną Szarakową, i zbliżywszy się do bryczki, uśmiechnięty jak zwykle:

— A co to?—rzekł— stało się jakie nieszczęście? Umarł kto?.. Spaliło się co?..

— Jaki nieprzytomny człowiek! — ciągnął rejent swoje.—O mało, że nie przejechał mnie i Jó... to jest prezydentowej.

— Synek mi zginął... Stasieczek mój! — zawołała kowalowa, znowu zalewając się łzami.

— Co to za jedna?..—spytała pani burmistrzowa.

— Zdaje się, że to będzie córka młynarza Stawińskiego—objaśnił rejent.

— A tak — Stawińszczanka, a teraz kowalowa. O, pomóżcież mi go znaleźć, moiście wy państwo złotel — mówiła Szarakowa, trzęsąc się z płaczu na bryczce.

— Hil hil hil — zaśmiał się burmistrz — ma też czego płakać!.. Takaś młoda, da ci Pan Bóg jeszcze z dziesięcioro!..

— *André, soyez convenable!* — zgromiła go pani burmistrzowa, była wychowanka pensji wyższej w mieście gubernjalnem.

— O ratujcież mnie, moi złoci państwo!—jęczała kowalowa i, pochyliwszy się na bryczce, wyciągnęła ręce, jakby chcąc uścisnąć najprzód panią prezydentową, a następnie jej męża. Ale pani prezydentowa, która ukończyła pensję, z gestem oburzenia cofnęła się w tył, a niemniej obrażony mąż jej zawołał:

— Cóż to u diabła za poufałość!.. Nie wiesz, kto jestem?..

— Jużci wiem, żeś pan — wielmożny burmistrz. Pomóż-że mi znaleźć mojego syneczka... Już nie wiem od kiedy go nie widzę, nieszczęśliwa! Może gdzie wyleciał z wózka i jeszcze go kto rozjedziel

— A cóż mię to obchodzi?—spytał burmistrz. — Idź sobie do strażnika!.. Ona myśli, że ja będę za jej bębniem chodził!.. Słyszałeś rejent?

Wyraz bęben obraził kowalową. Oczy jej obeschły, na twarz wybiegła krew.

— A od czegożeś pan burmistrz? — krzyknęła — może nie od tego, żebyś biednym ludziom pomoc dawał w nieszczęściu?.. To mój Staszek bęben?.. Panes przecie taki sam był, a i on może kiedy, jeżeli się znajdzie...

W tem miejscu płacz zatamował jej mowę.

— Niedoświadczona kobieta!—mruknął organista, widocznie myśląc o tem, że burmistrz z wyciągniętą ręką nie jest od tego, ażeby biednym ludziom dawał pomoc w nieszczęściu!

Bądź co bądź, skutkiem wybuchu kowalowej, sytuacja stałaby się bardzo drażliwą, gdyby nie wmieszał się rejent, który miewał interesa ze Stawińskim. Przerwał on kłótnię, wzywając organistę, aby opowiedział: co się stało ze Stasiem?

Tymczasem dokoła bryczki zebrał się tłum Żydów, jakby z pod ziemi wyrosłych, organista zaś całemu zgromadzeniu kaznodziejskim tonem opisał wypadek Stasia. Gdy w końcu podniesionym głosem zapytał obecnych: czy nie zna kto obywatela, mającego krytą biedkę na resorach? jeden z Żydów zawołał:

— Ja wiem! to pan Łoski sędzia...

— A słowo stało się ciałem — krzyknął organista.—A toż ja właśnie do niego miałem interes, i Bóg wie, po com tutaj wstępował...

Z temi słowy zawrócił konia.

— O jedźcież prędzej, kumeńku serdeczny!—mówiła kowalowa, targając organistę za połę długiego surduta.

Na bryczce oparł się Żydek i rzekł:

— Pani Szarakowa! a niech pani pamięta, że to ja powiedziałem... Ja tam jutro przyjdę do kuźni...

— Cóż to znowu za szachrajstwo? — oburzył się organista. — Przecież ja sam doskonale wiedziałem, że pan Łoski jeździ do sądu krytą biedką, zaprzęgniętą w gniadego konia...

— To po co się pan pytał, jeżeli pan sam wiedział?...—zawołał rozgniewany Żydek.

— Nie tłumaczę się przed takimi łachmytami! — odparł wyniośle organista, zabierając się do jazdy.

— Jedźmy już, jedźmy!..—błagała Szarakowa.

— Aj waj! jaki wielki pan?.. — krzyczał Żydek, chwytając lejce.—Panie organisto! ja panu coś powiem!.. Możeby pan przychodził do mnie co niedziela grać na katarynce?..

Otoczająca wózek gromada wybuchnęła śmiechem.

Dumny organista zbladł, ugodzony w najdrażliwszy punkt swojej ambicji, a w oczach błysnęła mu chęć zemsty. Podniósł się z kozła i, wyprostowawszy swoją długą figurę, zawołał potężnym i uroczystym głosem:

— Lejbuś! ja ciebie chrzczę... *In nomine Patris...*

— *Aj waja!... Dy lobuz!... Dy świńskie uches!* — zawołała chórem gromada, rozbiegając się po rynku.

Organista w tej chwili zaciął konia i bryczka umknęła, wśród tumanów kurzawy, śmiechów i wymyślań gawiedzi.

Jechali dobrym kłusem z dziesięć minut. Co moment Szarakowa stawiała i, chwiejąc się na podskakującym wózku, patrzyła na drogę.

— Panie organisto!...

— A czego?

— Daleko to?...

— Mała milka, zajedziemy wnet!

Konik był mocny i zwinny, ale już i na jego gładkiej sierści ukazywały się wielkie plamy potu.

— Wio mały! — krzyczał organista.

Niekiedy tuman, wlokący się za nimi, jak ogon, równał się z bryczką, zabiegał im drogę i trzy pary oczu zasypywał drobnym piaskiem. Wtedy konik schylał głowę między kolana i parskął, organista przecierał oczy grubym rękawem i tylko biedna matka, nie przyomykając nawet powieki, patrzyła na drogę.

— Panie organisto!...

Organista wiedział już, o co chodzi i, nie czekając, odparł:

— Oto tam, między drzewami!... Widzi pani?... Za dziesięć pacierzy zajedziemy.

Skrecono na prawo. W polu kilku ludzi kopło rów.

Wózek stanął.

— Hej! hej!... — zawołał organista, kiwając na kopacza.

Jeden z nich odłożył łopatę i szedł ku bryczce. W Szarakowej tętna biły, jak młoty w kuźni, i drżała tak, jak gdyby wózek jeszcze pędził, choć on stał.

— Pan wrócił do domu?—zapytał organista nadchodzącego kopacza.

— A juścił

— A nie widzieliście wózka za jego biedką?

— A jakże, widzieliśmy!

— I dziecko było tam?

— Musi że było, bo się *cosik* trzęsło we środku.

— Bóg wam zapłać.

— Jedźta z Bogiem!... To wasze?

— Nie moje... tej pan!—odparł organista, wskazując batem za siebie.

— Panie organisto... — odezwała się kowalowa.

— Czego?

— Puśćcie mnie z bryczki... ja pójdę piechotą, bo mi się widzi, że prędzej zajdę...

— At! nie barłóżyłabyś pani... Wio mały!

— O Jezul Jezuniu!.. czy choć ja go aby znajdę!.. — szeptała kowalowa, klękając na ruchliwym dnie bryczki.

Koń pędził galopem.

Może o wiorstę ode dwora, organista spostrzegł jakiś bury przedmiot, prędko toczący się od jednego brzegu drogi do drugiego. Gdy podjechali bliżej, poznał psa, który, ze spuszczoną ku ziemi głową, biegł przed bryczką.

— Kurta!.. — krzyknął organista. — Patrzaj pani, wasz Kurta tu jest!

Pies, zobaczywszy kowalową, począł wyć, szczekać, rzucać się do wózka i skakać do pyska koniowi, który, parskając, oganiał się, jak umiał. Pocziwe psi-sko, wypuszczone z chlewa, za śladem Stasiowego wózka aż tu przybiegło.

— Wszystko idzie dobrze! — zawołał organista i ściągnął lejce. Stanęli pod bramą dworską.

Kowalowa wysiadła, podeszła parę kroków i nagle oparła się o słup bramy, czując zawrót głowy. Organista wziął ją za rękę i tak poszli ku dworowi, poprzedzani przez Kurte, który wciąż czekał, skakał i obracał się w kółko.

Właśnie całe towarzystwo siedziało pod werandą przy obiedzie. Podróżni zatrzymali się u płotu, nieśmiało patrząc w stronę państwa, gdy nagle Kurta pocwałował naprzód.

Za nim pobiegła kowalowa i, zadyszana, z podniesionemi rękoma, uklękła przy końcu stołu, gdzie na kolanach szafarki siedział Staś, żywy, wyspany i uśmiechnięty.

— A pójdziesz! ty zbrodniarzu!.. — wołała przestraszona szafarka na Kurte, który gwałtem usiłował na nią wskoczyć.

— Matka! matka! — zawołali państwo, widząc kobietę, która przypadła do ziemi i z krzykiem całowała tłuste nożęta Stasiowe.

Przerwano obiad; wszyscy powstali i zbliżyli się do drugiego końca stołu, gdzie rozgrywała się zabawna scena: dwie kobiety kłóciły się o dziecko.

Szarakowa chciała odebrać swoją własność, szafarka znowu nie oddawała jej chłopca.

— To mój syn! mój Stasieńko! — wołała matka.

— Coś acani za jedna?.. — krzyczała mocując się z nią szafarka. — Także... ordynaryjność!.. Łapie takie delikatne dzieciątko jak polec słoniny!

— Bo to moje!..

— Co panine?.. To syn naszego pana, wszyscy tu poświadczą!.. Taki śliczny... O, widzisz pani... Pan przyszedł... Oddaj pani chłopca!..

Całe towarzystwo śmiało się bez ceremonji.

— Ale, państwo się śmieją — mówiła zaperzona szafarka — a to przecie jest syn pana!.. Podobniuteńki... A nie pójdziesz psia wiaro!.. — krzyknęła znowu na Kurtę.

Szarakowa, klęcząc, odwróciła głowę i ze zdumieniem spojrzała na tego, którego ojcem Stasia nazywano. Przypatrzwszy się, rzekła z naiwną prostotą:

— Nie byłby on taki śliczny, jak jest, żeby był waszego pana. To syn kowala... Szaraka Józefa!..

W tem miejscu odezwał się organista i w mowie pełnej namaszczenia potwierdził, jako zgubione dziecko, które na chrzcie świętym otrzymało imię Stanisława, jest prawym synem Józefa i Małgorzaty ze Stawińskich, małżonków Szaraków.

Wiadomość, z tak poważnego źródła płynącą, pani sędzina przyjęła z oznakami wielkiego zadowolenia, pan sędzia zaś — uśmiechnął się, jak gdyby po spożyciu kwaterki niedojrzałych tarek.

— Fiu! fiut! — gwizdnął stary pułkownik i dodał: — Poszło!..

Sędzia skrzywił się jeszcze lepiej i machnął niedbale ręką.

— Cieszę się bardzo — rzekł — iż biedny ten malec tak prędko odzyskał rodzinę!..

— To mi przypomina bajkę, pod tytułem: Lis i winogrona — wtrącił pułkownik.

Panie przygryzały wargi, sędzia kręcił się, jak na szpilkach, organista niczego nie rozumiał, a Szarakowa nie słyszała, zajęta pieśzczeniem Stasia.

Zbytecznem byłoby nadmieniać, że organista zmuszony był po raz drugi opowiedzieć przygodę Stasiową.

Nalitowawszy się nad matką, wszyscy śmieli się teraz z wypadku, z wyjątkiem szafarki, której wielką boleść sprawiło to, że Staś nie jest synem jej pana.

— A taki mądry!.. A taki podobny!.. Ma nawet pieprzyk na szyjce — mruczała stara.

* * *

Dla uzupełnienia dodamy, że organista, załatwiwszy u sędziego interes Jegomości, odwiózł Szarakową do jej ojca i tam po raz trzeci opowiedział wiadomą historję struchlałemu Stawińskiemu. Wyjechawszy z młyna, tego samego dnia opowiedział ją po raz czwarty kowalowi, a po raz piąty Jegomości.

W niedzielę, po nabożeństwie, Stawiński z córką i wnukiem, tudzież wszystkie młynarczyki wylegli na most, przypatrywać się jadącej od strony miasta jedno-konnej bryczce, w której — o dziwo! — kowal Szarak siedział obok organisty Zawady — jak rodzeni bracia...

Stary młynarz obu pogodzonym przeciwnikom wypalił długą i nudną orację o potrzebie wzajemnego przebaczenia uraz, co w tej chwili było całkiem zbyteczne. Potem wezwał wszystkich na obiad, po obie-

dzie zaś — doręczył organiście sumę pięciuset złotych, jako *bezprocentową* pożyczkę na lat trzy. Skutkiem tego, organista często później powtarzał ludziom, w formie nauki moralnej, następującą sentencję:

— Kochani bracia! Gdy rozpamiętywam swoje życie, widzę dokładnie, jako Pan Bóg miłosierny nigdy nie opuszcza ludzi takich, jak ja — cnotliwych i sprawiedliwych. *In saecula saeculorum!*

W poniedziałek organista był już przy kościele, Szarak w kuźni, Staś bawił się z Kurtą na podwórzu, pod okiem Magdy, a kowalowa pracowała w sadzie.

Około południa, przed ich dom zajęchała furka, z której jakiś człek, nie z tej wsi, zdjął piękne kasztanowate cielątko z białą gwiazdką na czole. Ponieważ małośni czworonóg widocznie bał się szczekającego psa i iść nie chciał, furman więc ujął go jedną ręką za kark, drugą za ogon i w taki sposób przyprowadził do zdziwionej Szarakowej.

— Co to?.. skąd to?..—pytała gospodyni.

— A to wam pani Łoska podarowała na posag dla waszego chłopaka — odpowiedział człowiek.

— Józek!.. Magda!.. a chodźcie ino!.. Staś będzie miał krowę!.. Przysłali mu ją ze dworu — wołała zachwycona kobieta, całując cielątko, któremu niemniej zachwycony Kurta, potrochu oskubywał ogon.

Tym epilogiem zakończyła się przygoda Stasia.

Warszawa 1878, w grudniu.

Antek urodził się we wsi, nad Wisłą.

Wieś leżała w niewielkiej dolinie. Od północy otaczały ją wzgórza spadziste, porośnięte sosnowym lasem, a od południa wzgórza garbate, zasypane leśniczną, tarniną i głogiem. Tam najgłośniej śpiewały ptaki i najczęściej chodziły wiejskie dzieci rwać orzechy, albo wybierać gniazda.

Kiedyś stanął na środku wsi, zdawało ci się, że oba pasma gór biegną ku sobie, ażeby zetknąć się tam, gdzie z rana wstaje czerwone słońce. Ale było to złudzenie.

Za wsią bowiem ciągnęła się między wzgórzami dolina, przecięta rzeczulką i przykryta zieloną łąką.

Tam pasano bydłątką i tam cienkonogie bociany chodziły polować na żaby, kukające wieczorami.

Od zachodu wieś miała tamę, za tamą Wisłę, a za Wisłą znowu wzgórza wapienne, nagie.

Każdy chłopski dom, szarą słomą pokryty, miał ogródek, a w ogródku śliwki węgierki, z pomiędzy których widać było komin, sadzą uczerniony i pożarną drabinę. Drabiny te zaprowadzono nieoddawna, a ludzie myśleli, że one lepiej chronić będą chaty od ognia, niż dawniej bocianie gniazda. To też, gdy płonął jaki budynek, dziwili się bardzo, ale go nie ratowali.

— Widać, że na tego gospodarza był dopust Boski — mówili między sobą. — Spalił się, choć miał przecie nową drabinę i choć zapłacił *śtraf* za starą, co to były u niej połamane szczeble.

W takiej wsi urodził się Antek. Położyli go w niemalowanej kołysce, co została po zmarłym bracie, i sypiał w niej przez dwa lata. Potem przyszła mu na świat siostra Rozalja, więc musiał jej miejsca ustąpić, a sam, jako osoba dorosła, przenieść się na ławę.

Przez ten rok kołysał siostrę, a przez cały następny — rozglądał się po świecie. Raz wpadł w rzekę, drugi raz dostał batem, od przejezdnego furmana, zato, że go o mało konie nie stratowały, a trzeci raz psy tak go pogryzły, że dwa tygodnie leżał na piecu. Doświadczył więc niemało. Zato, w czwartym roku życia, ojciec podarował mu swoją sukienną kamizelkę, z mosiężnym guzikiem, a matka — kazała mu siostrę nosić.

Gdy miał pięć lat, użyto go już — do pasania świń. Ale Antek niebardzo się za nimi oglądał. Wolał patrzeć na drugą stronę Wisły, gdzie za wapiennem wzgórzem, raz po raz pokazywało się coś wysokiego i czarnego. Wylaziło to z lewej strony, jakby z pod ziemi, szło w górę i upadało na prawo. Za tem pierwszym szło zaraz drugie i trzecie, takie same czarne i wysokie.

Tymczasem świnię, swoim obyczajem wlaży w kartofle. Matka, spostrzegłszy to, zawinęła się wedle sukiennej kamizelki Antkowej tak, że chłopiec prawie tchu nie mógł złapać. Ale, że nie miał w sercu zawziętości, bo było z niego dziecko dobre, więc wykrzyczawszy się i wydrapawszy — kamizelkę, zapytał matki:

— Matulu! a co to takie czarne chodzi za Wisłą? Matka spojrzała w kierunku Antkowego palca, przysłoniła oczy ręką i odparła:

— Tam za Wisłą? Cóż to nie widzisz, że wiatrak chodzi? A na drugi raz pilnuj świń, bo cię pokrzywami wysmaruję.

— Aha, wiatrak! A co on matulu za jeden?

— At głupiś!—odparła matka i uciekła do swojej roboty. Gdzie ona miała czas i rozum do udzielania objaśnień o wiatrakach!

Ale chłopcu wiatrak spokojności nie dawał. Antek widywał go przecie codziennie. Widywał go i w nocy, przez sen. Więc taka straszna urosła w chłopcu ciekawość, że jednego dnia zakradł się do promu—co ludzi na drugą stronę rzeki przewoził—i popłynął za Wisłę.

Popłynął, wdrapał się na wapienną górę, akurat w tem miejscu, gdzie stało ogłoszenie aby tedy nie chodzić i zobaczyć wiatrak. Wydał mu się budynek ten jakby dzwonnica, tylko w sobie był grubszy, a tam, gdzie na dzwonnicy jest okno, miał cztery tęgie skrzydła, ustawione na krzyż. Z początku nie rozumiał nic—co to i na co to? Ale wnet objaśnili mu rzecz pastusi, więc dowiedział się o wszystkim. Naprzód o tem, że na skrzydła dmucha wiatery i kręci niemi jak liśćmi. Dalej o tem, że w wiatraku miele się zboże na mąkę i nareszcie o tem, że przy wiatraku siedzi młynarz, co żonę bije, a taki jest mądry, że wie jakim sposobem ze śpichrów wyprowadza się szczury.

Po takiej poglądowej lekcji, Antek wrócił do domu tą samą drogą co pierwiej. Dali mu tam przewoźnicy parę

razy w łeb, za swoją krwawą pracę, dała mu i matka coś na sukienną kamizelkę, ale to nic. Antek był kontent, bo zaspokoił ciekawość. Więc choć położył się spać o głodzie, marzył całą noc: to o wiatraku co miele zboże, to o młynarzu co bije żonę i szczury wyprowadza ze śpichrzów.

Drobny ten wypadek stanowczo wpłynął na całe życie chłopca. Od tej pory — od wschodu do zachodu słońca — strugał on patyki i układał je na krzyż. Potem wystrugał sobie kolumnę — próbował, obciosywał, ustawiał, aż nareszcie wybudował mały wiatraczek, który na wietrze obracał mu się tak, jak tamten za Wisłą.

Cóż to była za radość! Teraz brakowało Antkowi tylko żony, żeby mógł ją bić, i już byłby z niego prawdziwy młynarz!

Do dziesiątego roku życia zepsuł ze cztery koziki, ale też strugał nimi dziwne rzeczy. Robił wiatraki, płoty, drabiny, studnie, a nawet całe chałupy. Aż się ludzie zastanawiali i mówili do matki, że z Antka albo będzie majster, albo wielki gałgan.

Przez ten czas urodził mu się jeszcze jeden brat, Wojtek, siostra podrosła, a ojca drzewo przytłukło — w lesie.

W chacie była z Rozalją wielka wygoda. Dziewczyna zimą zamiatała izbę, nosiła wodę, a nawet potrafiła krupnik ugotować. Latem posyłano ją do bydła z Antkiem, bo chłopak zajęty struganiem, nigdy się nie dopilnował. Co go nie nabili, nie naprosili, nie napłakali się nad nim. Chłopak krzyczał, obiecywał, płakał nawet razem z matką, ale robił swoje, a było wciąż w szkodę wchodziło.

Dopiero gdy siostra razem z nim pała, było lepiej, on strugał patyki, a ona pilnowała krów.

Nieraz matka widząc, że dziewczucha choć młodsza, ma więcej rozumu i chęci aniżeli Antek, załamywała z żalu ręce i lamentowała przed starym kumem, Andrzejem:

— Co ja pocznę nieszczęsna z tym Antkiem odmieńcem? Ani to w chacie nic nie robi, ani bydlą doglądnie, ino wciąż kraje te patyki, jakby co w niego wstąpiło. Już z niego mój Andrzej nie będzie chyba gospodarz, ani nawet parobek, tylko darmozjad, na śmiech ludziom i obrazę Boską!..

Andrzej, który za młodu praktykował flisactwo i dużo świata widział, tak pocieszał strapioną wdowę:

— Jużci gospodarzem on nie będzie, to darmo, bo on na to nie ma nawet dobrego rozumu. Jegoby zatem trza naprzód do szkoły, a potem do majstra. Nauczy się z książki, nauczy się rzemiosła i, jeżeli nie zgałanieje, będzie żył.

Na to wdowa odpowiedziała, wciąż łamiąc ręce:

— Oj kumie, co wy też gadacie! A czy to nie wstyd, gospodarskiemu dziecku rzemiosła się imać i byle komu na obstalunek robotę robić?

Andrzej puścił dym z drewnianej fajeczki i rzekł:

— Jużci że wstyd, ale rady na to niema nijakiej.

Potem, zwracając się do Antka siedzącego na podłodze przy ławie, zapytał:

— No gadaj wisus, czem ty chcesz być? Gospodarzem, czy u majstra?

A Antek na to:

— Ja będę stawiał wiatraki, co zboże miela.

I odpowiadał tak zawsze, choć nad nim kiwano głowami, a jak czasem to i miotłą.

— Miał już dziesięć lat, kiedy pewnego razu, ośmioletnia wówczas siostra jego, Rozalja, strasznie zaniemogła. Jak się położyła z wieczora, to się jej na drugi dzień dobudzić było trudno. Ciało miała gorące, oczy błędne i gadała od rzeczy.

Matka z początku myślała, że dziewczyna przyczaja się; dała jej więc parę szturchańców. Ale gdy to nie pomogło, wytarła ją gorącym octem, a na drugi dzień napiła wódką z piołunem. Wszystko na nic, a nawet gorzej, bo po wódce wystąpiły na dziewczuchę sine plamy. Wtedy wdowa, przetrząsnawszy szmaty, jakie tylko były w skrzyni i w komorze, wybrała sześć groszy i wezwała na ratunek Grzegorzową, wielką znachorkę.

Mądra baba obejrzała chorą uważnie, opluła koło niej podłogę, jak należy, posmarowała ją nawet sadłem, ale — i to nie pomogło.

Wtedy rzekła do matki:

— Napalcie kumo w piecu do chleba. Trza dziewczynie zadać na dobre poty, to ją odejdzie.

Wdowa napaliła w piecu, jak się patrzy, i wygarnęła węgle, czekając dalszych rozkazów.

— No, teraz — rzekła znachorka — położyć dziewczuchę na sosnowej desce i wsadzić ją w piec, na trzy zdrowaški. Ozdrowieje wnet, jakby kto ręką odjął!

Istotnie, położono Rozalję na sosnowej desce (Antek patrzył na to z rogu izby) i wsadzono ją, nogami naprzód, do pieca.

Dziewczyna, gdy ją gorąco owiało, ocknęła się.

— Matulu, co wy ze mną robicie? — zawołała.

— Cicho, głupia, to ci przecie wyjdzie na zdrowie.

Już ją wsunęły baby do połowy; dziewczyna poczęła się rzucać, jak ryba w sieci. Uderzyła znachorkę, schwyciła matkę obu rękami za szyję i w niebogłosy krzyczała:

— A dyć wy mnie spalicie, matulu!..

Już ją całkiem wsunęto, piec założono deską i baby poczęły odmawiać trzy zdrowaśki...

— Zdrowaś Panno Marjo łaski pełna...

— Matulu! matulu moja!.. — jęczała nieszczęśliwa dziewczyna. — O matulu!..

— Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami...

Teraz Antek podbiegł do pieca i schwycił matkę za spódnice.

— Matulu! — zawołał z płaczem — a dyć ją tam na śmierć zaboli!..

Ale tyle tylko zyskał, że dostał w łeb, ażeby nie przeszkadzał odmawiać zdrowasiek. Jakoś i chora przestała bić w deskę, rzucać się i krzyczeć. Trzy zdrowaśki odmówiono, deskę odstawiono.

W głębi pieca leżał trup, ze skórą czerwoną, gdzie indziej oblaźłą.

— Jezul! — krzyknęła matka, ujrzawszy dziewczynę niepodobną do ludzi.

I taki ogarnął ją żal za dzieckiem, że ledwie pomogła znachorce przenieść zwłoki na tapczan. Potem uklękła na środku izby i, bijąc głową w klepisko, wołała:

— Oj! Grzegorzowa!.. A cóż wyście najlepszego zrobili!..

Znachorka była markotna.

— Et!.. cichobyście lepiej byli. Wy może myślicie, że dziewczusko od gorąca tak szczerwieniało? To tak z niej choroba wylazła, ino że trochę za prędko, więc i umorzyła niebogę. To wszystko przecie z mocy Boskiej.

We wsi nikt nie wiedział o przyczynie śmierci Rozalji. Umarła dziewczucha — to trudno. Widać, że już tak było przeznaczone. Alboż to jedno dziecko co rok we wsi umiera, a przecie zawsze ich jest pełno!

Na trzeci dzień włożono Rozalję w świeżo zheblowaną trumienkę, z czarnym krzyżem, trumnę ustawiono w gnojownicach i powieziono dwoma wołami za wieś, tam gdzie nad zapadniętymi mogiłami czuwają spróchniałe krzyże i białokore brzozy. Na nierównej drodze trumienka skrzywiła się trochę na bok, a Antek, trzymający się fałdów spódnicy matczynej, idąc za wozem, myślał:

— Musi tam być źle Rozalce, kiedy się tak poprawia i na bok przewraca!..

Potem — pokropił ksiądz trumnę święconą wodą, czterech parobków spuściło ją na szalach do grobu, przywaliło ziemią — i tyle wszystkiego.

Wzgórza z lasem szumiącym i te, na których krzaki rosły, zostały tam, gdzie były. Pastusi, jak dawniej grali na fujarkach w dolinie i życie szło, wciąż szło swoją koleją, choć we wsi nie stało jednej dziewczuchy.

Przez tydzień mówiono o niej, potem zapomniano i opuszczono świeży grób, na którym tylko wiatr wzdychał i świergotały polne koniki.

A jeszcze potem spadł śnieg, i nawet koniki wystraszył.

W zimie gospodarskie dzieci chodziły do szkoły. A że z Antka nie spodziewała się matka żadnej pomocy w gospodarstwie, raczej zawadę, więc poradzivszy się kuma Andrzeja, postanowiła oddać chłopca na naukę.

— A czy mnie we szkole nauczą wiatraki budować?—pytał Antek.

— Oho! nauczą cię nawet w kancelarji pisać, byleś ino był chętny.

Wzięła tedy wdowa czterdzieści groszy w węzełek, chłopca w garść i, ze strachem, poszła do nauczyciela. Wszedłszy do izby, zastała go, jak sobie łatał stary kożuch. Pokłoniła mu się do nóg, doręczyła przyniesione pieniądze i rzekła:

— Kłaniam się też panu profesorowi i ślicznie proszę, żeby mi wielmożny pan tego oto wisusa wziął do nauki, a ręki na niego nie żałował, jak rodzony ojciec...

Wielmożny pan, któremu słoma wyglądała z dziurawych butów, wziął Antka pod brodę, popatrzył mu w oczy i poklepał.

— Ładny chłopak — rzekł. — A co ty umiesz?

— Jużci prawda, że ładny — podchwyciła zadowolona matka — ale musi, że chyba nic nie umie.

— Jakże więc wy, jesteście jego matką i nie wiecie, co on umie i czego się nauczył?—spytał nauczyciel.

— A skądbym ja miała wiedzieć co on umie? przecie ja baba, to mi do tych rzeczy nic. A co uczył się on, niby mój Antek, to wiem, że uczył się bydło paść, drwa szczypać, wodę ze studni ciągnąć i chyba już nic więcej.

W taki sposób zainstalowano chłopca do szkoły. Ale że matce żal było wydanych czterdziestu groszy, więc, dla uspokojenia się, zebrała pod domem paru sąsiadów i radziła się ich, czy to dobrze, że Antek będzie chodzić do szkoły i że taki wydatek na niego poniosła.

— Tel..— odezwał się jeden z gospodarzy—niby to nauczycielowi z gminy się płaci, więc na upartego moglibyście mu nic nie dawać. Ale zawsze on się upomina, a takich, co nie płacą mu osobno, gorzej uczy.

— A dobry też z niego profesor?

— No! niczego!.. On niby, jak z nim gadać, to taki jest trochę głupowaty, ale uczy—jak wypada. Mój przecie chłopak chodzi do niego dopiero trzeci rok i już zna całe abecadło—z góry na dół i z dołu do góry.

— E! cóż to znaczy abecadło — odezwał się drugi gospodarz.

— Jużci że znaczy — rzekł pierwszy. — Nibyście to nie słyszeli, co nieraz nasz wójt powiadają: Żebym ja choć umiał abecadło, tobym z takiej gminy miał dochodu więcej niż tysiąc rubli, tyle co pisarz!

W parę dni potem, Antek poszedł pierwszy raz do szkoły. Wydała mu się taka prawie porządna, jak ta izba w karczmie, co w niej szynkwars stoi, a ławki

były w niej jedna za drugą, jak w kościele. Tylko że piec pękł i drzwi się nie domykały, więc trochę ziębiło. Dzieci miały czerwone twarze i ręce trzymały w rękawach — nauczyciel chodził w kozuchu na sobie i w baraniej czapce na głowie. A po kątach szkoły siedział biały mróz i wytrzeszczał na wszystko iskrzące ślepie.

Usadzono Antka między tymi, co nie znali jeszcze liter, i zaczęła się lekcja.

Antek upomniany przez matkę, ślubował sobie, że musi się odznaczyć.

Nauczyciel wziął kredę w skostniałe palce i na zdezelowanej tablicy napisał jakiś znak.

— Patrzcie dzieci!—mówił.— Tę literę spamiętać łatwo, bo wygląda tak, jakby kto kozaka tańczył i czyta się A. Cicho tam osy!.. Powtórzcie: a... a... a...

— Al.. al.. al..—zawołali chórem uczniowie pierwszego oddziału. Nad ich piskiem górował głos Antka. Ale nauczyciel nie zauważył go jeszcze.

Chłopca trochę to ubodło, ambicja jego została podrażniona.

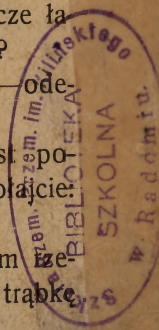
Nauczyciel wyrysował drugi znak.

— Tę literę — mówił — zapamiętać jeszcze łatwiej, bo wygląda jak precel. Widzieliście precel?

— Wojtek widział, ale my to chyba nie...—odezwał się jeden.

— No to pamiętajcie sobie, że precel jest podobny do tej litery, która nazywa się B. Wołajcie: be! be!

Chór zawołał: be! be! ale Antek tym razem nie czywiście się odznaczył. Zwinął obie ręce w trąbkę i beknął, jak roczne ciele.



Śmiech wybuchnął w szkole, a nauczyciel aż za-trząsał się ze złości.

— He! — krzyknął do Antka.—Toś ty taki zuch? Ze szkoły robisz cieletnik? Dajcie go tu na roz-grzewkę!

Chłopiec ze zdziwienia aż osłupiał, ale nim się upamiętał, już go dwaj najsilniejsi ze szkoły chwycili pod ramiona, wyciągnęli na środek i położyli.

Jeszcze Antek niedobrze zrozumiał o co chodzi, gdy nagle uczuł kilka tęgich razów i usłyszał prze-strogę:

— A nie becz hultajul a nie becz!

Puścili go. Chłopiec otrząsał się jak pies wy-dobyty z zimnej wody i poszedł na miejsce.

Nauczyciel wyrysował trzecią i czwartą literę, dzieci nazywały je chórem, a potem nastąpił egzamin. Pierwszy odpowiadał Antek.

— Jak się ta litera nazywa?—pytał nauczyciel.

— A! — odparł chłopiec.

— A ta druga?

Antek milczał.

— Ta druga nazywa się *be*. Powtórz ośle.

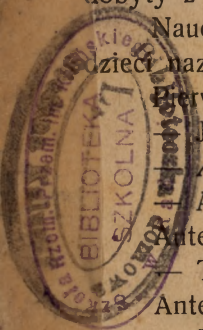
Antek znowu milczał.

— Powtórz ośle *be*!

— Albo ja głupi! — mruknął chłopiec, dobrze pa-miętając, że w szkole beczyć nie wolno.

— Co, hultaju jakiś, jesteś hardy? Na roz-grzewkę go!..

I znowu ci sami co pierwszej koledzy pochwycili go, położyli, a nauczyciel udzielił mu taką samą liczbę prętów, ale już z upomnieniem:



— Nie bądź hardy! nie bądź hardy!..

W kwadrans później zaczęła się nauka oddziału wyższego, a niższy poszedł na rekreację, do kuchni profesora. Tam — jedni pod dyрекcją gospodyni skrobali kartofle, drudzy nosili wodę, inni pokarm dla krowy — i na tem zajęciu upłynął im czas do południa.

Kiedy Antek wrócił do domu, matka zapytała go:

— A co? uczyłeś się?

— Uczyłem.

— A dostałeś?

— O! i jeszcze jak! Dwa razy.

— Za naukę?

— Nie, ino za *rozgrzewkę*.

— Bo widzisz to początek. Dopiero później będziesz brał i za naukę! — pocieszyła go matka.

Antek zamyślił się frasobliwie.

— Ha, trudno — rzekł w duchu. — Bije bo bije, ale przynajmniej pokaże, jak się wiatraki stawiają.

Od tej pory dzieci najniższego oddziału uczyły się wciąż czterech pierwszych liter, a potem szły do kuchni i na podwórze pomagać profesorskiej gospodyni. O wiatrakach mowy nie było.

Jednego dnia na dworze mróz był lżejszy, profesorowi także jakoś serce odtajało, więc chciał wytłumaczyć najmłodszym swoim wychowańcom pożytek pisma.

— Patrzcie dzieci — mówił pisząc na tablicy wyraz *dom* — jaka to mądra rzecz pisanie. Te trzy znaczki takie małe i tak niewiele miejsca zajmują, a jednak oznaczają — dom. Jak tylko na ten wyraz popatrzysz,

to zaraz widzisz przed oczami cały budynek, drzwi, okna, sień, izby, piece, ławy, obrazy na ścianach, krótko mówiąc — widzisz dom, ze wszystkiem co się w nim znajduje.

Antek przecierał oczy, wychylał się, oglądał napisany na tablicy wyraz, ale domu żadnym sposobem zobaczyć nie mógł. Wreszcie trącił swego sąsiada i spytał:

— Widzisz ty tę chałupę, co o niej profesor gadają?

— Nie widzę — odparł sąsiad.

— Musi to chyba być łgarstwo! — zakonkludował Antek.

Ostatnie zdanie usłyszał nauczyciel i krzyknął:

— Jakie łgarstwo? Co łgarstwo?

— A to, że na tablicy jest dom. Przecie tam jest ino trochę kredy, ale domu nie widno — odparł naiwnie Antek.

Nauczyciel porwał go za ucho i wyciągnął na środek szkoły.

— Na rozgrzewkę go! — zawołał — i znowu powtórzyła się, z najdrobniejszymi szczegółami, dobrze już chłopakowi znana ceremonia.

Gdy Antek wrócił do domu czerwony, splakany i jakoś nie mogący znaleźć miejsca, matka znowu go zapytała:

— Dostałeś?

— A może matula myślą, że nie? — stęknął chłopiec.

— Za naukę?

— Nie za naukę, ino na rozgrzewkę!

Matka machnęła ręką.

— Ha!—rzekła po namyśle — musisz jeszcze poczekać, to ci tam kiedy dadzą i za naukę.

A potem, dokładając drew do ognia na kominie, mruczała sama do siebie:

— Tak to zawsze wdowie i sierocie na tej ziemi doczesnej! Żeby mi profesorowi miała dać z pół rubla, a nie czterdzieści groszy, toby mi chłopca od razu wziął. A tak baraszkuje sobie z nim i tyle.

A Antek, słysząc to, myślał:

— No, no! jeżeli on tak baraszkuje ze mną, to dopiero będzie, jak mnie uczyć zacznie.

Na szczęście czy nieszczęście, obawy chłopca nie miały się nigdy ziścić.

Jednego dnia, było to już we dwa miesiące po wstąpieniu Antka do szkoły, przyszedł do jego matki nauczyciel i po zwykłych przywitaniach zapytał:

— Jakże moja kobieto będzie z waszym chłopakiem? Daliście za niego czterdzieści groszy, ale na początku i już trzeci miesiąc idzie, a ja szeląga więcej nie widzę! To się tak przecie nie godzi; płacieć choć i po czterdzieści groszy, ale co miesiąc.

A wdowa na to:

— Skądże ja wezmę, kiedy nie mam! Co jaki grosz zarobię, to wszystko idzie do gminy. Nawet dzieckom szmaty nie ma za co kupić.

Nauczyciel wstał z ławy, nałożył czapkę w izbie i odparł:

— Jeżeli tak, to Antek nie ma po co chodzić do szkoły. Ja tam sobie nad nim darmo ręki zrywać nie będę. Taka nauka jak moja, to nie dla biedaków.

Zabrał się i wyszedł, a wdowa, patrząc za nim myślała:

— Jużci prawda. Jak świat światem, to ino pańskie dzieci chodziły do nauki. A gdzie zaś prosty człowiek mógłby na to wystarczyć!...

Zawołała znowu kuma Andrzeja na radę i poczęli oboje egzaminować chłopca.

— Cóżes się ty wisusie nauczył przez te dwa miesiące? — pytał go Andrzej. — Przecie matka wydali na cię czterdzieści groszy...

— Jeszcze jak! — wtrąciła wdowa.

— Com się tam miał nauczyć! — odparł chłopiec. — Kątofle skrobią się tak we szkole jak i w domu, świnom tak samo daje się jeść. Tyle tylko, żem parę razy profesorowi buty wyczyścił. Ale za to porwali na mnie odzienie przy tych tam... rozgrzewkach.

— No, a z nauki toś nic nie połapał?

— Kto tam co połapiel — mówił Antek. — Jak nas uczy po chłopsku — to łże. Napisze se na tablicy jakiś znak i mówi, że to dom z izbą, sienią, z obrazami. Człowiek przecie ma oczy i widzi, że to nie jest dom. A jak nas uczy po szkolnemu, to kat go zrozumie! Jest tam paru starszych co po szkolnemu pieśni śpiewają — ale młodszy to dobrze jak się trochę kłąć nauczy...

— Ino kiedy spróbuj gadać tak paskudnie, to ja ci dam! — wtrąciła matka.

— No, a do gospodarstwa nigdy chłopaku nie nabierzesz ochoty? — spytał Andrzej.

Antek pocałował go w rękę i rzekł:

— Poślijcie mnie już tam, gdzie uczą budować wiatraki.

Starzy, jak na komendę, wzruszyli ramionami.

Nieszczęsny wiatrak, po drugiej stronie Wisły mielący zboże, tak ugrzązł w duszy chłopca, że go już stamtąd żadna siła wydobyć nie mogła.

Po długiej naradzie postanowiono czekać. I czekano.

Upływał tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, nareszcie chłopak doszedł do dwunastu lat, ale w gospodarstwie wciąż niewielkie oddawał usługi. Strugał swoje patyki, a nawet rzeźbił cudackie figury. I dopiero gdy mu się kozik zepsuł, a matka na nowy nie dawała pieniędzy, wynajmował się do roboty. Jednemu nocą koni na łące pilnował, zatopiony w siwej mgle wieczornej i zapatrzony na gwiazdy. Innemu woły prowadził przy orce; czasem poszedł do lasu po jagody lub grzyby i sprzedawał szynkarzowi Mordce, za kilka groszy cały kosz.

W chacie im się nie wiodło. Gospodarstwo bez chłopca, to jak ciało bez duszy; a wiadomo, że ojciec Antka już od kilku lat wypoczywał na tem wzgórzu, gdzie, przez żywopłot czerwonymi jagodami okryty, spoglądają na wioskę smutne krzyże.

Wdowa do obrządzenia roli najmowała parobka, resztę pieniędzy musiała odnosić do gminy, a dopiero za to, co zostało, karmić siebie i chłopców.

Jadali też codzień barszcz z chleba i kartofle, czasem kaszę i kluski, rzadziej groch, a mięso—chyba tylko na Wielkanoc. Niekiedy i tego w chacie niestało, a wówczas wdowa nie potrzebując pilnować komina,

łatała synom sukmanki. Mały Wojtek płakał, a Antek z nudów, w porze obiadowej, łapał muchy i po takiej uczcie znowu szedł na dwór do strugania swoich drabin, płotów, wiatraków i świętych. Bo także wystrugiwał i świętych, coprawda, na początek bez twarzy i rąk.

Nareszcie kum Andrzej, wierny przyjaciel osieroczonej rodziny, wyrobił Antkowi miejsce u kowala, w drugiej wsi. Jednej niedzieli poszli tam z wdową i chłopcem. Kował przyjął ich niezgorzej. Wypróbował chłopca w rękach i krzyżu, a widząc, że na swój wiek jest wcale mocny, przyjął go do terminu, bez zapłaty i tylko na sześć lat.

Straszno i smutno było chłopcu patrzeć, jak płacząca matka i stary Andrzej, pożegnawszy jego i kowala, skryli się już za sadami, idąc z powrotem do domu. Było mu jeszcze smutniej, kiedy spał pierwszą noc pod cudzym dachem, w stodółce, między nieznanymi sobie chłopakami kowala, którzy zjedli jego kolację i jeszcze dali mu do snu parę kułaków, na zadatek dobrej przyjaźni.

Ale kiedy na drugi dzień, równo ze świtem, poszli gromadą do kuźni, gdy rozniecili ognisko, Antek począł dąć pękatym miechem, a inni śpiewając z majstrem „Kiedy ranne wstają zorze“, poczęli kuć młotami rozpalone żelazo — w chłopcu zbudził się jakby nowy duch. Dźwięk metalu, rytmiczny huk, pieśń, której aż las odpowiadał echem — wszystko to upoiło chłopca... Zdaje się, że w sercu jego aniołowie niebiescy naciągnęli kilka strun, nieznanym innym chłopskimi dzieciom

i, że struny te odezwały się dopiero dziś, przy sapaniu miecha, tętnieniu młotów i pryskających z żelaza iskrach.

Ach! jakiby z niego był dziarski kowal, a może i co więcej... Bo chłopak, choć nowa robota podobała mu się okrutnie, wciąż myślał o swoich wiatrakach.

Kowal, dzisiejszy opiekun Antka, był człowiek nijaki. Kuł żelazo i piłował je ani źle, ani dobrze. Czasami walił chłopców aż puchli, a najwięcej dbał o to, ażeby się zbyt prędko nie wyuczyli kunsztu. Bo taki młodzik, wyszedłszy z terminu, mógłby pod boki swemu rodzonemu majstrowi kuźnię założyć i zmusić go do staranniejszej roboty!..

A trzeba wiedzieć, że majster miał jeszcze jeden obyczaj.

Na drugim końcu wsi mieszkał wielki przyjaciel kowala — sołtys, który w zwykłe dni prawie nie odchodził od pracy, ale gdy mu co kapnęło z urzędu, rzucał gospodarstwo i szedł do karczmy mimo kuźni. Bywało tego raz, albo i dwa razy na tydzień.

Idzie sobie tedy sołtys, z zapracowanym na urzędzie groszem, pod sosnową wiechę i niechcący zbacza do kuźni.

— Pochwalony! — woła do kowala, stojąc za progiem.

— Pochwalony! — odpowiada kowal. — A jak tam w polu?

— Niczego — mówi sołtys. — A jak u was, w kuźni?

— Niczego — mówi kowal. — Chwała Bogu, żeście choć aby raz wyleźli z chałupy.

— A tak — odpowiada sołtys. — Takem ci się zgadał w kancelarji, że muszę choć odrobinę zęby popłukać. Może pójdziecie i wy, od tego kurzu?

— Ma się rozumieć że pójde, przecie zdrowie jest najpierwsze — odpowiedział kowal i nie zdejmując fartucha, szedł wraz z sołtysem do karczmy.

A kiedy już raz wyszedł, mogli chłopcy napewno gasić ognisko. Żeby robota była najpilniejsza, żeby się walił świat, ani majster, ani sołtys przed wieczorem nie wyszli z karczmy, chyba że sołtysowi narzuciła się jaka urzędowa czynność.

Dopiero późno w nocy wracali do domu.

Zwykle sołtys wiodł kowala pod rękę, a ten dźwigał butelkę „płukania“ na jutro. Na drugi dzień sołtys był zupełnie trzeźwy i gospodarował aż do nowego zarobku na urzędzie, ale kowal wciąż zaglądał w przyniesioną butelkę, dopóki się dno nie pokazało, i tym sposobem od jednego zamachu wypoczywał przez dwa dni.

Już półtora roku nadymał Antek miechy w kuźni, nie robiąc zdaje się nic więcej, i półtora roku majster z sołtysem regularnie płukali zęby pod sosnową wiechą. Aż raz zdarzył się wypadek.

Kiedy sołtys z kowalem siedzieli w karczmie, nagle po pierwszym półkwatku dano znać, że ktoś tam powiesił się — i gwałtem wyciągnięto sołtysa z za stołu. Kowal, nie mając odpowiedniego towarzystwa, musiał zaprzestać płukania, ale kupił niezbędną butelkę i powoli wracał z nią ku domowi.

Tymczasem do kuźni przyszedł chłop z koniem do okucia.

Ujrawszy go, terminatorzy zawołali:

— Niema majstra, dziś robi z sołtysem płukanie!

— A z was to żaden nie potrafi szkapy okuć?—
spytał markotnie gospodarz.

— Kto tam potrafi! — odparł najstarszy terminator.

— Ja wam okuję — odezwał się nagle Antek.

Tonący chwytą się brzytwy, więc i chłop zgodził się na propozycję Antka, choć niewiele mu ufał, a jeszcze inni terminatorzy wyśmiewali go i wyśmiałali.

— Widzisz go, niedorostka! — mówił najstarszy. — Jak żyje nie trzymał młota w garści, tylko dymał i węgli dokładał, a dziś porywa się na kucie koni!..

Widać jednak, że Antek miewał młot w garści, bo zawinąwszy się, w niedługim nawet czasie odkuś kilka gwoździ i podkowę. Wprawdzie podkowa była za wielka i niezbyt foremna, ale swoją drogą terminatorzy pootwierali gęby.

Jak raz, przyszedł na tę chwilę i majster. Opowiedziano mu co się stało, okazano podkowę i gwoździe.

Kowal obejrzał i aż przetarł kwią nabiegłe oczy.

— A ty gdzieś się tego nauczył złodzieju? — zapytał Antka.

— A w kuźni — odparł chłopiec, zadowolony z komplementu. — Jak pan majster poszedł na płukanie, a oni rozbiegli się, to ja wykuwałem różne rzeczy z ołowiu, albo i z żelaza.

Majster tak był zmieszany, że nawet zapomniał zbić Antka za psucie materiałów i narzędzi. Aż po-

szedł na radę do żony, skutkiem czego chłopca wydano z kuźni i przeznaczono do gospodarstwa.

— Za mądryś ty kochanku!—mówił mu kowal.— Nauczyłybyś się fachu we trzy lata i późniejbyś uciekł. A przecież matka oddała mi cię na sześć lat — do służby.

Pół roku jeszcze był Antek u kowala. Kopał w ogrodzie, pełł, rąbał drzewo, kołysał dzieci, ale już nie przestąpił progu kuźni. Pod tym względem wszyscy go rzetelnie pilnowali: i majster, i majstrowa i chłopcy. Nawet własna matka Antkowa i kum Andrzej, choć wiedzieli o dekrete kowalskim, nic przeciw niemu nie mówili. Według umowy i obyczaju chłopiec dopiero po sześciu latach miał prawo jako tako fuszerować kowalstwo. A że był dziwnie bystry i nie uczony przez nikogo nauczył się kowalstwa sam, w ciągu roku, więc tem gorzej dla niego!

Swoją drogą Antkowi uprzykrzył się taki tryb życia.

— Mam ja tu kopać i drwa rąbać, więc wolę to samo robić u matki!

Tak sobie myślał przez tydzień, przez miesiąc. Wahał się. Ale w końcu — uciekł od kowala i wrócił do domu.

Te jednak parę lat wyszły mu na dobre. Chłopak wyrósł, zmężniał, poznał trochę więcej ludzi aniżeli w swojej dolinie, a nadewszystko poznał więcej rzemieślniczych narzędzi.

Teraz, siedząc w domu, pomagał czasem przy gospodarstwie, ale przeważnie robił swoje maszyny i rzeźbił figury. Tylko już prócz kozika miał dłótko,

pilnik i świderk i władał niemi tak biegle, że niektóre z jego wyrobów począł nawet kupować Mordko szynkarz. Na co?.. Antek o tem nie wiedział, chociaż jego wiatraki, chaty, sztuczne skrzynki, święci i rzeźbione fajki rozchodziły się po całej okolicy. Dziwiono się talentowi nieznanego samouka, niezgorzej nawet płacono za wyroby Mordce, ale o chłopca nikt się nie pytał, a tem bardziej nikt nie myślał o podaniu mu pomocnej ręki.

Alboż kto pielęgnuje polne kwiaty, dzikie gruszki i wiśnie, choć niby wiadomo, że przy staraniu i z nich byłby większy pożytek?..

Tymczasem chłopiec podrastał, a dziewczuchy i kobiety wiejskie coraz milej na niego spoglądały i coraz częściej mówiły między sobą:

— Ładny bestyja bo ładny!

Rzeczywiście Antek był ładny. Był dobrze zbudowany, w sobie zręczny i prosto się trzymał, nie tak jak chłopci, którym ramiona zwieszają się, a nogi ledwie posuwają się od ciężkiej pracy. Twarz także miał nie taką jak inni, ale rysy bardzo regularne, cerę świeżą, wyraz rozumny. Miał też jasne kędzierzawe włosy, ciemnawe brwi, i ciemno-szafirowe oczy, marzące.

Mężczyźni dziwili się jego sile i sarkali na to, że próżnował. Ale kobiety wołały mu patrzeć w oczy.

— Jak on bestyja spoglądnie na człowieka—mówiła jedna z bab—to aż cię mrowie przechodzi. Taki jeszcze młodziak, a już patrzy na cię jak dorosły szlachcic!..

— Bo to prawda! — zaprzeczyła druga. — On patrzy zwyczajnie jak niedorostek, ino ma taką słodkość w ślipiach, że aż cię rozbiera. Ja się na tem znam!..

— Chyba ja się lepiej znam — odparła pierwsza. — Przeciem służyła we dworze...

A gdy się kobiety spierały tak o patrzenie Antkowe, on tymczasem na nie nie patrzył wcale. U niego więcej jeszcze znaczył dobry pilnik, aniżeli najładniejsza kobieta.

W tym czasie wójt, stary wdowiec, który już córkę z pierwszego małżeństwa wydał za mąż i miał jeszcze w domu kilkoro małych dzieci z drugiego małżeństwa, ożenił się trzeci raz. A jako zwykle łysi miewają szczęście, więc wynalazł sobie za Wisłą żonkę młodą, piękną i bogatą.

Kiedy para ta stanęła przed ołtarzem, ludzie poczęli się śmiać; a i sam ksiądz trochę pokiwał głową, że tak nie pasowali do siebie.

Wójt trząsł się jak dziad co ze szpitala wyjdzie i dlatego tylko był mało siwy, że miał głowę łysą jak dynia. Wójtowa była jak iskra. Czysta cyganka, z wiśniowemi ustami, nieco odchylonemi, i z oczami czarnemi, w których niby ogień paliła się jej młodość.

Po weselu, dom wójta, zwykle cichy, bardzo się ożywił, bo raz w raz przybywali goście. To strażnik, który częstsze miewał niż zwykle interesa do gminy, to pisarz, który, znać niedosyć nacieszywszy się wójtem w kancelarji, jeszcze go w domu odwiedzał — to znów strzelcy rządowi, których dotąd we wsi nie bardzo kiedy widywano. Nawet sam profesor, odebrawszy miesięczną pensję, cisnął w kąt stary kozuch i ubrał

się—jak magnat, tak że niejeden wiejski człowiek po-
czął go tytułować: wielmożnym dziedzicem.

I wszyscy owi strażnicy, strzelcy, pisarze i nau-
czyciele ciągnęli do wójtowej, jak szczury do młyna.
Ledwie jeden wszedł do izby, już drugi wystawał za
plotem, trzeci sunął z końca wsi, a czwarty kręcił się
koło wójta. Jejmość rada była wszystkim, śmiała się,
karmiła i poila gości. Ale też czasem wytargała któ-
rego za włosy, a nawet i wybiła, bo humor u niej
łatwo się zmieniał.

Nareszcie, po półrocznem weselu, zaczęło być tro-
chę spokojniej. Jedni goście znudzili się, drugich wój-
towa przepędziła i tylko podstarzały profesor, sam
lichy jedząc i morząc głodem swoją gospodynię, za
każdą pensję miesięczną kupował sobie jakiś figlas do
ubrania i siadywał u wójtowej na progu (bo go z izby
wyganiano), albo kłął i wzdychał pomiędzy opłotkami.

Jednej niedzieli poszedł Antek na sumę, jak zwy-
kle, z matką i bratem. W kościele było już ciasno, ale
dla nich znalazło się jeszcze trochę miejsca. Matka
ukłękła między kobietami na prawo, Antek z Wojtkiem
między chłopami na lewo i każdy modlił się jak umiał.
Naprzód do świętego w wielkim ołtarzu, potem do świę-
tych, co stoi wyżej nad tamtym, potem do świę-
tych w ołtarzach bocznych. Modlił się za ojca co go
przytłukło drzewo, i za siostrę co z niej za prędko
choroba w piecu wyszła, i za to, ażeby Pan Bóg mi-
łosierny i jego święci ze wszystkich ołtarzów dali mu
szczęście w życiu, jeżeli taka będzie ich wola.

Wtem, gdy Antek już czwarty raz z kolei po-
wtarzał swoje pacierze, uczuł nagle, że ktoś udeptał

go w nogę i ciężko oparł mu się na ramieniu. Podniósł głowę. Przeciskająca się pomiędzy ciżbą ludu stała nad nim wójtowa, na twarzy smagła, zaczerwieniona, zadyszana z pośpiechu. Ubierała się jak chłopka, a z pod chustki, spadającej z ramion, widać było koszulę z cieniutkiego płótna i sznury paciorków, z bursztynu i koralu.

I popatrzyli sobie w oczy. Ona wciąż nie zdejmowała mu ręki z ramion, a on... klęczał, patrzył na nią jak na cudowne zjawisko, nie śmiejąc ruszyć się, aby mu nagle nie znikła.

Miedzy ludźmi poczęto szeptać.

— Usuniecie się kumie, pani wójtowa idą...

Kumowie usunęli się i wójtowa poszła dalej, aż przed wielki ołtarz. W drodze niby potknęła się i znowu spojrzała na Antka, a chłopca aż gorąco oblało od jej oczów. Potem usiadła na ławce i modliła się z książki, czasami podnosząc głowę i spoglądając na kościół. A kiedy na podniesienie zrobiło się cicho, jakby makiem siał, i pobożni upadli na twarze, ona złożyła książkę i znowu odwróciła się do Antka, topiąc w nim ogniste źrenice. Na jej cygańską twarz i sznury paciorków spłynął z okna snop światła i wydała się chłopcu jako święta, wobec której ludzie milkną i rzucają się w proch.

Po sumie, ludzie tłumem poszli do domów. Wójtową otoczyli pisarz, nauczyciel i gorzelnik z trzeciej wsi i już Antek nie mógł jej zobaczyć.

W chacie postawiła matka chłopakom doskonały krupnik, zabieleny mlekiem—i wielkie pierogi z kaszą. Ale Antek, choć lubił to, jadł ledwie jednym zębem. Potem zabrał się, poleciał w góry i położywszy się

na najwyższym szczycie, patrzył stamtąd na wójtową chatę. Ale widział tylko słomiany dach i mały niebieski dymek, wydobywający się powoli z obielonego komina. Więc zrobiło mu się tak czegoś tęskno, że schował twarz w starą sukmanę i zapłakał.

Pierwszy raz w życiu uczuł wielką swoją nędzę. Chata ich była najbiedniejszą we wsi, a pole najgorsze. Matka, choć przecie gospodyni, pracować musiała jak komornica i odziewała się prawie w łachmany. Na niego samego patrzono we wsi jak na straceńca, który niewiadomo po co innym chleb zjada. A co go się nie nabili, co go się nawet psy nie nagryzły!...

Jakże daleko było mu do profesora, gorzelnika, a choćby i do pisarza, którzy, ile razy chcieli, mogli wejść do wójtowskiej chaty i gadać z wójtową. Jemu zaś nie o wiele chodziło. Pragnął tylko, żeby jeszcze choć raz jeden, jedyny i ostatni raz w życiu, oparła mu kiedy wójtowa na ramieniu rękę i spojrzała w oczy tak, jak w kościele. Bo w jej spojrzeniu mignęło mu coś dziwnego, coś jak błyskawica, przy której na krótką chwilę odstaniają się niebieskie głębokości, pełne tajemnic. Gdyby je kto dobrze obejrzał, wiedziałby wszystko co jest na tym świecie i byłby bogaty jak król.

Antek w kościele nie przypatrzył się dobrze temu, co mignęło w oczach wójtowej. Był nieprzygotowany, olśniony i szczęśliwą sposobność stracił. Ale gdyby ona tak jeszcze kiedy na niego chciała spojrzeć!..

Marzyło mu się, że zobaczył przelatujące szczęście i strasznie do niego zatęsknił. Zbudziło się drzemiące serce i wśród boleści poczęło się — jakby przeciągać. Teraz świat wydał mu się całkiem odmienny.

Dolina była za szczupłą, góry za niskie, a niebo—bo-
daj czy się nie opuściło, bo zamiast porywać ku so-
bie, zaczęło go przygniatać. Chłopiec zeszedł z góry
pijany, nie wiedząc jakim sposobem znalazł się nad
brzegiem Wisły i, patrząc w rzeczne wiry, czuł, że go
coś pociąga ku nim.

Miłość, której nawet nazwać nie umiał, spadła
nań jak burza, rozniecając w duszy strach, żal, zdzi-
wienie i — albo on wiedział co jeszcze?

Odtąd co niedzielę chodził do kościoła na sumę
i z drzeniem serca czekał na wójtową, myśląc, że jak
wtedy położy mu rękę na ramieniu i spojrzy w oczy.
Ale wypadki nie powtarzają się, a zresztą uwagę wój-
towej pochłaniał teraz gorzelnik, chłop młody i zdrowy,
który aż z trzeciej wsi przyjeżdżał... na nabożeństwo.

Wówczas Antek wpadł na osobliwy pomysł. Po-
stanowił zrobić piękny krzyżyk i ofiarować wójtowej.
Wtedy ona chyba spojrzy na niego i może uleczy
z tej tęsknicy, która mu wypijała życie.

Za ich wsią, na rozstajnych drogach, znajdował
się dziwny krzyż. Od postawy owijały go powoje.
Nieco wyżej była drabinka, włócznia i cierniowa ko-
rona, a u szczytu, przy lewem ramieniu, wisiała jedna
ręka Chrystusa, bo resztę figury ktoś ukradł — pewnie
na czary. Ten to krzyż wziął Antek za model.

Strugał więc, przerabiał i na nowo zaczynał swój
krzyżyk, starając się, ażeby był piękny i wójtowej
godny.

Tymczasem na wieś spadło nieszczęście. Wisła
wylała, przerwała tamę i zniszczyła przybrzeżne pola.
Ludzie wiele stracili, ale najwięcej Antkowa matka.

W chacie jej pokazał się nawet głód. Trzeba było iść na zarobek; chodziła więc i sama nieboga i Wojtusia oddała na pastucha. Ale wszystko to nie wystarczało. Antek, nie chcący jąć się pracy gospodarskiej, był dla niej prawdziwym ciężarem.

Widząc to, stary Andrzej począł nalegać na chłopca, ażeby poszedł w świat.

— Jesteś przecie chłopak bystry, silny, zręczny do rzemiosła, więc udaj się między miejskich ludzi. Tam nauczysz się czego i jeszcze matce będziesz pomocny, a tu — ostatni kęs chleba odejmujesz jej od gęby.

Antek aż pobladł na myśl, że przyjdzie mu opuścić wieś, bez zobaczenia się choć raz z wójtową. Rozumiał jednak, że inaczej być nie może i tylko prosił, żeby mu zostawili kilka dni.

Przez ten czas z podwojoną gorliwością rzeźbił swój krzyżyk i wyrzeźbił bardzo ładny, z powojem u dołu, z narzędziami męki i z ręką Pańską przy lewym ramieniu. Ale gdy skończył robotę, żadną miarą nie miał odwagi pójść do wójtowskiego mieszkania i swój dar ofiarować wójtowej.

Przez ten czas matka połatała mu odzienie, pożyczyla od Mordki rubla na drogę, wystarała się o chleb i ser do kobiałki, wyplakała się. Ale Antek wciąż marudził, z dnia na dzień odwlekając swoje wyjście.

Zniecierpliwiło to Andrzeja, który jednej soboty wywołał chłopca z chaty i rzekł mu surowo:

— No, a kiedyż ty chłopaku opamiętasz się? Czy chcesz, żeby przez ciebie matka z głodu i z pracy zmarła? Przecie ona swojemi staremi rękoma nie wy-

karmi siebie i takiego jak ty draba, co próżnuje po całych dniach!..

Antek schylił mu się do nóg.

— Poszedłbym już, Andrzej, ale kiedy mi strasznie żal porzucać swoich!

Nie powiedział jednak, kogo mu żal najwięcej.

— Oho! — zawołał Andrzej.—A cóżeś ty dziecko przy piersi, że nie możesz się obejść bez matki? Dobry z ciebie chłopak, ani słowa, ale masz w sobie takiego niechcieja, co by cię tu do siwych włosów trzymał matce na karku. Dlatego ja ci powiem. Jutro święta niedziela, wszyscy będziemy wolni i odprowadzimy cię. Więc po nabożeństwie zjesz obiad i pójdziesz. Dłużej tu z założonemi rękami niema co siedzieć. Ty najlepiej wiesz, że mówię prawdę.

Antek upokorzony wrócił do chaty i powiedział, że już jutro pójdzie w świat szukać roboty i nauki. Biedna kobieta, połykając łzy, poczęła szykować go do drogi. Dała mu starą kobiałkę, jedyną w chacie, i — torbę parcianą. W kobiałkę włożyła trochę jadła, a w torbę pilniki, młotek, dłótka i inne narzędzia, któremi Antek od tylu lat wyrabiał swoje zabawki.

Nadeszła noc. Antek legł na twardej ławie, ale zasnąć nie mógł. Uniósłszy głowę, patrzył na dogasające w kominie węgle, słuchał dalekiego szczekania psów, albo świerkania świerszcza w chacie, który nad nim tak wołał, jak wołają polne koniki nad opuszczonym grobem małej jego siostry, Rozalji.

Wtem usłyszał jeszcze jakiś szmer w rogu izby. To bezsenna matka jego pocichu szlochała...

Antek ukrył głowę pod sukmanę.

Słońce było wysoko, kiedy się obudził. Matka już wstała i drzącemi rękoma ustawiała garnuszki przy ogniu.

Potem wszyscy razem usiedli za stół, do śniadania i trochę podjadłszy, poszli do kościoła.

Antek miał na piersiach pod sukmaną swój krzyżyk. Co chwilę przyciskał go, oglądając się niespokojnie, czy gdzie wójtowej nie widać i myśląc z trwogą, jak też on jej swój dar doręczy?

W kościele nie było wójtowej. Chłopak klęcząc na środku, machinalnie odmawiał modlitwy, ale co mówił?.. nie rozumiał. Gra organów, śpiew ludu, dźwięk dzwonków i własne cierpienie, w duszy jego zlały się w jedną wielką zawieruchę. Zdawało mu się, że cały świat drży w posadach w tej chwili, kiedy on ma opuścić tę wieś, ten kościół i wszystkich, których ukochał.

Ale na świecie było spokojnie, tylko w nim tak kipiał żal.

Nagle organy ucichły, a ludzie pochylili głowy. Antek ocknął się, spojrzał. Jak wówczas tak i dziś było podniesienie i jak wówczas, w ławce przy wielkim ołtarzu, siedziała wójtowa.

Wtedy chłopiec ruszył ze swego miejsca między ciżbą ludu, zacząłgał się na kolanach aż do owej ławki i znalazł się u nóg wójtowej. Sięgnął za pazuchę i wydobyl krzyżyk. Ale odbiegła go wszelka śmiałość, a głos mu zamarł tak, że jednego wyrazu nie mógł przemówić. Więc zamiast oddać krzyżyk tej, dla której rzeźbił go przez parę miesięcy, wziął i zawiesił swoją pracę na gwoździu, wbitym w ścianę

obok ławki. W tej chwili ofiarował Bogu drewniany krzyżyk, a wraz z nim swoją tajemną miłość i niepewną przyszłość.

Wójtowa zauważyła szmer i spojrzała na chłopca ciekawie, tak samo jak wtedy. Ale on nic nie widział, bo mu się oczy zasłoniły łzami.

Po sumie, matka z dziećmi wróciła do chaty. Ledwie zjedli kartoflaną i trochę klusków, ukazał się w izbie kum Andrzej i po przywitaniu rzekł:

— No, chłopcze! zabieraj się! Komu w drogę, temu czas.

Antek podpasął sukmanę rzemykiem, przewiesił torbę z narzędziami przez jedno ramię, a kobiałkę przez drugie. Gdy już wszyscy gotowi byli do drogi, chłopiec ukląkł, przeżegnał się i ucałował klepisko chaty, jak podłogę kościelną. Potem matka wzięła go za jedną rękę, brat Wojtuś za drugą i jak pana młodego do ślubu, wiedli go oboje najukochańsi na próg świata.

Stary Andrzej włókł się za nimi.

— Masz tu rubla Antku — mówiła matka wciskając chłopcu w rękę gałganek, pełen miedzianych pieniędzy. — Nie kupuj za to dziecko statków do kraja, ino schowaj se ten grosz na złe czasy, kiedy ci się jeść zachce. A jeżeli kiedy zarobisz taki pieniądz, to daj go na mszę świętą, ażeby ci Bóg błogosławił.

I szli tak wolno, wąwozem pod górę, aż im wieś z oczu znikła; tylko z karczmy dolatywało ciche granie skrzypków i dudnienie bębna z dzwonkami. Wreszcie i to ucichło; znaleźli się na wyżynie.

— No, wróćwa się już — rzekł Andrzej — a ty chłopaku idź wciąż drogą i pytaj się o miasto. Bo tobie nie na wsi mieszkać, ino w mieście, gdzie ludzie chętniejsi są do młotka, niż do roli.

Wdowa na to odezwała się z płaczem:

— Kumie Andrzeju, doprowadźmyż go choć do figury świętej, gdzieby pobłogosławić go można.

A potem biadała:

— Czy kto kiedy słyszał, żeby rodzona matka dziecko swoje wiodła na stracenie? Wychodzili prawda od nas chłopacy do wojska, ale to był mus. Nigdy przecie nie widziano, żeby kto z własnej woli opuszczał wieś, gdzie się urodził i gdzie go przyjąć powinna święta ziemia. Oj! doloż ty moja, dolo! że ja już trzecią osobę z chaty wyprowadzam, a sama jeszcze żyję na świecie!.. A schowałeś synusiu pieniądze?

— Schowałem, matulu.

Doszli i do figury i poczęli się żegnać.

— Kumie Andrzeju — mówiła wdowa łkając — wyście tyle świata widzieli, wyście z bractwa, pobłogosławcież tego sierotę — a dobrze, żeby się nim Pan Bóg opiekował.

Andrzej popatrzył w ziemię, przypomniał sobie modlitwę za podróżnych, zdjął czapkę i położył ją pod figurą. Potem wzniosł ręce ku niebu, a gdy wdowa i obaj jej synowie uklękli, począł mówić:

— O Boże święty, Ojcze nasz, któryś naród swój wyprowadził z ziemi Egipskiej i z domu niewoli, który każdemu stworzeniu co się ruchu dajesz pokarm, który ptaki powietrzne do ich starodawnych gniazd powracasz, Ciebie prosimy, bądź miłościw temu

podróżnemu, ubogiemu i strapionemu. Opiekuj się nad nim Boże nasz święty, w złych przygodach pocieszaj, w chorobie uzdrów, w głodzie nakarm i w nieszczęściu ratuj. Bądź mu Panie miłościw pośród obcych, jakoś był Tobiaszowi i Józefowi. Bądź mu Ojcem i Matką. Za przewodników daj mu aniołów twoich, a gdy spełni, co sobie zamierzył — do naszej wsi i do jego domu szczęśliwie go powróć.

Tak się modlił chłop, w świątyni, gdzie polne zioła pachniały, śpiewały ptaki, gdzie pod nimi błyszczała w ogromnych skrętach Wisła, a nad nimi stary krzyż szeroko otwierał ramiona.

Antek upadł do nóg matce, potem Andrzejowi, ucałował brata i — poszedł drogą.

Ledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, aż wdowa zawołała za nim:

— Antku!.. •

— Co matulu?..

— A jak ci tam będzie źle u obcych, wracaj do nas... Niech cię Bóg błogosławi!..

— Zostańcie z Bogiem! — odparł chłopak.

Znowu uszedł kawałek drogi i znowu zawołała za nim smutna matka:

— Antku!... Antku!...

— Co matulu? — spytał chłopiec.

Głos jego już słabiej dolatywał.

— A nie zapomnij o nas, synusiul! Niech cię Bóg błogosławi!

— Zostańcie z Bogiem!

I szedł, szedł, szedł jak ów chłopak, co wybrał się po cyrograf, wystawiony na własną duszę. Wreszcie

za wzgórkim znikł. Na polu rozlegał się jęk zbolącej matki.

Ku wieczorowi niebo zaciągnęło się chmurami i spadł drobny deszcz. Ale że chmury nie były gęste, więc przedarły się przez nie blaski zachodzącego słońca. Zdawało się, że nad szarem polem i nad grząską gliniastą drogą unosi się złote sklepienie, powleczone żalobną krepą.

Po tem polu szarem i cichem, bez drzew, po drodze grząskiej, posuwał się zwolna strudzony chłopiec, w siwej sukmance, z kobiałką i torbą na plecach.

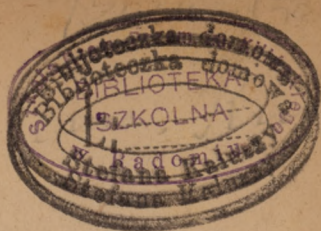
Zdawało się, że wśród głębokiego milczenia krople deszczu nuć tęskną melodję znanej pieśni:

Przez dolinę, przez pole,
Idzie sobie pachole,
Idzie sobie i śpiewa,
Wiatr mu z deszczem przygrywa!

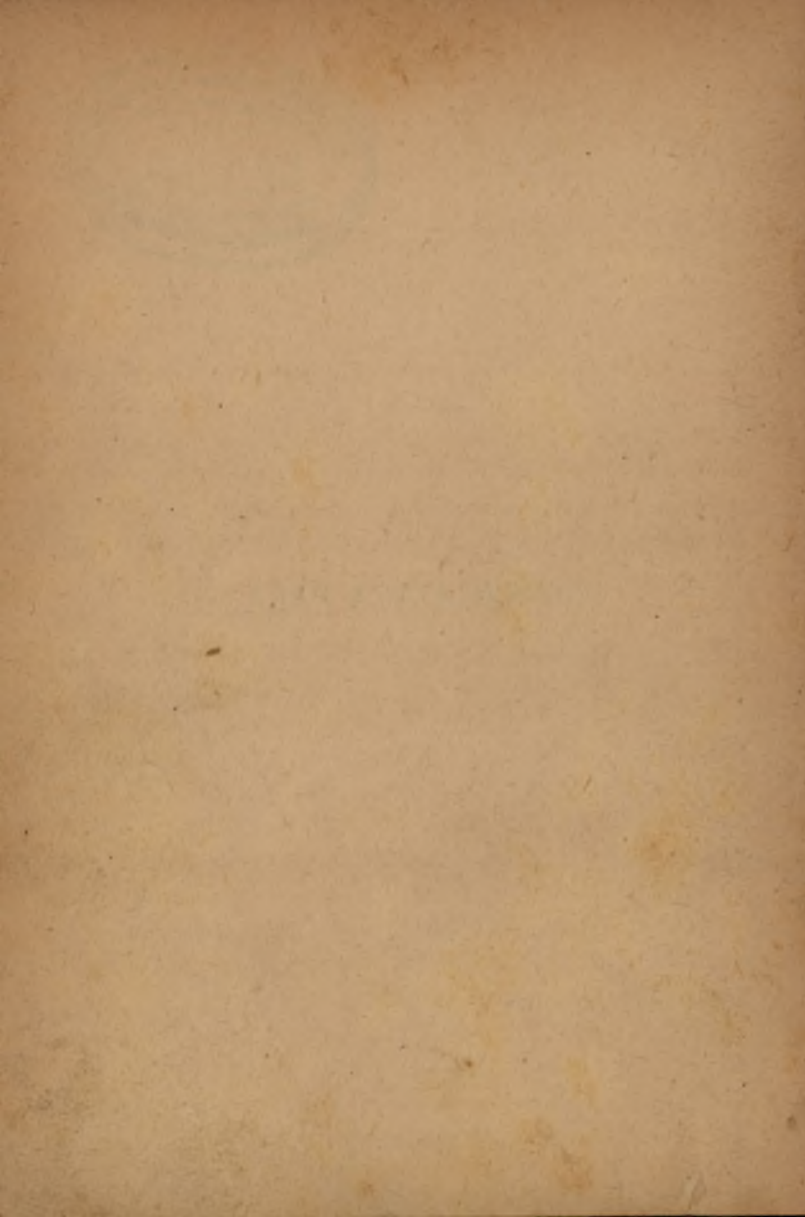
.

Może spotkacie kiedy wiejskiego chłopca, który szuka zarobku i takiej nauki, jakiej między swoimi nie mógł znaleźć. W jego oczach zobaczycie jakby odbłask nieba, które przegląda się w powierzchni spokojnych wód; w jego myślach poznacie naiwną prostotę, a w sercu tajemną i prawie bezświadomą miłość.

Wówczas podajcie rękę pomocy temu dziecku. Będzie to nasz mały brat, Antek, któremu w rodzinnej wsi stało się już za ciasno, więc wyszedł w świat, oddając się w opiekę Bogu i dobrym ludziom.



POWRACAJĄCA FALA



I.

Gdyby zacność pastora Böhme posiadała trzy zwykłe geometryczne wymiary i ciężar odpowiedni wielkości, wielebny ten mąż apostołskie i cywilne podróże odbywaćby musiał towarowym pociągami. Ale ponieważ zacność jest przymiotem substancji duchowej i posiada tylko jeden wymiar: *czwarty*, który dużo miejsca zajmuje w głowach matematyków, lecz w świecie rzeczywistym nic nie znaczy, więc pastor Böhme bez trudności mógł podróżować bryczuszką, zaprzęgniętą w jednego konia.

Spasiony i czysto utrzymany koń, po gładkiej szosie fabrycznej, biegł wolnego truchta i zdawał się być więcej zajęty odpędzaniem much, aniżeli cnotami szczupłej osoby duchownego pasterza. Gruby chomont, hołoble, letnia spiekota i drożny pył wydatniejsze zajmowały stanowisko w wyobraźni zwierzęcia, aniżeli wielebny Böhme, jego dwa małe faworyciki, jego panamski kapelusz, jego perkalowy kitel w białe i różowe paski, a nawet lakierowany bicz, zatknięty z prawej strony siedzenia. Pastor, tylko przez obawę śmieszności, nie zostawiał bata w domu, ale go też w drodze nie używał. Co prawda, nie miał go czem używać. Jedną bowiem ręką trzymał lejce, ażeby mu się koń

nie potknął, a drugą zlewał życzliwe i mało skuteczne błogosławieństwa na wszystkich przejezdnych i przechodniów, którzy, bez względu na wyznanie, uchylali przed „pocziwym Szwabem“ głowy i czapki.

Obecnie (jest to dzień czerwcowy, godzina piąta po południu) wielebny miał do spełnienia mniejszą misję religijną, polegającą na tem, ażeby naprzód—zmarawić bliźniego, a następnie — pocieszyć go, gdy już będzie strapiiony. Jechał do swego przyjaciela Gotlieba Adlera, żeby mu donieść, że jego jedyny syn, Ferdynand Adler, narobił długów zagranicą. Doniósłszy zaś o tem ojcu, miał go później uspakajac i — wyjednać przebaczenie dla lekkomyślnego młodzieńca.

Gotlieb Adler był właścicielem fabryki bawełnianych tkanin. Szosa, nie wysadzona wprawdzie drzewami, ale starannie utrzymana, łączy fabrykę ze stacją kolei żelaznej. To, co z szosy widać na lewo, za gajem drzew, to nie jest jeszcze fabryka, ale miasteczko. Fabryka leży na prawo od szosy. Z pomiędzy klonów, lip i topoli wyglądają czarne i czerwone dachy kilkudziesięciu robotniczych domków, a za nimi — gmach czteropiętrowy, zbudowany w podkowę i otoczony innemi gmachami. To właśnie fabryka. W długich szeregach okien przeziera się słońce i oblewa je plamami złota. Wysoki, ciemno-wiśniowy komin wyziewa czarne kłęby gęstego dymu. Gdyby wiatr powiał z tamtej strony, pastor usłyszałby huk machin parowych i chaotyczny szmer tkackich warsztatów. Ale wiatr wieje z innej strony i dlatego słyhać tylko świst odległej lokomotywy, turkot bryczki Böhma, parskanie jego konia i śpiew

ptaszka — może przepiórki, nurzającej się w zielonem zbożu.

Tuż przy fabryce widać większe niż gdzieindziej skupienie drzew. Jest to ogród Adlera, z którego gdzieś przeglądają białemi płatami — ściany wykwintnego pałacyku i budynków gospodarskich.

Ciągłe zwracanie uwagi na tłustego konia, ażeby się nie potknął, znużyło wreszcie pastora. Ufając miłosierdziu Tego, który wydobył Daniela ze lwiej jamy a Jonasza z wielorybiej paszczy, wielbny przywiązał lejce do poręczy kozła i złożył ręce jak do mōdlitwy. Böhme lubił marzyć, ale marzył tylko wówczas, gdy mógł puścić w młynka dwa wielkie palce u rąk, co zrobił obecnie. Taki młynek otwierał mu czarodziejskie wrota krainy wspomnień.

I otóż przypomniało mu się (zapewne czterdziesty raz w tym roku i w tym punkcie szosy), że fabryka Adlera i jej otoczenie bardzo przypominają inną fabrykę, gdzieś aż na brandeburskiej równinie stojącą, w której on, pastor Marcin Böhme i jego przyjaciel, Gotlieb Adler, spędzili razem wiek dziecinny. Byli oni synami średnio zamożnych majstrów tkackich, urodzili się w jednym roku i chodzili do tej samej elementarnej szkoły. Potem rozeszli się na całe ćwierć wieku, w ciągu której, Böhme skończył wydział teologiczny w Tybindze, a Adler zebrał kilkadziesiąt tysięcy talarów.

Potem znowu zeszli się, zdaleka od ojczyzny, na ziemi polskiej, gdzie Böhme został pasterzem protestanckiej parafji, Adler zaś założył małą fabrykę tkacką.

Od tej pory, przez drugie ćwierć wieku, nie rozłączali się i odwiedzali wzajemnie po kilka razy na

tydzień. Przez ten czas, mała fabryka Adlera stała się ogromną; obecnie zajmowała 600 robotników, a właścicielowi przynosiła po kilkadziesiąt tysięcy rubli czystego zysku na rok. Ale Böhme został tem, czem był: niebogatym pastorem. Tylko, ponieważ skarby duszy ludzkiej zawsze procentować muszą, więc i pastor miał dochody, wynoszące rocznie kilkadziesiąt tysięcy — błogosławieństw.

Były jeszcze między dwoma przyjaciółmi i inne różnice.

Pastor miał syna, który kończył obecnie technikę ryską i marzył o zapewnieniu sobie, obojgu rodzicom i siostrze, chleba na dalszy bieg życia; Adler zaś miał syna jedynaka, który nie ukończył gimnazjum, podróżował zagranicą i marzył o jak najobfitszem korzystaniu z ojcowskiej kasy. Pastor frasował się tem: czy jego 18-letnia Anneta dobrze wyjdzie za mąż? Adler frasował się tem: co ostatecznie będzie z jego syna? Pastor był wogóle zadowolony ze swej majątkowej mierności i kilkadziesiąt tysięcy błogosławieństw rocznie; Adlerowi nie wystarczało kilkadziesiąt tysięcy rubli na rok, a fundusz złożony w banku zbyt powolnie zbliżał się do upragnionej liczby: *miljona* rubli.

Ale Böhme już o tylu szczegółach nie myślał. On był kontent, że widzi dokoła siebie zielone zboże, nad sobą niebiosa, obrzucone białymi i siwymi obłokami, i że ogólny wygląd fabryki Adlera przypomina mu miejscowość z dziecinnych lat. Takie same piętrowe domy, ustawione we dwa szeregi, takie drzewa, taki zakład fabryczny, zbudowany w podkowę, pałacyk właściciela, sadzawka w ogrodzie...

Szkoda, że niema tu ochrony dla małych dzieci, szkoły dla większych, domu dla starców, szpitala... Szkoda, że Adler nie pomyślał o tych budynkach, chociaż swoją fabrykę ukształtował na wzór brandeburskiej. A należałoby przynajmniej zbudować szkołę. Boć gdyby nie istniała szkoła *tam...* ani on nie byłby pastorem, ani Adler milionerem!

Wózek zbliżył się do fabryki tak, że hałas jej obudził zadumanego pastora. Gromada dzieci brudnych i w podarte sukienki albo koszule odzianych, bawiła się obok gościńca. Za murem, otaczającym fabrykę, widać było kilka wozów, na których ustawiano paki tkanin. Na lewo w całym wdzięku ukazał się pałacyk Adlera, zbudowany w stylu włoskim. Jeszcze kilkanaście kroków i otóż wychyla się z pomiędzy drzew, stojąca nad sadzawką altana, kędy fabrykant i jego przyjaciel piją zwykle reńskie wino, gawędząc o dawnych czasach, albo o wiadomościach bieżących.

Gdzie niegdzie, z otwartych okien mieszkań robotniczych, zwieszają się szmaty świeżo upranej bielizny. Prawie cała ludność tych mieszkań jest obecnie przy warsztatach i ledwie kilka bladych kobiet z zapadłemi piersiami wita pastora słowy:

— Niech będzie pochwalony!..

— Na wieki wieków!.. — odpowiada szczupły staruszek, uchylając swój wieloletni panamski kapelusz.

W tej chwili bryczka skręciła na lewo, koń wesoło wyrzucił łbem i już klusem, nie kierowany, wbiegł na dziedziniec pałacyku. Wnet ukazał się stajenny chłopiec, obtarł nos rękawem i pomógł wysiąść wielebnemu.

— Pan w domu? — spytał Böhme.

— *Na fabryce. Zaraz powiem, że jegomość przyjechał.*

Pastor wszedł na ganek, gdzie oczekujący lokaj zdjął z niego podróżny kitel. Teraz cały świat mógł przekonać się, że duchowny ma długi surdut, ale krótkie nogi, wobec których jego nos, ozdabiający zwiedle i pełne dobroci oblicze, wydaje się nieco za duży.

Wielebny znowu ułożył ręce na piersiowym dołku i puścił w ruch dwa palce. Przypomniawszy sobie, że przyjechał tu celem zranienia, a następnie zagojenia ojcowskiego serca i z planem dobrze obmyślanym, który, wedle prawideł retoryki, dzielił się na trzy części. Pierwsza, przygotowawcza, miała obejmować rzut oka na niezbadane wyroki Opatrzności, która przez ciernie żywota wiedzie istotę ludzką do wiekuistego szczęścia. W drugiej, miało być powiedziane, że młody Ferdynand Adler nie może wrócić z zagranicy na łono ojca, dopóki nie zostaną zaspokojeni jego wierzyciele na sumę taką a taką. (Tu powinien nastąpić wybuch ojcowskiego gniewu i wyliczenie przez starego Adlera wszystkich błędów, jakich się syn dopuścił). W chwili przecież, gdy zagniewany fabrykant bawełnianych tkanin zapragnąłby wyrodnego jedynaka wyprzeć się, wydziedziczyć i wykląć, wyszłaby na jaw trzecia część misji pastora: pojednawcza. Böhme chciał przypomnieć historję marnotrawnego syna, zlekka nadmienić, że przyjaciel sam źle wychował potomka, i że za ten grzech powinien bez szemrania ofiarować Bogu, rozumie się na ręce wierzycieli Ferdynanda, wymaganą przez nich sumę.

Gdy Böhme przepowiadał sobie plan działania, na drodze do pałacyku wiodącej ukazał się stary Adler. Był to człowiek olbrzymiego wzrostu, nieco zgięty, niezgrabny, z wielkimi nogami, odziany w długi, popielaty surdut niemodnego kroju i także spodnie. Na jednostajnie czerwonej twarzy jego uwydatniał się duży okrągły nos i niemniejsze wargi, wywinięte jak u murzyna. Wąsów nie nosił, tylko rzadkie jasnoblond faworyty. Gdy zdjął kapelusz, aby obetrzeć pot z czoła, widać było wypukłe, jasnoniebieskie oczy bez brwi i krótko ostrzyżone włosy, koloru lnianego.

Miljoner szedł krokiem ciężkim, miarowym, chwiejąc się na potężnych nogach, jak kawalerzysta. Gdy nie obcierał spoconej twarzy albo czerwonej szyi, zwieszone ręce z wielkimi dłońmi i krótkimi palcami odstawały mu od tułowia, tworząc dwa zgięte łuki, niby żebra przedpotopowego zwierzęcia. Szeroka pierś widocznie wznosiła się i opadała, dysząc jak kowalski miech. Zdaleka witał pastora flegmatycznymi ruchami głowy; otworzył przytem szeroko usta i grubym głosem wołał: ha! ha! ha! ale—nie uśmiechnął się. Wogóle trudno nawet zgadnąć, jakby wyglądał uśmiech na tej mięsistej i apatycznej twarzy, na której wszechwładnie zdawały się panować surowość i bezmyślność.

Z tem wszystkiem ta grubo przez naturę wyciosana osoba nie była wstrętną, ale raczej dziwną. Nie budził on obawy, tylko uczucie, że mu się niepodobna oprzeć. Zdawało się, że w jego nieforemnych rękach żelazne sztaby powinnyby giąć się z takim smutnem skrzypieniem, jak podłoga sal fabrycznych gięła się pod jego stopami. Na pierwszy rzut oka widać było,

że do serca tego taranu o ludzkiej formie, dopukać się niepodobna, ale że gdyby kto zranił mu serce, cała machina runęłaby jak gmach, któremu nagle zabrakło podstawy.

— No! jak się ty masz Marcinie! — zawołał Adler z najniższego stopnia schodów, chwytając za rękę pastora, którą potrząsnął mocno i niezgrabnie. — Prawda! — dodał — ty ale byłeś wczoraj w Warszawie... Czy nie słyszałeś czego o moim chłopcu? Ten warjat tak rzadko pisuje, że chyba tylko Bank wie, gdzie on się obracał..

Gdy stanął na ganku, wątły Böhme wyglądał przy nim, jak — wedle słów Biblii — szarańcza przy wielbłądzie.

— No, ale gadaj col.. — powtórzył Adler, siadając na żelaznej kanapce, która zatrzeszczała. Tubalny głos jego dziwnie harmonizował z rytmicznym łoskotem fabryki, przypominającym odległe grzmoty.

— Czy mój Ferdinand nie pisał do Banku?

Böhme mimowolnie znalazł się w środku kwestji, z którą tu przyjechał. Siadł na drugiej kanapce naprzeciw Adlera. Z zastanawiającą przytomnością umysłu przypomniał sobie początek pierwszej części umowy: o niezbadanych wyrokach...

Pastor miał jedną wadę. Oto — nie umiał płynnie mówić bez okularów, które zawsze w niewłaściwe miejsce chował. Czuł, że wypada zacząć wstęp, ale jakże zacząć bez okularów?.. Odchrząknął, powstał z kanapy, zakręcił się wkoło... Niema okularów!

Sięgnął ręką do lewej kieszeni spodni, potem do prawej... Okularów ani śladu! Czyby je zostawił

w domu?.. Gdzież znowu! miał je przecie w rękach siadając na bryczkę... Sięgnął do jednej tylnej kieszeni surduta: niema... do drugiej — znowu niema! Biedny pastor całkiem zapomniał początkowych zdań części przygotowawczej.

Adler, który znał przyjaciela na wyrywki, zaniepokoił się.

— Czego ty się tak, Marcinie, ale kręcisz?... — spytał go.

— Ech! mam kłopot... Gdzieś zostawiłem okulary...

— Na co tobie okulary? Kazania przecież nie będziesz do mnie mówił.

— Ale, bo widzisz...

— No, ja ale pytam się o Ferdynanda: czy niema od niego wiadomości?..

— Zaraz ci powiem!.. — mówił Böhme, krzywiąc się.

Sięgnął do bocznej kieszeni i nie znalazł okularów. Odpiął surdut i z kieszeni wewnętrznej dobył jakiś papier, wielki pugilares, wreszcie wyrócił kieszeń, ale i tu okularów nie było.

— Czybym zostawił w bryczce? — rzekł do siebie, i zwrócił się, chcąc zejść z ganku.

Adler, który wiedział, że pastor w wewnętrznej kieszeni nosi tylko ważne dokumenta, wyrwał mu papier z ręki.

— Mój ty Gotlieb—mówił skłopotany Böhme—oddajże mi to, ja ci sam przeczytam, tylko... muszę pierwaj znaleźć moje okulary... Gdzie one podzieć się mogły?

Zbiegł na dziedziniec, kierując się ku stajni.

— Proszę cię, zaczekaj aż ja wrócę, bo to trzeba przedewszystkiem wyjaśnić...

I poszedł, trąc obiema rękami szpakowatą głowę.

W kilka minut później wrócił ze stajni, zupełnie zgnębiony.

— Musiałem zgubić okulary — mrucał. — Pamiętam, że kiedyś siadł na bryczkę, miałem w jednej ręce chustkę, a w drugiej bat i okulary...

Rzucił się z niechęcią na kanapkę i przelotnie spojrzał na Adlera.

Staremu fabrykantowi żyły nabrzmiały na czole, a oczy stały się wypuklejsze niż zwykle. Czytał on papier z wielkiem zajęciem, wreszcie skończył czytanie i z gniewu — plunął na ganek.

— Och! jaki to szelma ten Ferdynand! — mruknął. — W ciągu dwu lat zrobił pięćdziesiąt osiem tysięcy trzydzieści jeden rubli długów, chociaż ja dawałem mu dziesięć tysięcy rubli rocznie!

— A wiem! — zawołał nagle pastor i wbiegł do przedpokoju.

Po chwili wrócił z triumfującą miną, niosąc swoje okulary w czarnej pochwie.

— Naturalnie! — mówił Böhme — że nie mogłem ich włożyć gdzie indziej tylko w kitel. Co za roztargnienie!

— Ty zawsze gubisz swoje okulary i potem je znajdujesz! — rzekł Adler, oparłszy głowę na rękę.

Wydawał się zamyślonym i smutnym.

— Pięćdziesiąt osiem i dwadzieścia: siedemdziesiąt osiem tysięcy trzydzieści jeden rubli w ciągu dwu lat! —

mruczał fabrykant. — Kiedy ja to wszystko załatam? dalibóg, nie wiem!

Pastor włożył już okulary i odzyskał właściwą sobie przytomność umysłu. Część pierwsza, przygotowawcza, mowy, z którą do Adlera przyjechał, była stracona. Część druga tak samo. Pozostała część trzecia.

Böhme orjentował się w położeniu bardzo szybko i niemniej szybko czynił postanowienia. Odchrząknął więc, rozkraczył nogi i zaczął:

— Jakkolwiek, miły Gotliebie, ojcowskie serce twoje błędami jedynego syna twojego ciężko musi być zranione; jakkolwiek na los poniekąd sprawiedliwie wyrzekać...

Adler ocknął się z zamyślenia i odparł spokojnie:

— Gorzej niż wyrzekać, bo trzeba ale płacić!... Johann! — krzyknął nagle głosem, od którego daszek ganku drgnął.

Służący ukazał się we drzwiach, prowadzących do przedpokoju.

— Szklanekę wody!

W okamgnieniu podano wodę; Adler wypił ją, zażądał drugiej szklanki, i tę wypił, a potem mówił już bez cienia gniewu:

— Trzeba telegrafować do Rotszyldów... Jeszcze dziś wyślę depeszę i... niech już ten warjat wraca. Dósyć podróży!

Teraz Böhme poznał, że nietylko trzecia część jego mowy jest bezpowrotnie stracona, ale co gorsza, że ojciec zanadto pobłażliwie traktuje postępek syna. Bądź co bądź zrobienie pięćdziesięciu ośmiu tysięcy rubli długów stanowi nietylko stratę, ale i nadużycie

rodzicielskiego zaufania, a więc nie miały grzech. Kto wie, czy Adler, mając te pieniądze w kieszeni, nie pomyślałby o założeniu szkoły, bez której dzieci fabrycznych robotników dziczeją i uczą się próżniactwa?

Z tych powodów pastor postanowił z obrońcy stać się—oskarżycielem lekkomyślnego młokosa, co mu tem łatwiej mogło się udać, że znał go jako urwisa od niemowlęcia—i że miał okulary na nosie, bez których ciężko mu było czegokolwiek dowodzić.

Adler tymczasem oparł się szerokimi plecami o poręcz ławki, splótł ręce na karku i, pochyliwszy w tył ogromną głowę, patrzył w sufit daszku.

Böhme odchrząknął, położył dłonie na kolanach i, patrząc na krawat swego przyjaciela, mówił:

— Jakkolwiek, miły Gotlieb, budujące jest twoje chrześcijańskie poddanie się nieszczęściu, z tem wszystkim człowiek, dla osiągnięcia zupełnej doskonałości, na tym świecie możliwej (a jest ona, ach! bardzo niedoskonałą wobec Stwórcy), człowiek tedy nie tylko musi być zrezygnowanym, ale i działającym. Pan nasz Jezus Chrystus nie tylko poświęcił się na śmierć, ale jeszcze nauczał, poprawiał. Więc i my, sługi jego, winniśmy nie tylko znosić cierpienia, ale jeszcze poprawiać błędzących...

Adler oparł ręce na kanapie i spuścił głowę na piersi.

— Syn twój cielesny, a mój duchowny, Ferdinand, pomimo wielu zalet serca i przyrodzonych zdolności, wcale nie pełni przykazania, które człowiekowi z raju wygnanemu zaleciło pracę.

— Johann! — krzyknął Adler.

Służący wbiegł na ganek.

— Tam maszyna idzie za prędko! Oni tak zawsze robią, jak mnie nie widzą. Kazać, żeby wolniej szła!

Służący znikł; pastor, niezrażony, mówił dalej:

— Syn twój nie pracuje, ale dane mu przez Stwórcę siły: duchowe, fizyczne i pieniężne, trwoni marnie. Mówiłem ci to już, miły Gotliebie, nieraz, a wychowaniem mego Józefa nie zaprzeczyłem własnym zasadom.

Adler posępnie rzucił głową.

— Co twój Józef będzie robił, gdy skończy technikę?—spytał nagle.

— Pójdzie do jakiej fabryki i może kiedy zostanie dyrektorem.

— A gdy zostanie dyrektorem, to co?

— Będzie dalej pracował.

— Na co ale on będzie pracował?

Pastor zmieszał się.

— Na to — odparł — żeby być użytecznym sobie i ludziom.

— No, a mój Ferdynand, jak tylko wróci, może u mnie zostać dyrektorem. No, on już dziś ludziom jest użyteczny, jeżeli siedemdziesiąt osiem tysięcy trzydzieści jeden rubli wydaje w ciągu dwu lat. A zapewne i sobie jest użyteczny!

— Ale nie pracuj! — zauważył pastor, wznosząc palec do góry.

— Prawda! Ale ja pracuję za niego i za siebie. Ja przez całe życie pracowałem za pięciu ludzi, więc dlaczego mój jedyny syn nie ma użyć trochę świata, za młodu? Czego teraz nie użyje — dodał — później nie użyje... Wiem to z doświadczenia!

Praca jest przekleństwem. Ja całe to przekleństwo wziętem na siebie, a że dobrze wziętem, świadczy mój majątek. Jeżeli prawda, że Ferdynand powinienby tak męczyć się jak ja, to na co mi Pan Bóg dał pieniądze? Co chłopcu po tem, że z mego miliona zrobi dziesięć, jeżeli znowu jego syn ma żyć na to tylko, żeby do naszych, dorobił — drugie dziesięć milionów?

Pan Bóg stworzył tak samo bogatych jak i ubogich. Wszyscy bogaci używają życia. Ja go już chyba nie użyję, bo nie mam sił i nie nauczyłem się tego. Ale dlaczego mój syn nie ma używać?

Służący wrócił już z fabryki. Maszyna parowa szła wolniej.

— Miły Gotliebie — rzekł pastor — dobry chrześcijanin...

— Johann! — przerwał mu fabrykant. — Wynieś do altanki butelkę reńskiego i piernik... Chodźmy do ogrodu, Marcinie!

Poklepał Böhmeego ciężką ręką po ramieniu i zawołał:

— Ha! ha! ha!

Szli do ogrodu. W drodze zastąpiła im jakaś nędzna kobiecina i, upadając do nóg Adlerowi, szepnęła z płaczem:

— Jaśnie panie! choć trzy ruble na pogrzeb.

Adler bez trudności wyrwał jej nogę z objęć i odparł spokojnie:

— Idź do szynkarza, bo tam twój głupi mąż codzień zostawiał pieniądze.

— Jaśnie panie!

— W kantorze załatwiają się interesa, nie tutaj—
przerwał Adler — tam pójdź.

— Byłam panie, ale mnie za drzwi wyrzucili.

I znowu objęła go za nogi.

— Precz! — krzyknął fabrykant. — Do warsztatów
was niema, a na chrzty i pogrzeby umiecie żebrać!

— Po słabości byłam, panie; jakże mogłam iść
na robotę?

— No, to niech ci się ale dzieci nie zachciewa,
kiedy im nie masz za co sprawić pogrzebu.

I poszedł do ogrodu, pchając przed sobą oburzo-
nego tą sceną pastora.

Za furtką Böhme zatrzymał się.

— Wiesz Gotliebie — rzekł — ja nie będę pił.

— O? — zdziwił się Adler. — Dlaczego tak?

— Łzy biednych psują smak wina.

— Nie bój się! Kieliszki są czyste, a butelki do-
brze zakorkowane. Ha! ha! ha!

Pastor zaczerwienił się, odwrócił się od niego
z gniewem i szybko wybiegł na dziedziniec.

— Stój, ty warjacie! — krzyknął Adler.

Pastor biegł ku stajni.

— Wróćże się!.. Hej! ty głupia! — zawołał na
nędzną kobietę, która płakała w bramie — masz rubla
i wynoś się stąd, pókiś cała!

Rzucił jej papierek.

— Marcin! Böhme! wróć się. Już wino jest w al-
tance.

Ale pastor siadł na swój wózek i bez kitla wy-
jechał za bramę.

— Warjat! — mówił do siebie Adler.

Zresztą, nie gniewał się na pastora, który po kilkanaście razy na rok robił mu podobne sceny, w podobnych okolicznościach.

— Tym uczonym zawsze jakiegoś trybu w głowie brakuje — myślał Adler, patrząc na pył wzniesiony bryczką przyjaciela. — Gdybym ja był uczonym, miałbym dziś tyle, co Böhme, a Ferdynand męczyłby się w szkole technicznej. Jakie szczęście, że i on nie jest uczony!

Obrócił się dokoła, spojrzął na stajnię, przed którą parobek udawał, że pilnie bruk zamiata, wciągnął w nos trochę fabrycznego dymu, który mu wiatr przyniósł — popatrzył na ładowne wozy — i poszedł do budynku administracji.

Tam kazał odpisać w księdze pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli dla Ferdynanda i wysłać do niego telegram, ażeby, skoro tylko odbierze pieniądze, spłacił dług i natychmiast wracał do domu.

Gdy Adler wyszedł z kancelarii, stary buchalter, Niemiec, który od kilku lat nosił umbrelkę, a od kilkunastu siadywał na skórzanym krześle, obejrzał się podejrzliwie i szepnął do innego urzędnika:

— Oho! będziemy znowu mieli *oszczędności*! Młody stracił pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli, a my zapłacimy...

W kwadrans później w biurze technicznem szep-tano, że Adler *obetnie* pensję, bo syn jego stracił sto tysięcy.

W godzinę we wszystkich oddziałach fabryki o tem tylko mówiono, że mają zniżyć pensję i zarobki, a wieczorem — Adler wiedział co mówiono,

Jeden groził, że połamie kości pryncypałowi, drugi, że go zabije, trzeci, że spali fabrykę. Niektórzy radzili wyjść tłumem z warsztatów, ale tych zakrzyczano. Bo i dokąd wyjść?

Większość kobiet płakała, a większość mężczyzn przeklinała Adlera, życząc mu, żeby go Bóg skarał.

Fabrykant był zadowolony z raportu. Ponieważ robotnicy tylko przeklinali, więc znaczy, że — można bez obawy zniżyć zarobki. Ci zaś, którzy grozili, ci w części byli najwierniejszymi jego sługami.

W ciągu nocy plan *oszczędności* był przygotowany. Im kto więcej zarabiał, tem większy procent strącano mu z wynagrodzenia. Ponieważ zaś przy fabryce od paru lat mieszkał doktor (sprowadzony tu w czasie cholery) i felczer, którzy, według Adlera, nie mieli dziś nic do roboty, doktor więc z końcem miesiąca czerwca otrzymał dymisję, a felczerowi zniżono pensję do połowy.

Gdy na drugi dzień dowiedziano się o szczegółach planu oszczędności, wybuchło ogólne wzburzenie. Kilkunastu ludzi wyszło z fabryki, inni robili mniej niż zwykle, ale za to dużo gadali. Doktor zwymyślał Adlera i natychmiast przeniósł się do miasteczka; toż samo zrobił felczer. W południe i nad wieczorem tłum robotników chodził do pałacyku pryncypała z prośbą, ażeby ich nie krzywdził. Płakali przytem, klęli, grozili, ale Adler pozostał niewzruszony. Straciwszy pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli przez syna, musiał je odzyskać; oszczędności zaś miały mu przynieść piętnaście do dwudziestu tysięcy rocznie. Postanowienie żadną

miarą nie mogło być cofnięte. Zresztą, dlaczego mia-
łoby być cofniętem — co mu groziło?

Rzeczywiście, po kilku dniach fabryka uspokoiła
się. Niektórzy robotnicy wyszli sami, paru niespokoj-
niejszych wydalono, a miejsce ich zajęli nowi kandy-
daci, którym zarobek wydał się bardzo dobrym. W owej
epoce panowała na wsiach bieda i ludzie natrętnie
dopraszali się o robotę.

Miejsce felczera zajął „tymczasowo“ stary robot-
nik, który, według opinii Adlera, był o tyle obeznany
z chirurgją, że jakieś lekkie skaleczenie mógł opatrzyć.
W wypadkach cięższych, nader rzadkich, miano posy-
łać do miasteczka, gdzie również udawać się musieli,
na własny koszt, chorzy robotnicy, ich żony i dzieci.

Było więc w fabryce, pomimo tak wielkiego
przewrotu, wszystko dobrze. Najdokładniej zebrane
informacje wskazywały Adlerowi, że bez względu na
krzywdy, jakie ludziom wyrządził, nie spotka go nic
złego, że niema siły, któraby mu mogła zaszkodzić.

Tylko pastor Böhme, do którego fabrykant po-
jechał pierwszy na zgodę, kręcił głową i, poprawiając
okulary, mówił:

— Złe wyradza złe, mój miły Gotliebie. Tyś za-
niedbał wychowania Ferdynanda, więc zrobiłeś złe. On
stracił twoje pieniądze i zrobił gorzej. Teraz znowu
ty, z jego powodu, zniżyłeś ludziom zarobki i zrobiłeś
najgorzej. A co z tego jeszcze wyniknie?

— Nic! — mruknął Adler.

— Nie może być nic! — odparł Böhme, trzęsąc
rękami nad głową, — Najwyższy tak świat urządził, że

w nim każda przyczyna musi mieć właściwy skutek: dobra — dobry; zła — zły!

— Przynajmniej nie dla mnie — wtrącił fabrykant.—Bo i cóż mi się stanie? Kapitały leżą w depozycie. Fabryki mi nie spala, a choćby i spalili, to jest asekurowana. Roboty nie porzuca, bo na ich miejsce znajdę innych, a zresztą — gdzież sami pójdą? Chyba myślisz, że mnie zabiją? Marcinie, czy tak myślisz? Ha! ha! ha! Mnie oni!—mówił olbrzym, klaszcząc w potężne dłonie.

— Nie kuś Boga! — przerwał mu surowo pastor i zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

II.

Historja Adlera jest tak dziwna, jak on sam.

Gdy ukończył szkołę elementarną (do której chodził razem z dzisiejszym pastorem Böhme), Adler nauczył się tkactwa, i w 20-tym roku miał niezłe zarobki. Już wówczas był to chłopak czerwonoskóry, silny, na pozór niezgrabny, w istocie sprytny i zręczny, który pracować mógł za kilku. Zwierzchnicy byli z niego zadowoleni, choć miał wadę, że lubił hulać.

Każde święto młody Adler przepędzać musiał w jakimś miejscu zabaw, w towarzystwie kolegów i kobiet, bo miał wiele kochanek. Jeżdżono tam na karuzeli, huśtano się, pływano, objadano się i spijano, Adler zaś przodował. Hulał tak namiętnie, bawił się z takim szaleństwem, że niekiedy przestraszał swoich towa-

rzyszów. Ale w dzień powszedni pracował także szalenie.

Był to potężny organizm, w którym grały tylko mięśnie i nerwy, a dusza spała. Adler czytać nie lubił, sztuki nie rozumiał, śpiewać nawet nie umiał. Potrzebował tylko zużywać nagromadzone siły zwierzęce i robił to, nie zachowując żadnych granic, ani miary.

Z uczuć ludzkich panowało w nim jedno tylko: zazdrościł bogatym. Słyszał on, że na świecie są wielkie miasta, a w nich piękne kobiety, które można kochać, pijąc szampańskie wino, wśród salonów błyszczących od złota i kryształów. Słyszał, że bogaci podróżują po górach, na których kark można skrócić, albo paść ze znużenia, i — tęsknił do tych gór. Gdyby on był bogatym, zameczałby wierzchowe konie; kupiłby okręt, ażeby pełnić na nim obowiązki majtka; obszedłby cały świat od równika do biegunów; pędziłby na pola bitew i nurzałby się w krwi ludzkiej, a przy tem wszystkiem — piłby i jadł najwykwintniejsze potrawy i woziłby ze sobą cały harem.

Ale gdzie jemu myśleć o bogactwach, kiedy puszczał wszystkie zarobki i jeszcze zaciągał dług!

W owym czasie zdarzył się szczególny wypadek.

W jednym z budynków fabryki, w której pracował, wybuchł pożar na drugim piętrze. Robotnicy uciekli, ale nie wszyscy: dwie kobiety i chłopiec zostali na czwartym piętrze, i dopiero wówczas zobaczono ich, gdy ze wszystkich niższych okien buchały płomienie.

O daniu pomocy nikt nie myślał, i może dlatego właściciel fabryki krzyknął do robotników:

— Trzysta talarów temu, kto ich ocali!

Wśród tłumu gwar i ruch spotęgował się. Radzono, zachęcano, ale — nie ratowano ofiar, które wyciągały ręce do stojących na ziemi i rozpaczały z bojaźni.

Wtedy wystąpił Adler. Zażądał długiej liny i drabinki z hakami. Lina przepasał się i podszedł do ognia.

Tłum oniemiał, nie rozumiejąc: jakim sposobem Adler wejdzie na czwarte piętro? Na co mu lina?

Ale on miał sposób. Zaczepił drabinę na szerokim gziemście pierwszego piętra i wbiegł tam jak kot. Stojąc na gziemście, zahaczył drabinkę o gziemstwo drugiego piętra i po chwili był już tam. Płomienie opalały mu włosy i odzież, dym gęsty owijał go jak płachta; ale on drapał się coraz wyżej, zawieszony nad ogniem i nad przepaścią jak pająk.

Gdy dosięgnął czwartego piętra, tłum wykrzyknął: hura! i zaklaskał. Adler zaczepił drabinę na krawędzi dachu i z niepojętą zręcznością, on, chłopak niezgrabny i ciężki, wyniósł pokolei skazańców na dach.

Jedna ściana budynku nie miała okien. Adler tedy spuścił, zapomocą liny, ocalonych przez siebie, a wreszcie — zlął sam. Gdy stanął na ziemi, poparzony, oblany krwią, tłum porwał go na ręce i poniósł, krzycząc.

Za ten czyn, prawie bezprzykładny, Adler dostał od rządu złoty medal, a od fabrykanta lepszą posadę i obiecane trzysta talarów.

Teraz w życiu Adlera nastąpił zwrot. Zobaczywszy się panem tak wielkiej sumy, uczuł on przywiązanie do pieniędzy. Nie dlatego, że je nabył, narażając się na śmierć, nie dlatego, że mu one przypominały ludzi, którym życie uratował; ale dlatego — że było ich aż trzysta talarów!.. Jakby to pohulać można za taką masę pieniędzy... O ile świetniejszą byłaby hulanka za tysiąc talarów i jak to już do tysiąca talarów niedaleko!..

Pieniądz obudził w nim nową namiętność. Adler wyrzekł się swoich nałogów: stał się skąpym i lichwiarzem. Zaczął pożyczać kolegom pieniądze na krótkie terminy, ale na wielkie procenta, a ponieważ obok tego bardzo pracował i szybko postępował naprzód, więc po upływie kilku lat miał już, nie trzysta, ale trzy tysiące talarów.

Wszystko to robił z myślą, że, gdy zbierze większą sumę, pohula raz jak bogacz. Lecz gdy suma urosła, wyznaczał dla niej nową granicę, do której szedł z taką samą zawziętością jak pierwej. W tem zbliżaniu się do ideału, którym miało być najwyższe użycie, Adler powoli zatracił zmysłowe instynkta. Olbrzymie swoje siły topił w pracy, pozbył się dawnych marzeń i myślał o jednym tylko: o pieniądzach. Przez jakiś czas uważał je tylko za środek, widział poza nimi inny cel. Ale stopniowo i to znikło, a całą duszę jego wypełniły dwa pragnienia: pracy i pieniędzy.

W czterdziestym roku życia miał już pięćdziesiąt tysięcy talarów, zebranych krwawym trudem, uporem, niezwykłym sprytem, skąpstwem i lichwą. W tym czasie przeniósł się do Polski, gdzie, jak słyszał, prze-

mysł wielkie daje procenta. Tu założył niedużą fabrykę tkacką, ożenił się z kobietą posażną, która, wydawszy na świat jedyne go syna Ferdynanda, umarła — i począł dążyć do miljonowej fortuny.

Nowa ojczyzna okazała się dla Adlera prawdziwą ziemią obiecaną. On, wyćwiczony w zawodzie tkackim i w wyścigu za groszem, znalazł się między ludźmi, z których jedni dawali się wyzyskiwać dlatego, że nie mieli pieniędzy, drudzy dlatego, że im łatwo przyszły i że mieli ich za dużo, inni dlatego, że im brakło sprytu, jeszcze inni dlatego, że wyda wało się im, iż mają spryt. Adler gardził społeczeństwem, pozbawionem najelementarniejszych przymio tów ekonomicznych i siły do walczenia z nim; lecz, poznawszy grunt dokładnie, umiał z niego korzystać. Majątek rósł, a ludzie myśleli, że szczęśliwemu fabry kantowi, do jego zarobków, dopływają z Niemiec jakieś fundusze.

Wraz z urodzeniem się Ferdynanda w drewnia nem sercu Adlera zbudziło się uczucie nieograniczonej miłości ojcowskiej. Osierocone niemowlę nosił on na rękach, często nawet do fabryki, gdzie chłopak, prze straszony hałasem, siniał z krzyku. Gdy podrósł, oj cieć spełniał wszystkie jego życzenia, obsypywał go łakociami, otaczał służbą, dawał mu do zabawy złote pieniądze.

Im więcej rozwijało się dziecko, tem mocniej ko chał je. Zabawy Ferdynanda przypomniały mu własne dzieciństwo, zbudziły w jego duszy jakieś echa daw nych instynktów i marzeń. I otóż Adler, patrząc na syna, myślał, że on za niego użyje świata, on praw-

dziwą korzyść odniesie z bogactw, on spełni wygastę, a tak niegdyś silne, pragnienia owych odległych podróży, kosztownych uczt, niebezpiecznych wypraw...

— Byle podrośł—myślał ojciec—sprzedam fabrykę i pojedę z nim w świat! On będzie hulał, a ja będę patrzył i chronił go od niebezpieczeństw.

Ponieważ człowiek nie może dać innym więcej nad to, co sam posiada, więc Adler dał synowi żelazną organizację, fizyczne zdrowie, egoistyczne popędy, majątek i nieprzepartą skłonność do hulatyki; ale nie rozwinął w nim wyższych instynktów. Ani ojciec, ani syn nie rozumieli przyjemności płynących z badania prawdy, nie odczuwali piękna w naturze ani sztuce, a ludźmi obaj pogardzali. W organizmie społecznym, w którym każdą jednostkę, świadomie czy bezświadomie, łączą tysiączne węzły sympatji, i współczucia, oni dwaj nie byli z niczem związani, zupełnie wolni. Ojciec kochał pieniądze nadewszystko, a syna więcej niż pieniądze; syn—lubił ojca, ale kochał tylko siebie i te przedmioty, które zaspakajały jego pragnienia.

Zresztą, chłopiec miał guwernerów i uczęszczał do szkół, włącznie do szóstej klasy. Nauczył się: kilku języków, tańczyć, gustownie ubierać, elegancko mówić. Był łatwy w obejściu, jeżeli mu przeszkód nie stawiano, dowcipny, pieniędzmi hojnie rzucał. Lubiono go więc, chociaż głębiej na rzeczy patrzący Böhme twierdził, że chłopak niewiele umie i jest na złej drodze.

Ferdynand w 17-tym roku życia był już Don Juanem, w 18-tym wydalony został ze szkół, w 19-tym kilka razy zgrał się w karty, a raz wygrał około tysiąca rubli, nareszcie w 20-tym roku wyjechał zagra-

nicę. Tam, oprócz dużej sumy, wyznaczonej mu przez ojca, zrobił około sześćdziesięciu tysięcy rubli długów, i tym sposobem, coprawda mimowoli, przyczynił się do zaprowadzenia w fabryce *oszczędności*, za które obu ich: ojca i syna, przeklinały setki ludzi.

W ciągu dwuletniej nieobecności w domu, Ferdynand zwiedził całą prawie Europę. Wdrapywał się na alpejskie lodniki, był na Wezuwjuszu, puszczał się raz balonem, nudził się parę tygodni w Londynie, gdzie domy są z czerwonej cegły, a w niedzielę niema zabaw. Ale najdłużej i najweselej przepędził czas w Paryżu.

Do ojca pisywał nieczęsto. Ile razy jednak jakieś silniejsze wrażenie potrafiło jego stalowe nerwy, tyle razy donosił o tem z najdrobniejszymi szczegółami. To też listy jego bywały dla Adlera prawdziwemi uroczystościami. Stary fabrykant odczytywał je bez końca, nasyczał się każdym wyrazem, bo czuł, że każdy wskrzesza w nim dawne i gorące marzenia.

Jeździć balonem, zaglądać do wulkanu, tańczyć w tysiąc par kankana w przebogatych salonach paryskich, kąpać kobiety w szampanie, wygrywać albo przegrywać na jedną kartę setki rubli: czyż to nie stanowiło ideałów jego życia, czy ich nie przewyższało?.. Listy Ferdynanda były jakby tchnieniami jego własnej młodości i budziły w nim, zamiast uniesienia, do którego był za stary, nowe, a dotychczas nieznane uczucie: rozrzewnienie.

Kiedy czytał opisy hulanki, kreślone na gorąco, pod wpływem pierwszych wrażeń, w jego surowym i realnym umyśle poruszało się coś nakszałt poetyckiej

fantazji. Chwilami widział to, co czytał. Ale wnet zniknęły widzenia, spłoszone rytmicznym łoskotem machin i szelestem tkackich warsztatów.

Adler miał teraz jedno tylko pragnienie, nadzieję i wiarę: zebrać milion rubli gotówką, sprzedać fabrykę i z całą masą pieniędzy wyjechać w świat, razem z synem.

— On będzie używał, a ja będę patrzył po całych dniach!

Pastorowi Böhme wcale nie podobał się ten program, godny zniszczonych starców Sodomy, albo cesarstwa Rzymskiego.

— Gdy wyczerpiecie wszystkie rozkosze i wszystkie pieniądze, co wam zostanie? — pytał Adlera.

— Ach! takie ale pieniądze nie wyczerpują się łatwo — odpowiedział fabrykant.

III.

Dzień powrotu Ferdynanda został oznaczony.

Adler wstał, jak zwykle, o piątej rano. O ósmej wypił kawę z kwartowego fajansowego kubka, na którym niebieskimi literami było wypisane: *Mit Gott für König und Vaterland*. Potem zwiedził fabrykę, a około jedenastej wysłał na stację drogi żelaznej powozik dla syna i bryczkę pod jego bagaże. Potem usiadł na ganku przed pałacykiem, z twarzą jak zwykle apatyczną i bezmyślną, chociaż — niecierpliwie spoglądał na zegarek.

Dzień był gorący. Na dziedzińcu woń rezedy i akacji mieszała się z ostrym zapachem dymu. Nieustannemu grzmotowi fabryki odpowiadał dwusylabowy krzyk pantarek. Niebo było czyste, powietrze spokojne.

Adler ocierał spoconą twarz i ciągle zmieniał pozycje na żelaznej ławeczce, która za każdym razem zgrzytała, jak z bólu. Stary fabrykant nie jadł dziś mięsnego śniadania o dwunastej i nie pił piwa z wielkiego kufła, zamkniętego cynową nakrywką, jak to robił codzień od lat trzydziestu.

Po godzinie pierwszej zajechał na dziedziniec powozik z Ferdynandem i — próżna bryczka.

Ferdynand — był to wysoki, trochę mizerny, lecz tego zbudowany młodzieniec, blondyn z jasno-niebieskimi oczami. Miał na głowie szkocką czapkę z dwiema wstęgami, a na reszcie ciała lekki płaszcz kolisty z peleryną, bez rękawów.

Na jego widok fabrykant wyprostował olbrzymią postać i, rozkładając ręce, zawołał:

— Ha! ha! ha! No, jak się ty miewasz, Ferdynand?

Syn wyskoczył z powoziku, pobiegł na ganek, uścisnął ojca i pocałował go w oba policzki, mówiąc:

— Cóż to deszcz padał, że papa masz spodnie u dołu zawinięte?

Ojciec spojrzał na spodnie.

— Jak ten warjat wszystko zaraz musi zobaczyć! — rzekł. — Ha! ha! No, jak się ty masz?.. Johann! śniadanie!..

Zdjął z syna płaszczyk i torbę podróżną i podał mu rękę, jak damie. Wchodząc do przedpokoju, jeszcze raz rzucił okiem na dziedziniec i spytał:

— Cóż to bryczka pusta?.. Dlaczego nie odebrałeś rzeczy ze stacji?..

— Rzeczy? — odparł Ferdynand. — Papa myślisz, żem się ożenił i wożę ze sobą kufry, kosze i pudełka?.. Moje rzeczy mieszczą się w ręcznej walizce. Dwie koszule: kolorowa do podróży i biała do salonu, garnitur frakowy, neseserka, krawat i kilka par rękawiczek—oto wszystko.

Mówił żywo, głośno, ze śmiechem. Uścisnął kilka razy ojca za rękę i dalej ciągnął:

— Jakże się papa miewasz?.. Co tu słyszać?.. Mówiono mi, że papa robisz świetne interesa na swoich perkalikach i barchanach? Ale siadajmy!

Zjedli śniadanie prędko, trącili się kieliszkami, a następnie przeszli do gabinetu ojca.

— Muszę tu zaprowadzić francuski tryb życia, a nadewszystko francuską kuchnię—mówił Ferdynand, zapalając cygaro.

Ojciec skrzywił się pogardliwie.

— Na co nam ale to wszystko!—odparł.—Alboż Niemcy mają złą kuchnię?

— To świniel..

— Hę? — zapytał stary.

— Mówię, że Niemcy są świnię—ciągnął syn ze śmiechem. — Ani jeść, ani bawić się...

— No!—przerwał ojciec—więc co ale ty jesteś?..

— Ja? Ja jestem człowiek, kosmopolita, czyli obywatel świata.

To, że syn mianował się kosmopolitą, niewiele obchodziło Adlera; ale tak hurtowne zaliczenie Niemców do rzędu nieczystych zwierząt ubodło go.

— Ja myślałem, mój Ferdynand — rzekł — że za te siedemdziesiąt dziewięć tysięcy rubli *niemieckich*, któreś wydał, ty nauczysz się trochę rozumu.

Syn rzucił cygaro na popielniczkę i skoczył ojcu na szyję.

— Ach! wyborny papa jesteś! — krzyknął, całując go. — Cóż to za nieoceniony wzór konserwatysty! Prawdziwy baron średniowieczny! No, niech się papa nie chmurzy. Dalej!.. uszy do góry, mina gęsta...

Porwał go za ręce, wyciągnął na środek pokoju, wyprostował jak żołnierza i mówił:

— Z taką piersią!..

Poklepał go po piersi.

— Z takimi łydkami!..

Uszczypnął go w łydkę...

— Gdybym miał młodą żonę, zamykałbym ją przed papą w okratowanym pokoju. A papa mimo to masz odwagę solidaryzować się z teorjami, pachnącemi o milę trupem?.. A pał djabli Niemców z ich kuchnią! oto hasło godne wieku i ludzi prawdziwie silnych.

— Warjat! — przerwał mu nieco udobruchany ojciec. — Cóż ale ty jesteś, jeżeliś przestał być niemieckim patryjotą?

— Ja? — odparł z udaną powagą Ferdynand. — Ja tutaj jestem — polski przemysłowiec; między Niemcami — polski szlachcic: Adler *von* Adlersdorf; a między Francuzami — republikanin i demokratą.

Takie było przywitanie Ferdynanda z ojcem, i takie duchowe zdobycze, kupione za siedemdziesiąt dziewięć tysięcy rubli zagranicą; chłopiec tyle zyskał,

że we wszystkim umiał upatrywać stronę uprzyjemniającą życie.

Tego samego dnia ojciec i syn pojechali do pastora Böhme. Fabrykant przedstawił mu Ferdynanda, jako nawróconego grzesznika, który stracił dużo pieniędzy, ale nabył za to doświadczenia. Pastor chrześniaka swego czule uściskał i radził mu, ażeby wstąpił w ślady jego syna Józefa, który wciąż pracuje i pracować myśli do końca życia.

Ferdynand odpowiedział, że istotnie tylko praca nadaje człowiekowi rację bytu w społeczeństwie i, że on dlatego był nieco trzpiotowatym dotychczas, ponieważ spędził młodość wśród narodu, który chełpi się lekkomyślnością i próżniactwem. Dodał w końcu, że jeden Anglik robi tyle, ile dwu Francuzów, albo trzech Niemców i, że z tego powodu on, Ferdynand, nabrał w ostatnich czasach wielkiego szacunku dla Anglików.

Stary Adler był zdumiony powagą, szczerością i siłą przekonań syna, a Böhme zauważył, że młode piwko musi się wyszumieć i że korzystna zmiana, jaką swoim doświadczonem okiem spostrzega w Ferdynandzie, warta jest więcej nawet, aniżeli siedemdziesiąt kilka tysięcy rubli.

Po uroczystych przemówieniach, pastor, jego żona i przyjaciel zasiedli do butelki reńskiego wina i poczęli rozmawiać o dzieciach.

— Wiesz, miły Gotliebie — mówił Böhme — że zaczynam podziwiać Ferdynanda. Z tego, powiem ci, wietrznika wyrobił się, jak widzę, prawdziwy mąż, *verus vir*. Sąd o rzeczach ma wytrawny, samopoznanie także — zasady zdrowe...

— O tak! — potwierdziła pastorowa — on mi całkiem przypomina naszego Józia. Czy pamiętasz, ojczy, że Józio, jak był zeszłego roku na wakacjach, mówił o Anglikach zupełnie to samo, co Ferdynand? Pocziwe dziecko!..

I dobra, szczupła żona duchownego westchnęła, poprawiając stanik czarnej sukni, szytej, zdaje się, w przewidywaniu lepszej tuszy.

Tymczasem Ferdynand spacerował po ogrodzie z ładną Anneta, osiemnastoletnią córką państwa Böhme. Oboje znali się od dziecka i młoda panna życzliwie, a nawet z zapałem, powitała dawno niewidzianego towarzysza. Chodzili z godzinę, ale że dzień był gorący, Anneta dostała widać nagłego bólu głowy i poszła do swego pokoiku, a Ferdynand wrócił do kółka starszych. Tym razem mówił niewiele, był skwaszony, czemu nikt się nie dziwił (najmniej zaś oboje pastorstwo), ponieważ młodemu milszem jest towarzystwo ładnej panienki, aniżeli najuczciwszych starców.

Gdy Adlerowie wrócili do siebie, Ferdynand powiedział ojcu, że musi jutro jechać do Warszawy.

— Po co? — krzyknął ojciec. — Czyby ci się w ciągu ośmiu godzin dom sprzykrzył?

— Ależ bynajmniej! Niech jednak papa zwróci uwagę, że potrzebuję bielizny, ubrania, a wreszcie powozu, w którymbym mógł składać wizyty sąsiadom.

Ojca wszelako nie przekonały te dowody. Powiedział, że do Warszawy pojedzie gospodyni po bieliznę, i że o powóz on sam napisze do znajomego fabrykanta. Z garderobą było nieco trudniej; postano-

wiono jednak wysłać do krawca garnitur frakowy i według niego wybrać co potrzeba.

Ferdynand skwasił się jeszcze bardziej.

— Czy masz papa choć aby jakiego wierzchowca na stajni?

— Co mi po nim? — odparł fabrykant.

— No, ale ja muszę go mieć i spodziewam się, że tego przynajmniej papa mi nie odmówisz...

— Bardzo naturalnie.

— Chciałbym zaraz jutro pojechać do miasteczka i dowiedzieć się: czy kto ze szlachty niema dobrego konia na sprzedaż. Myślę, że chyba i tego papa mi nie zabroni.

— Bardzo ale naturalnie.

Na drugi dzień Ferdynand już o dziesiątej rano wyjechał do miasteczka, a w kilka minut później, na dziedzińcu ukazał się Böhme, ze swoim wózkiem i konikiem. Pastor wydawał się niezwykle ożywiony; wbiegł do pokoju prędko. Między jego małemi faworycikami i nieco przydługim nosem paliły się mocne rumieńce.

Ledwie zobaczył Adlera, wykrzyknął:

— Jest ten twój Ferdynand?

Adler zdziwił się, zauważywszy, że pastrowi drży głos.

— Co ty ale chcesz od Ferdynanda? — zapytał.

— A to hultaj jakiś... nic dobrego! — krzyknął Böhme.—Czy ty wiesz, co on wczoraj powiedział naszej Annetce?

Z miny fabrykanta widać było, że nic nie wie i, że nawet niczego się nie domyśla.

— Oto — ciągnął pastor, zapalając się — prosię, ażeby mu...

W tem miejscu urwał.

— Co za zuchwalstwo!.. nieprzyzwoitość!..

— Co tobie jest Marcinie?—pytał go zaniepokojony Adler.—Co Ferdynand powiedział?

— Powiedział... żeby mu w nocy okno otworzyła do swego pokoju!..

I biedny pastor, z nadmiaru oburzenia, rzucił panamski kapelusz na podłogę.

Adler, o rzeczach nie mających związku z fabrykacją i sprzedażą bawełnianych tkanin, myślał bardzo powoli. Jego serce nie posiadało włókna, zdolnego natychmiast odczuć krzywdę dziewczęcia; ale tkwiło w niem uczucie przyjaźni dla pastora. Adler więc na tej podstawie, rozumując flegmatycznie, lecz logicznie, doszedł do wniosku, że gdyby panna usłuchała rad Ferdynanda, to jego syn musiałby się z nią ożenić.

Ale to koniecznie musiałby się ożenić!.. Stary nie pojmował innego wyjścia.

Więc Ferdynand w kilka godzin po przyjeździe do domu, i w kilkanaście minut po świetnej mowie o poprawie, postawił się w tej pozycji, że on, syn milionera, musiałby połączyć się z panną bez posagu, z córką pastora?.. On, żenić się?.. On, który miał huśtać pod bokiem ojca, używać świata, pieniędzy, młodości, i niczem niekrępowanej swobody? To też dopiero wówczas, gdy nerwowy Böhme już wyzłościł się, wykrzyczał i ochłonał, w Adlerze wybuchnął gniew. W starym tkaczu zbudził się tygrys.

— Ach! ten łajdak! — krzyknął Adler. — Tydzień temu zapłaciłem za niego pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli, dziś znowu wyciąga ode mnie pieniądze i jeszcze takie historie wyrabia!

Podniósł obie ręce do góry i trząsnął niemi, jak Mojżesz w chwili, kiedy rzucał kamienne tablice na głowy czcicieli złotego cielca.

— Kijem zbiję tego łotra!.. — ryknął fabrykant.

Widząc uniesienie i odgadując, że kij w rękę Adlera opłakane może wywołać skutki, pastor zmiękł.

— Mój miły Gotliebie! — rzekł — to już jest całkiem niepotrzebne. Zostaw mnie tę sprawę, a ja Ferdynanda sam poproszę, ażeby albo omijał nasz dom, albo zachowywał się w nim z uczciwością i po chrześcijańsku.

— Johann! — wrzasnął fabrykant, a gdy służący ukazał się, rzekł podniesionym głosem:

— Posłać mi zaraz do miasteczka po Ferdynanda. Kije dam temu łajdakowi!

Lokaj patrzył na pana zdziwiony i przestraszony. Pastor jednak mrugnął znacząco i domyślny Johann wyszedł.

— Miły Gotliebie! — mówił Böhme — Ferdynand jest już za stary na to, ażebyś go bił kijem, a nawet strofował zbyt gwałtownie. Niepomierna surowość nie tylko go nie poprawi, ale, powiem ci, może go popchnąć do rozpacz i... do targnięcia się na własne życie... To chłopak ambitny...

Uwaga ta w okamgnieniu oddziaływała na Adlera. Starzec otworzył szeroko oczy i upadł na krzesło.

— Co ty mówisz ale, Marcinie? — zapytał stłumionym głosem. — Johann! karafkę wody...

Johann przyniósł wodę, a fabrykant wypił ją chciwie i stopniowo począł się uspokajać. Już nie kazał sprowadzać Ferdynanda.

— Tak! ten warjat mógłby to zrobić — szepnął tkacz i zgnębiony spuścił głowę na piersi. Olbrzymi i energiczny starzec jasno zrozumiał w tej chwili, że syn jest na złej drodze, z której należałoby go sprowadzić. Ale w jaki sposób? — nie wiedział.

Pastor spostrzegł, że wybiła godzina, w której upomnienia jego mogą wywrzeć stanowczy wpływ na postępowanie fabrykanta z synem, a więc i na poprawę lekkomyślnego młodzieńca. W jednej chwili, przy pomocy właściwych mu szybkich kombinacji, ułożył stosowną mowę, wezwał Boga na pomoc i...

Wsadził prędko rękę do lewej kieszeni spodni, a drugą ręką pomacał prawą kieszeń... Potem zaczął rewidować tylne kieszenie surduta, następnie — boczną zewnętrzną, boczną wewnętrzną... Nareszcie zaczął kręcić się niespokojnie.

— Czego ty chcesz, Marcinie? — spytał Adler, zauważywszy skomplikowane ruchy pastora.

— Znowu gdzieś zgubiłem okulary! — szepnął zgryziony Böhme.

— Okulary masz przecie na czole...

— Prawda! — krzyknął pastor, chwytając oburącz cenne narzędzie optyczne. — Co za roztargnienie!.. jakie śmieszne roztargnienie!...

Zdjął z czoła okulary i wydobył żółtą fularową chustkę, aby wytrzeć zapocone szkła.

Jednocześnie — wszedł buchalter fabryki z depe-
szą, którą odczytawszy, Adler zawiadomił przyjaciela,
że musi go zostawić i odejść do kancelarii, dla wyda-
nia niecierpiących zwłoki rozporządzeń. Prosił go przy-
tem, aby został na obiedzie. Ale Böhme także miał
obowiązki, więc wyjechał, nie nauczwszy starego fa-
brykanta: jak winien postępować z synem, w celu na-
prowadzenia go na drogę pocziwego i chrześcijań-
skiego żywota.

Późno wieczorem wrócił Ferdynand do domu,
w brylantowym humorze. Szukając po pokojach ojca,
zostawiał wszystkie drzwi otwarte, uderzał do taktu
laską w stoły i krzesła jak w bęben, i śpiewał moc-
nym, lecz fałszywym barytonem:

Allons, enfans de la patrie,
Le jour de la gloire est arrivé...

Doszedł do gabinetu i stanął przed ojcem, w czapce
szkockiej, osadzonej trochę na tył głowy, trochę na
bakier, w rozpiętej kamizelce, spocony i ziejący winem.
W oczach paliły mu się iskry wesołości, niekrępowanej
chłodnym rozsądkiem. Gdy zaś w śpiewie doszedł do
wyrazów:

Aux armes, citoyens!..

wpadł w taki zapał, że machnął parę razy laską nad
głową życiodawcy.

Stary Adler nie przywykł do tego, aby nad nim
machano kijem. Zerwał się z fotelu i, groźnie patrząc
na syna, krzyknął:

— Tyś pijany, łajdaku!

Ferdynand cofnął się.

— Mój papo — rzekł chłodno — proszę mnie nie nazywać łajdakiem. Bo jeżeli nawyknę w domu do podobnych wyrazów, to później nie zrobi mi to żadnej różnicy, gdy ktoś obcy nazwie łajdakiem mnie albo mojego ojca... Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego.

Umiarkowany ton i jasny wykład zrobiły wrażenie na tkaczu.

— Hultaj jesteś! — odezwał się po chwili. — Bałamucisz córkę Böhme.

— A cóż papa chciał, żebym bałamucił pastora? — zapytał zdziwiony Ferdynand. — Stare babsko, sama skóra i kości!

— No, bez konceptów ale! — zgromił go ojciec. — Właśnie był tu dziś u mnie pastor i prosił, ażeby noga twoja w jego domu nie powstała. Nie chce cię znać!

Ferdynand rzucił czapkę i łaskę na jakieś dokumenty fabryczne, sam legł na szezlongu, wyciągnął się jak był długi, a pod głowę złożył ręce.

— A to mnie Böhme zmartwił! — rzekł, śmiejąc się. — Owszem, zrobi mi łaskę, jeżeli uwolni mnie od nudnych wizyt. To rodzina dziwaków! Stary myśli, że mieszka między ludożercami i wiecznie chce kogoś nawracać, albo cieszyć się z czyjegoś nawrócenia. Stara ma w głowie wodę, po której ciągle pływa ten uczony ślimak—Józio. A panna jest święta, jak ołtarz, na którym tylko pastorom wolno odprawiać nabożeństwa. Po dwojgu dzieciach schudnie biedactwo, jak jej matka, a wtedy—winszuję mężowi! Co on będzie robił z takim klekotem?.. Nudni ludzie... Obrzydliwi pedanci!..

— No tak, pedanci! — przerwał ojciec. — Z nimi ale nie puściłbyś we dwa lata siedemdziesięciu dziewięciu tysięcy rubli.

Ferdynand chciał w tej chwili ziewnąć, lecz nie dokończył. Siadł na szeslongu, nie zdejmując z niego nóg, i spojrzał na ojca z wyrzutem.

— Papa, widzę, nigdy nie zapomnisz tych kilku tysięcy rubli? — spytał.

— Naturalnie, że nie zapomnę! — krzyknął stary. — Co to jest, żeby ale człowiek mający rozum strwonił taką masę pieniędzy, djabeł wie na co?... Ja ci już wczoraj chciałem to samo powiedzieć.

Ferdynand czuł, że ojciec gniewa się nieszczerze. Opuścił nogi na podłogę, uderzył ręką w kolano i począł mówić:

— Mój ojczy, pogadajmy, choć raz w życiu, jak ludzie rozumni, bo sądzę, że papa nie uważa mnie już za dziecko...

— Warjat jesteś! — mruknął stary, którego powaga syna chwyciła za serce.

— Otóż papa — ciągnął syn — jako człowiek głębiej patrzący na rzeczy, pojmujesz, choć wyznać tego nie chcesz, że ja — jestem takim, jakim mnie zrobiła natura i nasz ród. Ród nasz — nie składał się z jednostek podobnych do pastora albo jego syna. Ród nasz nazwano niegdyś: *Adlerami*, a więc, ani żabami, ani rakami, ale istotami posiadającymi naturę orłów. Ród nasz, nawet fizycznie biorąc, składa się z ludzi olbrzymiego wzrostu i w gronie swem posiada jednostkę, która dziesięcioma palcami zdobyła miliony

i znakomite stanowisko w obcym kraju. A więc ród nasz ma siłę, ma fantazję...

Ferdynand mówił to z prawdziwym czy fałszywym uniesieniem, a ojciec słuchał go wzruszony.

— Cóż jestem ja winien — ciągnął chłopak, stopniowo podnosząc głos — żem po przodkach odziedziczył siłę i fantazję? Ja muszę żyć, ruszać się i działać więcej, aniżeli jakieś *Steiny*, *Blumy* i zwykłe *Vogle*, bo ja jestem — *Adler*. Mnie ciasny kąt nie wystarcza: ja potrzebuję świata. Moja siła wymaga wielkich przeszkód do zwalczania, trudnych warunków bytu, albo — hulatyki, bo inaczej pękłbym... Ludzie mojego temperamentu trzęsą państwami, albo zostają zbrodniarzami... Bismarck, zanim rozbił Austrię i Francję, rozbijał kufle na łbach filistrów, był tem — czem ja dziś jestem... Ja zaś, ażeby wypłynąć na wierzch i być prawdziwym *Adlerem*, muszę znaleźć odpowiednie warunki. Dziś, żyję w nieswoim świecie. Nie mam czem zająć uwagi, zużyć siły: i dlatego hulam, muszę hulać, bo inaczej zdechłbym, jak orzeł w klatce... Papa miałeś w życiu swoje cele: rozkazywałeś setkom ludzi, puszczałeś w ruch maszyny, szarpałeś się z innymi o pieniądze. Ja i tej przyjemności nie mam!.. Cóż będę robił?

— A któż ci broni zajmować się fabryką, dyrygować ludźmi i mnożyć kapitały? — spytał ojciec. — To byłoby lepsze, niż przedwczesna hulatyka, która zjada pieniądze.

— Owszem! — wykrzyknął Ferdynand, zrywając się na nogi. — Niech mi ojciec odda część swej władzy, a zaraz jutro wezmę się do pracy. Ja czuję jej potrzebę... W pracy, ale ciężkiej, rozwinęłyby mi się skrzydła...

A więc, oddaje mi ojciec kierunek nad fabryką? Obejmę go jutro, byle działać, bo mnie już męczy takie puste życie!

Gdyby stary Adler miał do rozporządzenia trochę łez, zapłakałby z radości. Tym razem musiał ograniczyć się na wielokrotnem uściskaniu ręki syna, który przeszedł jego nadzieje.

Ferdynand chce kierować fabryką! Co za szczęście! Za kilka lat majątek ich podwoi się, a wówczas—zamieniwszy go na pieniądze, pójda obaj w świat, szukać szerszych widnokręgów dla młodego orłęcia.

Fabrykant źle spał tej nocy.

Na drugi dzień Ferdynand istotnie poszedł do fabryki i począł zwiedzać wszystkie oddziały. Robotnicy patrzyli na niego ciekawie, prześcigali się w udzielaniu mu objaśnień i spełnianiu rozkazów. Wesoły i przyjacielski chłopak, w porównaniu ze swym groźnym ojcem, dobre robił na nich wrażenie.

Z tem wszystkiem, około godziny dziesiątej rano, przyszedł do kancelarji jeden z podmajstrzych ze skargą, że panicz żonę mu bałamuci i, że między pracującymi kobietami zachowuje się niesfornie.

— To głupstwo!—mruknął Adler.

W godzinę po nim wbiegł ober-majster przędzalni, przestraszony i zaperzony.

— Panie pryncypale!—zawołał do Adlera. — Pan Ferdynand, dowiedziawszy się, że robotnikom zniżono płacę, namawia ich, ażeby opuścili fabrykę. Powtarza to we wszystkich salach i opowiada inne niesłychane rzeczy.

— Czy zwarzował ten hultaj?—wykrzyknął stary.

Posłał natychmiast po syna i sam wybiegł na-
przeciw niego.

Zetknęli się przed składami. Ferdynand miał
w ustach zapalone cygaro.

— Co... ty palisz cygaro w fabryce? Rzuć mi zaraz!
I począł tupać nogami.

— Jak to, więc mnie nie wolno palić cygar?—
zapytał Ferdynand.—Mnie? mnie?

— Nikomu nie wolno palić w obrębie fabrycz-
nego muru! — wrzeszczał Adler. — Ty mi cały mają-
tek puścisz z dymem, ty mi ludzi buntujesz! Wynoś
się stąd!

Ponieważ zajście miało mnóstwo świadków, Fer-
dynand obraził się.

— O!—zawołał — jeżeli papa myślisz mnie w taki
sposób traktować, to basta! Daję słowo honoru, że
odtąd nie przestąpię progu fabryki. Dostyc mam w domu
podobnych przyjemności.

Zadeptał cygaro i poszedł do pałacyku, nie spoj-
rzawszy na ojca, który sapał rozgniewany, a trochę
i zawstydzony.

Gdy powtórnie zeszli się przy obiedzie, stary rzekł:

— No! daj ty mi spokój z twoją pomocą. Będę
ci wypłacał trzysta rubli miesięcznie; dam ci powóz,
konie, służbę i — rób sobie co ci się podoba, byleś
do fabryki nie chodził.

Ferdynand oparł łokcie na stole, brodę na rękach,
i począł mówić:

— Mój papo! pogadajmy jak ludzie rozsądni.
Ja w tym pałacyku życia marnować nie mogę. Nie
wspomniałem papie dotąd, że jestem zagrożony cho-

robą *spleenu* i że doktorzy kazali mi unikać nudów. Tymczasem u nas życie jest bardzo jednostajne, a ja zaczynam wpadać w tęsknotę. Nie chciałem martwić papy, ale jeżeli jestem przez niego skazany na śmierć...

Ojciec przestraszył się.

— Daję ci przecież, warjacie, trzysta rubli na miesiąc! — krzyknął.

Ferdynand machnął ręką.

— No, więc czterysta...

Syn smutnie pokiwał głową.

— Sześćset do diabła! — wrzasnął Adler, uderzając pięścią w stół. — Więcej nie mogę, bo oszczędności fabryczne wyciągnięte są jak struna. Ty mnie doprowadzisz do bankructwa!

— Ha! spróbuję żyć za sześćset rubli miesięcznie — odparł syn. — O! gdyby nie moja choroba!..

Wiedział biedak, że z podobnymi dochodami do Warszawy jechać nie warto. Tu jednak, na prowincji, mógł być królem miejscowej złotej młodzieży, i — na tem obecnie poprzestał.

Był to młodzieniec na swój wiek rozsądny.

Od owego dnia Ferdynand począł znowu hulać, coprawda w szczuplejszym niż dawniej zakresie. Przedewszystkiem złożył wizyty okolicznym obywatelom ziemskim. Poważniejsi nie przyjęli go, przyjęli chłodno, albo nie rewizytowali, ponieważ stary Adler nie cieszył się dobrą opinią w okolicy, młodego zaś uważano za łobuza. Pomimo to, udało mu się zawiązać, albo odświeżyć znajomość z kilkunastu młodszymi i starszymi panami, tego co on stylu. Odwiedzał ich, zjeżdżał się z nimi w miasteczku, albo przyjmował ich hucznie

w domu ojca, którego piwnica i kuchnia w krótkim czasie wielką zyskały popularność.

Podczas takich uroczystości stary fabrykant wymykał się z domu. Pochlebiali mu wprowadzie tytuły i ułożenie niektórych przyjaciół Ferdynanda, wogóle jednak nie lubił ich i często mawiał do buchaltera:

— Gdyby ci panowie razem złożyli swoje długi, mielibyśmy pod bokiem trzy fabryki, takie jak nasza.

— Znakomite towarzystwo! — szepnął uniżony buchalter.

— Błazny! — odparł Adler.

— Ja też w tem znaczeniu mówiłem — dorzucił buchalter, uśmiechając się pokornie i szyderczo z pod zielonej umbrelki.

Ferdynandowi całe noce schodziły na grze w karty i pijaństwie. Miewał też miłosne przygody i zdobył sobie wielki rozgłos. W fabryce tymczasem ugniatały ludzi wszelkiego rodzaju oszczędności. Ściągano kary za spóźnianie się, za rozmawianie, za szkody niekiedy urojone; tym zaś, którzy nie umieli rachować, wprost urywano zarobki. Urzędnicy i robotnicy klęli pryncypała i jego syna, którego rozpustę widzieli, a co gorsza — sami ją musieli opłacać.

IV.

Przed kilkadziesiąt laty mieszkał w tej okolicy majątny szlachcic, którego sąsiedzi nazywali „dziwakiem“. Istotnie, musiał to być osobliwy człowiek.

Nie ożenił się, choć go swatano do późnej starości; nie hulał i — co stanowiło najciemniejszą plamę jego życia—bawił się w nauczanie chłopów.

Otworzył elementarną szkołę, w której dzieci przedewszystkiem uczyły się czytania, pisania, religji, rachunków, tudzież szewctwa i krawiectwa. Każdy chłopiec musiał umieć szyć buty, sukmany, koszule, czapki, kapelusze, i to stanowiło początek edukacji. Potem sprowadził ogrodnika, a następnie: kowala, ślusarza, stolarza i kołodzieja. I znowu każdy wychowaniec, który poznał krawiectwo i szewctwo, musiał uczyć się ogrodnictwa, kowalstwa, ślusarstwa i kołodziejstwa, a obok tego: arytmetyki w obszernym zakresie, geometrii i rysunku.

Sam pan wykladał im geografję i historję, czytał książki naukowe i opowiadał—mnóstwo anegdot, z których zawsze wypływała zasada: że trzeba być pracowitym, uczciwym, rozumnym, cierpliwym, oszczędnym i posiadać wiele innych przymiotów, ażeby — zostać prawdziwym człowiekiem.

Okoliczni panowie sarkali na niego — że psuł chłopów, a ludzie fachowi wyśmiewali go, że dzieci uczył wszystkich rzemiosł. Ale on na zarzuty wzruszał ramionami i twierdził, że gdyby na świecie było wielu Robinsonów, którzy za młodu ze wszelkimi rzemiosłami obeznaćby się musieli, to — byłoby mniej ludzi ograniczonych, hultajów i przykutych do jednego miejsca niewolników.

— Zresztą—mówił dziwak—taki jest mój kaprys, jeżeli chcecie. Wam wolno hodować pewne gatunki

psów, bydła i koni, niechże mnie będzie wolno hodo-
wać pewien gatunek ludzi!

Szlachcic umarł nagle. Majątek po nim odziedziczyła rodzina, strwoniła go w ciągu kilku lat, a o szkole zapomniano. Ale szkoła wydała pewną liczbę jednostek dużej wartości ekonomicznej, umysłowej i moralnej, choć żaden z nich nigdy nie zajął wybitnego stanowiska.

Duch szlachcica musiał cieszyć się w niebie z kierunku swoich wychowañców na ziemi; on bowiem nie kształcił ich na genjuszy, ale na użytecznych obywateli średniej miary, jakich pewnym społeczeństwom zawsze braknie.

Jednym z wychowañców nieboszczyka był Kazimierz Gosławski. I on uczył się zamięłodu różnych rzemiosł, ale głównie umiłował twarde, to jest ślusarstwo i kowalstwo. Obok tego umiał wyrysować plan maszyny i budowli, zrobić powikłany rachunek, przygotować drewniany model do odlewni, a od biedy — uszyć sobie kapotę i buty. Gosławski, im dłużej żył, tem dokładniej rozumiał metodę swego mistrza i pojmował praktyczną doniosłość jego moralnych anegdot. Wspomnienie o nim czcił jak świętość i, wraz z żoną i czteroletnią córeczką, modlił się codzień za dobroczynicę, bodaj czy nie goręcej, aniżeli za własnych rodziców.

Ten Gosławski od siedmiu lat pracował w mechanicznym oddziale fabryki Adlera; zarabiał po dwa, czasem i po trzy ruble na dzień, i coprawda, był dużą swego warsztatu. Kołatał się tam jakiś naczelny mechanik, Niemiec, biorący półtora tysiąca rubli rocz-

nie; ale ten więcej zajmował się fabrycznemi plotkami, aniżeli mechaniką.

Rzecz prosta, że dla utrzymania powagi, ów naczelnik wydawał rozkazy i objaśniał robotników, ale w taki sposób, że nikt go nie rozumiał i nie słuchał. Było to dla fabryki szczęście; gdyby bowiem mechaniczne ideje jego przyoblekano jak należy w stal, żelazo i drzewo, większa część machin po pierwszym zepsuciu się musiałaby iść na szmelc albo pod kocioł.

Dopiero, gdy Gosławski poznał się z machiną, wyrozumiał jej uszkodzenie i podał plan naprawy, a głównie, gdy sam przyłożył ręki, machina szła dobrze. Niejednokrotnie prosty ten ślusarz przekształcał pojedyncze organa machin na inne; czasami robił wynalazki, ale o tem ani on, ani nikt nie wiedział. Gdyby wiedziano, wynalazek porachowałby się na karb genjuszu naczelnego mechanika, który wciąż chwalił się robotami, jakie wykonywał zagranicą i twierdził, że tylko w ciemnej Polsce nie może stworzyć nic nowego i wzbić się na stanowisko dyrektora kilku fabryk. Jakich?—mniejsza o to. Człowiek ten był pewny, że mógł kierować wszystkiem: fabryką lokomotyw i fabryką pudrety — byle nie w Polsce, gdzie polot jego genjuszu krępowały: dzikość robotników, klimat i tym podobne przeszkody.

Adler zanadto miał bystre oko, ażeby nie poznać się na wartości Gosławskiego, a nieudolności naczelnika warsztatu. Ponieważ jednak Gosławski wydawał mu się niebezpiecznym, jako materiał na samodzielnego pryncypała, a naczelny mechanik był dobrym plotkarzem, więc pierwszego trzymał w ukryciu, a dru-

giego na posadzie. Tym sposobem wszyscy byli zadowoleni, a świat ani domyślał się, że znakomita fabryka opiera się na głowie *eines dummen polnischen Arbeiters*.

Gosławski był średniego wzrostu. Kiedy z wywiniętymi rękawami pracował schylony przy śrubsztaku, wydawał się pospolitym robotnikiem, z grubemi rękami i nieco wygiętymi nogami. Ale gdy spojrzał z pod ciemnych włosów, które mu spadały na czoło, poznałaś—rozwiniętego duchowo człowieka. Jego szczupła i blada twarz ujawniała nerwowe usposobienie, a spokój i szare myślące oczy — panowanie rozsądku nad temperamentem.

Mówił — ani za wiele, ani za mało, niezbyt cicho i niezbyt głośno. Ożywiał się, ale nie wpadał w uniesienie i umiał słuchać, patrząc przytem ciekawie i rozumnie w oczy mówiącemu. Tylko plotek fabrycznych słuchał, nie odrywając się od pracy — „bo to — jak mówił — na nic!“, ale najpilniejszą robotę przerywał, aby dowiedzieć się objaśnienia z zakresu swego zawodu. Względem kolegów trzymał się nieco na uboczu, ale życzliwie. Rad udzielał chętnie, nawet pomagał w drobnych robotach, ale sam o nic nikogo nie prosił: nie śmiał prosić, bo cudze wiadomości i czas tak szanował, jak i cudze pieniądze.

Celem jego życia było: założyć własny warsztat kowalsko-ślusarski. O tem zawsze myślał i głównie dlatego oszczędzał część zarobków. Pieniądze trzymał w domu, pożyczać innym nie lubił, wołał raczej darować jakieś parę złotych. Ale skąpym nie był. Oboje z żoną mieli dostatek odzienia, jadalі skromnie, lecz

przyzwocie, a sam Gosławski nie żałował sobie przy niedzieli kufelka piwa, czasami — kieliszka wina.

Żyjąc tym trybem, zebrał około półtora tysiąca rubli i przez znajomych wywiadywał się: czy który z obywateli ziemskich nie dałby mu budowli na otworenie warsztatu w majątku? Wzamian za to Gosławski dworskim obstalunkom dawałby pierwszeństwo przed innemi. Układy takie, między obywatelami i majstrami wyrobów żelaznych, dokonywają się niekiedy, a Gosławski miał nawet upatrzone jedno miejsce, od św. Michała.

Zarobki jego w fabryce były dość chwiejne. Gdy przyszło wyrabiać nowy przedmiot, w czym Gosławski był nieporównany, płacono mu od sztuki doskonale; lecz gdy wyrobił kilka sztuk i poduczył innych, zniżano mu płacę do połowy, do czwartej, a niekiedy i do dziesiątej części. Czasami za to, za co przed kwartałem brał rubla, po kwartale brał 20 lub 10 kopiejek. Wówczas dla wyrównania zarobków przesadywał w fabryce po kilka godzin dłużej; przychodził wcześniej i wychodził później.

Gdy inni skarżyli się, że pryncypał wyzyskuje wszystkich, Gosławski zwykle odpowiadał:

— Z nim tak samo robili, niema się czemu dziwić!

Ale niekiedy tracił cierpliwość i szeptał przez zaciśnięte zęby:

— Złodziej Szwab!

Żona, dla zrobienia mu ulgi, chciała także chodzić do fabryki, ale ją zgromił:

— Pilnuj lepiej dziecka i obiadu! Zarobisz dwa złote na fabryce, a w domu przez ten czas zginie rubel.

Wiedział on wprawdzie, że żona mogła zarobić więcej, a dom straciłby mniej, ale—był ambitny i nie chciał, ażeby przyszła pani majstrowa zadawała się z pospolitemi robotnikami.

Mężem był dobrym. Czasami marudził, że jedzenie jest niesmaczne, albo późno ugotowane, że dziecko zawałało się, albo że bielizna zbyt mocno jest zafarbowana. Ale nigdy nie wymyślał, a nawet nie podnosił głosu, jak inni. Co niedzielę prowadził żonę o parę wiorst do kościoła, a jeżeli dzień był pogodny, brał córeczkę i niósł ją na rękach. Ile razy był w mieście, przynosił gościńca: dziecku obwarzanek albo piernik, żonie tasiemkę, wstążkę, nici, albo cukier i herbatę.

Córeczkę kochał i pieścił się z nią, ale tęsknił do syna, którego nie miał.

— Co to za pociecha z dziewczyny? — mówił nieraz. — Chowa się ją dla ludzi i jeszcze dopłacać trzeba, ażeby ją wzięli. A syn, to podpora na starość, onby mógł i warsztat objąć...

— Miej ty najprzód warsztat, a syn się znajdzie— odpowiedziała żona.

— I, i, il.. gadasz mi to od trzech lat... Z ciebie już chyba nie będzie pociechy — kończył ślusarz.

Tymczasem żona nie napróżno chwaliła się, i w szóstym roku małżeństwa, właśnie gdy młody Adler powrócił z zagranicy, powiła syna. Ślusarz był zachwycony. Na chrzciny wydał ze trzydzieści rubli, a żonie sprawił nową suknię, nie licząc wydatków, jakie za sobą pociągnęła słabość. Z oszczędzonych pieniędzy ubyło mu około stu rubli, które do świętego Michała postanowił odzyskać.

Na nieszczęście w fabryce zaprowadzono *oszczędności*. Tym razem Gosławski klął pospół z innymi, ale z podwojoną gorliwością pracował. Przychodził do fabryki o piątej, wracał do domu czasem o jedenastej w nocy, taki zmęczony i senny, że niekiedy z żoną się nie witał, dzieci nie ucałował, tylko upadał w ubraniu na łóżko i zasypiał jak kamień.

Taka nadzwyczajna gorliwość gniewała jego kolegów. Najbliższy zaś przyjaciel, Żaliński, który prowadził maszynę parową (człowiek otyły i prędkie), rzekł raz do Gosławskiego:

— Cóż ty Kazik, u diabła, tak podlizujesz się staremu i innym psujesz interes!... Kiedy wczoraj poszło do niego kilku skarżyć się, że zarobki są za małe, to im powiedział: „Róbcie jak *Gosławski*, to wam *ale* wystarczy“.

Gosławski tłumaczył się:

— Mój kochany!—mówił.— Żona mi była chora, po doktora musiałem trzy razy posyłać do miasta i płacić mu po dwa ruble; inne wydatki także były spore. Chciałbym odbić co się da, bo przecież idę na swój chleb. A że jeszcze ten kundel zniżył zapłatę, więc cóż mam robić?... Muszę orać do czasu, choć mnie i w piersiach kole i w głowie się kręci.

— Bah! — wtrącił Żaliński — odbijesz to na czeladzi w swoim warsztacie.

Gosławski machnął ręką.

— Ja nie chcę korzystać z cudzej krzywdy. Nie dam swego, ale i nie zabiorę cudzego.

I wziął się znowu do roboty, która go tak już wyczerpywała, że czasami myśli zebrać nie mógł.

Byle doczekać własnego chleba, a wtedy o wszystkim się zapomni!

Praca jednak była za ciężka. Można zdobywać utrzymanie dla kilku osób, można część sił zamieniać dla oszczędności dla jutra. Ale żywić rodzinę, oszczędzać, odzyskiwać poniesione wydatki na słabość żony, i w końcu — płacić za podróże młodego Adlera, to przechodziło siły zwyczajnego człowieka. Gośławski czerpał już z kapitału zdrowia. Schudł, pobladł, zesmutniał. Czasami oblany potem, zwieszał ręce na śrubsztaku i dziwił się, że w myśli jego, tak zwykle pełnej ruchu i kombinacji, dziś jest ciemno i pusto. Może ustałby w pracy, gdyby wśród owych ciemności nie czytał ognistego szyldu z napisem: „Mechaniczny warsztat Gośławskiego“

Dalej!.. już tylko trzy miesiące.

Tymczasem los znowu dopisał Adlerowi. Wyroby jego, rzeczywiście doskonałe, zyskały szerszy zbyt, a w lipcu fabryka otrzymała podwójną ilość obstalunków. Stary tkacz, po radzie z zaufanymi urzędnikami, przyjął wszystkie zamówienia i jednocześnie, za całą prawie gotówkę, jaką posiadał w banku, kazał kupić bawełny. Robotnikom zapowiedziano, że będą pracowali do dziewiątej godziny co wieczór, i że za godziny dodatkowe otrzymają półtora raza większą zapłatę. Postanowiono także urządzić kilkanaście nowych warsztatów, i rozmyślano nad tem: w jakiby sposób zużytkować można było dni świąteczne? Adler i pod tym względem miał już gotowy plan. Za robotę w święta płaciłoby się z początku — ceny podwójne,

w miarę zaś przyzwyczajania się robotników do nowości, zniżanoby im płacę.

Według obrachowań fabrykanta, gdyby wszystko szło pomyślnie, bez nieprzewidzianych wypadków, to rok bieżący pozwoliłby mu ostatecznie zamknąć rachunki z tkactwem. Wówczas sprzedałby fabrykę, na którą chętnych nie brakło i, zabrawszy kilka milionów rubli, wyjechałby z synem zagranicę.

W taki to sposób Gosławski i Adler, robotnik i pryncypał, prawie współcześnie zbliżali się do urzeczywistnienia swych nadziei: jeden do własnego warsztatu, drugi — do użycia nagromadzonych pieniędzy.

Spotęgowana działalność fabryki odbiła się przede wszystkim na warsztatach mechanicznych. Przyjęto kilku nowych ludzi, czas pracy obowiązkowej przedłużono do godziny dziewiątej, a nadobowiązkowej — do dwunastej w nocy. Za pierwsze dwie godziny płacono półtora raza, za następne trzy — dwa razy więcej niż zwykle. Jednocześnie zaprowadzono ściślejszą kontrolę, a jeżeli kto opuścił robotę przed terminem, wytrącano mu w taki sposób, że zysk redukował się prawie do zera. To też robotnicy pilnowali się, a najwięcej Gosławski, który, jako najbiegłęjszy w zawodzie, musiał przesiadywać do północy.

Teraz już sam Gosławski uczuł, że ma za wiele obowiązków i poprosił Adlera o ulgę. Fabrykant przyznał mu słuszność i zaproponował nowy układ. Gosławski odtąd miał brać zapłatę dzienną, robić własnoręcznie tylko te części machin, które wymagały największej dokładności, przeważnie zaś — pilnować biegu prac i udzielać objaśnień. Faktycznie więc był naczel-

nikiem warsztatu, do czego jednak dołączono mu zajęcia zwykłego robotnika z pensją majstra.

Takie warunki, których nie przyjąłby żaden Niemiec, z początku pochlebiały Gosławskiemu. Niebawem jednak przekonał się, że go i tym razem wyzyskano: pracę bowiem fizyczną miał wciąż tak wielką jak dawniej, a nadto — musiał wyęźać umysł. Cały dzień upływał mu na przebieganiu od kowadła do śrubsztaka, od śrubsztaka do tokarni, przyczem nieustannie nachodzili go koledzy, którym zdawało się, że Gosławski nie tylko powinien ich objaśniać, ale i sam wszystko robić.

W końcu lipca Gosławski wyglądał jak automat. Nie uśmiechał się, o rzeczach nie mających związku z warsztatem prawie nie rozmawiał, a nawet zaniedbał się w ubraniu, on, tak lubiący porządek. Z żoną nie chodził w niedzielę do kościoła, a natomiast spał do południa. W stosunkach bywał opryskliwym.)

Największą przyjemność znajdował w spaniu, jak człowiek powracający do zdrowia. Żywsze zaś uczucie błyskało w nim chyba wówczas, gdy całował syna na dzieńdobry i na dobranoc.

Gosławski rozumiał swój stan, wiedział, że pozera go praca, ale usunąć się od niej nie miał sposobu. Z owym obywatelem, który dawał mu budowlę na warsztat, umowa miała być podpisana dopiero w sierpniu, a przeprowadzić się na miejsce mógł dopiero w październiku.

Cóż zatem robić? Jeżeli dziś rzuci fabrykę, musi żyć z gotówki i przez dwa miesiące straci paręset rubli, tak ciężko zapracowanych i tak na początek

niezbędnych. Trzeba więc trzymać się obecnego stanowiska i wyteżać siły. Miał zresztą nadzieję, że tygodniowy odpoczynek po przeprowadzeniu się na własne gospodarstwo, orzeźwi go i przywróci zachwianą równowagę sił.

Swoją drogą tak dalece obrzydła mu fabryka, że nosił przy sobie kalendarzyk i każdy upłyniony dzień wykreślał. Już tylko półtrzecia miesiąca... Już sześćdziesiąt pięć dni... Już dwa miesiące!...

V.

Pewnej soboty, w sierpniu, w nocy, warsztat mechaniczny kipiał bieganiną i pracą.

Warsztat składał się z obszernej sali, pełnej okien, jak oranżerja. Pod jedną ścianą leżała parowa machina, nadająca ruch wykonawczym mechanizmom, pod drugą — stały dwa ogniska kowalskie. Znajdował się tu jeszcze mały młotek podrzucany palczastem kołem, kilkanaście śrubsztaków ślusarskich, tokarnia, *bormaszyny* i inne przyrządy.

Zbliżała się północ. W reszcie fabryki światła dawno pogasły, znużeni tkacze spali w mieszkaniach; ale tu panował ruch. Przyśpieszony oddech maszyny parowej, tętnienie tłoków, huk młotów, turkot tokarni, zgrzyt pilników — potęgowały się na tle nocnej ciszy. W atmosferze nasyconej parą, pyłem węgla i delikatnymi opiłkami żelaza, jak błędne ognie migotały płomie-

nie kilkudziesięciu lamp gazowych. Przez wielkie okna, nieustannie drgające od łoskotu, zaglądał księżyc.

W sali prawie nie rozmawiano. Robota była pilna, godzina późna: więc ludzie śpieszyli się w milczeniu. Tu grupa czarnych kowali dźwiga wielką, rozpaloną do białości sztabę żelaza pod młot. Tam szereg ślusarzy, jak na komendę, schyla się i podnosi nad szeregiem śrubsztaków. Naprzeciw nich zgięci tokarze pilnują obrotu swoich machin. Z pod młotów pryskają iskry. Czasami rozlega się rozkaz albo przekleństwo. Niekiedy kucie i piłowanie przycicha, a wówczas słychać żałosny jęk wiatraków, dmuchających na kowalskie ogniska.

Największą tokarnię obsługuje Gośławski. Obtacza on duży, stalowy walec, który musi być wyrobiony bardzo dokładnie. Ale praca idzie niesporo. Gośławski dziś miał tyle zajęcia, że nie mógł nawet opuścić warsztatu w czasie pauzy wieczornej: jest więc bardzo zmęczony i senny. Trapi go lekka gorączka; strugi potu oblewają mu ciało.

Chwilami, skutkiem zmęczenia, doświadcza sennych halucynacyj, i zdaje mu się, że jest gdzie indziej, nie w warsztacie. Wnet jednak otrząsa się, zasmolonymi rękami przeciera oczy i z trwogą spogląda: czy nóż nie za wiele zebrał z walca?

— Oto spać się chce! — rzekł do niego sąsiad.

— Prawda! — odparł Gośławski, siadając na stołku.

— Chyba tak z gorąca — zauważył sąsiad. — Maszyna ogromnie rozpalona, kowale robią przy obu ogniskach... Zresztą, już późno... Zażyj pan tabaki!

— Bóg zapłać! — podziękował Gosławski. — Fajkaby mnie orzeźwiła, ale nie tabaka... Napiję się lepiej wody.

Odszedł parę kroków i zardzewiałym kubkiem zaczerpnął wody z beczki. Ale woda była ciepła, i Gosławski, zamiast orzeźwić się, uczuł, że jeszcze bardziej potnieje i opada z sił.

— Która u pana godzina? — zapytał sąsiada.

— Trzy kwadranse na dwunastą... Skończysz pan dziś robotę?

— Zdaje się, że skończę — odparł Gosławski. — Jeszcze trzeba na jaki włos zebrać... a tu mi się tak dwoi w oczach.

— Z gorąca! z gorąca! — mówił sąsiad.

Zażył znowu tabaki i poszedł do swojej tokarni.

Gosławski zmierzył średnicę toczonego walca, posunął nóż, ścisnął go śrubą i znowu puścił w ruch maszynę. Po chwilowym wysiłku uwagi nastąpiła w nim reakcja i począł drzemać stojąc, z oczyma wlepionymi w błyszczącą powierzchnię walca, na którą upadały krople wody.

— Czyś pan do mnie co mówił? — zapytał nagle sąsiada.

Ale sąsiad, pochylony nad swoim warsztatem, nie słyszał pytania.

Teraz wydało się Gosławskiemu, że jest u siebie w domu. Żona i dzieci śpią, na komodzie pali się przykręcona lampa, jego łóżko już rozebrane. Oto stół, przy nim krzesło... Znużony, chciał usiąść na krześle, więc — oparł ciężką rękę na krawędzi stołu...

W tej chwili tokarnia dziwnie zgrzytnęła. Coś w niej pękło, zaczęło się łamać i—straszny jęk ludzki rozległ się po warsztacie...

Prawa ręka Gosławskiego dostała się między tryby, które zajęły mu naprzód palce, potem dłoń, potem kość łokciową. Krew trysnęła. Nieszczęśliwy oprzytomniał, jęknął, szarpnął się i — padł obok tokarni. Przez mgnienie oka wisiał jak przykuty do maszyny, ale zmiażdżone kości i poszarpane mięśnie nie mogły utrzymać ciężaru, przerwały się i Gosławski runął na ziemię.

Wszystko to stało się w ciągu kilkunastu sekund.

— Wstrzymać maszynę! — krzyknął sąsiad Gosławskiego.

Ślusarze, tokarze, kowale — porzucili robotę i zbiegli się do rannego. Maszynę wstrzymano. Jeden z robotników wylał na Gosławskiego konewkę wody. Jakiś młody człowiek, zobaczywszy fontannę krwi tryskającej na tokarnię, na podłogę i na obecnych, dostał spazmów; kilku wybiegło z warsztatu niewiedomo po co.

— Doktoral! — zawołał zmienionym głosem ranny.

— Bierzcie konie! biegnijcie do miasteczka! — krzyczeli robotnicy, jak nieprzytomni.

— Krew! krew! — jęczał ranny.

Obecni nie wiedzieli czego chcieli.

— Na miłość boską zatamujcie krew! Zwiążcie rękę!

Ale nikt się nie ruszył. Jedni nie wiedzieli, jak związać rękę, drudzy osłupieli.

— Oto fabryka! — krzyknął sąsiad Gosławskiego. — Ani doktora, ani felczera. Gdzie Szmit? biegnijcie po Szmita!

Kilku ruszyło po Szmita, owego robotnika, który miał zastępować felczera. Tymczasem stary kowal, przytomniejszy widać od innych, ukląkł przy rannym i ścisnął mu palcami rękę powyżej łokcia. Krew poczęła spływać wolniej. Rana była straszna. Zamiast dłoni, zostały tylko dwa palce: wskazujący i wielki.

Reszta ręki prawie do łokcia była poszarpana i jakby usiekana z zakrwawionemi szmatami koszuli.

Ledwie w kwadrans zjawił się Szmit, przerażony niemniej od innych. Obwiązał on zmiażdżoną rękę mnóstwem gałganów, które natychmiast przesiąkły krwią i kazał zanieść rannego do domu.

Koledzy położyli go na warsztatowych noszach; dwu niosło go, dwu podtrzymywało mu głowę; reszta otoczyła ich — i tak szli gromadą.

W kantorze nie było nikogo, w pałacyku Adlera nie świeciło się. Psy, zwietrywszy krew, zaczęły wyć. Nocny stróż zdjął czapkę i patrzył wybladły na orszak posuwający się zwolna po gościńcu, oświeconym blaskami księżyca.

W otwartem oknie robotniczego domu ukazał się człowiek ubrany w bieliznę i zapytał:

— Hej! a co tam?

— Gosławskiemu urwało rękę! — odpowiedziano z gromady.

Chory cicho jęczał.

Zdaleka na gościńcu rozległ się turkot i kłus. Ujrzano parę siwych koni, stangreta w liberji na koźle, a w głębi powozu — rozwalonego Ferdynanda Adlera, który z pijatyki wracał do domu.

— Nabok! — krzyknął stangret na gromadę.

— To ty zjedź na bok, bo my niesiemy rannego. Smutny orszak zrównał się z powozem. Młody Adler ocknął się z drzemki, wychylił się z powozu i zapytał:

— A to co?

— Gosławskiemu urwało rękę.

— Czy temu co ma ładną żonę?

Chwila milczenia.

— Widzisz, jaki mądry! — mruknął ktoś.

Ferdynand oprzytomniał i zmieniając ton mowy, zapytał:

— Doktor opatrzył go?

— Doktora niema przecież w fabryce.

— Ach prawda!.. A felczer?

— I felczera niema!

— Aha! To trzeba posłać konie do miasteczka.

— Jużci, że trzeba! — odpowiedział ktoś. — Może wielmożny pan zaraz z miejsca każe zawrócić?

— Moje konie są zmęczone — odparł Ferdynand — ale wyślę inne.

Powozik ruszył.

— Podły! — rzekł jeden z robotników. — Jak my zmęczymy się przy robocie, to nas nie zmienia, ale o konie to dba!

— Bo konia trzeba kupić, a ludzie są darmo — wtrącił inny.

Gromada doszła do domu, w którym mieszkał Gosławski. W oknie paliła się jeszcze lampa. Jeden z robotników ostrożnie zapukał.

— Kto tam?

— Niech pani Gosławska otworzy!

Po chwili we drzwiach ukazała się do połowy rozebrana kobieta.

— Co to jest? — zapytała, patrząc na gromadę, przerażona.

— Mąż pani trochę skaleczył się i przynieśliśmy go.

Gosławska podbiegła do noszów.

— Jezu mój! — krzyknęła. — Co tobie, Kaziu?

— Nie budź dzieci — szepnął mąż.

— Matko miłosierna! krew!.. Tyle krwi!

— Cicho! cicho! — szeptał ranny. — Rękę mi urwało, ale to nic. Poszlijcie po doktora.

Kobieta zaczęła łkać, trząść się. Dwaj robotnicy wzięli ją pod rękę i wprowadzili do pokoju. Inni wnieśli rannego, który siniał z bólu i gryzł wargi, lecz obawiał się jęknąć, aby nie obudzić dzieci.

Z rana doniesiono Adlerowi o wypadku. Wysłuchał, pograżony w zamyśleniu, i spytał:

— A doktor był?

— Posłano do miasta w nocy, ale i doktor i felczer rozjechali się do chorych.

— Trzeba sprowadzić innego. Trzeba także wysłać ale depeszę do Warszawy, po ślusarza na miejsce Gosławskiego.

Około godziny dziesiątej poszedł do warsztatu obejrzeć tokarnię, która zepsuła się.

Przy nieszczęsnej maszynie stąpił niechcący w kałużę krwi i drgnął, ale wnet zapanował nad sobą. Uważnie przypatrzył się zębatym kołom, na których widać było zsiadłą krew, ciało ludzkie, parę kawałków płótna z koszuli i kilka szczerb.

— Czy mamy jeszcze takie same kółko? — zapytał mechanika.

— Tak! — szepnął blady Niemiec, którego widok krwi przyprawiał o mdłości.

— A doktor jest?

— Jeszcze niema.

Adler syknął. Nieobecność lekarza robiła na nim przykre wrażenie.

Około południa dano znać fabrykantowi, że doktor przyjechał. Stary szybko wyszedł z domu. Przechodząc około drzwi Ferdynanda, który po pijatyce jeszcze spał, zapukał w nie kijem; ale syn nie odezwał się.

Przed mieszkaniem Gosławskiego stało dużo robotników. W kościele mało kto był. Wszyscy pragnęli dowiedzieć się o losie rannego i usłyszeć szczegóły wypadku. Gosławską i dzieci wzięła do siebie sąsiadka.

Tłum szemrał, ale gdy zobaczono Adlera, umilkły rozmowy. Tylko najbojaźliwsi witali się z nim, inni odwracali się, a śmielsi patrzyli na niego nie uchylając czapek.

Fabrykanta coś tknęło.

— Czego oni chcą ode mnie? — pomyślał.

Zaczeplił jednego z robotników Niemców i spytał, jak się chory ma?

— Niewiadomo—odparł zapytany pochmurnie. — Podobno mu odjęli całą rękę.

Adler posłał po doktora, aby wyszedł do niego.

— No, jak tam? — zapytał fabrykant.

— Umiera! — odpowiedział lekarz.

Adler zatoczył się i rzekł podniesionym głosem:

— To nie może być! Ludzie przecież tracą obie ręce, nawet obie nogi, a jednak nie umierają...

— Opatrunek był zły, krew uszła. Przytem, chory jest przepracowany.

Odpowiedź ta rozeszła się prędko między stojącymi przy domu. Tłum znowu począł szemrać.

— Ja ale dobrze panu zapłacę! — rzekł Adler. — Niech pan tylko jego pilnuje starannie. To nie może być, ażeby mężczyzna z takiego skaleczenia umierał!

W tej chwili chory odezwał się. Lekarz pobiegł do mieszkania, a fabrykant zwrócił się zpowrotem ku domowi.

— Gdyby doktor był przy fabryce, nie stałoby się nieszczęście! — zawołał ktoś z tłumu.

— Nam wszystkim zejdzie na taki koniec, jeżeli będą nas trzymali w warsztatach do północy! — krzyknął drugi.

Tu i owdzie poczęto kłać i grozić. Ale olbrzymi tkacz włożył ręce do kieszeni i z podniesioną głową szedł przez największy tłum. Tylko oczy miał przymknięte i szyja mu zbladła. Zdawał się nie słyszeć tego, co mówią dalsi, a bliżsi rozstępowali się przed nim, instynktownie odgadując, że człowiek ten nie lęka się ani kłatw, ani pogróżek, ani nawet otwartej napaści.

Nad wieczorem Goślawski, którego nie odstępował doktor, wezwał żonę; weszła na palcach, chwiejąc się i powstrzymując łzy, które jej wzrok zasłaniały.

Ranny leżał dziwnie wynędzniały, z osłupiałemi oczyma. Przy mroku zdawało się, że twarz jego ma barwę ziemi.

— Gdzie jesteś, Magdziu? — spytał niewyraźnie, a potem mówił z długimi przerwami:

— Już nic z naszego warsztatu! Niema ręki! Za nią i ja pójdę, bo pocobym miał darmo chleb zjadać? Żona zapłakała.

— Czy jesteś tu, Magdziu?.. Pamiętaj o dzieciach. Pieniądze są w tej szufladce, wiesz... Na mój pogrzeb... Tyle much lata mi przed oczami... Tak piszczy...

Zaczął się niespokojnie poruszać i chrapać, jak człowiek, który twardo zasypia. Doktor dał znak ręką i ktoś gwałtem wyprowadził Gosławską do mieszkania sąsiadów.

W kilka minut wszedł tam lekarz. Biedna kobieta spojrzała mu w oczy i z płaczem uklękła na ziemi.

— O paniel! dlaczego pan wyszedł od niego?.. Czy z nim tak źle? Czy może...

— Bóg panią pocieszy — rzekł doktor.

Otoczyły ją kobiety i starały się uspokoić.

— Nie płaczcie, pani Gosławska. Bóg dał, Bóg wziął!.. Wstańcie. Nie płaczcie, bo was dzieci usłyszą.

Wdowa aż zatchnęła się.

— O, zostawcie mnie na ziemi, mnie tu lżej — szeptała.—Niech wam Bóg da wszystko dobre, tak jak mnie dał złe. Już niema Kazika!.. O mój ty człowieku kochany, pocóżeś tyle pracował i cierpiał?..

Jeszcze onegdaj mówił, że w październiku będziemy na swoim. Masz swój grób, ale nie warsztat... Och...

Aż czkawki dostała z płaczu i poczęła gryźć chustkę, byle łkań nie usłyszały dzieci.

Ale gdy do mieszkania nieboszczyka weszło kilku robotników i poczęli odsuwać sprzęty, gdy zrozumiała, że męża jej żaden hałas już nie obudzi, jęknęła strasznym głosem i wpadła w omdlenie.

Śmierć Gosławskiego stała się źródłem zaburzeń w fabryce i kłopotów dla Adlera. We wtorek przyszła do niego deputacja, prosząc, aby pozwolił wszystkim robotnikom wyjść na pogrzeb. Fabrykant uniósł się gniewem, pozwolił wysłać po kilku delegatów z każdej sali, a jednocześnie zapowiedział, że każdy inny robotnik, który poważy się opuścić warsztat, zapłaci karę.

Pomimo to większa część robotników tłumem wyszła; Adler nakazał zrobić apel, każdemu nieobecnemu stracić z płacy połowę dziennego zarobku i dwa złote za karę.

Wówczas gorętsi zaczęli namawiać kolegów do porzucenia fabryki, a jeden z palaczy bąknął, że wartoby kocioł wysadzić w powietrze. W każdym innym razie Adler gawędy te puściłby mimo uszu, ale teraz wściekłość go ogarnęła. Szemrania nazwał buntem, zażądał straży z miasta, śmielszych wygnał z fabryki raz na zawsze, a palaczowi wytoczył proces.

Wobec tak stanowczych kroków robotnicy zmiękli. Przestali grozić bezrobociem, lecz natomiast żądali, ażeby Adler przyjął napowrót wygnanych, a za pieniądze z kar, ażeby choć felczera ugodził do fabryki.

Adler odpowiedział na to, że robi tak, jak jemu się podoba i kiedy mu się podoba, a o wypędzonych ani chciał słuchać.

W następny poniedziałek było już cicho w fabryce, a pastor Böhme przyjechał do Adlera, ażeby go dobrać i skłonić do słusznych ustępstw dla robotników. Nadspodziewanie zastał przyjaciela swego bardziej zaciętym, niż kiedykolwiek. Na wszystkie przedstawienia stary tkacz odpowiadał, że jeżeli miał coś zrobić, to już teraz nic nie robi. Raczej zamknie fabrykę.

— Ty ale wiesz Marcinie, — mówił Adler — że oni nas w gazetach opisali? W jakimś piśmie humorystycznym wyśmiewają mego Ferdynanda, a w dziennikach mówią, że Gosławski zginął z powodu nadmiaru pracy i braku doktora..

— Jużci w tem jest część racji... — odparł Böhme.

— Niema żadnej! — krzyknął fabrykant. — Ja więcej pracowałem niż Gosławski, i każdy niemiecki robotnik więcej pracuje. A doktor mógł być tak samo wyjechać z fabryki do chorego, jak wyjechał z miasteczka...

— Zostałby jednak felczer... — wtrącił pastor.

Adler na ten zarzut nic nie odpowiedział. Chodził po pokoju wielkimi krokami i sapał; wkońcu zaproponował gościowi, ażeby przenieśli się z mieszkania do ogrodu.

— Johann! — krzyknął na odchodem — wynieś flaszkę reńskiego wina do altanki.

Przeszli do altany, która stała nad sadzawką. Łagodny powiew wiatru, chłód drzew, a może i kielich dobrego wina, uspokoiły Adlera. Böhme przypatrywał się olbrzymowi przez wierzch złotych okularów, a wi-

dząc w nim zmianę na lepsze, umyślił przypuścić jeszcze jeden atak.

— No! — rzekł, trącając jego kieliszek swoim. — Człowiek, który pije takie doskonałe wino, nie może mieć twardego serca. Daruj im karę, miły Gotliebie, przyjmij wypędzonych — i zgódź doktora... Za twoje zdrowiel...

— Piję za twoje zdrowie, Marcinie, i powiadam — nic z tego!... — odparł fabrykant już bez gniewu.

Pastor potrząsnął głową.

— Hm!... — mruknął — to źle, żeś taki zacięty.

— Nie mogę moich interesów poświęcać dla sentymentu. Jeżeli dziś ustąpię im na tysiąc rubli, to oni jutro zechcą miljona.

— Przesadzasz! — odparł Böhme kwaśno. — A ja ci powiem, że jeżeli za dziesięć tysięcy rubli możesz skończyć tę historję, to daj piętnaście — i kończ!..

— Już się ale wszystko skończyło — rzekł Adler. — Hultaje poszli precz, a inni dowiedzieli się, że u mnie jest rygor. Gdybym ja był taki miękki, jak ty, cała fabryka chodziłaby mi po głowie.

Pastor umilknął, podniósł oczy do góry, zamyslił się. Potem począł rzucać na czystą powierzchnię sadzawki, to korek, to kawałki drzewa...

— Czego ty ale Marcinie rzucasz śmiecie na wodę? — spytał go Adler.

Pastor pokiwał głową i wyciągnął rękę w kierunku sadzawki, na której każdy rzucony przedmiot wytwarzał coraz szersze koła.

— Czy widzisz, Gotliebie, te fale?.. — spytał fabrykanta. — Widzisz, jak one rosną i płyną coraz dalej?..

— Tak się zawsze robi — odparł Adler. — Cóż w tem dziwnego?

— Masz rację — rzekł pastor. — Tak się robi zawsze i wszędzie: na sadzawce i w naszym życiu. Kiedy złe, czy dobre upadnie na świat, powstają około niego fale coraz większe i idą dalej a dalej...

— Nic nie rozumiem! — przerwał Adler, pijąc flegmatycznie wino z kielicha.

— Zaraz ci wytłumaczę, tylko nie gniewaj się.

— Ja się na ciebie nigdy przecie nie gniewam — odpowiedział fabrykant.

— Otóż, widzisz, jest tak. Ty źle wychowałeś syna i rzuciłeś go w świat, jak ten patyk na wodę. On narobił długów, i to jest pierwsza fala. Ty zniżyłeś płace robotnikom i oddaliłeś lekarza, a to jest druga fala. Śmierć Gosławskiego — to trzecia. Nieporządki w fabryce i opisy w gazetach — czwarta. Wypędzanie robotników, procesy — to piąta fala... A jaka będzie szósta i dziesiąta?..

— Nic mnie to nie obchodzi! — rzekł Adler. — Niech sobie twoje fale idą w świat i trapią głupich, mnie nic do tego...

Pastor rzucił korek przy brzegu sadzawki i znowu wskazał go tkaczowi.

— Patrz, Gotlieb! Niekiedy dziesiąta fala odbija się od brzegu i wraca... tam, skąd wyszła.

Starego fabrykanta zastanowiło to porównanie, bardzo zresztą jasne. Przez chwilę można było myśleć, że się waha, że zbudziła się w nim jakaś nieokreślona obawa.

Ale trwało to tylko chwilę. Adler miał umysł zbyt realny i zbyt słabą wyobraźnię, ażeby mógł bawić się w przeczuwanie odległych wypadków. Osądził więc, że pastor bredzi po kaznodziejsku i odparł, śmiejąc się, grubym głosem:

— Ho! ho! mój Marcinie, to też ja postarałem się, ażeby twoja fala nie wróciła do mnie.

— Kto wie?..

— Ani doktor nie wróci, ani podżegacze do bezrobocia, ani pieniądze za kary, ani... ani nawet Gosławskil..

— Nieszczęście może wrócić...

— Ho! hol.. nie wróci, nie!.. A jeżeli wróci, rozbije się o moją pięść, o fabrykę, o towarzystwo asekuracji, o policję, a nareszcie — o mój majątek...

Późno w nocy rozeszli się przyjaciele.

— Jaki to warjat z tego Marcina! — myślał fabrykant. — On mnie chce nastraszyć!..

A pastor, jadąc swoim wózkiem do domu, patrzył w niebo i z trwogą zapytywał: Jaka tu fala powróci?..

Porównanie to przyszło mu na myśl znienacka i Böhme uważał je za pewien rodzaj objawienia. Wierzył, że fala krzywdy wrócić musi, ale kiedy i która?..

Tej nocy miał niespokojne sny. Rzucał się i krzyczał, aż zbudziła go żona.

— Marcinie! co ty wygadujesz?... czyś chory?..

Böhme siadł na łóżku, obłany zimnym potem.

— Czy ci się śniło co straszego?.. — zapytała żona.

- Tak, ale nie pamiętam... Czy ja co mówiłem?..
 - Wołałeś coś nie do rzeczy. Fala!.. wraca!.. wraca!..
 - Niech nas Bóg ma w swojej opiece!—szepnął pastor, czując w głębi serca wielką trwogę.
-

VI.

W oczach ludzkich złe czy dobre życiowe fakta wówczas dopiero zdają się nabierać znaczenia, gdy odbijają się w druku.

O starym Adlerze oddawna wiadano, że jest egoistą i wyzyskiwaczem, o Ferdynandzie, że jest egoistą i rozpustnikiem; ale dopiero artykuły wydrukowane z powodu śmierci Gosławskiego, oburzyły przeciw nim opinię.

Teraz cała okolica poczęła zajmować się fabryką. Opowiadano o wszystkim, co się tam działo i komentowano w odpowiedni sposób. Ludzie wiedzieli o najdrobniejszych szczegółach. Wiedzieli, ile Ferdynand narobił długów zagranicą, ile obecnie tracił, i co jego ojciec odbijał na zmniejszaniu zarobków a powiększaniu pracy robotnikom. Nadewszystko jednak oburzano się z powodu śmierci Gosławskiego, który, w oczach ogółu, był ofiarą chciwości starego fabrykanta i rozpusty jego syna.

Wprawdzie niektórzy wspominali, że w każdym zakładzie przemysłowym i przy każdej maszynie, nie wyłączając młocarni i sieczkarni, może trafić się nieszczęście. Ale ich łatwo pokonywano. Jakto, mówiono,

więc w fabryce godzi się trzymać robotników od świtu do północy? Więc w zakładzie posiadającym setki maszyn, nie powinien być lekarz i felczer? Czy Adler jest tak ubogi, że tysiąc rubli wydanych na obsługę sanitarną, robi mu różnicę? Wszakże dawniej był tam lekarz i felczer, i dopiero, gdy młody narobił długów, stary spłaca je krwią ludzi, których i bez tego wyzykiwał.

Taki nastrój opinii niebawem dał się uczuć Ferdynandowi. Paru ludzi młodych, na wyraźny rozkaz swoich rodziców, zerwało z nim stosunki. Inni bardzo ochłodli i postępowali z Ferdynandem raczej przyzwoicie, aniżeli serdecznie. Nawet i od tych przyjaciół, jacy mu pozostali, a pozostali nie najświetniejsi, słyszał nieraz zdania wyglądające na przycinki.

Niedość na tem. W hotelu, w restauracji, winiarni, cukierni, które to zakłady wiele na nim zarabiał, podsuwano mu, jakby umyślnie, pisma, w których znajdowały się korespondencje o przyczynach śmierci Gosławskiego. A gdy raz, otoczony swoim sztabem, zapytał subiekta: czy jest w sklepie dobre czerwone wino? odpowiedziano mu:

— Jest paniel.. czerwoniutkie jak krew...

Może w kim innym podobne objawy zbudziłyby zastanowienie. Ktoś inny, widząc powszechną niechęć, może usunąłby się na jakiś czas, a nawet zmienił tryb życia i starał się oddziaływać na ojca. Ale Ferdynand nie należał do rzędu tych *innych*. On przedewszystkiem nie mógł pracować, chciał hulać, nie słuchał opinii, lecz przeciwnie—drażnił ją i wyzywał. Sądząc po swoich marnych przyjaciółach, był pewny, że prędzej

lub później wszyscy ugną się przed nim, że nikt nie ośmieli się stawić mu oporu. Głucha walka, tocząca się między nim i ogółem, gniewała go i podniecała. Widział w niej nietylko źródła przykrości, ale i przyszłego triumfu; był bowiem zdecydowany, pierwszemu człowiekowi, który mu wejdzie w drogę, zrobić awanturę. A tak czuł potrzebę awantury, czegoś, coby mu wstrząsnęło nerwy i wyrobiło opinię niebezpiecznego!

Był to syn ojca, który także lubował się w druzgotaniu przeszkód, chociaż na innej drodze.

Niemiłą osobą dla Ferdynanda był niejaki Zapor, obywatel ziemski i sędziegminy. Człowiek ten, wzrostu średniego, gruby, niezręczny, miał powierzchowność surową i odpychającą. Patrzył z pod oka, mówił niewiele, głosem stanowczym, nie robiąc z nikim ceremonji i nazywając ludzi i rzeczy po imieniu. Pod tą jednak skorupą ukrywał się wielki rozum i obszerna wiedza, serce pełne szlachetnych uczuć i nieugięty charakter.

Zapory nie można było przekupić uprzejmością, dowcipem, stanowiskiem, ani ładnymi teorjami. Słuchał wszystkiego obojętnie, ponuro patrząc na mówcę. Ale rachował tylko czyny i starał się wnikać w głąb człowieka. W kim poznał prawość, ten stawał się jego przyjacielem w dobrej i złej doli. Ale ludźmi złymi, pozbawionymi charakteru, próżnującymi, hulakami, gardził i nie starał się tego ukrywać.

Młody Adler spotykał niekiedy chmurną osobę sędziego, ale nie rozmawiał z nim ani razu—nie miał sposobności. Zapor ze swej strony nie szukał go i nie

unikał, nie zajmował się nim, a w rozmowie z przyjaciółmi nazywał go „błaznem“.

Ludzie żyjący w bliższych stosunkach z Zaporą wiedzieli, że słówko: „ten błazen“, oznaczało młodego Adlera. Doświadczeni przewidywali, że wcześniej lub później Zapora i Ferdynand w ciasnej sferze małomiasteczkowego życia zetknąć się muszą, i że młody hulaka usłyszy niejedną gorzką prawdę.

Jak zwykle w podobnych wypadkach, Ferdynand podejrzывał, że Zapora nie lubi go; z robieniem więc znajomości nie śpieszył się. Zresztą, posądzał on Zaporę o pisanie korespondencji o Gosławskim i obiecywał sobie, że przy okazji odpłaci mu pięknem za nadobne.

W początkach września był w miasteczku jarmark. Zjechało się dużo szlachty z kilku powiatów, przyjechał i Zapora, który miał w mieście kancelarję. Załatwił najpilniejsze sprawy urzędowe, kupił co mu było potrzeba i, około drugiej w południe, poszedł do restauracji na obiad.

W największej sali znalazł tłum znajomych. Wszystkie stoły, zestawione w jeden szereg, nakryto i ozdobiono mnóstwem butelek wina, przeważnie szampańskiego. Przygotowania zdawały się zapowiadać niezwykłą pijatykę.

— Cóż to znaczy?—spytał Zapora.—Czy kto zamówił obiad?

Otoczyli go znajomi, a między nimi kilku przyjaciół Adlera.

— Wyobraź sobie,—rzekł ktoś ze śmiechem—że młody Adler zakupił wszystkie obiady i każdego, kto tu wejdzie, zaprasza na bankiet.

— Spodziewam się, że i sędzia nie odmówi nam swego towarzystwa — odezwał się jeden z przyjaciół Adlera.

Zapora spojrzał na niego z boku.

— Odmówię! — odparł.

Młody człowiek, nie odznaczający się nadmiarem taktu, począł nalegać.

— Dlaczegoż to, szanowny sędzio?

— Dlatego, że na obiad, wydany za pieniądze starego Adlera, mógłby mnie prosić tylko stary Adler, a gdyby on mnie zaprosił — takżebym odmówił.

Do rozmowy wmieszał się drugi przyjaciel Ferdynanda.

— Czy sędzia masz co do zarzucenia Adlerowi?

— Niewiele. Stary jest eksploatatorem, młody próżniakiem, a obaj przynoszą nam więcej szkody aniżeli pożytku.

Sumienie publiczne pierwszy raz odezwało się tak wyrażnie, przez usta człowieka mającego cywilną odwagę. Przyjaciele Adlera umilkli, inni goście byli zakłopotani, kilku wrażliwszych wzięło kapelusze, z zamiarem opuszczenia sali.

W tej chwili wbiegł młody Adler z innym swoim przyjacielem. Przy pierwszym kroku spostrzegł on oryginalną figurę sędziego i, nie wiedząc o tem, co się stało, szepnął do towarzysza:

— Zapoznaj mnie z nim!.. Podobno dobrze pije?

— Cudownie! — odparł towarzysz i, nie zwłócząc, poskoczył do Zapory.

— Cóż to za szczęśliwy traf! — rzekł. — Adler w tej knajpie wyprawia dziś miastu ucztę, sędzia za-

tem wpadłeś w sidła, z których go nie wypuścimy. Ale panowie jeszcze nie znają się...

W sali zrobiła się cisza. Wszyscy patrzyli.

— Pan Adler!... Pan Zaporą!

— Dawno już pragnąłem poznać sędziego—rzekł Ferdynand i wyciągnął rękę.

— Miło mi! — odparł Zaporą i swoją rękę cofnął.

Niektórzy z obecnych poczęli sznurować usta. Ferdynand pobladł; przez chwilę stał zmieszany, ale odzyskał przytomność i nagle zmienił grę.

— Pragnąłem poznać sędziego,—mówił dalej — ażeby podziękować mu za... korespondencję o moim ojcu do pism...

Zaporą utopił w nim surowe spojrzenie.

— O pańskim ojcu — rzekł spokojnie — pisałem jedną tylko korespondencję, mianowicie: do wójta gminy, ażeby go wezwał na sprawę.

Adler zakipiał z gniewu.

— Ach! Więc w takim razie pisywałeś pan tylko o mnie, do pism humorystycznych?

Zaporą ani na chwilę nie stracił zimnej krwi. Ścisnął w rękę laskę i odparł:

— Mylisz się pan. Korespondencje do pism humorystycznych zostawiam młodym ludziom bez zajęcia, którzy chcą zostać sławnymi w jakikolwiek sposób.

Adler już nie panował nad sobą.

— Pan mnie obrażasz! — krzyknął.

— Przeciwnie. Nawet nie zaprzeczę ostatniemu twierdzeniu, ażeby nie obrażać pana.

Zdawało się, że rozdrażniony młodzieniec rzuci się na Zaporę.

— Pan mi dasz satysfakcję! — krzyczał Adler.

— Z przyjemnością.

— Ale natychmiast!

— No, naprzód muszę zjeść obiad, bom głodny. Zresztą za godzinę będę u siebie na pańskie usługi — odpowiedział Zapora chłodno.

Potem kiwnął głową paru znajomym i z wolna opuścił salę.

Uczta urządzona przez Adlera odbyła się dosyć kwaśno.

Wielu z gości wyszło przed obiadem, inni udawali wesołość. Ale zato Ferdynand miał doskonały humor. Pierwszy kieliszek wina uspokoił go, a dalsze podnieciły. Był kontent, że ma pojedynek, jeszcze z Zaporą!—i ani wątpił o triumfie.

— Dam mu lekcję strzelania—szepnął do jednego z sekundantów — i bastal..

A w duchu pomyślał:

— To mi lepiej wyreguluje stosunki, aniżeli wszystkie obiady.

Doświadczeński awanturnicy, jakich nie brakło w sali, patrząc na młodego siłacza, przyznawali mu charakter i fantazję.

— Dzięki niebu — mówił jeden z nich — i nasz partykularz będzie miał głośną sprawę.

— Żal mi tylko...—rzekł inny.

— Czego?

— Tych butelek, które padną trupem...

— Myślę, że im sprawimy świetny pogrzeb.

— Byle nie któremu z przeciwników.

— Wątpię. A jakież są warunki?

— Pistolety i walka do pierwszej krwi.

— Aj do diabła! Czyżże to pomysł?

— Adlera.

— Czy on taki pewny siebie?

— Ogromnie strzela!..

W ten sposób rozmawiali przyjaciele Ferdynanda, ludzie obeznani z pojedynkami. Przy końcu obiadu dowiedziano się, że Zapora przyjął wszelkie warunki i że walka odbędzie się nazajutrz rano.

— Panowie! — rzekł na zakończenie Adler — proszę was dziś na stypę. Będziemy pili całą noc.

— Czy to praktycznie? — spytał ktoś.

— Ja tak zawsze robię przed *kontredansem*, wprowadzie... dopiero czwarty raz! — odpowiedział Ferdynand.

W innej restauracji zebrali się ludzie poważniejsi, przyjaciele Zapory; i ci także rozprawiali o zajściu.

— Fatalność! — mówił jeden — ażeby taki poważny człowiek musiał strzelać się z chłystkiem.

— Coprawda, to Zapora niepotrzebnie włożył w ten pasztet.

— Włożył przypadkiem, a cofnąć się już nie mógł.

— Dziwna historia, — odezwał się milczący dotąd siwy szlachcic — że świszczypałka, i powiem nawet, ladaco, jak Adler, nie tylko wchodzi w towarzystwa ludzi przyzwoitych, ale nawet ma sposobność zrobić awanturkę takiemu Zaporze. Dawniej nie ścierpiano by między ludźmi podobnej osobistości, choćby ze względu na postępowanie jego ojca.

— To też dlatego, panie radco, że opinia jest u nas trochę za miękka, ludzie uczciwi i silniejszego

charakteru muszą nadstawiać głowy. Mnie poprostu żal Zapory.

— Czy on nie umie strzelać?

— Strzela jako tako, ale tamten jest artystą.

— Za pozwoleniem!—krzyknął młody blondyn.—

Ponieważ panowie weszliście na moje terytorjum, więc mam honor przypomnieć, że niezawsze ten ginie, kto źle strzela. Pamiętam, jakem był sekundantem Stasia, w pojedynku z Edziem, Staś nie umiał trzymać pistoletu, a przecież...

— No, ale w każdym razie bezpieczniej jest, dobrze strzelać.

— Naturalnie! naturalnie!—pochwycił młody blondyn. — Ja kiedy miałem pojedynek z jednym austriackim kapitanem, to zapowiedziałem mu, że dostanie kulą...

Tu szepnął coś do ucha staremu szlachcicowi.

— I trafiłeś?

— Jak w tarczę, panie radco, jak w tarczę!

— A może to źle, że Zapora jest mańkut? — odezwał się ktoś inny.

— Przy pistoletach nic nie szkodzi—mówił blondyn — a przy pałaszach nawet dużo pomaga. Ja, kiedy się bił na rapiery z jednym mańkutom, to mnie tak trzepnął w czoło, że doktorzy przez dwie godziny uważali mnie za umarłego... O, tu jest blizna!

— Bój się Boga! przez dwie?

— No, może przez półtorej.

— Półtorej godziny nie biło ci serce?

— No, może przez pół godziny. Tego przecież nie pamiętam... leżałem jak trup. Jeszcze mi wtedy

mój służący, Niemiec, wyciągnął sakiewkę z lewej kieszeni.

— Skądże wiesz, że on?

— Jakże skąd? Złapałem hultaja na gorącym uczynku. Ja nie jestem skory do posądzania kogoś na wiatr!

Około godziny 6-tej wieczorem Ferdynand wrócił z restauracji do swego numeru. Chciał podrzemać trochę, między pijatyką dzienną i nocną, ale nie mógł zasnąć. Począł chodzić po pokoju i wtedy spostrzegł, że naprzeciw jego okien leżą okna kancelarii Zapory.

Ulica była wąska, kancelarja znajdowała się na dole, a numer, w którym stał, na piętrze. Ferdynand jak na dłoni miał przed sobą mieszkanie Zapory i począł je obserwować.

Sędzia był tam i w tej chwili rozmawiał z ławnikiem i pisarzem, pokazując im jakieś papiery. Trwało to przez pewien czas. Potem ławnik pożegnał Zaporę, pisarz wyszedł do siebie, a sędzia został sam.

Ustawił lampę na biurku, zapalił cygaro i zaczął pisać na arkuszu papieru. Naprzód dość długi tytuł, potem dalszy ciąg, szybko i równo. Adler był pewny, że sędzia, na wszelki wypadek, pisze testament.

Pomimo młodego wieku pojedykował się już kilka razy. Walki te uważał za pewien rodzaj niebezpiecznej zabawy. Teraz przecie uczuł, że pojedynek może być posępną uroczystością, do której wypada się przygotować.

W jaki sposób?

Oto — pisząc testament!

Położył się na kanapie.

Na kurytarzu hotelowym słychać było co chwila głosy dzwonek i bieganinę służby. Ferdynand począł marzyć.

Kiedy był jeszcze małym chłopcem (działo się to w początkach rozwoju fabryki), zauważył, w budynku maszyny parowej, niewielkie drzwi przybite gwoździem. Drzwi te zaciękały go i niepokoiły. Pewnego dnia zdobył się jednak na odwagę, odchylił zgięty gwóźdź, drzwi odskoczyły—i ujrzał za niemi kilka miedzianych rur, zwiniętą linę i miotłę.

Wypadek ten utkwiał mu w pamięci i przypominał się przy każdym pojedynku. Ile razy świadkowie postawili go już na mecie, gdy ujrzał wymierzoną lufę przeciwnika i uczył swój palec na cynglu, przychodziły mu na myśl owe niepokojące drzwi i zgięty gwóźdź. Wtedy przyciskał cyngiel, jak niegdyś gwóźdź, i—sprawa się kończyła. Za tajemniczymi drzwiami losu, jakie czasem otwiera kula, Ferdynand nie spotykał nic osobliwego: co najwyżej rannego przeciwnika, albo — kilkanaście butelek szampana, wypitych w dobrem towarzystwie.

Takie też to i bywały owe pojedynki. Strzelało się o śpiewaczkę, o zakład na wyścigach, o potrącenie na ulicy...

Ale jutrzejszy pojedynek miał być różny od poprzednich. Tu występował do walki z jednej strony on, syn nie lubianego ojca, a z drugiej strony człowiek szanowny, niejako reprezentant obrażonego ogółu. Za jego przeciwnikiem stali wszyscy ci, którzy mieli odwagę unikać Adlera, wszyscy robotnicy i prawie wszyscy oficjaliści fabryki. A za nim kto?

Nie ojciec, bo ten nie pozwoliłby mu strzelać się. Nie przyjaciele, którzy z nim pili, ponieważ ci zdawali się zakłopotanymi, i czekali tylko na możliwość opuszczenia go przy łada sposobności.

Któż więc jest z nim? — nikt. A przeciw niemu cały tłum. Jeżeli rani Zaporę, da powód wrogom do nowych krzyków. Jeżeli sam zostanie raniony, powiedzą, że jest to kara Boska na niego i na ojca.

Co to znaczy? Jakim sposobem znalazł się sam przeciw wszystkim, on, który chciał tylko hulać ze wszystkimi! Skąd między zbiorowiskiem ludzi delikatnych, miękkich, bojaźliwych, pobłażliwych, zresztą w najgorszym razie odwracających się od niego, wziął się człowiek szorstki, który mu w oczy mówił impertynencje? Jeżeli on istotnie był złym, to dlaczegoż inni go nie ostrzegli? Dlaczego błędy młodości mają kończyć się tragicznie?

Jak niegdyś, tak i dziś, ale już w wigilję pojedynku, Ferdynand przypominał sobie owe drzwi w fabryce ojca, lecz tym razem wyglądały one inaczej. Zdawało mu się, że gdyby je otworzył, zobaczyłby zamiast rur, liny i miotły — trumnę z napisem: „Mieszkanie dla osoby pojedynczej“. Trumnę z taką kartką widział raz przed sklepem stolarza w Warszawie.

— Mieszkanie dla osoby pojedynczej! — szepnął Ferdynand. — Zabawny stolarz.

Kanapa hotelowa nie odznaczała się miękkością. Ferdynand trzymał głowę na krawędzi i przypominał sobie swój powozik, którym po pijanemu wracał nie kiedy do domu. Powozik, wygodny dla siedzącego dla leżącego był tak niewygodnym, jak ta kanapa

Zdawało mu się, że jedzie nim, że czuje lekkie drganie, słyszy turkot, tentent koni...

Jest już północ; szosę oświeca księżyc stojący wysoko. Powozik drży i turkocze, nagle — staje.

„Co to znaczy?“ — pyta Ferdynand w marzeniu.

„Gosławskiemu urwało rękę“ — odpowiada mu jakiś cichy głos.

„Czy temu co ma ładną żonę?...“ — pyta znowu Ferdynand, jak wówczas na jawie.

„Widzisz, jaki mądry!“ — odpowiada mu ten sam głos.

„Mądry? co to jest mądrość?...“ — mówi do siebie Ferdynand, przewracając się na kanapie, jak gdyby nie chciał patrzeć na widziadła.

Ale widziadła nie znikają. I widzi, jak wówczas na jawie, gromadę ludzi otaczających kogoś, co leżał na noszach. Widzi jego rękę sterczącą nad piersiami i owiniętą w gałgany, na których czernią się wielkie pląty krwi. Przeciera oczy... Napróżno! Ludzie stoją i nosze stoją, a wszystko jest tak wyraźne, że na tle szosy widać nawet skrócone cienie przedmiotów i osób.

„Jak ten człowiek cierpi!“ — szepnął Ferdynand. — „I musi umrzeć!“ — dodał. — „Ach! umrzeć!“

Zdawało mu się, że on jest człowiekiem na noszach, ze zdruzgotaną ręką, bolejącym, pozbawionym nadziei, że to jego wybladłe ciało oświecila ten straszny księżyc.

Skąd podobne myśli? Od kiedy to szampan nasyca tak smutne wizje?

Nagle doświadczył nieznanego dotychczas wrażenia. Czuł, że coś go nęka, obezwładnia, szarpie mu

serce, świdruje w mózgu. Czuł, że chce krzyczeć, uciekać, schować się gdzieś!

Ferdynand skoczył na równe nogi. W pokoju był już zmrok.

— Do diabła! Ależ ja się boję!... — szepnął. — Ja się boję?... Ja?...

Z trudnością znalazł zapalki, rozsypał je, podniósł jedną, potarł — zgasła; drugą zapalił, a od niej świecę.

Spojrzał w lustro. Miał twarz szarą, oczy podkrojone, źrenice bardzo rozszerzone.

— Ja się boję? — pytał.

Świeca trzęsła mu się w ręku.

— Jeżeli jutro pistolet będzie mi tak skakał, to dobrze wyjdę! — rzekł.

Spojrzał przez okno. Tam w mieszkaniu na dole, po drugiej stronie ulicy, siedział Zaporą przy biurku i pisał wciąż — równo i spokojnie.

Widok ten otrzeźwił Ferdynanda. Dzielny temperament wziął górę nad przywidzeniami.

— Pisz sobie kochanku — pomyślał patrząc na sędziego — a ja ci postawię kropkę!

Na kurytarzu rozległo się stąpanie. Zapukano do drzwi.

— Wstawaj, Ferdynandzie, biba gotowa! — zawołał ktoś.

Usłyszawszy znajomy głos, Ferdynand był już zupełnie sobą. Gdyby mu przyszło skoczyć w przepaść najeżoną bagnetami, nie zmrużyłby oka. Czuł znowu siłę lwa i tę szaloną odwagę młodości, dla której niema niebezpieczeństw, niema granic.

Kiedy otworzył drzwi i zobaczył swoich towarzyszków, wybuchnął serdecznym śmiechem. Śmiał się z chwilowego rozdrażnienia, z przywidzeń i z tego, że mógł pytać siebie: „Czy ja się boję?”

Nie — on się niczego nie boi, nawet tego, ażeby niebieskie sklepienie nie upadło mu na głowę. Jeżeli nie genjuszem, którego bynajmniej nie posiadał, to odwagą był on prawdziwym orłem, który siada na piorunach, jak na gałęziach, i śmiało patrzy w boskie oblicze samego Jowisza.

Do wschodu słońca biesiadowali towarzysze Adlera pod jego przywództwem. W restauracji okna drżały od śmiechów i wiwatów, a po wina trzeba było chodzić do obcych sklepów.

Około godziny szóstej wyjechały z miasta cztery powozy.

VII.

Od kilku dni do składów fabrycznych nadchodziły wielkie transporty bawełny. Adler, w przewidywaniu podwyżki cen, całą gotówkę obrócił na zakup tego produktu. Do fabryki sprowadzono obecnie ledwie część nabytku, którego ogromna ilość znajdowała się jeszcze w składach angielskich i niemieckich.

Rachuby tkacza nie zawiodły go. Już w kilka tygodni po zawarciu umów o dostawę, cena bawełny podniosła się i od tej pory podnosiła się wciąż. Zapytywano go: czyby nie odstąpił produktu o 2% wy-

żej? lecz Adler słuchać o tem nie chciał. Zacierał tylko ręce z zadowolenia. Dawno nie pamiętał tak korzystnej operacji i dziś widział, że nim przerobi surowy towar, majątek jego powiększy się przynajmniej o trzecią część.

— Wkrótce skończę z fabryką!—mówił do siebie.

Dziwna rzecz. Od chwili, w której zobaczył na odległym widnokregu kres swojej kilkudziesięcioletniej pracy, uczuł nieznane dotychczas osłabienie. Fabryka poczyniała mu się przykrzyć. Chciał gdzieś wyjechać; tęsknił. Nieraz prosił syna, ażeby tak ciągle nie przebywał za domem, ale raczej siedział z ojcem i opowiadał mu o swoich podróżach. Coraz częściej wymykał się do pastora Böhme i tam całemi godzinami rozprawiał o czekającym go wypoczynku.

— Jestem znużony! — mówił. — Śmierć Gosławskiego i fabryczne awantury stoją mi już kością w gardle.

Zamyślił się i nagle dodał:

— Czy ty uwierzysz ale, mój Marcinie, że niekiedy, szczególnie z rana, gdy o człowieka kłóci się praca z łóżkiem, zazdroszczę ci twojego trybu życia. I nieraz mówię sobie: czy nie lepiej być pastorem, któremu ludzie nie klną, syn nie traci pieniędzy i nie wymyślają gazety?.. Ale to głupstwo! Widać, że się zestarzałem.

I jak niedawno Gosławski, na którego grobie nie osiadła jeszcze ziemia, liczył dni pobytu w fabryce, tak dziś stary tkacz rachował miesiące.

— Do lipca roku przyszłego powinienem wyrobić wszystką bawełnę. W czerwcu trzeba ogłosić sprzedaż

fabryki. Najdalej w sierpniu wypłacą mi, bo w kredyty bawić się nie myślę, a we wrześnieu...

No! ja nic nie powiem Ferdynandowi, do ostatniej chwili. Dopiero chłopak ucieszy się!.. Swoją drogą pieniądze oddam do banków i żyć będę tylko z procentu, bo inaczej ten hultaj straciłby wszystko w parę lat, a ja musiałbym jeszcze zostać gdzie obermajstrem... Ha! ha!

Niekiedy śniła mu się wielka góra, sięgająca prawie do nieba, z której buchał ogień i na którą on wdrapywał się ze zwykłą mu zaciętością. Czasami marzył, że jedzie balonem coraz wyżej i wyżej, aż tam—skąd gwiazdy zdają się być większemi. To znowu widział tłumy tancerzy strojnych i pięknych, przebiegających bogate salony, które ciągnęły się nieskończenie daleko. Ale wszędzie był sam, Ferdynanda nie spostrzegał przy sobie.

Wtedy myślał:

— Ten hultaj tak odzwyczaił mnie od swego towarzystwa, że mi się nawet nie śni. Gdybyśmy jeszcze kilka lat pomieszkali w tej okolicy, zapomniałbym jak wygląda.

Mimo to, syna swego coraz mocniej kochał i jedynie dlatego pozwalał mu szaleć za domem i nie śmiał dłużej zatrzymywać przy sobie, że — go bardzo kochał.

— Co ja mam chłopca przykuwać do fabryki, która obmierzła mnie samemu? Co go może obchodzić, że ja za nim tęsknię? On przecież młody, a ja—stary dziad! On musi bawić się z młodymi, a ja — mam także swoją zabawę — pracę.

Na drugi dzień po jarmarku w mieście, stary tkacz obchodził, jak zwykle, wszystkie warsztaty i biura. Kilkudziesięciu robotników było na kiermaszu, więc w fabryce opowiadano sobie o figlu pana Ferdynanda, wiele przesadzając. Mówiono, że panicz zakupił obiady we wszystkich restauracjach, i że każdy szlachcic, chcący co zjeść albo wypić, musiał pierwej kłaniać się młodemu panu.

Adler z początku śmiał się z figla, ale później, obliczywszy naprędce: ile podobna zabawa mogła kosztować?—spochmurniał.

— Hultaj Ferdynand — rzekł do buchaltera — wszystko nam ale strwoni, co zyskamy na podwyższeniu cen bawełny. Wielki kłopot mam z tym warjatem!

Na podwórzu stały fury z bawełną, którą najęci robotnicy przenosili do składów. Adler przypatrywał się robocie, oszedł składy, surowo nakazując, aby nikt nie ważył się palić papierosów, i powrócił do kantoru.

Przy bramie dwie kobiety żywo rozmawiały ze szwajcarem, lecz, zobaczywszy Adlera, uciekły.

Tkacz nie zwrócił na to uwagi.

Z kantoru wybiegł urzędnik, jakiś zmieszany. W kasie — buchalter, jego pomocnik i płatnik, zbici w kącie, naradzali się nad czemś, z wyraźnymi oznakami wzburzenia. Ale na widok pryncypała rzucili się szybko do swych biur, pochylając twarze ku papierom.

Adlerowi i to nie wydało się dziwne. Wczoraj był jarmark, więc pewnie urzędnicy opowiadają sobie jakieś plotki.

W salonie dla interesantów Adler spotkał się oko w oko z nieznanym mężczyzną. Gość był zniecierpliwiony i niespokojny. Chodził prędko po sali i rzucał rękoma. Spostrzegłszy olbrzymiego fabrykanta, nagle stanął i zapytał zmieszany:

— Wszak pan Adler?

— Tak! — odparł tkacz. — Pan ma do mnie interes?

Gość przez długą chwilę nic nie odpowiadał, tylko mu usta lekko drżały.

Fabrykant pilnie mu się przypatrywał, chcąc odgadnąć: kim jest i czego chce? Nie był to wcale kandydat na posadę fabryczną. Wyglądał raczej na bogatego panicza.

— Mam do pana ważny interes — rzekł gość.

— Może pan chcesz, ażebyśmy przeszli do mego domu? — spytał Adler, domyślając się, że z tak wzburzonym człowiekiem lepiej będzie nie rozmawiać przy urzędnikach. Może ma jaką pretensję?

Gość zawahał się, ale wnet odparł:

— Ha!.. to pójdźmy do domu... Ja już tam byłem...

— Pan mnie szukał?

— Tak... Bo... widzi pan, panie Adler, my... przywieźliśmy Ferdynanda...

Myśl o jakimkolwiek nieszczęściu była tak daleką od fabrykanta, że prawie wesoło spytał:

— Czy Ferdynand tak się spił na jarmarku, że go aż odwieźć było potrzeba?

— On jest ranny — odparł gość.

Byli już na dziedzińcu przed domem. Adler zatrzymał się nagle.

— Kto ranny?—zapytał.

— Ferdynand.

Starzec rozłożył ręce.

— Połamał nogi, kark skrzył? Co to znaczy?

— Ranny jest... kulą.

— Kulą? On? Jakim sposobem?

— Miał pojedynek.

Czerwona twarz fabrykanta miała teraz kolor cegły. Byli na ganku. Adler rzucił w sieni kapelusz i wpadł w otwarte drzwi. Nawet nie spytał: przez kogo syn został raniony? Cóż go to obchodziło?

W pierwszym pokoju zobaczył służących i jeszcze jednego nieznanego mężczyznę. Fabrykant oddepchnął ich i stanął przed szeslongiem, na którym leżał Ferdynand.

Ranny nie miał na sobie surduta, ani kamizelki. Twarz jego była tak strasznie zmieniona, że tkacz w pierwszej chwili nie mógł poznać własnego syna. W głowach siedział doktor.

Adler patrzył... patrzył... Potem upadł na niezajęte krzesło i oparłszy potężne dłonie na kolanach, rzekł stłumionym głosem:

— Co ty wyrabiasz, łajdaku!

Ferdynand spojrzał na niego z nieopisanym smutkiem. Ujął ojcowską rękę i — pierwszy raz od bardzo dawna — pocałował ją.

Adler wstrząsnął się. Oniemiał.

Ferdynand zaczął mówić cicho, z przerwami:

— Musiałem papo... musiałem!.. Wszyscy na nas krzyczeli... szlachta, kelnerzy, gazety. Mówili, że ja

tracę pieniądze, a ty obdzierasz robotników... Niedługo... pluliby nam w oczy...

— Nie męcz się pan!—szepnął doktor.

Starzec otworzył duże usta, pochylił się nad synem, patrzył, słuchał. Postawa jego wyrażała najwyższe zdziwienie, żal.

— Ratuj mnie, papo! — rzekł Ferdynand podniesionym głosem. — Ja obiecałem doktorowi dziesięć tysięcy...

Chmura niezadowolenia przemknęła po twarzy Adlera.

— Dlaczego aż tyle?—zapytał machinalnie.

— Bo ja... ginę... Czuję, że ginę!..

Starzec zerwał się.

— Tyś warjat!—zawołał.—Zrobiłeś głupstwo, łajdactwo!.. No, ale jeszcze nie umierasz...

— Umieram!—jęknął ranny.

Adler klasnął w ręce.

— Oszalał! jak Boga kocham, oszalał!

Zaczął biegać po pokoju, wyciągać palce aż trzeszczały, i nagle, stając przed doktorem, zawołał:

— No, powiedzże mu pan, że on jest głupi... Mówi o śmierci i myśli, że ja mu dam umrzeć!.. Tobie umrzeć?... Obiecałeś doktorowi dziesięć tysięcy? To za mało. Doktorze — mówił starzec gorączkowo — ja za mego syna dam sto tysięcy rubli, jeżeli jest chociaż cień niebezpieczeństwa. Bo zato tylko, że on głupi, ja płacić nie będę. Jakiż jego stan?

— Nic wprawdzie niebezpiecznego — mówił doktor — zawsze jednak kuracja musi być staranna.

— No, tak!—przerwał mu Adler.—Czy słyszałeś,

Ferdynand, co powiedział doktor?... A jeżeliś słyszał, więc mnie i sobie głowy nie zawracaj... Johann! Wyśłać depesze do Warszawy, niech zjadą się najlepsi doktorzy, extracugiem. Jeżeli potrzeba, posłać do Berlina i Wiednia, wreszcie do Paryża. Pan doktor niech da adresy najślawniejszych. Ja zapłacę; ja mam czem płacić!

— O! jak mi straszno! — jęknął Ferdynand, rzucając się na szeszlona.

Ojciec przypadł do niego.

— Uspokój się pan! — mówił lekarz.

— Papo! — krzyknął ranny. — Papo mój, ja już ciebie nie widzę...

Na ustach pokazała mu się krwawa piana. W oczach i na twarzy malowała się trwoga i rozpacz.

— Powietrze! — zawołał.

Zerwał się z szeszlona i wystawiając ręce naprzód, jak ślepy, pobiegł do okna. Wtem, ręce zwisły mu. Zwrócił się znowu, zatoczył do szeszlona i upadł nań, uderzając głową o ścianę.

Jeszcze raz zwrócił się do ojca, szeroko i z trudem roztworzył oczy i dwie łzy zwisły mu na powiekach.

Adler, cały drżący, obezwładniony, usiadł przy nim i swojemi wielkimi rękoma otarł mu łzy i pianę z ust.

— Ferdynandzie! Ferdynandzie! — szeptał—uspokój się. Będziesz żył; ja oddam cały majątek.

Wtem uczuł, że syn cięży mu w objęciach i upada.

— Doktorze! ocuć go, on mdleje!

— Panie Adler, wyjdź stąd! — rzekł doktor.

— Dlaczego mam wyjść? Ja nie mogę wyjść, kiedy syn potrzebuje mojej pomocy...

— Już nie potrzebuje — odparł cicho lekarz.

Adler patrzył na syna, trząsł go, szczypał. Na bandażu okrywającym piersi ukazała się duża plama krwi. Ferdynand był trupem.

Starca szła ogarnął. Zerwał się z szezlonga, kopnął nogą krzesło, potracił lekarza i wybiegł na dziedziniec, potem na szosę.

Na szosie spotkał jednego z furmanów, którzy przywieźli bawełnę. Schwycił go za ramiona i krzyknął:

— Czy ty wiesz?.. Syn mój umarł!

Rzucił człowieka na szosę i pobiegł do budki szwajcara.

— Hej! zwołać mi przed dom wszystkich ludzi, niech przyjdą... Natychmiast!

Tym samym pędem wrócił do pokoju, gdzie leżał zmarły syn, usiadł naprzeciw niego i patrzył, patrzył...

Ocknął się dopiero w jakie pół godziny.

— Dlaczego tak cicho? — zapytał. — Czy się maszyna zepsuła?

— Pan kazał zwołać robotników, więc maszynę zatrzymali i wszyscy czekają na dziedzińcu — odparł Johann.

— Poco? Naco? Niech idą do roboty! Ja nie chcę, żeby było tak cicho. Puścić maszynę i wszystkie warsztaty w ruch. Niech tkają, niech przędą, niech się kręcą, niech krzyczą!..

Schwycił się oburącz za głowę.

— Mój syn... syn... syn! — szeptał.

Oddawna już wysłano po pastora, który w tej chwili przyjechał i wbiegł z płaczem do pokoju.

— Gotliebie!—zawołał—ciężko nas dotknął Bóg, ale ufajmy jego miłosierdziu.

Adler przeciągle spojrzał na niego i rzekł, wskazując na zwłoki syna:

— Patrz, Marcinie! to ja jestem. To nie jego, to mój trup. Gdybym nie wierzył w to, chyba bym oszalał..

— Patrz — mówił dalej — to leży moja fabryka, mój majątek, moja nadzieja. Ale on żyje! Mów mi to i wy wszyscy. To mnie uspokoi... O serce, serce moje! Jak mnie bolil!

Fala krzywdy wróciła.

Gdy doktor i sekundanci wyjechali, pastor począł namawiać Adlera, ażeby wyszedł. Usłuchał go i wyszli do ogrodu. Tam stary fabrykant stanął na jednym wzgórku, rozejrzał się i począł mówić:

— Gdybym mógł objąć...

Rozkrzyżował ręce.

— Gdybym mógł objąć wszystko, zdusić, rzucić na ziemię i skopać nogami, o tak, o!.. Gdybym mógł!.. gdybym mógł!.. Marcinie, ty nie wiesz co się dzieje w mojej głowie i jak mnie serce bolil..

Upadł na ławkę i ciągnął dalej:

— Tam leży martwy syn mój, a ja—nic mu poradzić nie mogę. I wiesz co ci powiem? Zdaje mi się, że za rok, za miesiąc, a może za tydzień, doktorzy wynajdą sposób budzenia i leczenia takich rannych. Ale cóż, kiedy mnie nic z tego, choć za taki sposób oddałbym cały majątek i siebie!.. Sprzedałbym siebie

jak psa, jak sztukę perkalu. A jednak — nic zrobić nie mogę!

Pastor wziął go za rękę.

— Gotliebie, dawno ty się modliłeś?

— Czy ja wiem? Może trzydzieści, a może czterdzieści lat.

— Pamiętasz pacierz?

— Pamiętam, że... miałem syna.

— Syn twój jest u Boga.

Adler spuścił głowę.

— Jaki ten wasz Bóg drapieżny!..

— Nie bluźnij! Jeszcze spotkasz się z nim.

— Kiedy?

— Kiedy wybije twoja godzina.

Starzec zamyślił się, potem wydobył repetjer z kieszeni, nacisnął sprężynę, przysłuchiwał się dźwiękowi zegarka i rzekł:

— Moja godzina już wybiła, a ty, Marcinie, wróć do domu. Żona czeka cię, córka, kościół. Ciesz się niemi, odprawiaj swoje nabożeństwa, pij reńskie wino, a mnie — zostaw... Zdaje mi się, że czekam na pogrzeb całego świata i tylko słucham, rychło uderzą w jakiś wielki dzwon, od którego głowa mi pęknie. Zginie cały świat i ja w nim... Wróć do domu, Marcinie! Mnie przyjaciel niepotrzebny, a jeszcze mniej — pastor! Twoja wylękciona twarz nudzi mnie i drażni. Zresztą — ja obejdę się bez niańki; sam przecie wypiąstowałem mego syna.

— Gotliebie, uspokój się, pomódl.

Adler zerwał się z ławki.

— Idź do licha! — krzyknął.

Potem szybko pobiegł w głąb ogrodu i przez furtkę wymknął się na pole.

Pastor nie wiedział co począć. Wrócił do pałacu, pełen złych przeczuć. Chciał wysłać kogo, aby zdaleka pilnował Adlera, ale służba lękała się swego pana.

Pastor wezwał do siebie buchaltera i opowiedział mu, że jego pryncypał niezupełnie przytomny wybiegł w pole.

— Eh! to nic — odparł buchalter. — Zmęczysz się i wróci spokojniejszy. On tak zawsze robił, jeżeli się czem bardzo zmartwił.

Upłynęło kilka godzin, nadszedł wieczór, ale starego tkacza nie było widać.

Nigdy jeszcze nie rozprawiano z takim zajęciem we wszystkich warsztatach, jak dziś, od chwili przywiezienia rannego Adlera i jego śmierci. Nieszczęście Gosławskiego poruszyło wprawdzie całą fabrykę, przypomniało ludziom ich krzywdy, a surowość pryncypała rozdrażniła ich; ale w obecnym wypadku działa się wcale inaczej.

Pierwszem wrażeniem tłumu, na wieść o szybkiej śmierci Ferdynanda, było zdziwienie i przestach. Zdawało im się, że z pogodnego nieba uderzył piorun, że fabryka zachwiała się w posadach, że słońce cofnęło się w biegu. Nikomu, począwszy od naczelnego buchaltera, a skończywszy na ostatniej robotnicy i nocnym stróžu, nie mogło pomieścić się w głowach, że Ferdynand nie żyje. On, taki młody, silny, wesoły, bogaty! On, który nic nie robił, przy żadnej maszynie nie wystawał! On, syn potężnego ojca, nie żyje! zgi-

nał prędzej aniżeli mizerny robotnik Goślawski, zginął jak zajęć od strzału, prawie w okamgnieniu!

Ci ludzie prości, ubodzy, zależni, dla których Adler był bóstwem groźnem, wyższem nad wszelkie władze, największym magnatem i najsilniejszym człowiekiem — ci ludzie przestraszyli się. Zdawało im się w pierwszej chwili, że średni szlachcic i skromny sędzia gminny Zapor, który zabił Ferdynanda, popełnił świętokradztwo. Jak on śmiał strzelać do panicza, wobec którego najzuchwalsi robotnicy spuszczały oczy, najmocniejsi tracili siłę? Co się to dzieje?

I zdarzyła się rzecz osobliwa. Ci sami, którzy codzień przeklinali fabrykanta i jego syna, ci sami złorzeczyli jego zabójcy. Niejeden gorętszy wołał, że takiego łotra trzeba zabić, jak psa. Ale—gdyby ów łotr ukazał się nagle między nimi — uciekliby.

Po pierwszym wybuchu nastąpiła chwila rozwagi. Maszyniści i obermajstrzy wytłumaczyli im, że Zapor nie strzelał do Ferdynanda, jak myśliwy do ptaka, ale że Ferdynand sam chciał, ażeby do niego strzelano i sam strzelał pierwszy. Była to więc walka. Ale poco Ferdynand mieszał się do takiej walki, jeżeli nie mógł zabić przeciwnika? dlaczego chybił? Za co ci dwaj ludzie, a raczej dwie potęgi nadziemskie — starły się ze sobą?

Ktoś szepnął, że tu chodziło o nich, o robotników, że Zapor zabił panicza, bo on tracił pieniądze, zebrane z krzywdy ludzkiej. Zresztą—dodawali starsi—Bóg skarał Adlera. Przekleństwa zostały wysłuchane.

Tym sposobem w ciągu kilku godzin utworzyła się legenda. Łzy i krew ludzka doszły do Boskiego

tronu i cud się stał, tu w oczach całej okolicy. Po-
bożni zatrwożyli się, libertyni nadrabiali miną, ale
w sercu czuli jakiś dreszcz.

— Co to jeszcze będzie? — pytali wszyscy.

— A wiecie wy, że podobno stary zawarjował?

— Jużci chyba tak, kiedy furmana cisnął na
szosę, nas wszystkich zawołał niewiadomo poco, a te-
raz wyleciał z domu i tuła się po polu.

— On tak zawsze robi, jak jest czego zły...

— Na kogóż on jest zły?.. chyba na Pana Boga!

— Nie pyskuj tam!.. Nie wzywaj imienia Bo-
skiego, bo się jeszcze co staniel..

— Ciekawość, co teraz robi stary?

— A cóż, może już nas krzywdzić nie będzie?

— W kantorze mówią, że pewnie sprzeda fabrykę
i wyjedzie do swoich.

— Przecież on nikogo nie ma.

— Oj! znajdzie... Szwaby są pełne.

Tak szeptali robotnicy. Obermajstrzy byli powa-
rzeni. Nie pytali o robotę, tylko biegali do kantoru
po wiadomości. Jeden radził, ażeby na znak żałoby
wstrzymać fabrykę; ale stary buchalter zgromił go.

— Niech wszystko idzie, jak szło — rzekł. —
Pryncypał i tak jest niespełna rozumu: pocóż go
drażnić?.. Mnie samego największy żal i strach ogarną
wtedy, gdy fabryka stanęła i wszyscy poszli do pałacu.
Kiedy trajkoczą maszyny, człowiekowi na sercu lże
i wydaje mu się, że się nic złego nie stało.

— Prawda!.. Prawda!.. — potakiwali obecni.

Około szóstej wieczorem, w kantorze ukazał się
Adler. Wszedł jak widmo, niewiadomo kiedy. Jego

edziez powalana była ziemią, jak gdyby się tarzał. Krótkie lniane włosy jeżyły mu się. Był spocony i zadyszany. Białka oczu zaszyły mu krwią; źrenice miał nierówno rozszerzone.

Wszedł do kantoru, począł prędko obiegać wszystkie sale i strzelać z palców. Urzędnicy drżeli na krzesłach.

Młody korespondent czytał jakąś depeszę. Adler przystąpił do niego i spytał zmienionym głosem, choć spokojnie:

— Co to jest?

— Znowu bawelna poszła w górę... — odparł korespondent. — Zyskaliśmy dziś sześć tysięcy...

Nie dokończył. Adler wyrwał mu depeszę z ręki, zmiażdżył ją i rzucił mu w twarz.

— Podły jesteś!... — krzyknął na urzędnika. — Podły! jak śmiesz mi coś podobnego mówić?...

Począł znowu biegać po salonach i mruczyć:

— Człowiek jest najgorszem bydlęciem... Psy, widząc moją boleść, nie śmia łąsić się i uciekają z podtulonemi ogonami... A on mówi o sześciu tysiącach rubli!...

Stanął nad wylęknionym urzędnikiem i, wytrząsając rękoma, mówił chrapliwie:

— Zrób mi to, ty kamienny łbie, ażeby czas cofnął się o jeden tydzień... o jeden dzień, a ja ci oddam wszystkie moje zarobki. Wyjdę z przekłętego kraju bosi i nagi, wyczołgam się na kolanach, będę łukł kamienie przy drodze, będę marł z głodu i jeszcze będę szczęśliwy... No, ty!... czy potrafisz czas cofnąć o jeden dzień?... O pół dnia!...

Do kantoru wbiegł Böhme, zawiadomiony, że Adler wrócił.

— Gotliebie — rzekł pastor — konie czekają, jedź do mnie...

Fabrykant wyprostował się, włożył obie ręce do kieszeni, i zabłocony, zziębnięty, patrząc z góry na niego, mówił z ironją:

— Mój ty święty Marcinie, ja nie pojadę do ciebie!... Więcej ci powiem: ja — ani tobie, ani twojej Annecie, ani twemu Józiowi, nie zapiszę jednego grosza!... Słyszysz?... Ja wiem, że ty jesteś sługa Boży i że twoim językiem przemawia mądrość Pańska... Ale ja ci nie dam złamanego szeląga!... Mój majątek należy do mego syna i wcale nie jest przeznaczony nato, ażeby wspierał cnotę pastorskich dzieci... Idź ty, poczciwy Böhme, idź!... Idź do swojej chudej żony i do skromnej Annety, opowiadać im, żeś trafił na bardzo mądrego warjata, którego nikt nie oszuka, ani sztuczniemi łzami, ani prawdziwie głupią miną!... Albo idź ty, Böhme, tam... do trupa... i mrucz nad nim pacierze... Ale ja ci powiadam, że prędzej jego znudzi twoja modlitwa, aniżeli mnie opęta — twoja świątobliwa przeczność...

— Co ty mówisz, Gotliebie? — pytał zdziwiony pastor.

— No, przecież ja mówię wyraźnie!.. Spiknęliście się wszyscy, ażeby zabrać mój majątek, ażeby kiedyś twój Józio, technik, rządził się jak szara gęś w tej fabryce... Zabiliście mi syna... Chcecie zabić mnie... Ale nic z tego!.. Ja nie należę do rzędu głupców, którzy

za miliony rubli kupują zbawienie duszy u księży, albo pastorów!..

— Gotliebie!—przerwał mu pastor—ty mnie posądzasz?.. mnie?..

Adler schwycił go za rękę i z wściekłością patrząc w oczy mówił:

— Czy ty pamiętasz, Böhme, ile razy groziłeś mi karą Bożą?.. Dawniej robili to samo Jezuici z głupimi bogaczami i wydrwili ich od nich majątki... Ale ja nie dałem się odrwać, trzymałem mój majątek, więc... Bóg mnie skarał!.. Nie udawaj zdziwionego, Böhme!.. Wszak nie tak dawno rzucałeś na sadzawkę korki i drzewo i pokazywałeś mi jakieś fale, mówiłeś, że powrócą... No—i wróciły twoje fale!.. Tylko mój biedny syn już nie wróci... Pojechał w podróż, na którą potrzeba wiele, bardzo wiele pieniędzy i serca ojcowskiego, ażeby go strzegło od Jezuitów i pastorów!.. Idź, Böhme!.. Mdło mi się robi, kiedy patrzę na twój długi nos, który ci się tak brzydko zaczerwienił... Idź, Böhme, do mego syna, a ponieważ głos twój słychać podobno aż na tamtym świecie, więc powiedz mu...

Adler nigdy nie był tak wymownym, jak w tej chwili, gdy go opuszczał rozum. Chwycił pastora za ramię i wyprowadził go za drzwi. Potem zaczął znowu obchodzić wszystkie biura.

Nareszcie wybiegł z kantoru. Wieczorny mrok zasłonił go, a huk machin fabrycznych zagłuszył jego kroki.

Urzędnicy byli przerażeni. Nikt już nie wątpił, że Adler jest obłąkany, przynajmniej chwilowo. Ale o śledzeniu go, o rozciągnięciu nad nim opieki, nikt nie

myślał. Wobec wielkich i szybko rozwijających się niebezpieczeństw, wszyscy potracili głowy. Umieli machinalnie odrabiać zwykłe czynności, ale na jakiś samodzielny krok wobec pryncypała, nawet oszalałego, nikt zdobyć się nie potrafił.

Pastor Böhme rozumiał grozę położenia. Znając charakter Adlera, przewidywał jakieś nowe niebezpieczeństwa i choć w części zapobiegłby im; ale nie śmiał wydawać żadnych rozporządzeń. Komu tu rozkazywać, ktoby go słuchał?

Tymczasem wypadki szły naprzód. Około siódmej jeden z robotników spostrzegł, że małe drzwi do składu bawełny są otwarte. Lecz nim zawiadomił o tem magazyniera, nim ludzie przybiegli, drzwi zamknęły się.

W fabryce poczęto szeptać o kradzieży, to znowu o pokutującym duchu Ferdynanda... Dano znać urzędnikom, którzy już wyszli z biura. Paru z nich przybiegło. Tknięci przeczuciem, obejrzeni kantor i przekonali się, że braknie najważniejszych kluczy od fabryki.

Kto je zabrał?.. Bez kwestji pryncypał. Ale gdzie on sam jest w tej chwili?.. Szwajcar zapewniał, że widział Adlera wchodzącego przez bramę; pomimo jednak czujności nie spostrzegł, ażeby wychodził. Adler więc znajdował się w obrębie fabryki; ale kto go zechce szukać w gmachu tak wielkim, wśród nocy?

Tym razem zdaje się, że stary buchalter odgadł rodzaj niebezpieczeństwa, grożącego fabryce. Zwołał obermajstrów, kazał ustawić wartę przy kantorze, wstrzymać maszynę i cofnąć robotników ze wszystkich sal.

Nim jednak wysłuchano tych rozporządzeń, rozległ się głos dzwonu na trwogę. Ze składów bawełny przez wszystkie otwory począł wydobywać się gęsty dym i gdzie niegdzie płomyki ognia.

Na to hasło robotnicy, już zdemoralizowani dotychczasowymi wypadkami, ulegli panice i tłumem opuścili warsztaty. Przestrach był tak wielki i ucieczka tak szybka, że w żadnej sali nie zgaszono światła, nie zamknięto drzwi, nie wstrzymano nawet maszyny parowej.

Popłoch jednak był prawdziwym szczęściem uciekających. Zaledwie bowiem robotnicy zebrali się na dziedzińcu, w celu ratowania składów bawełny, a już ogień pokazał się w magazynie tkanin.

— Co to znaczy? To ktoś podpala! — odezwały się głosy wśród tłumu.

— Sam pryncypał podpala fabrykę! — odpowiedział ktoś.

— Gdzie on jest?

— Niewiadomo, ale jest w obrębie gmachów... Teraz ogień wybuchnął w gremplarni i w przędzalni.

— Widocznie sam Adler podpalał..

— Ale którądy wchodzi do sal?

— Zabrał klucze z kantoru.

— Więc pocóż my mamy ratować fabrykę, jeżeli on ją niszczy?

— Któż nam każe ratować?

— A co będziemy jutro jedli?

Takie wykrzykniki i płacz kobiet rozlegały się w zbitym tłumie kilkuset ludzi, bezsilnych wobec klęski. Rzeczywiście ratunek był niepodobny. Zebrani, w osłu-

pieniu przypatrywali się pożarowi, który w jednych miejscach potęgował się, w innych—dopiero poczynął.

Fabryka przedstawiała szczególny obraz.

Na tle pochmurnej nocy jesiennej widać było kilkanaście olbrzymich gmachów dziwnie uiluminowanych. Z każdego otworu składów wydobywały się czerwone płomyki, jak pochodnie. W budynku głównym, mającym kształt podkowy, na lewym skrzydle paliło się czwarte piętro, na prawem — dół. Wszystkie sale środkowego gmachu oświetlały lampy gazowe, przy których było widać szybko poruszające się tkackie warsztaty. Na podwórzu, oblanem czerwoną, coraz jaśniejszą łuną, stał ogromny tłum ludzi przestraszonych i narzekających.

Szmerowi głosów ludzkich wtórował huk, turkot i szelest machin.

Z każdą chwilą ogień potężniał; ściany składów prawie zniknęły pod zasłoną dymu i płomieni. Na lewym skrzydle zapalił się dach, na prawem pożar wdarł się na pierwsze piętro i wybuchał oknami partelowemi. Na dziedzińcu robiło się coraz widniej.

Nagle szmer ludzki umilkł. Wszystkich oczy zwróciły się na korpus główny, dotychczas nietknięty. Tam, na drugim piętrze, między warsztatami, przy świetle gazowych lamp, ukazał się olbrzymi cień człowieka. Cień chodził tam i napowrót, a gdziekolwiek zatrzymał się dłużej, tam po chwili robiło się widniej. Wyciągnięte na warsztatach tkaniny i osnowy, podłoga napojona tłuszczem, drewniane ramy machin: wszystko to chwyciło ogień z niesłychaną łatwością. Po upływie kilku minut drugie piętro głównego korpusu było już

podpalone. Cień ludzki ukazał się na trzeciem piętrze, przeszedł je zwolna i znowu znikł. Wkrótce zobaczono go na sali najwyższej, na czwartem piętrze.

— To on! to on! — mówiono.

Teraz już cała fabryka stała w ogniu. Ze składów bawełny buchał płomień, jak z wulkanu, aż pod obłoki. Ze wszystkich okien prawego skrzydła wydobywał się dym i ogień; na lewym skrzydle dach wyginał się i trzeszczał. Szyby pryskały i z dźwiękiem wylały na dziedziniec. W niektórych salach pod cięższymi maszynami załamywała się podłoga.

Wśród piekielnego łoskotu, deszczu iskier, obłoków dymu, nad powodzią płomieni, które w korpusie głównym ogarnęły wszystkie piętra, w najwyższej sali wyraźnie widać było cień ludzki. Poruszał się on spokojnie, bez pośpiechu, jak czuwający nad robotnikami dozorca. Niekiedy stawał w którym z mnogich okien i patrzył — niewiadomo czy na tłum zebranych, czy na pałacyk!

Wtem z ogromnym łoskotem zapadł się dach lewego skrzydła. W chwilę później runęło drugie piętro prawego skrzydła. Olbrzymie snopy iskier wzbiły się do góry. Było jasno jak w dzień. W składzie bawełny załamały się odrazu dwa piętra i na tłum robotników spadł deszcz gorącego popiołu. Zrobiło się duszno. Niektóre maszyny głównego korpusu poczęły dziwnie zgrzytać, nareszcie wywracać się. Skutkiem zmniejszenia się oporu, koło rozprawowe maszyny parowej obracało się z szaloną prędkością, wydając przy tem głos podobny do wycia. Ściany pękały, w jednym miejscu

spadł komin, a gruzy jego zatoczyły się aż pod nogi zebranych.

W gmachu głównym dym i ogień chwilami zasłaniał czwarte piętro, na którem widać było cień człowieka, spokojnie chodzącego wzdłuż oświetlonej sali.

Wśród tłumu rozległ się szmer zgrozy, niepodobny do głosów ludzkich. Tłum zaczął poruszać się, krzyczeć, wskazywać na okna...

W stronie fabryki gazu rozległ się stłumiony huk. W sali na czwartym piętrze płomienie lamp błysnęły jaśniej i — zgasły. Ogień ukazał się w dymnikach głównego korpusu. Zatrzeszczał cały gmach i z łoskotem piorunu zapadło się kilka sufitów.

Na dziedzińcu zrobiło się tak gorąco, że tłum cofnął się. Koło rozpędowe maszyny parowej toczyło się już wolniej, wreszcie—stanęło.

... W fabryce, jeszcze przed godziną bogatej i ożywionej, wszechwładnie panował ogień. Słyszać było trzeszczenie płonących belek, pękanie murów i ciężkie upadki żelaznych części maszyn.

Adler, znakomity przemysłowiec, nieugięty wyznawca walki o byt, zebrawszy w ciągu kilkudziesięciu lat miliony, dobrowolnie przywalił się ich gruzami.

.

Fala krzywdy wróciła.

Warszawa, w czerwcu 1880.

M I C H A Ł K O

Roboty przy kolei skończono. Podradczyk wypłacił komu co należało, oszukał kogo można i ludzie poczęli rozchodzić się, gromadami, każdy do swojej wsi.

Koło karczmy, co stała przy plancie, do południa było gwarno. Jeden obwarzankami napełniał kołbaskę, drugi kupował wódkę do domu, inny — upijał się na miejscu. Potem, porobili zawiniątka z grubych płacht i zawiesiwszy je przez ramiona, odeszli, wołając:

— Bywaj zdrów, „durny Michałku!..“

A on stał.

Został na szarem polu i nie patrzył nawet za swoimi, tylko na błyszczące szyny, co biegły aż tam, het! niewiedomo gdzie. Wiatr rozrzucał mu ciemne włosy, rozwiewał białą parciankę i zdaleka przynosił — ostatnią zwrotkę pieśni odchodzących.

Wkrótce za krzakami jałowcu skryły się płachty, parcianki i okrągłe czapki. Wkońcu i pieśń umilkła, a on wciąż stał z założonemi rękoma, bo — nie miał gdzie iść. Jak ten zajac, co w tej oto chwili przeskakuje szyny, tak on, chłopski sierota, gniazdo miał w polu, a spiżarnię — gdzie Bóg da.

Za piaszczystem wzgórzem rozległo się gwizdanie, zakłębił się dym i zaturkotało. Nadjechał robotniczy pociąg i zatrzymał się przed niewykończoną stacją. Otyły maszynista i jego młodziutki pomocnik zesko-

czyli z lokomotywy i pobiegli do karczmy. Toż samo zrobili brekowi. Został tylko inżynier, który przypatrywał się, zamyślony, pustej okolicy i przysłuchiwał szmerowi pary w kotle.

Chłop znał inżyniera, więc uklonił mu się nisko, do ziemi.

— A to ty, „durny Michałku!“ cóż tutaj robisz?— zapytał inżynier.

— Nic panie! — odparł chłop.

— Dlaczego nie wracasz do wsi?

— Nie mam po co, panie.

Inżynier zaczął nucić, a potem rzekł:

— Jedź do Warszawy. Tam zawsze znajdziesz robotę.

— Kiedy nie wiem gdzie to?

— Siadaj na wagon, to się dowiesz.

„Durny Michałko“ skoczył na wagon jak kot i usiadł na stosie kamieni.

— A pieniędzy trochę masz? — spytał inżynier.

— Mam panie rubla i czterdzieści groszy i złoty dziesiątkami...

Inżynier począł znowu nucić i oglądać się po okolicy, a w lokomotywie wciąż warczało. Wreszcie z karczmy wybiegła obsługa pociągu, z butelkami i węzłkami. Maszynista i jego pomocnik siedli na lokomotywę — i ruszono.

○ Jaką milę drogi stąd, na zakręcie, ukazały się dymy i wieś uboga, zbudowana między błotami. Na jej widok Michałko ożywił się. Zaczął się śmiać, wołać (choćby go nie usłyszano z takiej odległości), machać

czapkę... Aż jadący na wysokim koźle brekowy ofuknął go:

— A ty się czego wychylasz? Jeszcze zlecisz i djabli cię wezmą...

— Bo to nasza wieś panie, o tam o!..

— No, więc kiedy wasza, to siedź spokojnie — odparł brekowy.

Michałko usiadł spokojnie, jak mu kazano. Tylko że go coś bardzo nudziło w sercu, więc zaczął mówić pacierz. Ach! jakżeby on wrócił do swojej wsi z gliny i słomy ulepionej, tam — między błota... Ale nie miał po co. Choć go nazywali „durnym“, tyle przecie rozumiał, że na świecie mniej przymiera się z głodu i łatwiej o nocleg, aniżeli we wsi. O! na świecie chleb jest bielszy, na mięso można choć popatrzeć, domów więcej i ludzie nie tacy mizerni, jak u nich.

Wymijali stację za stacją, zatrzymując się tu dłużej, tam krócej. O zachodzie słońca kazał inżynier dać chłopu jeść, a on zato — do nóg mu się uklonił.

Wjechali w nową całkiem okolicę. Nie było tu rozlewających się bagien, ale wzgórzyste pola, kręte i szybko płynące rzeczki. Znikły kurne chaty i stodoły plecione z wici, a ukazały się piękne dwory i murywane budynki, lepsze niż u nich kościoły — albo karczmy.

Nocą stanęli pod miastem, zbudowanym na górze. Zdawało się, że domy włożą jeden na drugi, a w każdym tyle światła, co gwiazd na niebie. Na stu pogrzebach nie zobaczyłby tylu świec, co w tem mieście...

Grało coś bardzo pięknie, ludzie chodzili tłumem, śmiejąc się i rzechocząc, choć już była taka noc wielka,

że we wsi słyszałbyś tylko wołanie upiora i ujadanie strwożonych psów.

Michałko nie zasnął. Inżynier kazał mu dać funt kiełbasy i bułkę chleba, a potem — przepędzili go na inny wagon, co wioził piasek. Było tu miękko, jak w puchu. Ale chłop nie kładł się, tylko siedział w kuczki, jadł kiełbasę z chlebem, aż mu oczy wyłaziły na wierzch, i myślał:

— Nie bój się, jakie to są dziwne rzeczy na świecie!..

Po kilkugodzinnym postoj, nad ranem, pociąg ruszył i jechali truchtem. Na jednej stacji, wśród lasu, zatrzymali się dłużej, a brekowany powiedział chłopu, że inżynier pewnie wróci nazad, bo przyszła po niego depesza.

Istotnie inżynier zawołał do siebie chłopą.

— Ja muszę jechać napowrót—rzekł.—A ty sam, czy puścisz się do Warszawy?

— Bo ja wiem! — szepnął chłop.

— No, przecie nie zginiesz między ludźmi?

— Komu ja panie zginę, kiedy nie mam nikogo?..

Rzeczywiście, komu on miał zginąć!

— A więc jedź — mówił inżynier. — Tam, zaraz przy stacji, budują nowe domy. Będiesz nosił cegłę i nie umrzesz z głodu. Byleś się nie rozpił. Potem może ci być lepiej. Na wszelki wypadek masz rubla.

Chłop wziął rubla, uścisnął inżynierowi kolana i usiadł na swój wagon z piaskiem.

Wnet ruszyli.

W drodze zapytał brekowego:

— Daleko stąd panie do naszej stacji?

- Chyba ze czterdzieści mil. Czy ja wiem!
- A piechotą, panie, długoby szedł?..
- Może ze trzy tygodnie. Wreszcie nie wiem.

Niezmierny strach ogarnął chłopą. Poco on puścił się nieszczęśliwy tak daleko, że aż trzy tygodnie iść potrzeba do domu!..

W ich wsi opowiadano nieraz o parobku, co go wicher porwał i prędej, niż przeżegnać się można, zaniósł i cisnął o dwie mile — już trupa. Czy z nim nie stało się to samo? Czy ta maszyna ziejąca ogniem, której boją się starzy ludzie, nie jest gorsza od wichru?.. A gdzie go ona wyrzucił

/Na tę myśl schwycił się krawędzi wagonu i zamknął oczy. Teraz uczuł, jak go niesie, jak strasznie huczy, jak go wiatr bije po twarzy i śmieje się: hul hul hul.. hił hił hił..

Porwał go dopiero burza, porwał!.. Tyle że nie od matki, ani od ojca, ani od własnej chaty, tylko z pola, sierotę.

Rozumiał, że jest z nim coś niedobrze, ale—cóż na to poradzić? Żle mu jest, gorzej mu pewnie będzie, lecz że już było źle, gorzej i najgorzej, więc otworzył oczy i puścił się wagonu. Taka wola boska. Od tego on przecie biedny chłop, żeby dźwigał nędzę na karku, a w sercu obawę i żal...

Lokomotywa przeraźliwie zagwizdała. Michałko spojrzał przed siebie i zobaczył zdaleka, jakby las domów, zasnutych płachtą dymu.

- Czy to pali się gdzie? — zapytał brekowego.
- To Warszawa!..

Chłopa znowu ścisnęło za piersi. Jak on tam ośmieli się wejść w ten dym?

Stacja. Michałko wysiadł. Pocałował brekowego w rękę i rozejrzawszy się, poszedł zwolna do sklepu, gdzie na szyldach wymalowane były kufle z czerwonym piwem i zielona wódka we flaszках. Nie ciągnęła go tam pijatyka, ale co innego.

Za szynkiem widać było murujący się dom, a przed sklepem stali mularze. Więc przypomniał sobie radę inżyniera i poszedł zapytać o robotę.

Mularze, chwaty chłopcy, powaleni wapnem i cegłą, sami go zaczępili.

— A cóżeś to za jeden?.. A skądeś to?.. Jak twojej matce na imię?.. Kto ci taką czapkę uszył?

Jeden ciągnął go za rękaw, drugi mu czapkę wbił na oczy. Parę razy obrócili go w kółko, tak, że nie wiedział już, skąd przyszedł.

— Skądeś to, chłopaku?..

— Z Wilczołyków, paniel — odparł Michałko.

Ale że mówił śpiewającym głosem i miał minę bardzo zakłopotaną, więc mularze poczęli się chórem śmiać.

On stał między nimi i, choć go trochę sponiewierali, śmiał się także.

— To ci dopiero wesoły naród, nie bój się! — myślał.

Ten jego śmiech i uczciwa mina przyjednały mu ludzi. Uspokoili się, zaczęli go wypytywać. A gdy powiedział, że szuka roboty, kazali mu iść za sobą.

— Głupi bestja, ale zdaje się, że dobry chłopak — mówił jeden z majstrów.

— Trza go wziąć — dodał drugi.

— A wkupisz się ty? — pytał Michałka czeladnik.

— Kiedy nie wiem jak?

— Postawisz garniec wódki — dodał drugi.

— Albo dostaniesz basarunek! — wtrącił trzeci ze śmiechem.

Po namyśle chłop odparł:

— Jużci wolę dostać, niż dawać...

Mularzom się i to podobało. Wsunęli mu znowu parę razy czapkę na oczy, ale ani upominali się o wódkę, ani mu nie sprawili basarunku.

Tak, zabawiając się, zaszli na miejsce i wzięli się do roboty. Majstrowie wleźli na wysokie rusztowania, a dziewczuchy i wyrostki zaczęły cegłę nosić. Michałkowi, jako nowotnemu, kazano przerabiać gracą wapno z piaskiem.

Tym sposobem zaciągnął się do mularki.

Na drugi dzień dali mu do pomocy dziewczuchę, tak ubogą jak on. Za całe odzienie miała starą chustkę, dziurawą spódnicę i koszulinę — pożał się Boże! Nie była wcale ładna. Miała śniadą i chudą twarz, nos krótki, zadarty i niskie czoło. Ale Michałko nie był wybredny. Ledwie stanęła przy nim z gracą, zaraz nabrał do niej ciekawości, jak zwyczajnie chłop do dziewczuchy. A kiedy spojrzała na niego z pod wypłowiałej chustki, uczuł, że mu jakoś ciepło we środku. Nawet ośmielił się tak, że do niej zagadał:

— Skądęście to? Z dalekaście od Warszawy? Dawno robicie z mularzami?

O takie ją tam rzeczy wypytywał, mówiąc *wy*. Ale że ona zaczęła mu mówić *ty*, więc i on jej — *ty*.

— Nie męcz się—mówił—już ja zrobię i za ciebie i za siebie.

I robił sprawiedliwie, aż się z niego pot łał strumieniami; a dziewczyna tylko suwała gracą po wierzchu wapna, tam i napowrót.

Od tej pory chodzili dwójką przez cały dzień, zawsze razem i zawsze sami. Niekiedy łączył się z nimi jeden czeladnik. Dziewusze nawymyślał, z chłopą nakpił i tyle. Wieczorem zaś Michałko zostawał spać w murującym się domu, bo nie miał gdzie, a jego towarzyszka szła w miasto, razem z innymi i z owym czeladnikiem, który jej wciąż wymyślał, a czasem i dał w kark.

— Czegoś nie lubi dziewczuchy—mówił sobie Michałko.—Ale trudna rada! Od tego przecie jest czeladnik, żeby nas poszturgiwał...

Zato on sam starał się jej wynagradzać krzywdę, jak umiał. Robił wciąż za siebie i za nią. Na śniadanie dzielił się z nią chlebem, a na obiad kupował jej barszczu za pięć groszy, bo dziewczucha prawie nigdy nie miała pieniędzy.

Gdy przeznaczyli ich do noszenia cegieł na górę, chłop nie mógł już wyręczać swojej przyjaciółki, bo jej pilnowali majstrowie.

Ale po giętkich rusztowaniach chodził za nią krok w krok, a jak się bał, ażeby nie potknęła się i żeby cegły jej nie przywały!

Widząc taką troskliwość chłopą ów zły czeladnik, drwił sobie i pokazywał go innym. Inni się także śmieli i krzyczeli na Michałka z góry:

— Na, głupi, na!..

Raz w południe odwołał czeladnik dziewczkę na bok, czegoś od niej chciał, nawet poturbował ją mocniej niż zwykle. Po tej rozmowie, spłakana, przysła do Michałka, pytając: czy nie ma pożyczyć jej dwudziestu groszy?

Czegoby on dla niej nie miał! W więc prędko rozwiązał węzełek, gdzie były pieniądze przywiezione jeszcze ze stacji, i dał jej żadaną sumę.

Dziewucha odniosła dwadzieścia groszy czeladnikowi i od tej pory nie było prawie dnia, ażeby jej chłop nie pożyczał na wieczne oddanie. A kiedy zapytał raz nieśmiało:

+ Na co ty dajesz pieniądze temu piekielnikowi?

— A bo już tak! — odparła.

Jednego dnia czeladnik pokłócił się z pisarzem i rzucił robotę. Nie dosyć, że sam rzucił, ale jeszcze kazał dziewczynie, jakby jakiej słudze, zrobić to samo— i iść za nim.

Dziewczyna zawahała się. Lecz gdy pisarz pogroził, że jeżeli nie dotrzyma do wieczora, to nie zapłaci jej za cały tydzień—wzięła się znowu do cegieł. Prostemu człowiekowi miły jest przecie grosz, jeszcze zapracowany tak krwawo.

Czeladnik wpadł w złość.

— Idziesz, psia wiaro — krzyczał — czy nie idziesz?

— Jakże pójde, kiedy mi nie chcą zapłacić. Dobrzeby było za tego rubla spódniczyne sobie przynajmniej kupić!..

— No! — wrzasnął czeladnik — to terazze mi

się na oczy nie pokazuj, progu nie przestąp, bo cię na śmierć zabiję!..

I poszedł ku miastu.

Wieczorem, jak zwykle, mularze rozbiegli się. W nowym domu został na nocleg Michałko i — dziewczucha.

— Nie idziesz? — spytał ją chłop zdziwiony.

— Gdzież pójde, kiedy powiedział, że mnie wygna...

Teraz dopiero Michałko zaczął się czegoś domyślać.

— Toś ty z nim siedziała? — rzekł z odcieniem żalu w głosie.

— A jużci — szepnęła zawstydzona.

— I jemuś wszystek swój zarobek oddawała, choć cię bijał?..

— A ino...

— Pocóżes ty tak paskudnie robiła?..

— Bom go lubiła — odparła cicho dziewczka, kryjąc się między słupy rusztowań.

Chłopu stało się tak, jakby go kto nożem kolnął. Niedarmo ludzie śmieli się z niego!..

Michałko przysunął się do dziewczki.

— Ale teraz nie będziesz go lubić? — zapytał.

— Nie! — odparła i zaczęła rzewnie płakać.

— Ino mnie będziesz lubić?

— Tak.

— Ja cię nie będę rozbijał, ani twoich pieniędzy zabierał.

— Jużci prawda!

— Ze mną będzie ci ładniej...

Dziewucha nie odpowiadała nic, tylko płakała jeszcze mocniej i trzęsła się.

Noc była chłodna i wilgotna.

— Zimno ci? — spytał chłop.

— Zimno.

Posadził ją na kupie cegieł, szlochającą. Zdjął parciankę i otulił dziewczę, a sam został w jednej koszuli.

— Nie płacz!.. nie płacz!..—mówił.—Tylko jedną noc przesiedzisz tak. Masz przecie rubla, to jutro wynajmiemy za niego stancję, a spódniczyne — ja sam kupię ci za swoje. Ino nie płacz...

Ale dziewczucha nie zważała na to, co mówił Michałko. Podniosła głowę i słuchała. Zdawało jej się, że z ulicy dolatuje odgłos znajomych kroków.

Stąpanie zbliżało się. Jednocześnie ktoś zaczął gwizdać i wołać:

— Chodź do domu... Ty!.. Gdzie tam jesteś?

— Tu jestem! — zawołała dziewczucha zrywając się.

Wybiegła na ulicę, gdzie stał czeladnik.

— Tu jestem! — powtórzyła.

— A pieniądze masz? — spytał czeladnik.

— Mam! O tu... Naścił!—rzekła, podając mu rubla.

Czeladnik schował rubla do kieszeni. Potem schwycił dziewczę za włosy i zaczął ją bić, mówiąc:

— A na drugi raz słuchaj się, bo cię na próg nie puszcze... Rublem się nie wykupisz... A słuchaj!... a słuchaj! — powtarzał, okładając ją pięściami.

— O dla Boga!... — wołała dziewczka.

— A słuchaj!... A słuchaj, co ci każe...

Nagle puścił dziewczuchę, czując, że go ujęła za kark potężna ręka. Z trudnością odwrócił głowę i zobaczył roziskrzzone oczy Michałka.

Czeladnik był chwata Mazur, więc grzebnał Michałka pięścią w łeb, aż mu w uszach zadzwoniło. Ale chłop nie popuścił mu karku. Owszem, ścisnął jeszcze lepiej.

— A uduś mnie, ty złodziejski portrecie... to zobaczysz! — stęknął chrapliwym głosem czeladnik.

— To jej nie bij — rzekł chłop.

— Nie będę — mruknął i wysadził język.

Michalek otworzył garść, a czeladnik aż się zatoczył. Złapał kilka razy powietrza, a potem przemówił:

— Kiedy nie chce, żebym ją bił, to niech za mną nie chodzi. Lubi mnie, to i owszem, ale ja biję, bo mam taki obyczaj!... Co mi po dziewczce, żeby jej walić nie można?... Niech idzie na złamanie karku...

— To pójdzie... Wielka rzecz! — odparł chłop. Ale dziewczucha złapała go za rękę.

— Daj ty już spokój — mówiła do Michałka, drżąc i ściskając go. — Nie mieszaj się między nas...

Chłop oniemiał.

— A ty chodź do domu — rzekła do czeladnika, biorąc go pod ramię. — Co cię tam ma kto poniewierać na ulicy...

Czeladnik wyrwał się jej i rzekł ze śmiechem:

— Idź sobie do niego! On cię nie będzie bił... On ci przecie pieniądze dawał...

— Iiii!.. daj mi tam spokój... — ofuknęła dziewczucha i poszła naprzód.

— Widzisz, z babą trzeba jak z psem!... — rzekł czeladnik, wskazując ręką na dziewczuchę. — Wal ją, a ona za tobą w ogień pójdzie...

I zniknął. Tylko w ciszy nocnej rozlegał się jego złośliwy śmiech.

Chłop stał, spoglądał za nimi, przysłuchiwał się. Następnie wrócił między rusztowania i patrzył na to miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała dziewczucha.

W głowie czuł zamęt, a piersiami nie mógł tchu złapać. Ledwie co powiedziała mu, że tylko jego będzie lubić—i zaraz odeszła. Dopiero co—on był tak szczęśliwy, tak było tu dobrze z żyjącą istotą, - jeszcze z dziewczuchą, a teraz — jak pusto i smutno!

Dlaczego ona odeszła?.. Jużci dlatego, że taka jej wola, tak jej się podobało!.. Cóż on na to poradzi, chociaż jest dobry i silny?.. Instynktownie szanował jej przywiązanie do czeladnika, nie gniewał się, że daną mu obietnicę złamała, nie myślał narzucać gwałtem swoich uczuć. Ale pomimo to tak mu było żal jej, tak było żal...

[Wyżartemi przez wapno rękami otarł oczy i podniósł swoją parciankę, rozrzuconą na stosie cegieł i jeszcze jakby ciepłą. Wyszedł znowu na ulicę, postać tam.

Nic nie widać, tylko, wśród mgły, połyskują czerwone ogniki latarń.

Wrócił między chłodne mury i legł na ziemi. Ale zamiast spać, wzdychał ciężko, samotny, tęskniący za swoją dziewczuchą.

Za swoją, bo ona przecie sama powiedziała mu, że tylko jego będzie lubić!

Nazajutrz wziął się chłop jak zwykle do roboty.

Ale szła mu niesporo. Był znużony, a i ten budynek jakoś mu obmierzał. Gdzie stąpił, czego się dotknął, na co spojrzał, wszystko przypominało mu dziewczuchę i gorzki zawód. Ludzie także kpili z niego i wołali:

— A co, głupi Michałku, prawda, że drogie dziewczki w Warszawie?

Drogie, bo drogie! Chłop wydał na swoją wszystkie oszczędności, przymierał z głodu, nic sobie nie sprawił, nie miał z niej żadnej pociechy i jeszcze go tak brzydko opuściła.

Źle mu tu było, wstyd. Więc gdy usłyszał, że w Warszawie lepiej płacą pomocnikom mularskim, wybrał się tam, pierwszy raz.

Szedł za jednym czeladnikiem, który obiecał zaprowadzić go na ulicę, gdzie najwięcej stawiają domów.

Wybrali się wczesnym rankiem i tęgi kawał czasu sunęli się do Wisły. Chłop kiedy zobaczył most, aż gębę otworzył. Na tę chwilę i dziewczucha wywietrzała mu z głowy.

Przy budce strażniczej zawahał się.

— Co ci to? — spytał ów czeladnik.

— Nie wiem, panie, czy mnie tędy puszczą? — odparł Michałko.

— Głupiś! — zgromił go czeladnik. — Jakby cię kto zaczepił, to mu powiedz, że idziesz ze mną!

— Jużci prawda — pomyślał chłop i dziwił się, że mu taka odpowiedź pierwiej nie przyszła do głowy. Potem dziwił się łazienkom i berlinkom, że nie tonęły

na wodzie, choć wielkie, a potem nie mógł dać wiary, że cały most był — z czystego żelaza.

— Musi w tem być jakieś złodziejstwo — mówił do siebie. — Tyle żelaza, to chyba na świecie niemal..

Tak sobie szli, czeladnik i Michałko, jeden za drugim, przez most, przez Nowy-Zjazd, przez ulicę. Koło Zamku chłop zdjął czapkę i przeżegnał się, myśląc że to kościół. Przed Bernardynami mało go omnibus nie rozjechał. Przed figurą Matki Boskiej, obok dobroczynności, chciał uklęknąć i mówić pacierz, tak, że ledwie odciągnął go czeladnik.

Na ulicach hałas, powozów szeregi, ludzi tłum. Michałko jednym ustępował z drogi, na innych wpadał i aż bladł ze strachu, żeby go nie wyprali. Wkońcu, w głowie mu się na szczęt zamąciło — i zgubił czeladnika.

— Paniel.. paniel.. — począł krzyczeć zrozpaczony i pędem biegł przez ulicę.

Ktoś go zatrzymał mówiąc:

— Cicho ty sobaka!.. Tu krzyczeć nie wolno!

— A bo mi mój pan zginął!

— Jaki pan?

— Czeladnik mularski.

— O to pan!.. A gdzież tobie potrzeba?

— Tam gdzie dom murują...

— Jaki dom?

— Taki... z cegły — odparł chłop.

— Ot głupil.. No to i tutaj dom murują...

I tam!.. I tu!

— Kiedy nie widzę...

Wzięto go za ramię i zaczęto pokazywać.

— O patrz! Tu jeden dom budują... Tu drugi...

— Aha! ha! — rzekł Michałko i poszedł do tego drugiego, bo nie trzeba było przebiegać przez ulicę.

Dobrawszy się na miejsce, zapytał o czeladnika. Tu go jednak nie znalazł, więc wskazano mu inny dom. Ale i tam o czeladniku Nastazym nie słyszano; musiał przeto chłop iść dalej.

Tym sposobem obiegił kilka ulic i obejrzał kilkanaście rozpoczętych budowli, pytając w duchu: gdzie mieszkają ci ludzie, co im dopiero teraz domy murują?

Stopniowo oddalał się od środka miasta. Gwar uliczny słabnął, przechodnie ukazywali się rzadziej, powozów prawie nie było. Zato liczba rusztowań, stosów cegieł i czerwonych murów powiększyła się.

Chłop stracił już nadzieję znalezienia czeladnika i pomyślał o wyszukaniu roboty.

Wstąpił do pierwszej fabryki przy drodze, stanął między robotnikami i patrzył. Czasami wmieszał się do rozmowy, albo komu usłużył. Jednemu pomógł układać cegłę, drugiemu podał szaflik, a tym, co gracowali wapno, powiedział, że nie tak się robi, tylko tak. I zaraz pokazał, aż ochlapał majstra od stóp do głów.

— Co się tu kręcisz, kundlu jakiś? — zapytał go pisarz.

— Roboty szukam, panie.

— Tu niema dla ciebie roboty.

— Niema teraz, to może znajdzie się potem. A państwu przecie nie ubędzie, jak któremu pomogę.

Pisarz, sprytna sztuka, zmiarkował, że chłop nie musi pachnąć groszem. Wyjął swoją książeczkę, ołówek,

zaczął przekreślać, rachować — i wkońcu przyjął Michałka.

Ludzie mówili, że zarabiał na nim dwadzieścia groszy dziennie — *extra*.

W tej fabryce był chłop do jesieni. Z głodu nie umarł, za nocleg nie zapłacił, ale też nawet butów sobie nie kupił. Tyle tylko, że upił się parę razy przy świętej niedzieli, jak wieprzak. Chciał nawet awanturę zrobić w szynku, ale mu czasu zabrakło, bo go wyrzucili za drzwi.

Dom rósł jak rzeżucha. Jeszcze oficyn nie wykończyli mularze, a już front był dachem obity, otynkowany, oszklony i nawet ludzie zaczęli się sprowadzać.

W końcu września rozpadały się deszcze. Robotę przerwano i pomocników odprawiono. W ich liczbie był Michałko.

Pisarz z tygodnia na tydzień urywał mu coś z płacy, mówiąc, że razem odda. Gdy zaś przyszedł obrachunek ostateczny, chłop, choć niepiśmienny, zmiarkował, że go chyba pisarz oszwabił. Dał mu trzy ruble, a należało się z pięć albo i ze sześć.

Michałko wziął trzy ruble, zdjął czapkę i zaczął skrobać się w głowę, przestępując z nogi na nogę. Ale pisarz był tak zajęty swoją książeczką, że ledwie w dziesięć pacierzy spostrzegł chłopca i spytał go surowo:

— No, czego jeszcze chcesz?

— Musi, panie, mnie się więcej należy — rzekł chłop z pokorą.

Pisarz zaczerwienił się. Wlażł na Michałka, potrącił go pierściami i powiedział:

— A paszport ty masz?.. Coś ty za jeden?..

Michałkowi zamknęło gębę; pisarz mówił dalej:

— Ty może myślisz, chamski gnacie, żem ja cię nakręcił?..

— A ino...

— Więc chodź ze mną na policję, a ja ci tam dokumentnie pokażę, żeś ty złodziej i obieżyświat...

Paszport i policja zaniepokoiły Michałka. Rzekł zatem:

— Niech tam moja krzywda będzie panu pisarzowi na zdrowie!

I opuścił fabrykę.

A że widać i pisarza nie bardzo ciągnęło do policji, choć go tam znali, więc skończyło się na strachu...

Chłop znalazł się teraz jak w szczerem polu. Minął swoją ulicę, wszedł na drugą i trzecią, wszędzie wstępując gdzie zobaczył czerwone ściany i parę słupów wbitych w ziemię. Ale roboty były już ukończone, albo kończyły się, a gdy pytał: czy go tu nie przyjmą? nawet nie odpowiadano.

Przełaził tak jeden dzień i drugi, omijając stójkowych, żeby go nie zaczepili o paszport. Garkuchni z ciepłą strawą nie mógł znaleźć, więc żył kiszkami ze krwi i słoniny, chlebem, śledziem, a popijał wódką.

Wydał już rubla, nie używszy nic dobrego. Sy-piał pod parkanami i tęsknił za towarzystwem ludzkiem, bo nie miał do kogo gęby otworzyć.

Przyszła mu myśl, że możeby lepiej wrócić do domu? Więc pytał przechodniów: gdzie tu do kolei? Idąc za ich wskazówkami, trafił na kolej, ale—nie na swoją.

Zobaczył jakąś stację wielką, ludną i pełno domów wkoło niej, a szyn ani śladu.

Zmieszał się bardzo i zląkł, nie wiedząc, co się stało? Aż mu dopiero jakaś litościwa dusza wytłumaczyła, że są jeszcze trzy inne koleje, ale—za Wisłą.

Teraz przypomniał sobie, że szedł tu przez most. Więc przenocowawszy gdzieś w rowie, pytał się na-
zajutrz o drogę do mostu. Opowiedzieli mu dokładnie: gdzie trzeba iść prosto, gdzie na lewo, a gdzie na prawo i gdzie skrócić. Zapamiętał sobie wszystko, ale jak zaczął iść i skręcać, tak trafił do Wisły, a mostu nie znalazł.

Wrócił tedy ku miastu. Na nieszczęście deszcz zaczął padać. Ludzie chowali się pod parasole, a kto parasola nie miał, uciekał. Michałko nie śmiał na taką ulewę zaczepiać przechodniów i pytać o drogę.

W czasie największej nawałnicy stanął pod murem skulony, zziębnięty w swojej przemokłej parciance i pocieszał się tem, że deszcz choć umyje mu bosc nogi.

I gdy tak stał poblady, a z długich włosów woda spływała mu za koszulę, zatrzymał się przed nim jakiś pan.

— A co to, ubogi? — zapytał pan.

— *Ni.*

Pan zrobił parę kroków naprzód i znowu wrócił z pytaniem:

— Ale jeść ci się chce?

— *Ni.*

— I nie zimno ci?

— *Ni.*

— Osioł jakiś! — mruknął pan.

A potem dodał:

— Ale dziesiątkębyś wziął?

— Jakby pan dali, tobym wziął.

Pan dał mu złotówkę i odszedł mrucząc.

Potem znowu zatrzymał się, patrzył na chłopą, jakby wahał się, ale nareszcie poszedł naprawdę.

Michałko trzymał w garści złotówkę i mówił do siebie zdziwiony:

— Nie bój się, jakie to tu są dobre panowie!..

Wtem przyszło mu na myśl, że taki dobry pan możeby mu pokazać drogę do mostu?.. Ale — już było za późno.

Noc nadeszła, zapalono latarnie i deszcz się wzmógł. Chłop szukał ulic, gdzie było najciemniej. Skręcił raz i drugi. Spostrzegł nowe budowle i nagle poznał ulicę, na której przed kilkoma dniami pracował.

Oto tu bruk się kończy. Tu parkan. Tam skład węgla, a tam — jego dom. W kilku oknach palą się światła, a przez otwartą bramę widać niewykończone oficyny.

Chłop wszedł na podwórze. Gdzie jak gdzie, ale tu sprawiedliwie należał mu się nocleg. Przecie on ten dom budował.

— Hej! hej! a gdzie to? — krzyknął za nim, od schodów, człowiek odziany w tęgi kożuch.

Musiało już być chłodno na dworze.

Michałko odwrócił się.

— To ja — rzekł. — Idę spać do piwnicy.

Człowiek w kożuchu oburzył się.

— A cóż to dziadowski hotel, żebyście noclegi odprawiali?

— Ja tu przecie robiłem całe lato — odparł zafasowany chłop.

W sieni ukazała się stróżowa, niespokojna o męża.

— Co się tu dzieje?.. Kto to?.. Może złodziej? — pytała.

— I, nie! Tylko ten oto gada, że robił przy fabryce, więc mu się tu nocleg należy... Durnowaty!...

Michałkowi zaświeciły oczy. Roześmiał się i pobiegł do stróża.

— To wy z naszej wsi? — zawołał przejęty radością.

— A bo co? — spytał stróż.

— A bo tak na mnie wołacie, jak w naszej wsi... Ja przecie „durny Michałko!“

Stróżowa zachichotała, a jej mąż wzruszył ramionami.

— Żeś ty durny, to widać — rzekł. — Ale ja nie ze wsi, ino z miasta... Z Łapów! — dodał takim tonem, że aż zesmutniały chłop westchnął.

— Oj! oj! To pewnie musi być takie miasto wielkie, jak Warszawa?

— Takie, nie takie — odparł stróż — ale zawsze miasto porządne.

Po chwili milczenia rzekł:

— A ty swoją drogą wynoś się, bo tu sypiać nie wolno.

Chłopu ręce opadły. Żałośnie spojrzał na stróża i spytał:

— Gdzież ja pójde, kiedy tak leje?

Trafność tej uwagi uderzyła stróża. Jużci prawda, gdzie on pójdzie, kiedy tak leje?

— Ha! — odparł — to i zostań, kiedy tak leje. Ino niech ci się w nocy nie zechce kraść. A jutro, zmykaj skoro świt, żeby cię gospodarz nie wypatrzył. Bo to bystry pan!

* Michałko podziękował, poszedł do oficyn i po-omacku wlaźł do znajomej piwnicy.

Roztarł skostniałe z zimna ręce, wykręcił zmozoną parciankę i legł na okruchach cegieł i na wiórach, które sobie dawniej zniósł w to miejsce.

Gorąco mu nie było, owszem — nawet trochę chłodno i mokro. Ale on od dziecka przywykł do nędzy, więc na obecne niewygody wcale nie zważał. Gorzej go nudziła myśl: co począć? Czy szukać roboty w Warszawie, czy wracać do domu? Jeżeli szukać roboty, to gdzie i jakiej? A jeżeli wracać do domu, to którądy i poco?

Głodu nie obawiał się. Miał przecie dwa ruble, a zresztą — alboż głód dla niego nowina?..

— Ha! wola boska — szepnął.

Przestał kłopotać się jutrem i cieszył się dniem dzisiejszym. Na dworze deszcz lał ciurkiem. Jakby to źle było spać dziś w rowie, a jak porządnie jest tutaj!

I zasnął, zwyczajnie jak strudzony chłop, który, gdy mu się co przyśni, to mówi, że go nawiedzały dusze.

A jutro... Będzie co Bóg da!

Z rana wypogodziło się, nawet błysnęło słońce. Michałko jeszcze raz podziękował stróżowi za nocleg i wyszedł. Był zupełnie rześki, choć mu się od wczorajszego deszczu lepiły włosy, a parcianka stężała jak skóra.

Chwilę postać przed bramą, namyślając się gdzie iść: w lewo czy w prawo? Na rogu zobaczył otwarty szynk, więc wstąpił na śniadanie. Wypił duży kielich wódki i, weselszy, powlókł się w tę stronę, gdzie było widać rusztowania.

— Czy szukać roboty? Czy wracać do domu?— myślał.

Wtem, gdzieś niedaleko, rozległ się huk, podobny do krótkiego grzmotu; potem drugi — głośniejszy.

Chłop spojrzał.

O paręset kroków, na prawo, widać było szczyty rusztowań, a nad niemi jakby czerwony dym...

Stało się coś niezwykłego. Michałka ogarnęła ciekawość. Popędził w tamtą stronę, poślizgując się i brnąc w kałużach.

Na niebrukowanej ulicy, gdzie stało ledwie parę domów, kręcili się strwożeni ludzie. Krzyczeli i pokazywali rękoma na niewykończoną budowlę, przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruzy. Nad wszystkim unosił się czerwony pył cegły.

Chłop przybiegł bliżej. Tam już zobaczył, co się zdarzyło. Oto—nowy dom upadł.

Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga — w większej połowie.

W poszczerbionych murach wisały futryny, a duże belki, przeznaczone do dźwigania sufitów, opadły, pogięły się i potrzaskały jak wióry.

W oknach sąsiednich domów ukazały się zalekzione kobiety. Ale na ulicy, prócz robotników, było ledwie kilka osób. Wieść o wypadku nie zdążyła jeszcze do środka miasta.

Pierwszy oprzytomniał główny majster.

— Czy nie zginął kto?—pytał drżący.

— Zdaje się, że nie. Wszyscy byli na śniadaniu.

Majster począł rachować swoich, ale wciąż mylił się.

— Czeladnicy są?..

— Jesteśmy!..

— A pomocnicy?..

— Jesteśwa!..

— Jędrzeja niemal.. — odezwał się jeden głos.

Obecni na chwilę zaniemieli.

— Tak, on był we środku...

— Trzeba go szukać!..—rzekł majster ochrypniętym głosem.

I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilku śmielszych.

Michałko machinalnie zbliżył się także.

— Jędrzeju!.. Jędrzeju! — wołał majster.

— Usuń się pan! — ostrzegli go. — Ta ściana ledwo wisi.

— Jędrzeju!.. Jędrzeju!..

Z wnętrza domu odpowiedział jęk.

W jednym miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi. Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał,

i schwycił się oburącz za głowę. Potem jak szalony popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi zdruzgotała i przycisnęła mu belka. Nad nim wisiało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwilę mógł się oberwać.

Jeden z cieśłów począł oglądać miejscowość, a skamienieli z trwogi robotnicy patrzyli mu w oczy, gotowi pójść, jeżeli ratunek jest możliwy.

Ranny konwulsyjnie wykręcił się i stanął na dwu rękach. Był to chłop. Miał czarne z bólu usta, szarą twarz i zapadnięte oczy. Patrzył na ludzi stojących o kilkanaście kroków od niego, jęczał, ale wzywać o ratunek nie śmiał. Mówił tylko:

— Boże mój!.. Boże miłosierny!..

— Tu nie można wejść! — rzekł głucho cieśla.

Gromada cofnęła się w tył.

Między nimi stał Michałko, przerażony może więcej niż inni.

Strach, co się w nim działo!.. Czuł wszystek ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód...

Zdawało mu się, że w tłumie nikt, tylko on jeden ma obowiązek i — musi ratować człowieka, co przyszedł tu ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy inni mówili sobie: pójdę! on myślał:

— Nie pójdę! Nie chcę!

Obejrzał się bojaźliwie. Stał sam jeden przed gromadą, bliżej muru niż inni.

— Nie pójdę!..—szeptał, i—podniósł drag, który leżał mu prawie przy nogach.

Między ludźmi zaszemrano:

— Patrzcie!.. Co on robi?..

— Cicho!

— Boże miłosierny, zmiłuj się! — wołał ranny, szlochając z bólu.

— Idę! idę!..—rzekł Michałko, i — wszedł między gruzy.

— Zginiecie obaj! — krzyknął cieśla.

Michałko już był przy nieszczęśliwym. Zobaczył jego zdruzgotane nogi, kałużę krwi, i pociemniało mu w oczach.

— Bracie mój! bracie!... — szeptał ranny i objął go za kolana.

Chłop podsunął drąg pod belkę i rozpaczliwym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszczenie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka kawałków cegły.

— Wali się!..—krzyknęli robotnicy, rozbiegając się.

Ale Michałko nie słyszał, nie myślał, nie czuł nic. Silnem ramieniem podparł znowu drąg i już całkiem usunął belkę ze zmiażdżonych nóg leżącego człowieka.

Z góry posypały się gruzy. Czerwony pył zakłębił się, zgęstniał i wypełnił wnętrze budynku. Za ścianą słyhać było jakieś szamotanie się. Ranny jęknął głośniej i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michałko zgięty, z trudnością dźwigający rannego. Powoli przeszedł niebezpieczną granicę i, stanąwszy przed tłumem, zawołał z naiwną radością:

— Jedziel.. jedziel.. Ino mu tam jeden but ostał!..

Robotnicy schwycili rannego, który omdlał i ostrożnie zanieśli do najbliższej bramy.

— Wody!... — wołali.

— Octu!...

— Po doktora!...

Michałko powlókł się za nimi, myśląc:

— To ci dobry naród w tej Warszawiel! Nie bój się!

Zobaczył, że ma ręce zakrwawione, więc umył je w kałuży — i stanął pod bramą domu, gdzie leżał ranny. Do środka nie pchał się. Alboż on doktor? czy mu co poradzi?

Tymczasem ulica poczęła się bardzo zaludniać. Biegli ciekawi, pędziły dorożki, a nawet zdaleka słychać było dzwonki straży ogniowej, którą także ktoś zaalarmował.

Nowy tłum, już takich co byli chciwi wrażeń, skupił się przed bramą, a gorętsi pięściami torowali sobie drogę dla zobaczenia krwawej hecy.

Jednemu z nich, stojący przy furtce Michałko — zawadzał.

— Usuń się, gapiu jakiś! — krzyknął jegomość, widząc że bosy chłop niebardzo ustępuje pod naciskiem jego ręki.

— A bo co? — spytał Michałko, zdziwiony tym zapędem.

— Coś ty za jeden, zuchwalcze jakiś? — wrzasnął ciekawy. — Co to, niema policji, żeby takich próżniaków rozpędzała?..

— Oj! na złe idzie!.. — pomyślał chłop, i zląkł się, żeby go za taki występki nie wsadzono do kozy.

I, nie chcąc budzić licha, wcisnął się między gromadę...

W kilka minut później zaczęto z bramy wołać tego, który biedaka wyniósł z pośród gruzów.

Nie odezwał się nikt.

— Jak on wygląda? — pytano.

— To chłop. Miał białą sukmanę, okrągłą czapkę i był bosi...

— Niema tam takiego na ulicy?

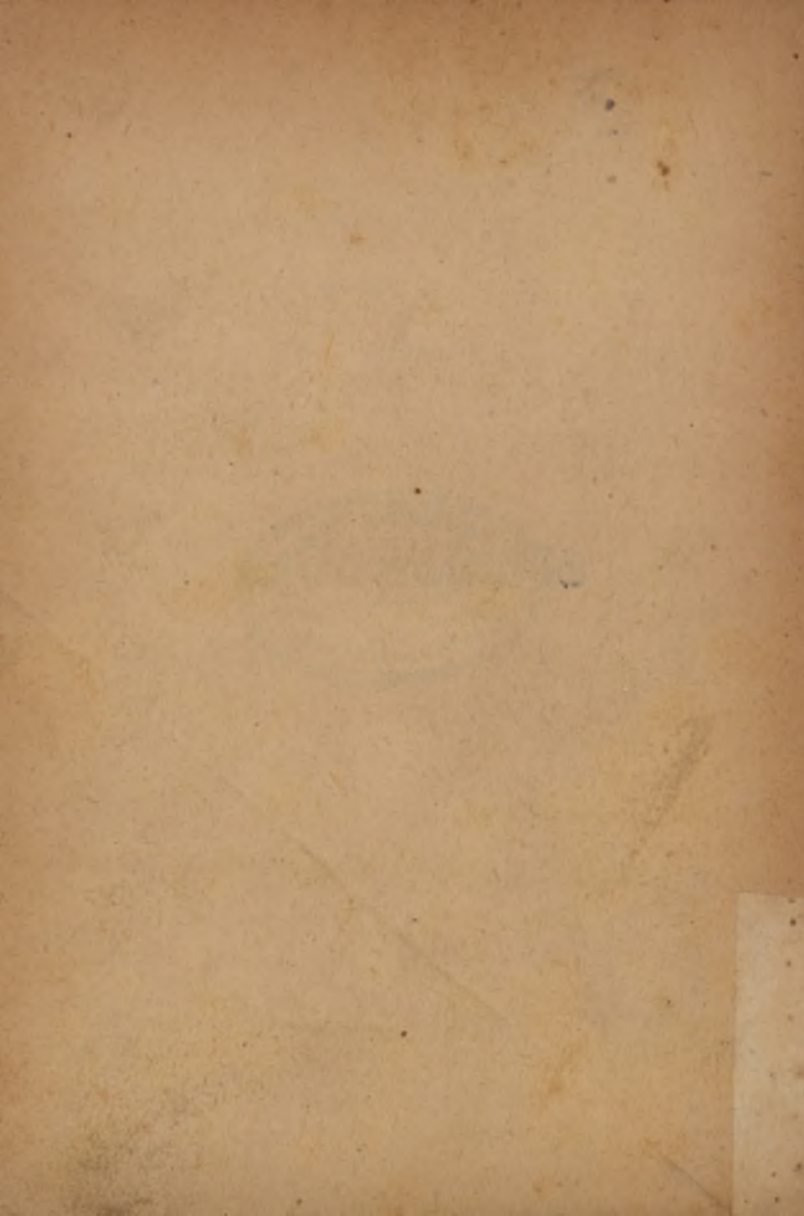
Poczęto szukać.

— Był tu taki! — krzyknął ktoś — ale poszedł.

Rozbiegła się policja, rozbiegli się robotnicy, i—nie znaleźli Michałka.

Warszawa 1880 roku.





I. JAŚ WYJEŻDŻA DO KREWNYCH.

Mój przyjacielu! Zarzucasz mi, że mam słabość do opisywania kłopotów ludzi uczciwych i radości hultajów; mówisz przytem, że widzę świat w ciemnych barwach. Ale robię to tylko dla oryginalności. W gruncie rzeczy sam nie wierzę w to, co piszę. Świat jest oceanem szczęścia — to wiadomo. Wszyscy, którzy pływają po nim, są bardzo zadowoleni, i — mają słuszość. Że się ten i ów zachłysnął, a ktoś inny utonął — to nie argument.

Z tej wychodząc zasady, postanowiłem zrobić się optymistą. Rzecz nader łatwa: potrzeba tylko, oglądając fakty, przechodzić na drugą stronę.

Ot i w tej chwili, alboż nie jesteśmy szczęśliwi? Zimno wprawdzie na dworze, ale tylko na naszej półkuli. Gdzie indziej klimat jest umiarkowany, a nawet tak gorący, że na wolnem powietrzu mogą piec chleb, naturalnie ci, którzy mają mąkę. Zresztą i zimno nie psuje ludziom humoru. Cieszy się składnik węgla, że będzie robił interesa; cieszy się pajak, że ostatnią w tym roku muchę złapał, a i mucha brzęczy tak, jakby była zupełnie kontenta.

Śmierć, na przykład, uważają ludzie za najgorszy wypadek. Jest to przesąd, o czem najlepiej przekonał

się pan Wincenty. Był on małym urzędnikiem, pobierał kilkaset rubli pensji, a śmierci bał się jak ognia. Jednak w chwili stanowczej, nie znać było na nim wielkiego wzruszenia. Machnął ręką, jakby chcąc powiedzieć: „głupi świat!..“ i umarł. Umarł tak dobrze, jak najznakomitszy aktor, ba!.. nawet lepiej, bo nie wstał choć go wywoływali.

Coprawda, nie wywoływała go publiczność, tylko własna żona i trochę syn, Jaś. Ale jego można nie liczyć, bo miał dopiero trzy lata.

Przy tej sposobności, pani Wincentowa poznała całą dobroć ludzkiej natury. Prawie wszyscy koledzy nieboszczyka zeszli się na pogrzeb. Zmarły wprawdzie za każdego odrabiał zaległości, dłużej przesiadywał w biurze, brał papiery do domu. Ale i tego liczyć nie warto. Za to żadnemu z nich nie oddał ostatniej chrześcijańskiej posługi, a oni mu ją przecie oddalili..

W ciągu reszty życia pozostało dla pani Wincentowej tajemnicą: jakim sposobem wróciła z cmentarza do domu? Okoliczność ta była dowodem litości pewnego pana Karola.

— Słowo honoru daję! — mówił do swoich znajomych pan Karol—sam ją odwiozłem i jeszcze cztery złote za dorożkę zapłaciłem. Ale ja się nie lubię chwalić.

Wróciwszy do domu, pani Wincentowa załamała ręce i szepnęła z rozpaczą:

— Co ja tu pocznę nieszczęśliwa, ja — i... ten biedny sierota!

Mówiąc to, patrzyła na Jasia, który zmęczony, spłakany (choć płakał, sam nie wiedząc z jakiego po-

wodu), upadł na kanapkę w żałobnej sukience i twardo zasnął.

Tymczasem, można się było smucić, ale nie wypadało rozpaczać. Rozpacz zdradza małe zaufanie do miłosierdzia ludzkiego, no! a ludzie są przecie miłosierni.

Zaraz w kilka dni po nieszczęściu, zjechali do Warszawy krewni zmarłego: pan Piotr i pani Piotrowa.

Pan Piotr, jako mężczyzna i człowiek praktyczny, wziął się do taksowania i sprzedawania ruchomości. Pani Piotrowa zaś, aby nie przeszkadzać mężowi i pofolgować własnym uczuciom, usiadła przy wdowie i poczęła płakać z nią — na wspólkę. Popłakawszy, ugotowała kawy na maszynie, napiła się sama, nakarmiła wdowę, sierotę i swego męża pana Piotra, a potem — popłukawszy szklanki i łyżeczki, wzięła się znowu do płaczu.

Taki podział zajęć i boleści, zbawiennie oddziaływał na wdowę, o czem przekonywamy się ze słów samego pana Piotra.

— Uspokoila się biedna Zuzia!.. — rzekł raz do swej małżonki.

— A tak!.. A wszystko to zawdzięcza twojej przytomności umysłu — odpowiedziała pani Piotrowa.

— Ale gdzie tam!.. Uspokoila się widząc twoje współczucie — twierdził pan Piotr.

— Powiadam ci mężuniu, że to twoja praktyczność...

— Dosyć tego! — oburzył się pan Piotr. — Powiedziałem, że tyś ją pocieszyła i basta!..

Ponieważ małżonka winna być współmałżonkowi uległą, pani Piotrowa zatem głośno przyznała słuszność twórcy swojej rodziny. W duszy jej jednak pozostały pewne wątpliwości, dla usunięcia których (gdy mąż wyszedł) spytała pani Wincentowej, ucałowawszy ją poprzednio:

— Powiedz mi też, kochana Zuziu, które z nas dwojga więcej cię uspokaja?.. Prawda, że Piotruś?..

Wdowa w odpowiedzi załżała się łzami.

Stan jej coraz głębsze współczucie począł budzić w krewnych. Przyjechali tu bez żadnego ściśle określonego zamiaru, lecz zbadawszy rzecz na miejscu, przekonali się, że wypada coś zrobić.

— Biedactwo!.. — rzekł pan Piotr. — Te kilkaset rubli, ze sprzedaży ruchomości, wystarczą jej najwyżej na pół roku.

— Nawet i na tyle nie wystarczą!.. — odpowiedziała pani Piotrowa.

— Trzebaby ją wziąć do nas...

— I dać jakieś zajęcie.

— Tak!.. Prostu dla rozerwania myśli — zakończył pan Piotr.

Skutkiem tego, pani Wincentowa, wraz z Jasiem, wyjechała na wieś. Państwo Piotrowie mieli troje dzieci i przy nich guwernantkę. Po przyjeździe jednak z Warszawy odprawili guwernantkę, którą zastąpiła wdowa; prosto dla rozerwania myśli. Ponieważ jednak pani Wincentowa tylko dnię przepędzała na nauce dzieci, a ranki i wieczory na łzach — krewni więc, dla ostatecznego uwolnienia jej od smutku, odprawili klucznice.

Istotnie, przy pełnieniu tych podwójnych obowiązków i czuwaniu nad własnem dzieckiem, wdowa nietylko o smutku, ale nawet o samej sobie zapomniała.

Zresztą, było jej tam dobrze, jak w raju. Dla siebie i syna miała jedzenia po uszy. Do gości wychodziła, o ile czas pozwalał i ile razy chciała. Jako krewna, pensji nie brała żadnej; państwo Piotrowie nigdyby jej w taki sposób nie uchybili. Ale zato, ile razy potrzebowała czy to dla siebie, czy dla Jasia, na sukienkę, koszulę, albo trzewiki, dość jej było powiedzieć tylko słówko:

— Kochany wuju!.. Możeby wuj był łaskaw dać mi dziesięć rubli...

— Naco to, kochana Zuziu?.. — pytał pan Piotr.

— Chciałabym — mówiła cicho, ze spuszczonemi oczyma — chciałabym kupić Jasiowi płótna i korciku na ubranie...

— Owszem, kochana Zuziu!.. Przecieżeś ty nasza krewna, choć daleka, a on sierota... Ja wprawdzie nie wymawiam, zawsze jednak radziłbym oszczędność. Dlatego zamiast korciku, kup mu barchanu, a i płócienko może być trochę grubsze. Widzisz, ledwie półtora roku upłynęło od śmierci męża, a już wydałaś te kilkaset rubli, którem ci wydreptał... To ile chcesz, ile?..

— Dziesięć rubli... — szepnęła, tłumiąc westchnienie.

— Naco tyle?.. Dosyć będzie siedem rubli!.. Ja wprawdzie nie żałuję, ale żebyś moje dziecko wiedziała, jak teraz o grosz trudno! — mówił pan Piotr, wydobywając powoli najbardziej zatłuszczone papierki.

Serce człowieka składa się, jak wiadomo, z dwu części: w jednej mieszkają uczucia dla siebie, w drugiej dla bliźnich. Otóż pan Piotr, pomimo wrodzoną dobroć i praktyczność, ową drugą połowę serca miał nieco skostniałą. Z tego powodu kochał własne cnoty a nienawidził wad cudzych; czuł głęboko własne przykrości, lecz o tych, które innym wyrządzał, miał wyobrażenie dosyć słabe.

Pani Wincentowa, poznawszy psychiczną organizację krewnego, straciła śmiałość i przywiązanie do swego opiekuna. Coraz rzadziej odwoływała się do niego z prośbą o pieniądze, a coraz częściej łątała ubranie swoje i syna.

Tymczasem Jaś rósł i, jak mówił pan Piotr, hartował się i odzwyczajał od zbytków. Miał już lat pięć, chodził w lecie boso, tudzież w barchanowych majtkach, które wraz z kaftanikiem, z tyłu zapinanym, stanowiły jedną całość. Zato w dniu świąteczne nosił, przykrótkie nieco, ale porządne ubranie, po młodszym od siebie synu pana Piotra.

Jaś był dzieckiem potulnem, uczył się i słuchał. Ludzie obcy, jak naprzykład goście i folwarczna służba, mniemali, że chłopczyk ten był nierównie lepszy od dzieci pana Piotra i jego małżonki. Na nieszczęście pan Piotr, odznaczający się, jak wiadomo, trzeźwym umysłem, dopatrywał w nim wiele wad. Według jego opinii, Jaś był dziki, bo uciekał przed gośćmi, był skryty—bo niewiele mówił, a choć robił co mu kazano, musiał to zapewne robić niechętnie. Najbardziej potępiał go pan Piotr za zaciętość.

— Jeżeli mego chłopca wezmę za ucho — mówił—to on zaraz krzyczy. Tego nieraz porządnie oświadczę, a on ani piśnie. Najwięksi zbrodniarze odznaczali się w dzieciństwie takim uporem!..

Najgorszem było to, że Jaś — kłamał.

Pewnego razu, synek państwa Piotrów przyleciał pędem z obory, wołając:

— Tatu!.. tatu!.. ja nie byłem w oborze, ja ciełat nie wypuściłem!

— To pewnie Jaś wypuścił! — rzekł surowo pan Piotr. — Prawda synku, że Jaś?

Zdziwiony synek milczał.

— No, przyznaj się synku—mówił dalej ojciec—prawda, że Jaś wypuścił?

— A Jaś, proszę tatki, Jaś! — odparł chłopiec, który przed oczyma duszy ujrzał w tej chwili widmo pięciopalczastej dyscypliny, na sarniej nóżce.

Oburzony pan Piotr pobiegł szukać sprawcy złego i znalazł go w ogrodzie pod drzewem, gdzie Jaś spał, albo przynajmniej udawał, że śpi. Ale przenikliwy opiekun zrozumiał podstęp; porwał więc chytrego chłopca za ramię i krzyknął:

— Ty wypuściłeś ciełeta?

Zbudzony Jaś szeroko otworzył oczy, wybornie udając zadziwienie i przestach. Taka wielka bezczelność w tak małym chłopcu, zrewoltowała cnotliwą duszę pana Piotra.

— O, sprawięz ja tobie łaźnię, hultaju! — mówił opiekun, ciągnąc go do swego pokoju.

— Ja nie wypuściłem ciełat!.. Ja spałem w ogrodzie!..—wołał Jaś, zanosząc się od płaczu,

Ponieważ pani Wincentowej w tym czasie w domu nie było, a pani Piotrowa nie miała odwagi wstawiać się za przewrotnym chłopcem, Jaś więc dostał porządne cięgi. W kilka dni potem okazało się, że nie Jaś, lecz synek pana Piotra cielęta wypuścił; ale—już było za późno.

Małe to, jak mówił pan Piotr, nieporozumienie, do reszty zniechęciło biedną wdowę. Stała się ona smutniejszą niż kiedykolwiek, zżółkła, podupadła na zdrowiu i po całych dniach myślała o tem tylko, ażeby jak najrychlej wydobyć się z objęć pocziwych krewnych. Między nią a opiekunem, długi czas toczyła się głucha walka, której widocznymi objawami były wybuchy gniewu ze strony pana Piotra i łzy wdowy.

II. JAŚ ZOSTAJE SYNEM GUWERNANTKI.

Częstymi gośćmi w domu pana Piotra bywał państwo Anzelmowie. Widzieli oni, że pani Wincentowa doskonale uczy dzieci, że jest cicha, pracowita i zręczna, i że pan Piotr, pomimo całą dobroć serca i przytomność umysłu, nie należy do smacznych opiekunów. Litowali się oni nad losem wdowy, a ponieważ sami mieli chłopczyka i trzy córeczki, więc umyślili wziąć panią Wincentową do siebie.

Układ zrobiono pocichu. Że jednak pani Wincentowa bała się zawiadomić o nim krewnych, więc wyręczył ją pan Anzelm.

— Cobyś też powiedział, kochany sąsiedzie — rzekł pewnego razu do Piotra — gdybyśmy ci zabrali swoją kuzynkę?

— Co wam tam po niej! — odparł Piotr, pogardliwie machnąwszy ręką.

— Byłaby u nas tak samo guwernantką, jak tutaj.

Pan Piotr poprawił wąsa i z pod oka spojrzał na mówiącego.

— Ona przecież u nas nie była guwernantką — rzekł — tylko... krewną.

— Dałbym jej dwieście rubli! — ciągnął dalej Anzelm, nie patrząc na sąsiada.

Pan Piotr oburzył się.

— Próżne gadanie! — zawołał z gniewem. — Onaby od nas nie odeszła za żadne pieniądze...

— Odejdzie! odejdzie!.. A zresztą możemy ją zapytać.

— Dobrze... zapytajmy! — odparł zirytowany pan Piotr, trochę bojąc się, a trochę nie dowierzając temu, ażeby pani Wincentowa mogła okazać się niewdzięczną.

Niebawem wezwano biedaczkę, która, ku najwyższemu zdziwieniu pana Piotra, wyznała, że dom jego może opuścić.

— Co to znaczy, Zuziu? — krzyknął krewny. — Czy było ci u nas źle?..

— Owszem, dobrze... — odparła zmieszana — ale u pana Anzelma będę mieć pensję...

— No, jeżeli chodzi o *stałą* pensję — poprawił krewny — to mogę ci odtąd płacić sto pięćdziesiąt rubli rocznie.

— Bardzo dziękuję wujowi, ale... już umówiłam się z panem Anzelmem...

Ponieważ krewny nie odpowiedział nic, zatem pani Wincentowa pocichutku wysunęła się z pokoju. Wówczas pan Piotr wybuchnął:

— Ślicznie sąsiad postępujesz ze mną — zawołał.—Godzi się to intrygować między familją?.. Świetny los zrobi u sąsiada, że będzie guwernantką...

— Tutaj była guwernantką i klucznicą! — odparł popędliwie Anzelm.

— Co to, klucznicą?.. była jak u siebie, panią w domu!.. Umarłyby z głodu po śmierci męża, gdybyśmy jej nie przygarnęli... Zmarnowałyby rzeczy, gdybyśmy ich dobrze nie sprzedali!

— Cóż z tego, żeś pan sprzedał rzeczy, kiedy już niema pieniędzy.

Ostatnia uwaga najdotkliwiej zraniła pana Piotra, który zapominając o prawidłach gościnności, wyszedł z pokoju, trzasnął drzwiami i zostawił sąsiada samego. Pana Anzelma wcale to nie obraziło; siadł w tej chwili na bryczkę i pojechał do domu, myśląc z rozkoszą, że pomógł prawdziwemu nieszczęściu.

Teraz dopiero, wprowadzie na bardzo krótko, zmienił się los wdowy i sieroty w domu krewnych. Pani Piotrowa obsypywała pieśczołami kochaną Zuzię i Jasia, któremu pan Piotr chciał natychmiast sprawić nowe ubranie, a matce płacić odtąd dwieście rubli. Poczciwy krewny robił to bardziej dla uniknięcia skandalu i za-trzymania pożytecznej Zuzi, aniżeli z uczuciowych powodów.

Ale pani Wincentowa, mimo uległości i szacunku dla opiekunów, uparła się. Widocznie nie umiała ocenić przywiązania krewnych. Po czteroletnim pobycie między nimi, dom ten wydał się jej nieznośnym. Nie było prawie kąta, gdzieby nie płakała nad sobą albo synem — nie było pokoju, w którymby nie widziała kwaśnej miny pani Piotrowej i ponurego wzroku pana Piotra — nie było pola i ogrodu, po którymby Jaś jej boso nie biegał. Przypominała sobie z goryczą kaprysy dzieci, zuchwalstwo służby, na którą nie było się przed kim skarżyć. Pamiętała gości, przed którymi obdarty i zdziczały Jaś krył się po kątach, i do których ona sama niezawsze mogła wychodzić, z powodu braku sukni.

To też napróżno pani Piotrowa błagała ją ze łzami; napróżno dzieci, przez kilka dni, były tak grzeczne, jak cherubiny; napróżno przytomny pan Piotr zbił dwie służące za hardość. Wdowa wstawiała się za sługami, pieściła grzeczne dzieci, a uprzejmym rodzicom wyświadczała tysiączne usługi. Lecz gdy przyszły konie od pana Anzelma, postanowiła jechać.

Widząc to, pan Piotr rzekł jej na odjezdne:

— Kiedy chcesz, jedź!.. Ale odtąd — nie znamy się!

Spakowawszy trochę rupieci, siadła pani Wincentowa na bryczkę, zalewając się łzami. Furman podał jej zdziwionego Jasia. Ze dworu nikt nie wyszedł na pożegnanie, tylko w oknach kuchni widać było smutne lub uśmiechnięte twarze służby. Gdy ruszyła bryczka, kilka psów podwórzowych, wśród podskoków i głośnego szczekania, odprowadziło wdowę aż na pole.

Nic dziwnego! ona te psy karmiła, a Jaś zawsze ba-
wił się z nimi, nigdy ich nie bił, ani targał za uszy.

Nowi gospodarze, choć obcy, a może właśnie
dlatego że obcy, okazali się nierównie lepszymi od
krewnych. Pani Anzelmowa była sobie szczupłą, bladą
i chorowitą szatynką. Lubiła czytywać romanse i grać
na fortepianie; do gospodarstwa nie mieszała się tak
dalece, że nawet służący jej nie umieliby powiedzieć,
jak wygląda. Pan Anzelm znowu, niski, przysadzisty,
ogorzały i rumiany blondyn, był człeczyna uczciwy
z kośćmi. Czytywał mnóstwo gazet i pism rolniczych
i prawie połykał artykuły, w których wyrzucano rol-
nikom ich niedbalstwo, brak nauki i niemyślenie o ju-
trze. Długie te kazania skruszyły—już z natury miękkie
serce pana Anzelma. Bijąc się w piersi, głośno wy-
znawał błędy, które mu wytykano, i odtąd począł się
tak uczyć, tak dbać o gospodarstwo i myśleć o jutrze,
że nie miał czasu ani zajrzeć do stodoły, ani wyjechać
na pole. Dawniej także nie zaglądał i nie wyjeżdżał,
ale dlatego, że nie czytywał podobnych artykułów.

Zobaczywszy to sąsiedzi, poczęli go nazywać
gospodarzem-filozofem. Istotnie, pan Anzelm był filo-
zofem, ale nie z tej szkoły, do której należało Towa-
rzystwo kredytowe, bo pomiędzy nim a zarządem wy-
mienionej instytucji, trafiały się częste i ożywione
sprzeczki.

Prócz tego pan Anzelm był jowialnym. Lubił się
śmiać i opowiadać dykteryjki; gdy zaś usłyszał lub
wyczytał nową, powtarzał ją sąsiadom, żonie, guwer-
nantce i ekonomowi, wkońcu zaś pytał:

— A co, panie, dobry koncept?...

— Naturalnie!... — odpowiadał zapytany.

— To ja go wymyśliłem!

Młynkiewicz, ekonom Anzelma, który swego chlebobdawcę uważał za szczyt ludzkiej doskonałości, do-dzierał nietylko „pańskie“ suknie, ale i pańskie dykteryjki, w towarzystwie karbowego, gajowego i pisarza. Po każdej zaś powiastce dodawał:

— A co, panie, dobry koncept?... To myśmy go wymyślili z panem Anzelmem!...

W takim towarzystwie nie mogło być źle pani Wincentowej. Państwo byli dobrzy, dzieci grzeczne. To też między nimi odżyła biedna kobieta i jej synek.

Zaraz po przyjeździe, pan Anzelm dał nowej guwernantce kilkadziesiąt rubli zgóry. Za tę sumę oporządzili się nieboracy i z najlepszą otuchą zajęli swój pokoiczek na pięterku.

Cacko też to było, nie pokoik! Miał czyściuchną podłogę, w kącie piec i białe jak mleko ściany, których jedyną wadą było to chyba, że trochę bielily suknie. Do jednego z okien wspinały się gałązki dzikiego wina, do drugiego przylatywały gołębie, wołając: grochu!.. grochu!..

Było tam jeszcze parę krzeseł wiśniowego koloru, komódka, szafa, szerokie łóżko dla matki, a dla syna rozsuwane łóżeczko — na wyrost. Były i dwa kotki bardzo łaskawe, jeden myszaty a drugi biały, spuszcizna... po ostatniej guwernantce, starej pannie.

— *Zakocila* nam panna Dylska całą okolicę! — mawiał nieraz pan Anzelm, patrząc pilnie, ażali się słuchacz nie roześmiej. Gdy zaś to nastąpiło, dodawał z triumfem:

— A co, panie, dobry koncept?... To ja go wymyśliłem!...

Jeżeli guwernantka była zadowolona z państwa, to i oni musieli być z niej kontenci. Okazało się, że pani Wincentowa posiada dużo talentów.

W miesiąc po przybyciu, nauczyła klucznicę wypasać indyki, które dotychczas były chude jak szczypy. Umiała rurkować falbany u białych spódnic i zakładała firanki jak tapicer, aż ją rozrywali sąsiedzi! Grała przytem mnóstwo tańców na fortepianie i dlatego nie obszedł się bez niej żaden wieczór. Zwykle zapraszano ją na bal, jako młodą wdówkę, która powinnaaby zdobyć męża. Niebawem jednak, wśród prośb i całusów, zasadzano ją do fortepianu, od którego wstawiała ledwie nad ranem.

W domu państwa Anzelmów przemieszkała wdowa trzy lata, a czas tam spędzony, uważała za najszczęśliwszy w życiu.

III. JAŚ ZACZYNA DZIWIĆ MATKĘ.

Synek wdowy, wydobywszy się z żelaznych uścisków pedagogiki pana Piotra i włożywszy nowe ubranie, szybko począł się rozwijać. Przy gościach wprowadzie, tudzież w stosunkach z dziećmi pana Anzelma, pozostał i nadal nieśmiałym. Zato jednak, znalazłszy się sam na sam z matką, ciężkiego nieraz nabawiał ją kłopotu.

Miał już skończonych lat siedem, rwał zęby przy pomocy nitki i klamki i dość wprawnie czytał, kiedy

nagle — napadła go szczególna manja. Począł on po pokoiku matki chodzić wielkimi krokami jak pan Anzelm, garbić się i zakładać ręce w tył — zupełnie jak pan Anzelm, a nadewszystko — głośno mówić do siebie, czego już pan Anzelm nie robił.

Najciekawsze było to co mówił:

— Będę miał bas... będę miał bat... będę miał bąk... będę miał dom...

Usłyszawszy to matka, struchlała.

— Co ty wygadujesz, chłopcze?..—krzyknęła, zalamując ręce.

— Albo mama nie wie? — odparł. — Przecież bat, to się robi z kija i ze sznurka, a bąk, to jest taki okragły, z dziurką...

— No dobrze, ja rozumiem... ale poco ty to mówisz?

Na to już Jaś nie umiał odpowiedzieć. W gruncie rzeczy, gadanina jego była pierwszym brzaskiem budzącej się myśli i wyobraźni. Chłopiec czytał w elementarzu wyrazy dla wprawy, a tam, gdzie zwykle dzieci widzą tylko chaotyczną gromadę c arnych znaków i niezrozumiałych dźwięków, on widział przedmioty i obrazy. To ćwiczenie kielkujących zdolności psychicznych, robiło mu wielką satysfakcję, i dlatego, nie zważając na przestroch matki, prawił dalej swoje:

— Będę miał bat... będę miał bąk... będę miał...
Nagle urwał i zapytał:

— Proszę mamy, co znaczy: *brzdęk*?

Tym razem matka nie umiała mu odpowiedzieć.

— Czy to jest drewniane, czy jakie inne?

— Ale gdzież tam!.. Ach, jakie ja mam zmartwienie z tobą, moje dziecko...

Czekały ją jednak większe zmartwienia, szczególnie z zakresu geografji i astronomji.

Pewnego razu, pani Wincentowa tłumaczyła dzieciom swoich chlebobawców kształt ziemi. Czworo tych głuptasków, z których jedno patrzyło w sufit a drugie na podłogę, z najlepszą wiarą i bez żadnych zastrzeżeń, przyjęły do wiadomości zdania: że ziemia jest okrągła i że się obraca naokoło słońca. Jaś, czem innem zajęty, słyszał to z boku, a gdy wieczorem znalazł się z matką w pokoiku, rzekł:

— To wszystko musi być bajka!..

— Co takiego?—spytała matka.

— A to, żeby tam ziemia była okrągła — odparł Jaś.—Żeby była okrągła, toby z niej ludzie pospadali. Wiem przecież, bom nieraz łąził na stóg i zawsze z niego zlatywałem.

— A tyś tam poco łąził, niedobre dziecko? — zgromiła go matka, lecz opamiętawszy się, dodała:

— Widzisz, ziemia jest większa... ho! ho! ile razy większa od stogu...

— Gdyby była większa od stogu, toby ludzie jeszcze prędzej pospadali... ehl.. nawet pozabijaliby się.

Na takie *dictum* umilkło biedne matczyisko, nie mogąc wybrnąć z dziecinnych zarzutów i nie podejrzewając nawet, że to niespokojne i zabawnie rozumujące powątpiewanie zdradza zawiązek niepospolitego umysłu.

Jaś miał nadzwyczaj silną wyobraźnię. Pewnego razu usłyszał od parobków, że na księżycu, w czasie

pełni, widać chłopą, który gnój nakłada. Odtąd, ile razy zdarzyła się sposobność, leżał po całych wieczorach na ziemi, z twarzą zwróconą do księżycy. Widywał wówczas mnóstwo rzeczy: raz, że księżyc toczy się jak koło po obłokach, to znowu, że pod powierzchnią jeziora jest drugi księżyc i drugie niebo, to znowu, że z ponad wód i wilgotnych łąk unoszą się jakieś olbrzymie widziadła, w długich powiewnych szatach... Chłopa jednak na księżycu zobaczył dopiero przy końcu lata.

Jednego wieczora, spacerujący po ogrodzie państwo Anzelmowie usłyszeli krzyk dziecięcy:

— Fornalul! fornalul!.. Gospodarzu!..

Zaciekawieni, podeszli w tamtą stronę i zobaczyli Jasia, który zadął głowę, twarz zwrócił ku księżycowi i wrzeszczał jak opętany:

— Fornalul!.. fornalul!..

Napróżno jednak zapytywali go: co to znaczy? Zawstydzony chłopak uciekł i dopiero w parę godzin powiedział matce:

— Bo to widzi mama, ja chciałem się tego chłopą zapytać, jak tam jest na księżycu?

Matka westchnęła.

Innym razem rzucił pytanie:

— Moja mamó, dlaczego ja chodzę, a lalka nie chodzi, chociaż ma nogi i jest do mnie podobna?

— A bo widzisz, moje dziecko, ty masz duszę a lalka jej nie ma.

— A co to jest dusza?..

Matka zamyśliła się i, przywoławszy na pomoc katechizm księdza Putiatyckiego odparła:

— Dusza... dusza jest to, co w twojem ciele myśli i niem rządzi...

— Przecie ja sam myślę, nie żadna dusza!

Pytanie to trapiło go i chciał się koniecznie dowiedzieć: jak wygląda dusza? Szczęściem, nadeszło wkrótce Boże Narodzenie, a gdy Jaś zajrzał do kuchni, gdzie oprawiano ryby, klucznica, podając mu jakiś podwójny pęcherzyk, rzekła:

— Naści Jasiu rybią duszę... Strzel sobie z niej!

Jaś miał wielką ochotę włożyć duszę w lalkę; zmiarkowawszy jednak, że ryba co innego, a lalka co innego, nacisnął pęcherzyk nogą i strzelił.

Na drugi dzień świąt, przyjechał do państwa Anzelmów miejscowy proboszcz. Siwy jak gołąb starowina, wzięwszy w lewą rękę tabakierkę, w prawą ogromny fular, zebrał około siebie dzieci i egzaminował je z religji. Pytał ich: kto stworzył świat?.. jak się nazywali pierwsi rodzice?.. na co Pan Bóg ludzi stworzył?.. Jaś na wszystko odpowiadał najgorzej i najbojaźliwiej; dopiero usłyszawszy frazes: co to jest dusza? krzyknął:

— Ja wiem!

— Bardzo dobrze!.. bardzo ładnie! — chwalił go proboszcz. — No, powiedz już, powiedz... bo ci języczek widzę ucieknie.

Jasiowi oczy świeciły jak węgle.

— Dusza — rzekł z wielką pewnością siebie — to takie co strzela.

Starowina, usłyszawszy to, podniósł do góry obie ręce z chustką i tabakierką i zdziwiony zawołał:

— Jezus! Marja! A od kogóżeś ty się o tem dowiedział?..

— A od klucznicy, proszę księdza proboszcza, jak oprawiała ryby.

— Moje dziecko!.. moje dziecko!..—mrucał pocziwiec, kręcąc głową. Potem zażył tabaki, raz, drugi raz—utarł nos powoli i systematycznie, i—dał spokój egzaminowi, ku wielkiej ucieście dzieci.

Pani Wincentowa załamała ręce, ale zato pan Anzelm śmiał się tak, że aż mu oczy na wierzch wychodziły.

— Jaki to będzie facecjonista z tego chłopca! — mówił, całując Jasia w jasne kędziory.

Wszystkiego tego nie słyszała jedna tylko pani Anzelmowa. Myślała ona o swoich nerwach i o tem: czy eteryczny Wiesław Różyc ożeni się z Cecylją?

Mimo egzaminowe niepowodzenie, Jaś był ogromnie zdolnym chłopcem. Mając dopiero lat dziewięć, strugał drewniane pałasze i łuki dla synka państwa Anzelmów, tudzież czółenka z kory sosnowej—dla ich córek. Rozumiał budowę młyna, tartaka, i małego, ściennego zegara; tego tylko nie mógł pojąć: z jakiej racji jedna skazówka posuwa się prędzej niż druga?

W arytmetyce robił zadziwiające postępy: wymyślił bowiem sposób wykonywania trzech pierwszych działań na ziarnkach fasoli, przy pomocy której, nauczył nawet starszego od siebie Józia, niesłychanie trudnej rzeczy: tabliczki mnożenia. Odtąd ile razy dzieci nie mogły czego pojąć, pani Wincentowa tłumaczyła najprzód Jasiowi, a on im, zapomocą własnych przykładów, odznaczających się prostotą i jasnością.

To też pan Anzelm nieraz mówił do Jasia:

— Chłopcze! ty będziesz wielkim człowiekiem.

Z pośród małych swoich towarzyszy, Jaś najbardziej lubił Antosię. Bo też w republice dziecięcej, oni oboje najskromniejsze zajmowali stanowiska: Jaś jako syn guwernantki, Antosia — jako najmniej pieszczona przez swoich rodziców.

Pewnego razu, dzieci te prowadziły między sobą nader charakterystyczną rozmowę:

— Czemyś chciała być? — spytał Jaś.

— Chciałabym być Manią! — odparła Antosia. —

A ty czem?

— A ja... furmanem!

Mania była siostrą Antosi, najbardziej kochaną przez matkę; Jaś znowu, bawiąc się z Józiem, zawsze pełnił obowiązki konia. Okoliczności te tłumaczą życzenie obojga.

Jaś dostarczał najwięcej zabawek Antosi. Raz nawet zrobił jej kołyskę dla lalki; na nieszczęście lalka miała pół łokcia długości, a kołyska ledwie kilka cali.

— Trzeba ją zepsuć! — rzekł zmartwiony Jaś, biorąc kołyskę.

— Dajże pokój! — zawołała Antosia. — Przecież lalka może mieć dziecko.

— A prawda!..

Istotnie na drugi dzień, przy pomocy służącej, urodziło się dziecko, złożone z mnóstwa gałganków i waty. Jaś pilnie mu się przypatrywał.

— Co to jest? — spytał, pokazując na jedną połowę ciała nowonarodzonego.

— To przecież głowa!..

— A gdzie ręce?

— Ona nie ma rąk, tylko koszulę.

Sprowadzono kołyskę, lecz okazało się, że głowa lalki jest za szeroka. Ponieważ Jaś znowu się zmarł, Antosia więc zaproponowała mu, aby wyrysował lalce nos i oczy, co też wykonał, mocno przy tej okazji obracając językiem.

Przyjaźń dzieci była tak wielka, że Jaś postanowił nawet podzielić się z Antosią niesłuchanie ważną tajemnicą.

— Chodź — rzekł do niej — pokażę ci gniazdo.

— Gniazdo?.. — zawołała, klasnąwszy w ręce.

— Ale nie powiesz nikomu?.. — spytał uroczyście.

— Nie!.. jak mamę kocham...

Poszli do ogrodu, gdzie kroplista rosa siedziała na liściach, tworząc mnóstwo tęczowych kręgów. W powietrzu czuć było upajającą woń, rozlegał się pomieszany świergot ptaków, a tu i owdzie brzęk pszczoł i cirkanie polnych koników.

— Czy to prawdziwe gniazdo? — pytała zaciekawiona dziewczynka.

— Rozumie się.

— A małe ptaszki są tam?

— Jakżeś chciała?.. Muszą być.

W jednym z krzaków zaszeleściło coś.

— Może to tu?.. — dowiadywała się Antosia. —
Możesz ty zapomnieć?

Jaś, zamiast odpowiedzi, poważnie wstrząsnął głową.

Doszli do klombu rosnącego w końcu ogrodu. Jaś zatrzymał się, przykląkł, i ostrożnie odchylając gałązki, szepnął:

— Cicho!..

Antosia schyliła główkę i położyła palec na ustach.

— Widzisz? — spytał Jaś.

— Widzę — odparła — ale nie wiem gdzie...

Jaś wskazał palcem.

— Ach!.. — krzyknęła zachwycona.

O łokieć od niej, na ziemi, leżało szare gniazdeczko, okrągłe i gładkie jak ulane. W środku był wklęsły materacyk, z końskiego włosia i z puchu, a na nim maleńki ptaszek. Był on czerwony i bez pierza, miał zarośnięte lecz wypukłe i duże oczy, a jeszcze większy brzusek. Usłyszawszy szmer koło siebie, podniósł główkę, a żółty dzióbek otworzył tak szeroko, jakby chciał połknąć Antosię.

— Jeść chce! — zauważył Jaś.

W tej chwili, nad głowami dzieci, usiadł ptaszek już dorosły. Poruszył parę razy ogonkiem, popatrzył na ciekawskich najprzód prawem okiem, później lewym, a wkońcu zaczął piszczeć żałośnie.

— Odejdźmy — rzekł Jaś. — Matka przysła go karmić.

Antosia wracała do domu bardzo zamyślona, a w kilka godzin potem spytała:

— Jasiu! nie możnaby Mani pokazać gniazda?

— A nie!

— A Józiowi także nie?

— Rozumie się! Józioby zaraz zepsuł gniazdo. ,

Antosia rzeczywiście dochowała tajemnicy, lecz na nieszczęście, postanowiła zaopiekować się ptaszkiem. Nic nie mówiąc, wzięła nad wieczorem garść okruszków chleba i hojnie nakarmiła niemi gołego malca. Skutkiem tego, gdy dzieci na drugi dzień przyszły odwiedzić go, przekonali się, że biedny ptaszek już nie żyje.

— Ach Antosiu! — zawołał Jaś — toś pewnie ty temu winna?

Dziewczynka zalała się łzami.

Jaś wziął do ręki martwe pisklę, które było jakieś pomarszczone i zimne, i szepnął:

— Cóżes ty był nam winien, biedaku!..

W oczach łzy mu się zakręciły.

— Nie mów tak, Jasiu! — prosiła go zmartwiona dziewczynka, a potem dodała prędko:

— Możemy mu zato pogrzeb wyprawić...

— Co jemu z tego przyjdzie?

— Ja włożę go w kołyskę, tę coś mi darował dla lalki... ty zrobisz mu krzyżyk...

— Daj spokój! — przerwał Jaś. — Myśl lepiej o tem, że będziemy mieli zmartwienie.

— Przecież nikt nie wie...

— Nie bój się! Pan Bóg wie dobrze i jeszcze mnie skarze za to, że ci pokazał gniazdo...

.

Oboje wrócili do domu w nastroju bardzo poważnym. Jasiowi zdawało się, że ktoś za nim chodzi, Antosi znowu, że wszyscy mają twarze zachmurzone i gniewne. Nie mogła biedaczka wytrzymać, powie-

rzyła więc Mani swoje strapienie. Mani również zaciężyła tajemnica, więc szepnęła o niej Józiowi, który z wielkim śmiechem ogłosił to publicznie. Sprawdziła się wówczas przepowiednia Jasiowa o zmartwieniu. Pan Anzelm bowiem usłyszawszy o co idzie, zrobił ogromny hałas, począł tupać nogami, kazał przynieść siekiere, w celu ucięcia głowy Jasiowi i Antosi, a wreszcie — postawił ich w kącie.

IV. JAŚ Z MATKĄ JADĄ NA WŁASNY CHLEB.

Po deszczu nastąpi pogoda, po nocy dzień, po zmartwieniu radość, po pracy odpoczynek, po dostatku ubóstwo. Wszystko to zależy widać od obrotu ziemi naokoło osi, jak mówił mój wuj — człowiek wielkiego serca i filozoficznego umysłu.

To też, mój przyjacielu, gdy masz zmartwienie, ciesz się: znak to bowiem nieomylny, że wkrótce będzie dobrze. Smuć się raczej wówczas, gdy jesteś zupełnie szczęśliwy, bo na świecie niema nic trwałego! Jest to znowu pogląd mojej babki, świątobliwej kobiety, która wiele w życiu zaznała, ba! widziała Napoleona...

Nie myślę ja wam zakłócać spokoju, o wy, którzy spoczywacie w odległych grobach. Chcę tylko, aby wiedziano, że nie zakopał w ziemi, jak bojaźliwy sługa, wdowich — groszów, któreście zostawili ku pożytkowi.

Pani Wincentowa za długo była szczęśliwa, bo prawie trzy lata. Rychło też los się odwrócił.

System gospodarski pana Anzelma, oparty na czytaniu artykułów wstępnych, opłakane wydał owoce. Długie rosły, dochody zmniejszały się, aż wkońcu zacięty facecjonista, dla zaspokojenia wierzcicieli i pozostawienia dzieciom uczciwego nazwiska, sprzedał swój duży majątek a wziął się do kilkowłókowej dzierżawy.

Smutne były dni, kiedy ze starego dworu, który jeszcze wybudował dziad, poczęto wynosić i wyprowadzać sprzęty do nowej siedziby. Nie było godziny, żeby coś nie zaszło. To opustoszał salon — to pan Anzelm swojej guwernantce zapłacił resztę pieniędzy — to znowu uprosił ją, aby sobie wzięła garnczek masła, trochę mąki i krupek.

O gdybyście wiedzieli, jak się też biedaczce ścisnęło serce przy odbieraniu tych żałobnych podarków!...

Nareszcie wyjechała ostatnia fura. Za nią poszły dwa woły, poruszające nieustannie gębami, i psy podwórzowe, z których jednego trzeba było aż w worek włożyć, tak nie chciał jechać. Na folwarku pojawili się ludzie obcy, a przed ganek zajechała wielka landara i bryczka. Pożegnawszy się kilkakrotnie, wygnańcy poczęli wsiadać. Józio skoczył na kozioł, trzy dziewczynki umieściły się na przodzie landary, a naprzeciw nich pan Anzelm i jego małżonka z drugim tomem najświeższej powieści, której w domu nie mogła dokończyć.

Do bryczki siadła pani Wincentowa z Jasiem.

Gdy furman strzelił z bata i konie ruszyły, pan Anzelm nagle zawołał:

— Zaczekaj no!...

Wyskoczył z landary i wbiegł znowu do pustego dworu. Po chwili zobaczono go w kancelarji, w pokoju dzieciennym, w salonie... Zdawało się, jakby czegoś szukał; może szczęścia, które go opuściło?... Ktoś bliżej stojący słyszał, że pan Anzelm coś mówił; może być, że zapraszał cienie przodków, aby opuściły stary dwór dziedziców i przeniosły się wraz z nim pod słomianą strzechę dzierżawcy.

Panu Anzelmowi tymczasem zdawało się, że z gładkich, obnażonych ścian wyrastają niewidzialne ramiona, aby go pobłogosławić i uścisnąć na drogę. Wówczas uczuł, że się stąd nie wyrwie, chciał bodaj umrzeć w tych uściskach!... Ale przyszły mu na myśl dzieci, więc—wrócił do landary i kazał jechać.

Przez małą milę biegła bryczka za powozem i tak dojechali aż do murowanej, walącej się kapliczki. Tu droga rozwidliła się we dwie odnogi, z których jedna szła ku szosie, wiodącej do Warszawy.

Powóz stanął i w jednym z jego okien ukazała się okrągła twarz pana Anzelma.

— Hop! hop!..—krzyknął.—Bywajcie tam zdrowi!..

— Niech was Bóg prowadził — odpowiedziała wdowa.

W landarze zrobił się ruch. Niebawem wygramolił się z niej szlachcic i przybiegł do bryczki.

— Moja pani — mówił, ściskając wdowę w objęciach — niech cię Bóg błogosławił A jeżeli ci tam będzie bardzo źle, to wróć do nas. Znajdzie się jeszcze choć suchy kawałek chleba dla wszystkich.

Następnie zwrócił się do Jasia:

— A ty chłopak ucz się i słuchaj matki... Jeżeli zostaniesz kiedy wielkim człowiekiem, zrób mię choć stróżem. Będziesz wtedy stawiał mnie w kącie tak, jak ja ci to nieraz robiłem... A co panie, prawda, że dobry koncept?...

Mówiąc to, śmiał się grubym głosem, a jednocześnie po ogorzałej i zakurzonej twarzy płynęły mu łzy. Tymczasem w landarze Mania narzekała, że jej nie siedzieć — Józio prosił furmana, ażeby mu dał lejce — Antosia, szlochając, patrzyła na bryczkę — a pani Anzelmowa, trzymając na kolanach drugi tom zaczętej powieści, przymknęła zapadłe oczy i z błogim uśmiechem rozmyślała: co też zrobi Ernest, zdradziecko opuszczony przez Łucję?...

Nareszcie ruszył powóz w prawo, a bryczka w lewo. Wdowa i Jaś spoglądali za odjeżdżającymi, których stopniowo zasłaniał długi, wijący się jak wąż, tuman płowego kurzu. Wkońcu tuman znikł i zostali sami, mając dokoła pola, okryte wędniejącym ścierniem i zasnute pajęczyną, a nad sobą — miłosiernego Boga, bez którego woli nie zerwie się ani wąta sieć pajęcza, ani wątlesze od niej nici ludzkiego szczęścia.

V. CO SIĘ STAŁO W WARSZAWIE.

Pani Wincentowa jechała do Warszawy z najlepszymi nadziejami. W ciągu siedmioletniego pobytu na prowincji zapomniała o doznanych kłopotach i nauczyła się patrzeć na miasteczko nasze przez różowe okulary.

Warszawę, w opinji całego kraju, otacza jakaś aureola pomyślności, oświaty i miłosierdzia. Wiejskie dziady po odpustach z uszanowaniem odzywały się o dziadach warszawskich, którzy, według nich, zarabiają tysiące, a niekiedy są właścicielami kamienic. Majętniejszy obywatel ziemski we śnie i na jawie marzy o tem, aby mógł zimę przepędzać w Warszawie, a przynajmniej kształcić dzieci w tamtejszych pensjonatach. Uboższy szlachcic, który usiłuje przytłumić w sobie wstręt do hebla i kowadła, tylko warszawskiemu rzemieślnikowi z ufnością powierza syna.

A cóż dopiero mówić o wszelkiego rodzaju biedakach, poszukujących pracy lub pomocy! Niejeden i niejedna z tych, którzy na prowincji łatwo utrzymaćby się mogli, rzuca rodzinny kąt i śmiało jedzie do Warszawy. Nie ma znajomych, ani pieniędzy, wierzy jednak w to, że byle przejechał rogatkę, a bardziej jeszcze — żelazny most, wówczas mnóstwo instytucji i tysiące dobroczynnych osób, pośpieszą na wyścigi z protekcją, pieniędzmi i radą.

Człowiek, który w powiatowem miasteczku, pobierając kilkaset złotych pensji, mieszkał obok budowniczego, pewnym jest, że w Warszawie nazwą go technikiem i ofiarują tysiące rubli. Inny, który przez ciąg kilkudziesięcioletniego życia nie mógł zrobić ani grosza oszczędności i na starość dotknięty został paraliżem, błaga znajomych, aby go wysłali do świętego miasta, gdzie z paraliżu zostanie wyleczony i na resztkę dni znajdzie spokojny i wygodny przytułek.

Podobne projekty snuła sobie i pani Wincen-towa. Była pewną, że dobrzy ludzie pomogą jej, gdy

im opiszę swoje położenie i rzeczywiście niepospolite zdolności Jasia. Przy pomocy nieznanых protektorów i odrobinie własnych pieniędzy, miała zamiar otworzyć magazyn. Ponieważ handel z *konieczności* (nie wiadomo jakiej?) musiałby jej iść dobrze, wzięłaby więc najlepszych nauczycieli do Jasia, który z kolei rzeczy zostałby znakomitym inżynierem, zrobiłby olbrzymi majątek i tak dalej!

Tak marząc i z miłością wpatrując się w różową twarz i półotwarte usta zadumanego chłopczyny, uśmiechała się biedna matka. Szczęśliwa! że zakryte przed nią były bolesne dzieje, z których ręka przeznaczona z biegiem czasu odslaniać miała po jednej głosce...

Zaledwie wdowa stanęła na warszawskim bruku, wnet spotkały ją rozczarowania. Dawni znajomi, z których wielu dorobiło się majątku, z trudnością przypominali sobie jej nazwisko, z lodowatym choć grzecznym uśmiechem przysłuchiwali się jej projektom, a natomiast wiele mówili o swoich kłopotach i o osobach, które musi się opiekować. Głośni na cały kraj filantropowie byli wiecznie chorzy i zajęci, ci zaś, którzy nie mogli się wykręcić od obietnicy protegowania wdowy, na widok jej kurczyli się, jak ślimak kłuty szpilką.

Wkońcu, po długiej dreptaninie i wielu upokorzeniach, po zjedzeniu zapasów i wydaniu pieniędzy zaoszczędzonych na wsi, udało się niebodze wynaleźć kilka rodzin, które powierzały jej robotę do szycia. Praca była ciężka, a zapłata licha. Ażeby zarobić rubla dziennie, należało przez kilkanaście godzin nie wstawać

od maszyny lub stolika. Najczęściej też zdarzało się, że damy mieszkające w wykwintnych salonach, po całych tygodniach i miesiącach nie zwracały jej z takim wysiłkiem zapracowanych kilku rubli. Inne wypłacały ratami, tygodniowo po parę złotych, na które przez długie godziny trzeba było wystawać w przedpokoju. Jeszcze inne, zupełnie nie płaciły, a nawet wymyślały i zakazywały służbie puszczać do domu natrętną..

Mimo to, wdowa nie traciła nadziei, lecz pracowała, pocieszając się myślą, że wkrótce pocznie robić oszczędności na najlepszych nauczycieli dla Jasia. On tymczasem, od rana do wieczora pisał, uczył się i czytał przy klekocie maszyny, a najsmaczniej spał pod wpływem światła lampy i monotonnego łoskotu. Niekiedy łoskot ten słabnął, ustawał, znowu się potęgował, znowu słabnął i wreszcie milknął zupełnie. Wówczas zdziwiony Jaś budził się i przy pomieszanem świetle dogorywającej lampy i wschodzącego słońca, spostrzegał matkę. Siedziała ubrana, z głową zwieszoną i przymkniętymi oczyma. Ręce jej opadły bezwładnie, oddychała szybko, a na twarzy paliły się gorączkowe rumieńce.

— Mamol! — wołał Jaś — dlaczego mama nie śpi?..

Budziła się i odpowiadała z uśmiechem:

— Bo mi się jakoś nie chce...

Omdlałe ręce jej biegły znowu do przerwanej roboty, sztywne nogi poruszyły się. Lecz w kilka chwil znowu opanowywało ją znużenie, mocniejsze od widma nędzy i głosu dziecka.

Im gorliwiej pracowała, im dłużej siadywała po nocach, tem bardziej zmniejszały się zarobki. Niekiedy na opędzenie całotygodniowych potrzeb miewała jednego rubla. Wówczas, prócz mleka, które wraz z Jasiem piła na śniadanie, i talerza zupy na obiad, nie jadła nic więcej. Czasami, przy tych obiadach, napadła ją wielka ochota na mięso. Zdawało się, że sam widelec pociąga jej rękę do małego kaska pieczeni. Lecz umiała się pohamować.

— Dlaczego mama nie je mięsa? — pytał Jaś.

— Nie mam ochoty! — odpowiadała. — Pewnie musi być twarde i niesmaczne.

— Gdzież tam! jest mięciutkie i doskonałe. Słyszysz mama, jak pięknie pachnie?..

Czuła ona dobrze zapach mięsa, lecz mimo to nie jadła. Na drugi dzień też samą porcyjkę odgrzaną, bez żadnej zupy i jarzyny, dostawał Jaś na obiad, który matka zastępowała sobie kawałkiem chleba.

Jaś, widząc to, odkładał widelec i pytał ze smutkiem:

— Dlaczego dziś mama nie je obiadu?..

— Suszę, moje dziecko!

A potem dodawała z uśmiechem:

— Nie nato człowiek żyje, aby jadł, ale nato je, aby żył.

Odtąd Jaś coraz częściej słyszał to przysłowie, a wdowa coraz widoczniej nędzniała i traciła siły. Nareszcie, pewnego wieczora, uczuła mocny ból i zawrót głowy, dostała gorączki i położyła się.

Na drugi dzień symptomy chorobliwe wzrosły, i wdowa nie mogła wstać z łóżka. Szczęściem, tego

dnia odesłano jej kilka rubli za robotę, za które to pieniądze karmiła blisko przez dwa tygodnie Jasia i swoją najemnicę, starą Maciejową. Sama żyła herbatą i wodą.

Choroba ta mniej ją niepokoiła, niżby się mogło zdawać. Dzięki silnej gorączce, wdowa codzień czuła się pozornie zdrowszą i twierdziła, że „jutro“ wstanie.

— Tyle mam roboty!.. — mawiała nieraz — kiedy ja to pokończę?..

W rzeczywistości jednak roboty nie było żadnej.

Pewnego dnia, Maciejowa, jak zwykle, przyszła po pieniądze do miasta. Chora wydobyła woreczek z pod poduszki, otworzyła go i poczęła w nim pilnie szukać. Zbliżyła go do oczu, zdziwiona, wytrząsała nad koldrą, lecz stamtąd nie wypadło nic, bo już nie było nic.

Nagle uderzyła się w czoło i zawołała ze śmiechem:

— Ach! jakaż ze mnie gapa... Zapomniałam, że te dziesięć rubli wziął do zmienienia pan Anzelm.

— Pana Anzelma nie było tu... — rzekł przerażony Jaś.

Wdowa uśmiechnęła się i kiwnęła ręką.

— Maciejowo! co mamie jest?.. — szepnął bardziej jeszcze strwożony Jaś do wychodzącej najemnicy.

— Majaczy z choroby. To takie *planety* przechodzą... — odparła staruszka i wyszła.

Chłopiec rzucił się z płaczem do matki.

— Moja mamol!.. moja mamol!.. — wołał całując po rękach. — Mama taka chora!

Matka, ciągle uśmiechając się, wzruszyła ramionami.

— Zdaje ci się tylko!.. Byłam trochę osłabiona, ale wzmocnił mnie ten buljon... Daj mi pić!

Jaś podał szklankę wody.

— Z jakim to sokiem?... pewnie z porzeczkowym... Dyż! dyż!... gołąbki...

Szklanka z resztą wody upadła na ziemię.

.

Tymczasem Maciejowa, w pogadance ze stróżem, powiedziała, że pani jej wpadła w tyfus z głodu i że w domu niema kawałka chleba. Stróż powtórzył to jednemu z lokajów, a lokaj służącej państwa Karolów, ludzi majątnych i miłosiernych. Państwo Karolowie nie mogli tego przenieść, ażeby ktoś mieszkający z nimi pod jednym dachem, umierał z głodu; złożyli więc naprędce małą radę familijną i postanowili ratować biedaków.

Jakoż w parę godzin po odejściu najemnicy, kiedy zrozpaczony Jaś, klęcząc przy łóżku nieprzytomnej matki, z wielkim płaczem błagał Boga o ratunek, otworzyły się drzwi i do izdebki ich wszedł jakiś poważny jegomość, ze służącą. Przybysz uspokoił zdziwionego Jasia, obejrzał i opukał chorą i zapisawszy receptę, oddał ją służącej. Niedługo przyniesiono obiad dla Jasia i lekarstwa dla chorej. Na drugi dzień, nieznaną dobroczyńcą polecił Maciejowej nie odstępować od chorej, zjawił się znowu poważny jegomość, a potem znowu lekarstwa i jedzenie.

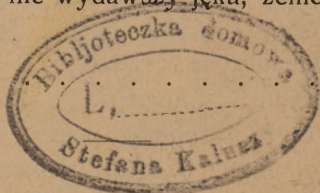
Jaś nie pytał o sprawcę tego wszystkiego, wiedząc, że był nim Bóg, który wysłuchał sierocą mo-

dlitwę. Choć zatem matka była coraz bardziej nieprzytomną, chłopczyk już się nie martwił.

Jednego dnia obudził się bardzo wcześnie, zaraz po wschodzie słońca. Stara Maciejowa, zmęczona, spała na kuferku zwinięta w kłębek. Jaś na palcach zbliżył się do chorej, i oto co ujrzał:

Matka jego leżała wpół odkryta. Czarne jak węgiel usta jej były otwarte, ręce gwałtownie wyciągnięte nad głową i zaciśnięte pięści...

Na ten straszny widok, Jaś uczuł dziwne ciepło, szum w uszach i, nie wydawszy jęku, zemdlony upadł na ziemię.



VI. PEWIEN TYP LUDZI UCZCIWYCH.

Pan Karol, wysoki przystojny brunet, średniego wieku, był o tyle majątnym, że z procentu od kapitałów pomieszczonych w papierach publicznych, mógł utrzymać przyzwoicie swoją rodzinę, używać drobnych przyjemności, pomagać ludziom i jeszcze coś odkładać.

Życie pana Karola, obok żony — ładnej i wesołej blondynki, tudzież dwu synów: Edzia i Tadzia, którzy już byli w drugiej klasie — płynęło bardzo spokojnie. Namietności nie miał żadnych, jego potrzeby zaś (naturalnie w granicach wygód i dobrego smaku), były nader skromne.

Jako jednostka moralna, pan Karol był uosobioną miłością. Kochał on rodzinę, społeczeństwo, naturę

i sztukę, a oprócz tego, na szerokiem tle tej ogólnej miłości, umiał się entuzjazmować do pojedynczych przedmiotów. W ciągu jednego tygodnia pragnął założyć wzorowe pismo, następnie gotów był pomóc jakiejś ubogiej rodzinie, a później — częścią swego majątku przyczynić się do zaprowadzenia kanalizacji w mieście. Za każdym razem entuzjazm jego szybko wznosił się do wyżyn, a następnie zwolna opadał. Pan Karol był idealistą, w duszy więc jego toczyła się nieustanna walka między doskonałemi ideałami a niedoskonałą rzeczywistością.

Dowiedziawszy się o smutnym stanie wdowy, pan Karol pomógł jej natychmiast, projektując sobie, że musi stanowczo zabezpieczyć jej byt. Lecz że wdowa umarła, szlachetny dobroczyńca uważał za obowiązek wziąć do swego domu Jasia. W tej chwili wołałby stracić połowę majątku, aniżeli pozwolić na to, ażeby miły i nieszczęśliwy chłopczyk znalazł się bez chleba i dachu.

Jakoż w dzień śmierci matki, Jaś znalazł się w mieszkaniu nowego opiekuna. I podczas gdy pan Karol biegał po mieście w sprawie pogrzebu nieboszczki, pani Karolowa własnoręcznie obszywała surducik Jasia białą taśmą, a synowie jej w swoim pokoiku układali jego książki, ustawiali kuferek i łóżko.

Gdy Jaś, wraz z całą rodziną dobroczyńcy, powrócił z pogrzebu, pan Karol rzekł:

— Moje dziecko! wprowadzie Bóg ciężko cię doświadczył, ale nie opuścił. Straciłeś kochaną matkę, lecz w nas tu obecnych zyskałeś nową rodzinę.

Słyszając to sierota, zasłonił twarz rękami i głośno zaszlochał. Wtedy pan Karol powstał z fotelu i całując go w głowę, uroczystym głosem przemówił te słowa:

— Jasiu! przyjmuję cię za syna.

Zkolei zbliżyła się pani Karolowa, znowu pocałowała sierotę i powtórzyła za mężem:

— Jasiu! przyjmuję cię za syna.

Obecni przy tem chłopcy, znowu pokolei przystępowali do Jasia i całując go w oba policzki, mówili jeden po drugim:

— Jasiu! przyjmuję cię za brata.

Poruszająca ta scena dziwnie oddziałała na Jasia. Przy pierwszym pocałunku, chciał upaść do nóg panu Karolowi, przy drugim—doświadczył zdziwienia, a przy ostatnim — nagle przestał płakać. Serce i płuca skurczyły mu się tak boleśnie, że nie mógł pochwycić tchu. Każdy następny pocałunek był dla niego szczęściem, które na istotę ludzką spada z tak wysoka, że może ją rozmiażdżyć.

Dokonawszy ceremonji adoptowania nowego członka rodziny, państwo Karolowie spojrzeli na siebie z zachwytem, a ich chłopcy ze zdumieniem. Ponieważ jednak obaj byli dobrze wychowani, milczeli więc, wierząc, że w ich oczach trafił się fakt dobry i uroczysty.

Edzio i Tadzio, jak rodzeni bracia, kłócili się ze sobą, a nawet niekiedy czubili. Czuli jednak instynktownie, że między nimi a nowokreowanym braciszkiem istnieje wielka różnica. Choć więc żaden z nich nie okazywał drugiemu zbyt wyrafinowanej uprzejmości, Jasia odrazu traktowali dziwnie uprzejmie. Przy herba-

cie, ku wielkiemu zadowoleniu rodziców, usługiwali mu na wyścigi — a gdy się kładł spać, chcieli go rozebrać i ułożyli mu rzeczy na stołku, co każdy z nich, nawet samemu sobie robił niechętnie.

Około północy, gdy już państwo Karolowie zamysłali o spaniu, w pokoju chłopców rozległ się stłumiony krzyk dziecięcy:

— O mamol!.. mamol!..

Usłyszawszy to, pani Karolowa wybiegła z sypialni, a pan Karol ze swego gabinetu. Zetknęli się oboje.

— Kto to wołał?.. czy które z naszych dzieci?— spytała niespokojnie pani.

— Nie... To ten... Jaś — odparł mąż.

— Ach! on...

— On także nasz!.. — zauważył z dobrotliwym uśmiechem pan Karol.

Pani Karolowa z rozczuleniem spojrzała mężowi w oczy i, objawszy go rękoma za szyję, oparła mu na ramieniu piękną główkę i szepnęła:

— Jakiś ty dobry, mój Karolu!.. Jakiś ty szlachetny!

Dziwna rzecz jednak! Ten pełen uwielbienia wykrzyknik obudził w sercu pana Karola uczucie lekkiego kłopotu. Szczerze byłby rad, gdyby mu żona nie wypominała szlachetności. Niesmaczne to uczucie Karol przypisał zmęczeniu i senności.

Kłopot jednak pana Karola zwiększył się w ciągu dni następnych. Dom jego ciągle był pełen gości, którzy ciekawie przypatrywali się Jasiowi i pytali o jego historję. Dowiedziawszy się zaś o przyjęciu sieroty za

syna, pod niebiosa wynosili zacność pana Karola i jego małżonki.

— Naturalnie, że odda go pan do szkół? — zapytała jedna z dam.

— No, ale chyba do udziału w majątku nie przypuścisz go; skrzywdziłbyś własne dzieci! — ostrzegała jakaś krewna.

Pan Karol słuchał, milczał, lecz potniał, szczególnie gdy żona, przed bardziej zaufanemi osobami, opisywała wzruszającą ceremonję adopcacji.

Po upływie paru tygodni odwiedził ich domowy lekarz, który zauważył, że w pokoju dziecinnym jest za ciasno i że należy usunąć jednego z chłopców. W pierwszej chwili pan Karol chciał Edzia przenieść do garderóbki. Ponieważ jednak była to epoka egzaminów, a Edzio i Tadzio musieli się razem uczyć, przeniesiono zatem Jasia.

Dla Jasia zmiana lokalu była prawdziwem szczęściem. Odtąd mógł on większą część dnia przepędzać w garderóbce i nie kręcić się między osobami, dla których czuł wiele szacunku i wdzięczności, lecz których się wstydził i obawiał. Nie umiał siadać na eleganckich krzesłach, nie umiał chodzić po woskowanej posadzce, często nogi zaplątywały mu się między dywanami, niekiedy coś tłukł a przynajmniej wywracał. Służba nie wiedziała, jak przemawiać do niego, a on — jak mówić do państwa Karolów. Wizyty przestraszały go, przy jedzeniu tracił apetyt. Słowem, biedny sierota, wśród wszelkich oznak życzliwości, czuł się zgębionym, nie umiał myśleć, onieśmiał się coraz bardziej i dziczał. Państwo Karolowie dziwili się niejedno-

krotnie, że chłopiec w jego wieku może być tak roztargnionym i ponurym i że w najdrobniejszej rzeczy posłużyć się nim niepodobna.

Pewnego dnia przyszedł do pana Karola jego znajomy, człowiek odznaczający się ironją i czarnymi poglądami na świat.

— Cóż to! — zawołał gość — niebo, jak słyszę, obdarzyło cię trzecim synem?

— A tak! — odparł ze słabym uśmiechem pan Karol.

— W mieście mówią, że chłopak ładny i bardzo do ciebie podobny...

Pan Karol zarumienił się z oburzenia.

— Mógłbyś nie powtarzać podobnych bredni! — odezwał się do pesymisty.

Nastąpiła chwila milczenia; gość zapalił cygaro i mówił dalej:

— Dobrze jest miłosierdzie, mój Karolu, byle nie przesadzone. Żeś wziął chłopca, nic w tem złego, ale w rozpieszczaniu go niema sensu. Gotów wkońcu zapomnieć, że jest sierotą i że potrzebuje sam dbać o siebie.

— Cóż mam robić? — przerwał pan Karol.

— Oddać do rzemieślni — odparł gość. — Jeżeli chcesz, zarekomenduję ci znakomitego krawca...

Idea ta, bez względu na sposób w jaki ją podano, podobała się panu Karolowi. Wieczorem rzekł do żony:

— Wiesz Maniu, że wartoby pomyśleć o przyszłości naszego wychowanka.

— I ja tak sędzę—odpowiedziała pani krótko.

— Jest on biedny, ze sprzedaży po matce zebrało się ledwie kilkadziesiąt rubli... Z drugiej znowu strony kraj potrzebuje zdolnych rzemieślników...

Pani aż klasnęła w rączki.

— Wyborny projekt!—zawołała.

— Oddamy go — mówił dalej — do uczciwego majstra, zgodzimy nauczyciela, będziemy w święta przyjmować u siebie. Chłopiec ukształci się i ogładzi, a gdy wyrośnie na porządnego człowieka, otworzymy mu warsztat...

— Cudowniel.. pyszniel..—potakiwała pani.

— Jak nam miło kiedyś będzie powiedzieć sobie, żeśmy społeczeństwu dali użytecznego członka...

— Ależ tak!.. tak!..

— Tylko... — dodał pan — Jaś jest zbyt młody i musi jeszcze jakiś czas pomieszkać u nas.

Pani, nie odpowiedziawszy na to, zapytała po chwili:

— Do jakiego rzemiosła oddasz go?

— Do... do krawca myślę.

Małżonkowie spojrzeli sobie w oczy. Pan Karol wiedział, że krawiec w opinii jego żony był jedną z najniższych istot na świecie—a pani Karolowa przypomniała sobie w tej chwili ceremonję adoptacji. Umilkli jednak oboje i odtąd unikali już rozmowy o Jasiu.

Trafiło się w owej epoce, że jakiś dziennik rzucił projekt: otworzenia pracowni rzemieślniczej dla kobiet. Dusza pana Karola, jak bomba, naładowana była gotowością do ofiar i do nowych szlachetnych czynów. Łatwo pojąć, że artykuł o pracowniach dla ko-

biel, spełnił funkcję lonta i, że pan Karol wybuchnął. Od owej pory, zacny filantrop o niczem już nie myślał, tylko o pracowniach dla kobiet. Wszedł natychmiast w stosunki listowne z podobnemi instytucjami zagranicą, po całych dniach pisał ustawę pracowni, składał wizyty osobom wpływowym i we własnym domu urządzał sesje, na które schodziło się mnóstwo indywiduów nieznanych, lecz rozumnych i dobro ogólne miłujących.

Wielka idea tak pochłonęła umysł pana Karola, że nawet nie zmartwił się, gdy mu doniesiono, iż jeden z jego synów nie dostanie promocji. Usłyszawszy tę wiadomość z ust żony, pan Karol wzruszył ramionami i nawzajem doniósł jej, że na otworzenie pracowni dla kobiet przeznacza dwa tysiące rubli.

W tych czasach, w sercu dobroczyńcy, zaczęła się reakcja na niekorzyść Jasia. Chłopiec już mu się przykrzył. Najprzód dlatego, że pan Karol, myślący o uszczęśliwieniu trzech milionów kobiet, nie mógł jednocześnie zajmować się losem jednego dzieciaka. Powtórę dlatego, że pani Karolowa nieraz zapytywała: co będzie z Jasiem?.. przerywając tym sposobem panu Karolowi obmyślanie szerszych planów. Po trzecie, że widok Jasia był prawdziwym wyrzutem sumienia. Chłopiec ten wiecznie bał się czegoś, wszystkim ustępował z drogi, wiecznie chciał służyć innym—robił to bardzo niezręcznie... Pan Karol czuł nieraz wdzięczność dla żony, gdy nie widział Jasia przy obiedzie lub herbacie. Gdy zaś zobaczył go, przychodziła mu na myśl nieszczęśliwa ceremonia adopcji i słowa:

— Jasiu! przyjmuję cię za syna.

— Jasiu! przyjmuję cię za brata...

Położenie Jasia było tymczasem rozpaczliwe. Nie robił nic po całych dniach, a z chłopcami bawić się nie śmiał. Chętnie zgodziłby się czyścić buty swoim „braciszkom“, lecz na to niktby mu nie pozwolił, jako przybranemu synowi. Synostwo to nie przeszkadzało jednak, że gdy się zeszło więcej gości do państwa Karolów, wówczas pani wyprawiała Jasia do jego pokoiku, gdzie mu przynoszono jedzenie.

Jaś był prawie bliski obłędu. Z dziecinnych lat zostało mu bardzo przykre wspomnienie domu pana Piotra, którego dziś — chłopak żałował. Biegał on tam boso, lecz biegał gdzie mu się podobało. Pan Piotr wybił czasem, lecz zato ucałowała go matka. Miał się też z kim bawić: w najgorszym razie z psami. A tu i psów nie było.

Skutkiem takiego położenia, Jaś stał się chorobliwie drażliwym. To też gdy raz, przy obiedzie, pani Karolowa postawiła przed nim talerz, tak jakoś niezręcznie, że się wylało trochę rosółu, sierota wybuchnął płaczem.

Niezwykły ten objaw zwrócił uwagę pana Karola, który zawsze miał dobre serce. Zacny filantrop utulił płaczącego Jasia, skarcił żonę surowem spojrzeniem, a po skończonym obiedzie, poszedł na gawędkę do pokoiku swego przybranego „syna“, co już było wypadkiem nadzwyczajnym. Obejrzał pokój, łóżeczko, parę książek chłopczyny i wreszcie spytał dobrotliwie:

— Nie nudzi ci się?... Cóż robisz, moje dziecko?

Chwila milczenia.

— Czasem czytam, a czasem siedzę...—wyszeptał Jaś, spuszczać oczy w ziemię i owijając na palcu połę żałobnego surducika.

— Tęsknisz jeszcze?... — pytał dalej opiekun.

Jaś nie odpowiedział nic, ale na jego wyrazistej twarzyczce widać było taką boleść, że aż pan Karol zesmutniał i mimowoli począł się tłumaczyć:

— Widzisz, moje dziecko, ja myślę o tobie... o! bardzo myślę. Wiem, że masz zdolności i chęć do pracy i żeś przytem dobry... Z takich dzieci jak ty, wyrastają ludzie użyteczni, i ty będziesz użytecznym pod moim kierunkiem. Pomyślę, żebyś się zaczął czego uczyć, szkoda tylko, że w tej chwili nie mam czasu... Proszę cię przytem, ażebyś się nie poddawał zmartwieniu i ażebyś w każdej wątpliwości życia uciekał się do mnie, jak do... jak do przyjaciela. Świat, moje dziecko, jest polem walki, i szczęśliwy ten...

W tej chwili ktoś zadzwonił. Pan Karol zerwał się i wybiegł, nie dokończywszy swej mówki. Biedny Jaś nigdy się już nie dowiedział, kto jest szczęśliwy na tym świecie.

Z powodu braku nowych wrażeń, chłopczyzna począł marzyć i tonąć we wspomnieniach. Niekiedy, szczególnie o szarej godzinie, przymykał oczy i wyobrażał sobie, że jest jeszcze na wsi, w pokoiku matki, u pana Anzelma. Zdawało mu się, że przez otwarte okno wieje ciepły wiatr i szeleści wśród gałązek winogrodu. To znowu, że w kącie siedzi jeden z dwu kotków i oblizując łapę mruży pacierz. Za chwilę odległy gwar uliczny przenosił go do Warszawy i wówczas

Jaś marzył, że słyszy klekot maszyny, czuje na twarzy ciepło lampy i że matka siedzi o krok od niego.

— Gdybym tylko otworzył oczy — myślał Jaś — zarazbym ją zobaczył. Ale nie chcę, bo mi się nie podoba i wolę siedzieć z zamkniętymi oczyma!...

Niekiedy jednak na mgnienie otwierał oczy. Wówczas widział światło w mieszkaniach naprzeciw, a na ciemnej ścianie swego pokoju, czarne kontury okiennych ram, podobnych do krzyża, a raczej do dwu krzyżów. Wtedy niewiadomo skąd przychodziły mu słowa:

„Kogo Pan Bóg kocha, krzyżyki mu daje“...

— Krzyżykil... krzyżykil... — myślał Jaś, i czekał na matkę. Zdawało mu się, że już idzie po schodach... Idzie minutę... dwie... kwadrans... Widać, że schody urosły, bo takie są długie jak stąd do nieba, aż matka przejść ich nie może... Jaś jednak czekał cierpliwie, a tymczasem upajał się szelestem jej sukni i cichym stąpaniem.

O matko! dlaczego idziesz tak powoli?.. o matko! śpiesz się i wyrwij syna z sieci szaleństwa, która go otacza ze wszystkich stron!...

Niekiedy gorączkowe dumania sieroty przerywało gwałtowne wejście lokaja i wyrazy:

— Na herbatę!...

Wówczas Jaś wstawał i szedł powoli, noga za nogą, wyobrażając sobie, że gdy wejdzie do jadalnego pokoju, zastanie Antosię, Józia, Manię, że zobaczy jowialną twarz pana Anzelma i usłyszy jego gruby śmiech, że matka każe mu usiąść na wysokim jak

drabina krzeselku i poda zwykłą filiżankę leciutkiej herbaty z mlekiem.

Z takimi marzeniami opuszczał Jaś swój ciemny pokój. Nagle zalały go potoki światła i ujrzał, zamiast matki, piękną i surową panią Karolową, a zamiast Anzelma — pana Karola, na którego dystygowanej twarzy, miejsce rubasznego uśmiechu szlachcica, zajmował wyraz miłości, ogarniającej cały świat, skoncentrowanej obecnie na trzech milionach kobiet, dla których chciał otworzyć pracownię.

Gdy Jaś zobaczył to, zatoczył się jak pijany.

O matko! śpiesz się, bo duch twego syna zbyt często zrywa z rzeczywistością, a wkońcu — może zerwać z ciałem!

VII. ZMIANA LOSU.

Nadeszły wakacje, a chociaż Tańzio z trudnością, Edzio zaś prawie cudem dostał promocję do trzeciej klasy, z tem wszystkiem w uroczysty dzień zakończenia szkolnego roku, czekała ich w domu niespodzianka.

Gdy chłopcy wrócili ze szkoły i okazali rodzicom cenzury, matka uroniła parę łez radości, a ojciec, ozdobwszy oblicze dobrotliwym uśmiechem, rzekł do nich:

— Moje dzieci! Wiecie o tem, że nauka uczynia człowieka. Wiecie też, że szkoła jest obrazem życia, i że kto za młodu wypełnia gorliwie swoje obowiązki, stanie się zczasem dobrym obywatelem kraju. Nauka i sumienne wypełnianie obowiązków, robią człowieka

szczęśliwym — i wy też zapewne czujecie w tej chwili, w młodych waszych sercach, słodkie zadowolenie...

— O tak jest, proszę ojca!.. — wykrzyknął Edzio, przyzwyczajony do ceremonjalnych mówek swego życiodawcy.

— Tak jest!.. — powtórzył za nim Tadzio, który, jako młodszy, nie umiał w tym wypadku przyoblec się w należyłą powagę i z wielką ciekawością zaglądał do drugiego pokoju.

— Wiem — ciągnął dalej pan Karol — że obraziłbym was jakąś materialną nagrodą za naukę i cnotę... Wszak prawda?..

— O tak ojcie!.. zawołał znowu Edzio.

— Tak! tak!.. — powtórzył za nim Tadzio, niecierpliwie oczekując na zakończenie mowy.

— Z tem wszystkiem — prawił dalej pan Karol — wzamian za przyjemność, jaką mnie i matce sprawiły wasze promocje, postanowiliśmy dać wam małe upominki...

Teraz nawet Edzio zarumienił się jak wisienka, a Tadzio klasnął w ręce. Tymczasem ojciec wyniósł z drugiego pokoju prześliczny trzykołowy welocyped i fuzję, która strzelała z kapiszonów.

Reszta, niezupełnie naturalnej powagi opuściła chłopców. Edzio rzucił się ojcu na szyję, Tadzio najprzód złapał fuzję, potem ucałował matkę, później — odciągawszy kurek, podziękował ojcu, a nareszcie — chciał usiąść na welocypedzie, który nieszczęściem był już zajęty przez Edzia.

Pan Karol czuł wielką chęć do wypowiedzenia jeszcze kilku kształcących uwag. Chłopcy jednak już go

nie słuchali: zaczęli jeździć po wszystkich pokojach, strzelać i śmiać się tak wesoło, że aż Jaś wyszedł ze swego pokoiku i, stanawszy za fotelem, pożerał wzrokiem ich piękne zabawki. Przypomniawszy on sobie, że i jemu matka dawała kiedyś podarunki: raz bęben, drugi raz papierowego konia na kółkach, trzeci raz blaszaną trąbkę... Wprawdzie wszystkie te cacka, razem wzięte, nie warte były welocypeda albo fuzji, a jednak... o jakże pragnął, aby się choć we śnie wróciły i owe czasy i ubogie cacka i ich kochana dawczyni!

Chłopcy tymczasem, nie zważając na smutnego Jasia, jeździli, strzelali i krzyczeli, zapomniawszy o tem, że są już przecie trzecioklasistami, a nade wszystko synami ojca, który sieroty w dom przyjmował, myślał o szczęściu całego społeczeństwa i tak budujące mowy prawił im przy każdej sposobności!

Niepomiarkowana wesołość ich — nie podobawa się panu Karolowi. Wziął on żonę do drugiego pokoju i rzekł do niej, z odcieniem łagodnej goryczy:

— Obawiam się, droga, że chłopcy nasi nie zrozumieli tego, co mówiłem do nich?..

— Ależ Karolu!.. Ależ to być nie może!.. Oni cię zawsze rozumieją... Oni są rozwinięci nad wiek! Czy nie dostrzegłeś, z jaką uwagą słuchał cię Edzio?.. Ten chłopiec każdy twój wyraz pochłaniał... — mówiła pani Karolowa z wielkim zapalem.

Zadumane czoło męża trochę wypogodziło się.

— Zdaje mi się jednak—wtrącił—że w przyzwolonej zresztą ich zabawie, widzę jakiś odcień lekkomyślności?..

— Zbyt surowym jesteś, mój drogi!.. — zawołała pani. — Oni tym sposobem chcą ci okazać swoje przywiązanie i wdzięczność...

Pan Karol zupełnie uspokoił się i poszedł do swego gabinetu, aby tam, zdala od zgiełku, rozmyślać nad ustawą pracowni dla kobiet, które to zajęcie, zaczęło go już trochę nudzić. Pani tymczasem, odwoławszy chłopców na stronę, miała z nimi długą konferencję.

Tego samego dnia, po obiedzie, na którym Jaś znalazł się przy ogólnym stole, a każdy z chłopców dostał po pół kieliszka węgierskiego wina—na intencję promocji — miał miejsce dosyć szczególny wypadek. W chwili gdy wszyscy mieli wstawać od stołu, pani Karolowa spojrzała wymownie na synów, Edzio trącił Tadzia kolanem, Tadzio Edzia kułakiem—poczem obaj stanęli przed ojcem, z bardzo uroczystymi minami.

— Mamy wielką prośbę do ojca... — odezwał się Edzio.

— Chcielibyśmy uczyć Jasia... — zawołał prędko Tadzio.

— Ależ nie tak!.. — zgromił go Edzio — ja będę mówił... Chcielibyśmy, żeby Jaś bawił się z nami...

— Właśnie, żeby się bawił!.. — przerwał Tadzio.

— Pozwólże mówić mniel!..—upomniał go znowu Edzio. — Chcielibyśmy uczyć Jasia, a jeżeli będzie pilny, bawić się z nim...

Pani Karolowa spojrzała na męża z triumfującym uśmiechem — rozrzewniony zaś pan Karol zabrał głos:

— Bardzo się cieszę, moje dzieci, że macie tak szlachetne popędy. Owszem, uczcie waszego młodego

przyjaciela, tym bowiem sposobem od wczesnego wieku przyzwyczajacie się służyć bliźnim!

— A co, czy nie zrozumieli cię?..—szepnęła pani, nachylając się do małżonka.

Pan Karol z uczuciem pocałował ją w rękę.

Edzio zbliżył się do zdziwionego i przestraszonego Jasia i rzekł:

— Dziś dajemy ci jeszcze wakacje, a jutro zabierzemy się do lekcji. Jak się będziesz dobrze uczył, pozwolimy ci jeździć na welocypedzie, albo strzelać z fuzji. Co ci się podoba!

Ponieważ niedługo potem pan Karol ze swoimi nad wiek rozwiniętymi synami poszedł do znajomych z wizytą, Jaś więc znowu został sam. Był on olśniony, lecz zarazem i zakłopotany. Cieszyło go to, że odtąd będzie miał rówieśników, że będzie się z nimi bawił i rozmawiał. Drżał na myśl, że strzeli z fuzji, i upajał się nadzieją jazdy na welocypedzie. Pytał też ciekawie: czego mnie oni będą uczyć? i zgóry cieszył się pochwałami za pilność. Może i państwo Karolowie, widząc jego pracę i grzeczność, pogłaszczą go kiedy, a może i ucałują, tak serdecznie, jak ta, która go od kilku miesięcy opuściła. Trzeba bowiem wiedzieć, że Jaś miewał czasami dziwne pragnienia; oto chciał kiedy przyjść znienacka do pani Karolowej, położyć głowę na jej kolanach i ucałować jej suknię. Gdyby zamknął oczy, gdyby uczuł jej delikatne ręce na swoim czole i włosach, wówczas zdawałoby mu się, że wróciła do niego na chwilę matka, którą często widywał, lecz nigdy nie mógł dotknąć spragnionemi ustami. Miał on wprawdzie wszystkie wygody: pokoić cieplejszy

i jedzenie lepsze, lecz brakło mu znajomej twarzy, głosu, pieszczot...

Z drugiej jednak strony, na dnie pięknych nadziei, Jaś czuł jakiś niesmak. Nie mógł on zrozumieć: skąd dwaj chłopcy tak nagle zapragnęli zająć się jego nauką?.. Zdawało mu się, że w obietnicach Edzia i Tadzia brzmiał ten sam ton, podobny do zgrzytu piasku na szybie, jaki słyszał kiedyś w wyrazach:

— Jasiu! przyjmuję cię za syna... Jasiu! przyjmuję cię za brata.

Jego sieroctwo sprawiło, że mimo wiedzy i woli stał się podejrzliwym, i że bardziej, niż kiedyś brutalnego gniewu pana Piotra, lękał się obietnic wszystkich członków tej miłosiernej rodziny.

Niebawem dostał się Jaś w ręce nowych opiekunów i nauczycieli. Chłopcy, według wskazówek ojca, podzielili się pracą: Tadzio uczył go czytać i pisać, Edzio arytmetyki i geografji. Od wykładów podobnych niech Bóg wszystkie dzieci zachował

Edzio kształcił Jasia w ułamkach, lecz ponieważ sam ich dobrze nie umiał, biedny więc jego uczeń z nudnych tych prelekcji zapamiętał dwa tylko twierdzenia: pierwsze—że jest głupi, a drugie—że jest osioł. Tadzio znowu, widząc, że jego wychowaniec w warunkach zwykłych czyta lepiej od niego, wpadł na oryginalny pomysł i kazał uczniowi swemu czytać z książki przewróconej do góry nogami!..

Pani Karolowa przypatrywała się niekiedy tym pedagogicznym ćwiczeniom, lecz uważając je za zabawkę, śmiała się z nich i tała je przed mężem. Jużto wogóle Jaś nie cieszył się jej względami!

Znudziwszy się wykładem arytmetyki i czytaniem, obaj chłopcy zarzucili je i wzięli się do łaciny. Zadawali Jasiowi do wyuczenia się na pamięć, całą deklinację, albo kilkanaście i kilkadziesiąt słówek odrazu. Niedość na tem: chcieli, aby się wyuczał ich w ciągu pół godziny.

Pan Karol tymczasem, w ciszy gabinetu pracował nad ustawą warsztatów kobiecych, a pani Karolowa mówiła do chłopców z uśmiechem:

— Nie męczcie się tak, moje dzieci, przecież to wakacje!..

— Musimy, mamol!—odpowiadał wtedy Edzio.— Cóż z niego będzie, jeżeli w młodym wieku nie przyzwyczai się do pracy?..

Wtedy pani Karolowa, głaszcząc nad wiek rozwiniętego synka, myślała:

— Jacy oni podobni do ojcal.. On wyznaje takie same zasady!

Nie poprzestając na nauce, młodzi nauczyciele stosowali jeszcze do swego wychowanka środki represyjne. Zrobili mu dziennik i zapisywali w nim bardzo szczegółowo: jak się sprawował, jak się uczył, czy był pilny i ile opuścił lekcji?.. U dołu każdodziennego raportu podpisywali się obaj, własnoręcznie.

Pewnego razu, młodzi pedagogowie, wyczerpawszy „wszelkie środki łagodności“, poszli do matki z prośbą: aby Jasiowi nie dała obiadu za lenistwo. Prośba ta nie podobała się pani Karolowej. W łagodny lecz stanowczy sposób upomniała ona chłopców, aby się z Jasiem mniej surowo obchodzili, i odebrała im

przy tej sposobności pewną „oślą czapkę“, którą Jaś prawie ciągle nosił na głowie.

Innego dnia, pan Karol, już zupełnie znudzony się ustawą pracowni kobiecych, zapytał swoich chłopców:

— No, moje dzieci, jakże się tam popisuje wasz uczeń?

Chłopcy podali mu dziennik. Pan Karol przejrzał go i zapytał w obecności Jasia:

— Cóż to znaczy?.. widzę tu same złe stopnie.

— Ha! cóż robić, proszę ojca, kiedy się złe uczy...—odparł Edzio.

— Czy nie ma zdolności?

— I zdolności nie ma i trochę nie chce...

Słyszac to, Jaś oblał się ponsem.

— Czy to prawda, Jasiu? — zwrócił się do niego pan Karol.

Jaś milczał, spuściwszy oczy; wyręczyła go jednak pani Karolowa, mówiąc:

— Oni nad nim bardzo wiele pracują, sama to widzę!.. Ponieważ zaś są złe rezultaty, musi mieć zatem niewielką ochotę do książki.

Jaś wpił sobie paznogie w ręce i pierwszy raz w życiu uczuł to, co ludzie dorośli nazywają: brakiem szacunku dla starszych. Pan Karol tymczasem, przybrawszy surowy wyraz twarzy, mówił spokojnie i sucho:

— Mój Jasiu! zrobiłeś mi wielką przykrość. Przypuszczam, że nie masz zdolności, lecz obok tego widzę ze smutkiem, że brakuje ci ochoty. Ponieważ zaś każdy czyn niedobry musi być zmazany przez pokutę,

my więc jutro wyjedziemy na parę dni na wieś, a ty zostaniesz w domu!

Na drugi dzień państwo Karolowie wyjechali na wieś wraz z dziećmi, a Jaś został sam. Nowe wrażenia dostarczyły mu obfitego materiału do medytacji.

Zrozumiał dwie rzeczy: najprzód tę — że nauka udzielana mu przez chłopców, była złośliwym udręczeniem — a powtórę tę, że pan Karol postąpił z nim niesprawiedliwie. Jaś przecie uczył się kiedyś arytmetyki i pojmował ją doskonale; łatwo też domyślił się, że Edzio nie musiał być tęgi w ułamkach. Uczył się także czytać, lecz nigdy nie słyszał, aby ktoś posługiwał się książką przewróconą do góry nogami. Uczył się wreszcie obcych języków, lecz nie tak jak łaciny.

Przypomniął on sobie, w jaki sposób matka zaznajamiała go z francuskimi wyrazami. Ile razy wyszli na spacer i Jaś zobaczył nowy przedmiot, wówczas matka tłumaczyła mu jego znaczenie, opowiadała mnóstwo ciekawych szczegółów i wkońcu — nazywała przedmiot ten po francusku. Tym sposobem, bez wysiłku, wśród zabawy, chłopiec wyuczył się mnóstwa obcych wyrazów. Umiał on nazwać: niebo, obłoki, ptaki, staw, młyn, ryby — łąkę i zwierzęta, które się na niej pały. Wkrótce też zaczął układać małe zdania.

Odtąd, ile razy spojrzał na znany przedmiot, przychodziło mu zaraz na myśl jego francuskie nazwisko — gdy zaś usłyszał wyraz, wnet przypomniął sobie zapach siana, klekot młyna, ryby wyskakujące nad powierzchnię wody, szelest trzciny na stawie, słowem, całą piękną wiejską naturę. Nudna zwykle nauka słó-

wek, dla niego była przyjemną i podniecającą rozrywką; nie dziw też, że uczył się chętnie.

Obok tego łatwego i poetycznego wykładu, jakże ponuro wyglądała łacina! W umyśle Jasia była ona podobna do strasznej jaskini, wśród której ani kroku nie mógł postąpić naprzód i w której nieustannie brzydkie sowy i nietoperze uderzały go w głowę, wrzeszcząc: mądrość—*sapientia*, bocian—*ciconia*, okręt—*navis*, rocznik—*annalis*!.. Nad tą obmierzłą czeredą, unosiły się jeszcze dwa smoki: pierwsza i druga deklinacja, których nie mógł ani zrozumieć, ani zapamiętać.

I otóż zato, że czuł wstręt do straszydeł, które wypuścili na niego rówieśnicy — zato, że się nie chciał błakać wśród ciemności — pan Karol nie wziął go na wieś, zabraniał mu patrzeć na niebo, wody i lasy, upajać się powietrzem dziecinnych lat. A któż wie, może w niejednym z polnych ptaków, które tak stroniły od miasta, Jaś poznałby dawnego przyjaciela? Kto wie, czy w czasie wieczornej przechadzki, ciepły wiatr nie przyniósłby mu dawno już niesłyszanych wyrazów: „Jasiul.. Jasiul.. wracaj do domu, bo się zaziębisz...”

A dziś, gdzie ten dom i gdzie ta, która go tak niespokojnie zwywała?..

Wyjazd państwa Karolów obudził w sercu Jasia niepokonaną tęsknotę do wsi. Zapragnął jeszcze raz zobaczyć szare stodoły kryte słomą, dwór wyglądający z poza ciemno-zielonych liści, a wkońcu Antosię, pana Anzelma i całą ich rodzinę. Zdawało mu się, że po śmierci matki oni jedni pozostali tylko na tym świecie. Przypomniwał sobie rozstajne drogi, rozwaloną

kapliczkę i pożegnanie pana Anzelma. Wszakże od tych rzeczy nawet rok nie upłynął!

Myśli te obudziły w nim, jak na jego wiek, bardzo dziwne postanowienie, i otóż—zapragnął do pana Anzelma napisać list. Pamiętał nazwisko poczty, z której pan Anzelm odbierał pisma, i wiedział, że przy bramie ich kamienicy wisiała pocztowa skrzynka. Dwu tych szczegółów było dla niego dosyć. Wziął więc papier, polinjował go i zaczął:

„Kochany panie.

„Mama chciała pisać do pana, ale już umarła...”

Przeczytawszy te wyrazy, rzucił pióro i zalał się rzewnymi łzami. „Już umarła!..” Jakie straszne słowo, i to on sam je napisał!..

Odtąd po kilka razy zasiadał do rozpoczętego listu, na którym duże i nieforemne litery, niejednokrotnie rozplływały się we łzach. Wreszcie, po paru dniach, rzucił zaadresowany list do skrzynki, a niedługo potem przechodzący przez pocztę, w szafce nieopłaconych korespondencji, widzieć mogli między innemi, adres pisany dziecinną ręką:

„Do rąk własnych wielmożnego i kochanego pana Anzelma... w Wólce, żeby prędko doszedł”.

Zabawny ten adres był mimo to dokładnym; na nieszczęście jednak, na kopercie nie było markil.. List musiał przepaść, choć kto wie, czy od niego nie zależała przyszłość, a nawet życie Jasia.

Gdy rodzina filantropa wróciła ze wsi, pan Karol dostrzegł w Jasiu zmianę. Chłopiec patrzył na wszystkich śmiało, lecz ponuro. Gdy Edzio i Tadzio

zaczęli opowiadać mu o konnej jeździe, pływaniu czółnem i wdrapywaniu się na drzewa, przerwał im mówiąc:

— Znam ja to lepiej od was!..

I wyszedł, nie wysłuchawszy końca ich opowiadań.

Na domiar złego, do książki siadał niechętnie, a gdy mu improwizowani nauczyciele wyrzucali lenistwo, odpowiadał:

— Żebym ja was tak uczył, wypędzilibyście mnie z domu!..

Zdarza się, że robak schwytany przez dziecko traci na chwilę przytomność i zachowuje się tak, jak rzecz martwa. Dopiero gdy go wsadzą na szpilkę, poczyną się wć — i usiłuje kąsać. Jaś już się wił. Słabszy charakter w jego położeniu uległby i do śmierci pozostał zabawką dzieci i dorosłych; Jaś nie uległ i to go zgubiło. Pan Karol bowiem, widząc nieustanne rozdrażnienie sieroty i grzeczność swoich synów, posadził Jasia o złośliwość.

— Tyle miałem sympatji dla tego chłopca — mówił raz do żony — ale on nie umie tego ocenić i jak uważam, nie lubi ani nas, ani naszych dzieci.

— Tak zawsze bywa z cudzem pisklęciem!!.. — odparła żona, całując męża w zadumane czoło.

Wkrótce pan Karol znowu zapomniał o sierocie, a nawet o ustawie pracowni dla kobiet. W tym czasie bowiem, ruchliwy i wiecznie na usługi społeczeństwa oddany umysł jego, zajął się kwestją budowania blaszanych śmietników dla miasta. Odtąd pan Karol począł naradzać się z technikami, blacharzami, kołodziejami — i ze swych nowych marzeń ocknął się nie prędeż, aż w domu wybuchnął skandal.

Pewnego dnia, Jaś, jak zwykle, w pokoju chłopów uczył się łaciny i, jak zwykle, nauka szła mu niesporo.

Napozór był on sam, właściwie jednak było ich dwóch: to jest on i welocyped, który stał pod piecem. Ile razy chciał Jaś skupić uwagę nad książką, tyle razy przeszkadzał mu niepocziwy jego towarzysz. Zdawało się Jasiowi, że welocyped—to rusza kółkiem, to pochyła się jak pijany, to znowu ma taką minę, jakby się oglądał i dawał mu znaki. Gdy Jaś położył książkę, welocyped stał spokojnie jak trusia, lecz gdy znowu wziął się do roboty, welocyped znowu rozpoczął figle, niekiedy bardzo pocieszne. Widocznie kusił chłopca.

Ponieważ pantominy te zniecierpliwiły Jasia, zbliżył się więc do sprytnej maszynki i począł ją oglądać. Potem wsiadł na nią i... ostrożnie przejechał po pokoju.

W chwili, gdy jeździec i koń zawrócili się z powrotem do pieca, skrzypnęły drzwi i do pokoju wpadli obaj chłopcy.

— Czy widzisz?... — krzyknął do brata rozgniewany Edzio.—On jeździ, zamiast się uczyć!...

— Złaż zaraz, ty ośle... — zawołał Tadzio i porwawszy Jasia za ramiona, gwałtownie pochylił go w tył.

Szarpnięcie było tak bolesne, że Jasiowi świeczki stanęły w oczach. Broniąc się, machnął tak nieszczęśliwie ręką, że uderzył Tadzia w twarz.

Rozpoczęła się krótka lecz gwałtowna walka, w ciągu której Jasiowi krew popłynęła z nosa, a obaj

chłopcy mieli popodbijane oczy. Na odgłos bitwy wpadła do pokoju pani Karolowa, przed którą Edzio i Tadzio usprawiedliwili się bardzo prędko, oskarżając Jasia, że ich zbił pięściami i powydzierał im włosy z głowy.

Pani Karolowa znalazła się przy tej sposobności jak lwica w obronie lwiatek. Nozdrza się jej rozděły, oczy zaszyły łzami... Nie pytając o powód kłótni, ani patrząc na nos Jasia, krzyknęła drżącym z gniewu głosem:

— Precz mi stąd!.. nie godzien jesteś bawić się z memi dziećmi, niewdzięczniku!..

Wzburzony Jaś pobiegł do swego pokoiku i upadł tam na łóżko. Niedługo usłyszał nowy hałas: to synowie i matka oskarżali go przed panem Karolem. Biedny chłopiec był już przygotowany na plagi; szczęściem wkrótce wszystko ucichło.

Upłynęła godzina jedna i druga. Gniew Jasia ochłonął, lecz zato wrócił niepokój.

— Co oni myślą robić ze mną?.. — szeptał przerażony.

Nadeszła pora obiadowa i milczący lokaj przyniósł Jasiowi do pokoju jedzenie; lecz chłopiec niczego nie dotknął, myśląc ciągle: „Co z nim będzie?..“

Po upływie dwudziestu czterech godzin, służący wezwał Jasia do gabinetu pana. Sierota zastał pana Karola, jego żonę, obu synów—a na biurku mały model blaszanego śmietnika, nad którym obecnie pracował filantrop.

— Jasiu! — zaczął pan Karol bez żadnej oznaki gniewu. — Przyjąłem cię do domu, w nadziei, że po-

trafiszyć być wdzięcznym, a przynajmniej znośnym. Ty jednak byłeś skrytym, upartym, leniwym — nie okazywałeś nam żadnego przywiązania, a w dodatku, wczoraj skrzywdziłeś moich synów. Ponieważ w społeczeństwie złe postęпки nie mogą być przepuszczane bezkarnie i ponieważ sprawiedliwość wymaga przede wszystkim usunięcia przyczyn złego, jestem więc zmuszony oddać cię z mego domu. Pójdiesz do rzemieślnika..

Jaś stał nieporuszony; pan Karol mówił dalej:

— A teraz, kiedy sprawiedliwość została wymierzona, my przebaczymy ci wszystko złe, któreś nam wyrządził... Tadziu, podaj rękę Jasiowi!

— Ojczel—odezwał się w tej chwili Edzio—mój brat nie może podawać ręki temu, który go uderzył w twarz!..

Na te słowa, myślące oblicze pana Karola rozjaśniło się. Rzekł więc:

— Moje dzieci! Jakkolwiek zawziętość jest wadą, cieszę się jednak, że umiecie szanować swoją godność...

I powiedziawszy to znakomity filantrop, spojrzał najprzód na swoich synów, potem na model śmietnika, a wreszcie pocałował żonę w rękę i szepnął jej do ucha:

— Jest to jeden z piękniejszych dni w mojem życiu!..

W parę godzin potem wezwano Jasia powtórnie do gabinetu. Sierota zobaczył pana Karola na fotelu, a przy drzwiach jakiegoś człeczynę z czerwonym nosem.

— Jasiu — rzekł pan Karol — oto jest twój nowy opiekun, który cię dziś weźmie do siebie. Upakuj rzeczy.

Gdy Jaś wrócił do pokoju, nieznajomy udał się za nim i biorąc poufale chłopca za klapę surducika, zapytał:

— Ten surdut to chyba nie w Warszawie robiony?..

— W Warszawie, paniel.. — odparł Jaś bojaźliwie.

— Jak się pouczysz u mnie, mój mały, ze sześć lat, to będziesz lepsze robił.. — mruknął nieznajomy opiekun, który był krawcem.

Pożegnanie sieroty z panem Karolem i jego żoną, było oziębłe. Gdy Jaś wyszedł już na schody, wybiegła za nim stara kucharka i wsuwając mu w kieszeń kilka dziesiątek, szepnęła:

— Bywaj zdrów, moje dziecko!.. Może się ludzie lepiej na tobie poznają.

Jaś, który nigdy nie rozmawiał z tą kobietą, spojrzał na nią zdziwiony.

— Tak! tak! — mówiła dalej. — Dobrze z ciebie dziecko i zdatne, tylko zwyczajnie sierota!..

Jaś rozplakał się i pocałował ją w rękę. Z ust tej kobiety pierwszy raz dopiero usłyszał serdeczne słowo, w domu grzecznych, moralnych i miłosiernych marionetek.

VIII. NOWY PRZYJACIEL.

Pan Kałasanty Durski, majster krawieckiego kunstu, mieszkał w okolicach Starego Miasta, gdzie w pewnej kamienicy na dole, posiadał sklep z żoną, a na drugim piętrze warsztat z odpowiednią liczbą chłopców i czeladników. Był to człek starej daty; nosił na grzbiecie surdut z długim stanem, a pod czerwonym nosem wąsy, które skutkiem podgolenia przypominały wycior do cybuchów. Grywał przytem niekiedy na basetli i miłował swoją rodzinę, tudzież krajowe trunki.

Z takim opiekunem szedł Jaś na nowe mieszkanie; a choć droga była niewielka, zjadła im jednak dużo czasu. Na każdej ulicy pan Durski zostawiał Jasia na flizach, a sam „wstępował za interesem“. Chłopiec dostrzegł, że interesa te zawsze przypadły w cukierni lub bawarji i że musiały iść dobrze, ponieważ pan Kałasanty stawał się coraz rzeźwiejszym.

Nareszcie opiekun i wychowawiec dosięgli „magazynu ubiorów męskich“, w którym znaleźli chudego i zaspanego chłopca imieniem Jędrus, i bardzo otyłą damę — samą panią Durską. Wobec damy tej Jaś złożył ukłon, a pan Kałasanty, stanąwszy na rozkraczonych nogach, zawołał:

— A co! szanują nas ludzie! Oto jest — mówił wskazując na Jasia — ten chłopak, co nam go dali w opiekę. Tamci go, panie, wzięli, ale że był niewdzięcznik, uparty, i kawalerów trochę w zęby poszturgiwał, więc go, panie, oddali do mnie, do Durskiego!.. U mnie, panie, czysty dom poprawy... Wszystkich łajdaków mi oddają, z całego świata! Cóż ty na to, Franiu?..

Otyła dama bacznie przypatrywała się Jasiowi. Widząc to pan Kalasanty, zadął mu głowę do góry, uszczypnął w policzek i mówił dalej podniesionym głosem:

— Powiadam ci, Franiu, że to chłopak z edukacją, tylko trochę łajdak, i dlatego do mnie go oddali... do Durskiego! Ale jak ja mu, panie, przyfastryguję kilka rzemieni pod sprzączkę, to wyrośnie z niego anioł... jak Jędrus!.. Dajno Franiu złotówkę, muszę iść do miasta.

— Przecieżeś dopiero wrócił z miasta...—odparła dama niechętnie. — Poszedłbyś lepiej na górę, bo tam stają na łbach...

— A ja poco na górę?.. — oburzył się majster. — A od czego ja trzymam Panewkę?.. A kto będzie za interesami chodził?.. Daj Franiu złotówkę!..

Pyzata i jakby nalana twarz damy ożywiła się.

— Patrzcie go *śmirusa*, on mi tu będzie interesami zawracał!.. — krzyknęła dama. — Nie dam nic... siedź w domu!.. Nie bój się, nie zbankretują bawarje jak dziś nie pójdziesz.

— Jakie znów bawarje?.. Muszę przejść po dłużnikach, bo mi pieniądze przepadną. Dajże choć dwadzieścia groszy.

Dama, znudzona, wydobyła z kantorka dużą dziesiątkę i doręczyła ją mężowi, który wyszedł ze sklepu mruczac:

— Każdy umie brać na kredyt, a za pieniędzmi sam lataj!..

— Jędrus!.. — rzekła majstrowa do chudego chłopca — a wyrzyjno oknem, gdzie pan poszedł?..

Chłopak stanął przy szybie i popatrzywszy jakiś czas, parsknął śmiechem.

— Cóż tam znowu?..—zapytała dama.

— A bo, proszę pani majstrowej, pan majster pokazuje, że mi da *kopsa!*—odparł chłopak, zatykając rękami usta.

— A gdzie poszedł?

— Jużci że do *dziurki!*.. Tam teraz przywieźli świeże piwo.

— Śmirus!.. wałkoń!..—lamentowała dama.—Żeby on tak często chodził do kościoła, jak na bawarję, toby go żywcem do nieba wzięli...

Skończywszy te sentencje, ziewnęła, zamyśliła się, a potem zawołała na chłopca:

— Jędrekl..

— Słucham pani majstrowej?..

— A skoczno po kufelek piwa i rachuj który, bo oni nas zawsze okpiwają.

Gdy chłopiec przyniósł piwo, pani majstrowa wypita je duszkiem, i zamknawszy oczy, przesiedziała tak z pół godziny. Potem zaś, zwróciwszy się do Jasia, mówiła zwolna:

— Tak! tak! mój kawalerze... choć masz edukację, oddali cię do rzemiosła. Ze mną było to samo: mogłam wyjść za urzędnika, a wyszłam za krawca... Siedzę też teraz za kontuarem i świecę ludziom oczami... Tak to, tak!.. Jędrus!..

— Słucham pani majstrowej!..—odparł drzemiący chłopak.

— Skoczno po kufelek piwa!.. A który to idzie?..

— Dziewiąty, proszę pani majstrowej.

— Jakto dziewiąty?.. liczyłam przecież po szymbach i jeszcze mi jedna została.

— Ale dziewiąty, proszę pani majstrowej!.. — twierdził zuchwale chłopak, choć w tej chwili miał bardzo czerwone uszy i ponure wejście.

Do takiego to majstra wszedł Jaś „na poprawę”. Z początku trzymano go w sklepie, później jeden dzień siedział w sklepie, drugi na górze w warsztacie. Głównem zajęciem jego było: chodzenie za sprawunkami i odnoszenie posyłek. Niekiedy kazano mu przyszywać metalowe guziki, do tej części ubrania, którą brzydzili się sankjulości; niekiedy polecano bawić dzieci, których państwo Durscy mieli dwoje. Że zaś jedno z nich nazywało się Jasiem, naszego więc małego przyjaciela dla odróżnienia nazwano Jaśkiem.

Sierota prędko zniechęcił do siebie całe otoczenie. Według zwyczaju, pan majster, zamiast śniadania, dawał chłopcom po sześć groszy. Chłopcy pieniądze te składali razem i kupowali wódkę i bułki; a ponieważ Jaś nie chciał pić wódki, terminatorzy znienawidzili go „za ambitność”.

Znacznie gorsze było to, że nie lubiła go majstrowa. Wszyscy chłopcy, za obiady i kolacje, całowali ją w rękę; chudy Jędrus robił to częściej nawet niż inni, Jaś — tylko się kłaniał.

— Jaki mi... z pańskiej psiarni!..—mawiała często majstrowa.—Dlatego, że nibyto uczył się po francusku, to mnie już nie może pocałować w rękę... Fafell..

Potem zaś, wysapawszy się, wołała:

— Jędrekl!

— Słucham pani majstrowej! — odpowiadał chłopak, przecierając oczy.

— Skoczno po kufelek piwa... A tylko dobrze rachuj, bo oni strasznie oszukują.

U majstra Jaś także nie miał łaski.

— Co on sobie myśli, ten błazen?..—oburzał się nieraz pan Durski. — U niego czeladnik *pan*, ja — *pan* i wszyscy *panowie*... Jakby był udziałnym księciem, a nie przybłądą!

I często gromił Jasia, a jak obecnie—Jaśka, któremu znowu tytuły: „pan majster“ i „pani majstrowa“—z trudnością przechodziły przez gardło.

Pan Kalasanty nie tylko nie lubił, ale nawet z pewnego rodzaju wzgardą spoglądał na sierotę. Majster miewał ciągle interesa do miasta, skutkiem czego ciągle trzeba go było szukać. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wszystkie sprawy, mające na celu podniesienie krajowego przemysłu, koncentrowały się w pobliskiej bawarii, gdzie chłopcy z całą łatwością odnajdywali swego przewodnika i chlebodawcę, zawsze przy tym samym stole i kuflu.

Pewnego dnia, Jaś został wydelegowany do sprowadzenia z bawarii pana Durskiego. Chłopiec poszedł tam i znalazł opiekuna w wesołym towarzystwie ludzi statecznych.

— Oho, patrzcie! — zawołał majster, ujrzawszy go. — To ci, panie, chłopiec!.. On ci, panie, nawet po francusku gada kiedy chce, a przecież do mnie oddali go na edukację.

— Fiul... fiul... — zagwizdał jeden z obecnych, który miał minę senatora, a wyglądał na rzeźnika.

— Nie wierzycie?... — spytał majster, usiłując utrzymać się na krzeselku z godnością. — Powiedz zaraz chłopak, jak się mówi po francusku: piwo, wódka, albo... surdut?...

Gdy zawstydzony Jaś wyrazy te przetłumaczył, majster zapytał z kolei:

— Pocóżeś tu przyszedł?

— Pani prosi pana do sklepu.

— Nie głupim!... — odparł skwaszony nieco pan Kalasanty. — Powiedz, że ja odejść nie mogę, że mam tu interesa... że tu jest jeden kupiec z Petersburga, co robi u mnie obstalunki!...

Obecni buchnęli śmiechem, pan majster zaś rzekł, podając Jasiowi kufel:

— No! masz... napij się, a gadaj, jak ci powiedziałem.

Jaś podziękował za piwo, a pan majster aż skoczył ze zdziwienia.

— Nie pijesz piwa?...—krzyknął. — Hej!.. Zośka!.. dajno temu małemu kieliszeczek anyżówki! dopiero pozna co to smak...

Jaś i za anyżówkę podziękował i prędko wrócił do sklepu, gdzie pani majstrowa z łatwością wybałała go, że jej mążonek pije piwo i że załania się jakimś petersburskim kupcem.

Pan Durski, dowiedziawszy się o tem, plunął z gniewu.

— Nic z niego nie będzie! — mruczał. — Nie zna się na piwie i roznosi plotki!...

Wśród zgrai niechętnych, Jaś znalazł przyjaciela, w osobie czeladnika Panewki. Pan Ignacy Panewka

był to człeczyna młody, przysadzisty, niezgrabny, z wielką głową, ozdobioną włosami prostemi jak druty, pałkowatym nosem i wypukłemi oczyma. Pracował okrutnie i on to utrzymywał warsztat Durskiego, a że krajał jak nikt w Warszawie, śpiewali więc o nim chłopcy:

Pan Panewka
Psia podszewka
Kraje jak *Szabu*,
A głupi jak but.

Ponieważ rodziny nie miał (przed dwudziestu kilkoma laty spadł z deszczem około szpitala Dzieciątka Jezus), przywiązał się więc do swego majstra i, pomimo częstych kłótni, siedział u niego od kilku lat. Dzień, w którymby Ignacy na dobre rozdzielił się z Durskim, byłby ostatnim dla warsztatu, sklepu i reputacji znakomitego krawca.

Ten Panewka był osobliwym człowiekiem. Nie miał ani rozumu, ani ukształcenia — lecz jakiś dziwny instynkt, który go popychał do sympatyzowania i naśladowania tych, których uważał za doskonalszych od siebie. Na nieszczęście, ideały owe były mniej niż skromne. Jeden z nich nosił włosy rozpołowione na przodzie i rękawiczki wątrobiastego koloru, i otóż pan Ignacy nie używał odtąd innych rękawiczek i nie czesał inaczej głowy. Ktoś drugi imponował mu siłą i awanturniczym duchem; wnet zatem Panewka zapragnął mu dorównać: porwał się na jakiegoś drągala, został przez niego sromotnie pobity i w dodatku — poszedł do kozy na parę dni.

Ponieważ Durski miał przysłowie: „panie“ i mógł wypić odrazu kilkanaście kufla, więc i Panewka mówił: „panie“ i przepijał cały zarobek. Usłyszawszy raz, że ktoś tam zjadł dwanaście jaj na twardo, idealista postanowił spróbować tej samej sztuki i dostał zapalenia kiszek, z którego ledwie wylizał się po paru miesiącach.

Na tej nierozwiniętej a gwałtownie wydzierającej się ku lepszemu duszy, sierota zrobił ogromne wrażenie. Panewka znowu zapragnął go naśladować. Ponieważ Jaś był ładny, pan Ignacy zatem całe godziny spędzał przed lustrem, badając: o ile jego pałkowaty nos, szerokie usta i kanciaste policzki—czynią go podobnym do miłego chłopczyny?... Jaś nosił włosy krótkie i wnet Panewka ostrzygł głowę przy samej skórze, uwydatniając tym sposobem wielkie i odstające uszy. Jaś—Durskiego tytułował tylko: „panem“, i otóż Ignacy począł mówić: „panie“ i „pani“, zamiast, jak dotychczas: „panie majstrze“ i „pani majstrowo“. Że jednak reformy te szły mu niezgrabnie, wyśmiali go więc wszyscy, nieboraka, a Jaś od pana Kalasantego dostał za uszy.

„Szukajcie królestwa Bożego“, mówi Pan; Ignacy szukał go, lecz nie umiał znaleźć. Czuł on, że jaja na twardo nie zrobiły go doskonalszym, ani ostrzyżenie włosów podobnym do Jasia. Co gorsze, nie wiedział nawet, jakie przymioty chłopca czyniły go tak sympatycznym?

Pewnego razu, gdy byli sami, zapytał sieroty:

— Widziałeś ty kiedy człowieka uczciwego na świecie?... Ale takiego, że nu!...

— Oj! oj! — odparł Jaś potakująco.

— Kto on taki?

— A pan Anzelm i... moja mama...—dodał ciszej.

— Cóż oni takiego zrobili?...

— Oni wszystko dobrze robili!... — odpowiedział chłopiec.

„Wszystko dobrze robili!..“ W tem to i sęk. Panewka też dobrze robił—krawiecczynę: ale o reszcie dobrych czynów nie wiedział. W pierwszej chwili chciał nawet zapytać Jasia: co to znaczy robić dobrze? Ale przyszło mu na myśl, że jest przecie czeladnikiem, a Jaś terminatorem, dał więc spokój. Odtąd jednak coś go trapiło we wnętrzu, i czy się ubierał, czy krajał, czy pił, zawsze myślał: co to znaczy robić dobrze, ale tak dobrze, że to nu!.. Był on ziemią, która oczekiwała niebieskiej rosy.

Innym razem słyszał Panewka, jak Jędrus mówił do chłopców:

— Ten podły Jasiek psuje nam interes! Nie chce nic brać od kundmanów za odnoszenie, a jak co wytarguje na mięsie, to oddaje majstrowej... Lizus!..

Błyskawica oświeciła ciemny umysł Panewki; przeczuł on, że oddawanie pieniędzy majstrowej należy do czynów dobrych.

Ponieważ na drugi dzień przypadała niedziela, więc pan Ignacy (który nie mieszkał u Durskiego), wybrał się z wizytą do Jasia. Zastał go na strychu, gdzie wszyscy terminatorzy sypiali.

Po krótkiej pogadance, która się ciągle urywała, czeladnik nagle zapytał chłopca:

— Dlaczego ty sobie nie bierzesz *koszykowego*, głupi?.. Miałbyś przecie trochę własnych pieniędzy.

— Ja nie chcę kraść! — odparł z oburzeniem sierota.

— Głupi! głupi! — mruczał zmieszany Panewka, usiłując nadrobić miną. — Przecież co utargujesz w jatce, to twoje.

— Co to, to chyba nie! — odpowiedział Jaś. — Jeżeli się potrzeba z czem kryć, to już jest złe.

Ignacy oparł wielką głowę na rękach i po długim milczeniu zapytał:

— No, a jeśliby kto brał tak: guziki, igły, nici, albo kawałek aksamitu, to także złe?..

— Rozumie się! przecie to złodziejstwo.

Czeladnik wyprostował się jak sprężyna; przeszedł się parę razy po strychu i począł mówić:

— Głupstwo!.. Jak będziesz brał choćby igły i nici z warsztatu, to ci fuszerka taniej wypadnie i możesz pójść czasem na Pragę, a czasem do teatru. A jak nie będziesz brał, to i nic nie zarobisz i jeszcze cię inna czeladź nazwie durniem. Co ci z tego przyjdzie, że majstrowi jakiś tam kawałek podszewczy, albo kortu zostanie?..

— Będę wiedział o tem, że robię dobrze... Inni niech gadają, co chcą! — odpowiedział Jaś krótko.

Nowa błyskawica olśniła Ignacego. Do tej pory sądził on, że tylko to jest dobre, co ludzie chwalą; teraz poznał, że nad opinię ludzką istnieje wyższy probierz: przekonanie o dobrem. Nie można powiedzieć, aby o probierzu tym nie słyszał nigdy; dziś

jednak, pod wpływem przywiązania do sieroty, poczuł i zrozumiał jego wartość.

Odtąd, był to już inny człowiek, a w ciągu następnych paru tygodni, pan Durski przekonał się, że mu w warsztacie wychodzi mniej materiału.

Innej niedzieli, pan Kalasanty znowu wyszedł za „interesem“, a pani Kalasantowa znowu wysłała Jasia, aby poszukał jej męża. Chłopiec udał się do bawarii i przy zwykłym stole zobaczył Panewkę i Durskiego, który zawzięcie dysputował z jakimś nieznanym jegomością.

— Stawiam w zakład dziesięć kufli piwa, że prawda!..—wołał zaperzony majster.

— Trzymam!—odparł z uśmiechem jegomość.

W tej chwili pałające spojrzenie Durskiego padło na Jasia, więc krzyknął:

— On nam powie!.. to chłopak z edukacją!.. No, powiedz mi zaraz, tylko nie żęłyj, czy do Ameryki można dojechać końmi?..

— Ale gdzież tam! — śmiało odparł Jaś. — Przecież Ameryka leży za oceanem A...

Nie dokończył, bo majster schwycił go za kołnierz i wyrzucił za drzwi, mrucząc:

— On mi tu jeszcze będzie gadał!.. Przecież nieraz czytałem o herbacie lądowej; a gdyby Ameryka...

Ale i on nie dokończył, przerwał mu bowiem kipiący z gniewu Panewka:

— Co pan majster będziesz chłopaka wyrzucał za drzwi jak psa?.. Co to, czy on pański syn?

I pogroził mu pięścią.

Podchmielony nieco majster otrzeźwiał.

— A ty mi jakim prawem będziesz wygrażał?..— krzyknął.—A tyś co za jeden?.. Skórka na buty!.. he?..

Niewiele już brakowało, żeby się schwycili za krawaty. Szczęściem rozbrojono ich i odprowadzono na bok rozjuszonego czeladnika, który wciąż wołał:

— Już ja u ciebie śmirusie robić dłużej nie będę!.. A jak mi chłopca skrzywdzisz kiedy, to cię tak *wystębnuję*, że z ciebie nawet kotletów nie wykroją!..

Był to dzień fatalny, pan Durski bowiem nie tylko przegrał dziesięć kufla piwa, ale jeszcze — miał stracić czeladnika, swoją prawą rękę w warsztacie i handlu! Myśl ta otrzeźwiła go zupełnie, wrócił więc do domu smutny i położył się spać.

W poniedziałek Ignacy od rana nie przyszedł do roboty, majster więc musiał go zastępować na górze, upomniawszy żonę, aby dała mu znać natychmiast, skoro się zjawi Panewka. Nareszcie, tak niecierpliwie oczekiwany czeladnik przybył około dziesiątej, żądając ukończenia rachunków i dziękując uroczyście za miejsce.

W tej chwili Jędrak poleciał do warsztatu, a pani Durska odezwała się płaczliwym głosem:

— Co też to znowu panu Ignacemu do łba strze-liło?.. Rzucać nas, takich przyjaciół, takich... co to że-byś pan z latarnią szukał, nie znajdziesz na całym świecie!

Panewka milczał.

— No, panie Ignac, szoruj pan na górę!.. stary kazał na przeprosiny kupić pół kwarty anyżówki, no!..

Ponieważ w tej chwili usłyszano jakiś krzyk w podwórzu, więc majstrowa i czeladnik wyszli do sieni. To Durski wołał z ganku drugiego piętra:

— Ignaś!.. Ignaś psia wiaro!.. *Kim* na górę!..
Palniemy sobie po kieliszku...

— Nie chcę!..—odpowiedział tym samym głosem
czeladnik, otrząsając się gniewnie.

— Aaa!.. Jakież z ciebie Ignac, mój ty Ignaś! —
wołał znowu majster.—No, chodźże do mnie!.. Ja już
zeszedłem na pierwsze piętro, chociażem majster i mógł-
bym być twoim ojcem... Chłopcy! a weźcie się do
niego...

Po tych słowach, zbiegli ze schodów z wielkim
łoskotem dwaj najsilniejsi terminatorzy, a jednocześnie
z ganków i okien poczęli wyglądać lokatorowie. Lecz
choć chłopcy wzięli go pod oba ramiona, a otyła
Durska poczęła z całych sił rękami i głową podpierać
mu plecy, uparty Panewka ani drgnął. Dopiero gdy
Jaś przybiegł do niego i szepnął słówko, czeladnik
zmiękł odrazu i milcząc poszedł do roboty.

Teraz już poznali wszyscy, jak wielką władzę ma
nad Ignacym sierota, i — znienawidzili Jasia jeszcze
bardziej.

IX. FIGIEL POCZCIWEGO JĘDRUSIA.

Po owej awanturze z majstrem, Panewka jeszcze
bardziej zbliżył się do Jasia, coraz częściej składał mu
wizyty lub zapraszał do siebie. Na jednej z takich
wizyt zapytał sieroty:

— Skąd ty wiesz, że Ameryka jest za morzem?

— A z książek — odparł Jaś.

— Książki! — mruknął czeladnik, skrobiąc się w głowę.—Djabło to droga rzecz...

— Niebardzo. Za kilka złotych można mieć wcale porządną...

Panewka zamyślił się, a potem rzekł nagle:

— Żebym ja tak nie pijał piwa, to wiele możnaby mieć książek na rok?

— Eh!—zawołał Jaś—chyba ze sto!

Ignacy złapał się za głowę; następnie zaś, z wielkiem zakłopotaniem, począł mówić:

— Bo to widzisz, jabym tak chciał wiedzieć jedno i drugie, alem... trochę słaby w czytaniu, i w pisaniu nie tęgi. Żebym miał przy kim przypomnieć sobie...

Jasiowi zamigotały oczy.

— Ja pana nauczę... wszystkiego nauczę!—krzyknął, chwytając czeladnika za rękę.

I stanął układ. Panewka zarzucił piwo, wyrzekł się teatru, a natomiast począł kupować książki, które dawał Jasiowi. Jaś zato uczył go czytać, pisać, trochę rachunków, a nadewszystko—opowiadał mu mnóstwo ciekawych rzeczy.

Odtąd, każdy świąteczny dzień, od rana do nocy, spędzali razem. Lekcje trwały krótko, lecz zato — prawie końca nie było czytaniu. Jaś pełnił obowiązki lektora, a czeladnik słuchał i pożerał wzrokiem chłopca.

Czy Jaś rozumiał swój wpływ na czeladnika i jego niezmierne przywiązanie?... o tem godzi się wątpić. Chłopiec lubił go, lecz bardziej jeszcze książki, których mu dostarczał Ignacy. Czuł on, że między nimi istnieje niezapełniona przepaść, jaka istnieć może

między dwoma umysłami: czynnym i biernym, tudzież między dwiema osobami, z których jedna jest tępą, flegmatyczną i szorstką, druga zdolną, ognistą, wrażliwą i dobrze wychowaną. W tym więc czasie, gdy Panewka nie mógł prawie żyć bez Jasia, Jaś obywatel się bez niego doskonale, a nawet niekiedy nudził się nim. Istotnie, owe wiekuiste a niezawsze rozsądne pytania, owe wpatrywania się w oczy, ślepa wiara we wszystko co wychodziło z ust chłopczyny, mogły zaciężyć nawet wytrawnemu człowiekowi. Bezmiernie przywiązanie zawsze nakłada pewien rodzaj pęt na osobę ukochaną i dlatego łatwo może się sprzykrzyć.

Z rodziną pana Karola stosunki Jasia zerwały się zupełnie. Będąc już w terminie, sierota odwiedził ich kilka razy. Za pierwszym razem pani pogadała z nim w przedpokoju i kazała nakarmić w kuchni. Za drugim razem pan Karol palnął mu długą mowę, w której radził kochać, szanować i słuchać majstra, i — zarabiać na przychyłność kolegów. Za trzecim razem — zamknęto chłopcu drzwi przed nosem. Odtąd ani razu nie poszedł tam i począł uczuwać w sercu niechęć do znakomitego filantropa, którego rady, w oczach Jasia, nie miały sensu. „Słuchać majstra“, a więc pić piwo i wódkę, pochlebiać i niekiedy kłamać! „Zarabiać na przychyłność kolegów?“ a więc kraść i znowu kłamać!.. Rozmyślając nad tem kazaniem, Jaś wzruszył ramionami, choć miał dopiero lat jedenaście.

Wśród takich wypadków minęło lato, jesień, a nawet i Boże Narodzenie. Jaś na kolędę dostał od majstra nową kamizelkę, a od pana Karola następujący liścik, zaadresowany na imię Durskiego:

„Jasia nie proszę na święta, ponieważ prawdopodobnie sam nie będę w domu. Z pieniędzy pozostałych po nieboszczce, a ulokowanych przeze mnie w kasie oszczędności, posyłam rs. 10 na zakupienie rzeczy dla Jasia potrzebnych. Przypominam mu też, aby był dobrym i westchnął niekiedy za duszę matki. Uniżony sługa Karol“.

Pan Kalasanty list ten odczytał głośno, wobec wszystkich terminatorów i czeladników, szczególny kładąc nacisk na wyrazy: „Wielmożny pan Durski“ i „uniżony sługa“, a potem dodał od siebie:

— O widzisz!... Masz być dobrym i wzdychać czasem za duszę matki... Uniżony sługa... To jakiś porządny, panie, człowiek z tego Karola!...

Jaś, wysłuchawszy, ścisnął pięści. Czuł on, że pan Anzelm nigdy nie napisałby podobnego listu.

Przez całe święta państwo Durscy hulali jak para aniołów. Po świętach, na Jana Ewangelisty, zamknęli sklep z okazji imienin swego synka, a na Młodzianków, otworzyli sklep, lecz, zostawiwszy w nim Jasia i Jędrusia, sami wyszli do miasta. Przypomniała sobie pani Durska, że najprzód, dziś wypadają urodziny stryjecznej siostry jej ciotki po ojcu, a powtóre, że jutro będą musieli oboje siedzieć w domu, ponieważ Panewka chce wyjść za interesami.

Z dwu chłopców, pilnujących sklepu, Jasia już znamy, warto więc poznać i Jędrusia. Jędrus było to pocziwe dziecko, jak mówili państwo majstrowie. Robić wprawdzie nie lubił, ale zato mógł cały dzień — siedzieć i drzemać. Był też niestęchanie przywiązany: za byle co całował majstrową w rękę, a majstra nigdy

z żadnego sekretu nie wydał. Doskonały ten chłopiec posiadał przecież dwie wady: miał tępą głowę do rachunków i nie miał szczęścia do świata.

Jeżeli był posłany z rublem do miasta, a zrobił sprawunek za sześć złotych, wówczas przynosił szesnastcie lub osiemnastcie groszy reszty. Gdy go pytano: gdzie cztery grosze? dziwił się, płakał, całował po rękach, twierdząc jednak uparcie, choć łagodnie: że przyniósł reszty rychtyg tyle, ile było trzeba.

— Oto ci dopiero zakuty łeb! — krzyczał wtedy majster, zlekka targając go za uszy.

Niekiedy bywało gorzej i trafiło się, że jakiś łotr na ulicy wydierał pocziwemu Jędrusiowi po kilka złotych z ręki, a nawet raz wyrwał mu ktoś nowe spodnie, które odnosił. Wówczas pan majster chciał mu koniecznie „przyfastrygować kilka rzemieni pod sprzączkę“, lecz broniła go majstrowa:

— Daj spokój! — mówiła tłusta dama — czyż się godzi bić za nieszczęście? To bywają tacy ludzie! Jednemu szydła golą, a drugiemu i brzytwy nie chcą.

Wyznać jednak należy, że pocziwemu Jędrusiowi—szydła goliły zbyt często.

Otóż w dzień Młodzianków, gdy majstrów już od paru godzin nie było w domu, a z gości nikt nie przychodził, pocziwy Jędrus odezwał się do Jasia:

— Przyniósłbyś tam jaką książkę do czytania, bo się okropnie nudzi.

Usłyszawszy to żądanie, z ust^o zawołanego próżniaka, Jaś zdziwił się, lecz mimo to pobiegł na stryżek. Zabawił z dziesięć minut, a wróciwszy, dostrzegł, że pocziwy Jędrus jest ogromnie zmieszany i że mu

drżą ręce. Nie zastanawiając się jednak nad tem głębiej, otworzył książkę i za chwilę utonął w czytaniu.

Tego samego wieczora, pani Durska, odsunawszy sklepowy kantorek, zapytała męża:

— Czyś ty brał pieniądze, niedołęgo?..

— Nie... albo co?

— To, że nam brakuje kilkanaście rubli, ty pijaku!.. — zawołała oburzona dama.

— Jezus! Marja!.. — krzyknął zupełnie już trzeźwy pan Durski. — Pewnie nas kto okradł!

— Jużci że okradł, a ja nie wiem nawet, czy dziś, czy wczoraj!..

Za szafami rozległ się szelest, na który jednak małżonkowie nie zwrócili uwagi. Po chwili namysłu majster rzekł:

— Nie gadajże nic nikomu... Jak jutro chłopcy będą w warsztacie, zrewiduję ich kuferki. Czy pamiętasz, jakie były pieniądze?

— Był jeden papier dziesięciorublowy... był znowu trzyrublowy sklejony i tenbym poznała. Także srebrna pięciozłotówka i dwuzłotówka...

— Znajdzie się to! — mówił majster — tylko siedź cicho. Dzięki Bogu jeszcze, że się do grubych pieniędzy nie dobrał!..

W tej chwili uchyliły się pocichuteczku drzwi od strony podwórza i z poza szaf sklepowych wyśliznął się ostrożnie jakiś cień skurczony i drżący. Ale majstrowie i tego nie zauważyli.

Okolo północy, na strychu, podczas gdy wszyscy chłopcy pogrążeni byli w głębokim śnie, ten sam cień przypełzał do pościeli Jasia, począł przysłuchiwać się

jego spokojnemu oddechowi, a wreszcie — wyszeptał głosem, przypominającym syk węża:

— Jasiu!.. Jasiu!..

Szept ten nie rozbudził sieroty; lecz podsunął mu marzenie. I otóż śniło się Jasiowi, że jest w nieznanym sobie ciemnym pokoju, z którego ktoś ukryty w sąsiedniej izbie usiłuje go wywabić, szepcząc:

— Jasiu!.. Jasiu!..

Chłopiec znał skądciś ten głos, lecz go się lękał. Zdawało mu się, że osoba, ukryta za drzwiami, musi być przebrana w stare i zleżałe kobiece suknie i że jest straszna. W niepojęty sposób odgadywał wysoki wzrost, widziadła, szkaradne rysy i fałszywy uśmiech, i czuł, że mu włosy powstają na głowie. Począł się lękać nie tylko tej osoby tajemniczej i złowrogiej, ale tych pustych pokoi i mroku, który je zapełnia... Chciał uciekać, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa... Chciał krzyknąć, lecz głos mu zamarł... A tymczasem drzwi wpół otwarte skrzypnęły zlekka i przez szczelinę, między niemi a futryną, zobaczył wyraźniej stare i zleżałe suknie, fałszywy uśmiech i martwe oczy widma...

Zerwał się z jękiem i zdawało mu się, że dostrzegł ludzką postać, która zamknęła szybko jego kuferki i ukradkiem, przy ziemi, poczołgała się ku pościeli Jędrka. Widzenie to jednak Jaś policzył na karb snu i znowu padł na twardą poduszkę.

Z rana, gdy chłopcy zasiedli do roboty, pocziwy Jędrus zszedł do sklepu, a Jaś udał się za sprawunkami do miasta, pan Kalasanty, w towarzystwie jednego z czeladników, zrewidował kuferki na strychu,

celem wykrycia wczorajszej kradzieży. Poszukiwania te trwały z godzinę, dobry jednak skutek musiał je uwieńczyć — pan majster bowiem, wydając okrzyki podziwu i klnąc na czem świat stoi, szybko zbiegł do sklepu, aby złożyć raport żonie.

Tu zastał Jasia, który w tej chwili wrócił z miasta. Zobaczywszy go, prawie szalony z gniewu, Durski schwycił chłopca za rękę i wrzasnął:

— A tuś mi, złodzieju!.. Zato, żem cię na naukę przyjął, żem cię jak własnego syna pielęgnował, tyś mnie na podziękowanie okradł?.. Poczekaj!..

Jaś osłupiał, a zdumiona majstrowa zawołała gniewnie na męża:

— Czyś oszalał stary?.. Co ty wygadujesz?

Majster ochłonął nieco i rzekł:

— Gadam to, że on nas okradł. Ot, patrzaj co w jego kuferku znalazłem!..

I pokazał żonie sklejoną trzyrublowy papierek, tudzież pięcio i dwuzłotówkę srebrną.

Pani Durska aż usiadła na krześle.

— Chryste elejson! — mruknęła — jaki to teraz świat przewrotny!..

Majster znowu zwrócił się do Jasia i podniesionym głosem zawołał:

— Gadaj!.. kiedyś ukradł?.. gdzie jeszcze dziesięć rubli?..

Jaś schwycił majstra za rękę i patrząc na niego z wyrazem rozpaczy, zalany łzami, drżący, mówił wśród łkań, któreby zmiękczyły najtwardsze serce:

— Paniel!.. paniel!.. co też pan mówi?.. Jabym panu wziął pieniądze?.. Ja?!..

— Gdzie dziesięć rubli?.. — wrzeszczał nieubłagany majster, uderzając go w twarz. — Gadaj!.. bo oddam cię na policję!..

Jaś zaniósł się od płaczu i rozdzierającym głosem zawołał:

— Paniel!.. ja nie wziąłem... jak matkę kocham!..
I załamał ręce.

Na tłustem obliczu pani Durskiej znać było powątpiewanie i litość, ale zaciekły jej małżonek nie miał zwyczaju ulegać podobnym słabościom, a widząc, że nie skutkują ani jego wrzaski, ani bicie, zniżył nagle głos o całą oktawę i już niby spokojnie rzekł:

— Jędrekl!.. zawołaj stójkowego.

Uczciwy chłopak powoli wyszedł, a Jaś oprzytomniał. Teraz dopiero zrozumiał swoje położenie: posadzono go o kradzież!.. W tej chwili stanęły mu w myśli nauki matki, własny jego wstręt do podobnego występku, a wreszcie — widziany przed kilkoma laty obraz grupy ludzi okutych w łańcuchy i otoczonych przez wojsko. Byli to zbrodniarze, do których obecnie zaliczono jego!..

Coś zamigotało mu w oczach, zaszumiało w głowie... Usłyszał brzęk kajdan i krzyki ulicznych tłumów... Rzucił się ku drzwiom i wybiegł na ulicę...

— Łapaj!.. — zawołano.

Jaś wpadł do przechodniego domu, z niego na drugą ulicę i znikł wśród tłumu przechodzących.

Około południa do sklepu majstra Durskiego zeszło się mnóstwo osób. Byli tam terminatorzy, czeladnicy, sąsiedzi, którym pan Kalasanty, po raz dwudziesty z rzędu, opowiadał o tem: jak go Jaś okradł, jak

dziesięciu rubli nie oddał i jak wreszcie uciekł z domu niewiadomo gdzie.

W tej chwili wszedł nieobecny dotychczas Panewka, stęskniwszy się widać za robotą, a może i za Jasiem.

— Aha!.. Jak się masz, panie Ignacy?.. Dobrze się popisał twój metr!.. — zawołał majster, i znowu, ze wszelkimi szczegółami, opowiedział mu o kradzieży o rewizji, o braku dziesięciu rubli i o ucieczce sieroty.

Panewka słuchał go skamieniały. Nagle potoczywszy wzrokiem po obecnych, pochylił się naprzód. Oczy jego przybrały zielonawo-żółty kolor, a z poza bladych warg ukazały się rzadkie i krzywe zęby.

Zdziwiony majster przerwał opowiadanie, między obecnymi rozległ się szmer, a w tej chwili czeladnik — rzucił się na pocziwego Jędrusia i schwycił go za gardło.

Dobry chłopiec zsiniał, przykląkł i stłumionym głosem (choć go nie pytano) wybełkotał:

— Ja!... ja!...

Zaległa cisza, wśród której słyszeć było rozmowę na dwa szepty:

— Kiedyś podłożył pieniądze Jasiowi?... — pytał czeladnik.

— Dziś w nocy!... — odpowiedział dobry Jędrus.

— Jakim sposobem ukradłeś?...

— Otworzyłem wytrychem...

— Gdzie reszta?...

— W mojej kamizelce...

Nigdy jeszcze nie widziano tak spokojnego badania i tak szybkiego wyznania. Czeladnik po ostatnich

wyrazach Jędrusia poszarpał na nim kamizelkę i z za podszewki wydobyl zmiętoszony dziesięciorublowy papier.

— Czy to ten?... — spytał majstra, rzucając bankocetel na kantorek.

— Jużci że ten! — odparł niezartem przełęczniony Durski.

— Niechże was Bóg skarże... za to posądzenie... was i dzieci waszel... — krzyknął Panewka.

Potem, nie patrząc na nikogo, wyszedł ze sklepu, a za nim chyłkiem powysuwali się obecni, przejęci zgrozą.

W sklepie zostały trzy osoby: państwo Durscy i pocziwy Jędrus. Majster, który nigdy nie odznaczał się zbytkiem rozumu, teraz zgłupiał zupełnie. Przeszedł się parę razy po sklepie, marszcząc brwi i stukając w palce, a wreszcie, stanawszy przed swoją większą połową, zawołał:

— Wiem, co zrobić!

Pani majstrowej źle jakoś z oczu patrzyło w tej chwili, lecz niezrażony majsterek mówił dalej:

— Oto pójdę ich poszukać i obu sprowadzę do domu: Panewkę i Jaśka... Franiu! daj złotóweczkę...

Panią Durską, gdy usłyszała to, według jej własnego zapewnienia, jakby paraliż tknął. Jak się tedy nie zerwie, jak nie hopnie majsterka — raz z lewej strony, jak nie poprawi drugi raz z prawej — aż się zatoczył nieboże!... Potem, nie czekając na złotówkę, ani na dalszy ciąg poprzedzającego, schwycił Jędrusiową czapczynę, która mu zastaniała tylko wierzch głowy, wypadł do sieni z wielkim impetem i nie oparł

się aż w bawarii, jeneralnej pocieszycielce strapionych. A pani Durska tymczasem biadała:

— Ach, nieszczęśliwa ja sierota!... Ach, pocóżem ja wyszła za tego birbanta!... Ach, nie lepiejze mi było wyjść za urzędnika pocziwego?... Miałabym już do tej pory ze dwanaścioro dzieci, a tak dwoje, i to lichych, krawieckich!... Ach, matko moja, pocóżes ty mnie niebogę na ten świat wydała?... Jędrus!

— Słucham pani majstrowej — mruknął podły chłopiec, wyłaząc jak wilk z poza szafy.

— A skoczno mi po kufelek pi...

W tej chwili spojrzenie jej padło na nikczemnego intryganta. Przypomniła sobie jego zbrodnię, straszną kłatwę Panewki i, pochwywszy z wściekłością nożyczki, rzuciła niemi w przewrotnego wyrostka. Ale chłopiec zręcznie się uchylił, a narzędzie śmierci albo kalectwa, z brzękiem obiwszy się od ściany, utkwilo ostrzem w podłódze. Majstrowa zaś oparła na kantorku tłuste ręce, na nich głowę i poczęła znowu lamentować:

— Ach, skrzywdziłam sierotę!... Ach, skarże Bóg mnie i moje dzieci!... Czy zwarzował Panewka, żeby tak strasznie przeklinać?...

A tymczasem Jaś biegł, sam nie wiedząc gdzie. Zdawało mu się, że ulice, sanki, ludzie, nawet niebo uciekają przed nim. Dotknięty zarzutem kradzieży, czuł swoją niewinność, a mimo to — wstydził się, lękał i rozpaczał. Któż mu uwierzy, choćby przysiągł?... On sam zresztą nie rozumiał, jakim sposobem w jego kufrze znalazły się pieniądze... Gdy nadejdzie noc, gdzie głowę przytuli, czem zaspokoi głód, który go już zaczął trapić?... Do jednej tylko istoty poszedłby

on śmiało, nawet takim obarczony zarzutem... Gdyby jej upadł do nóg i powiedział: Mamol! ja jestem niewinny!... uwierzyłaby mu, a może i ocaliła od kajdan, których złowrogi brzęk nieustannie rozlegał się w jego duszy... Ale matkę przyciska w tej chwili grób; a choć pasuje się z nim, choć radaby biec na ratunek sierocie, nie puszczają jej napół zgniłe deski trumny i ścięty mrozem kopiec ziemi. Bezsilna wówczas, gdy jej syna w imieniu prawa ścigać ma całe społeczeństwo!

X. DZIEJE LISTU.

Powiadasz, mój przyjacielu, że Pan Bóg jest najlepszym dramaturgiem: ponieważ zawsze daje najmniej spodziewane rozwiązanie. Masz rację, i na dowód tego opowiem ci następującą historję.

Nieopatrzony marką list Jasia dość długo wisiał w pocztowej skrzynce, choć był bardzo a bardzo pilny. Przechodziło tamtędy mnóstwo dam, które bawią się tylko dla otarcia łez cierpiącej ludzkości i z których każda jest tak świątobliwa, że po śmierci wprost z karawanu pierwszej klasy, wziętą zostanie do własnego pałacu w królestwie niebieskiem. Żadna z nich jednak nie raczyła spojrzeć na biedny liścik, który w niebogłosy zdawał się krzyczeć, ażeby go wysłano do Wólki! Przechodziły panny piękne jak jagody, a takie dobre, niewinne, miłosierne i wogóle tak doskonałe, że pojawienie się ich robiło dystrakcję wygłodzonym kancelistom pocztowym, że na ich widok, pocztyljoni

i bryftrygierzy żegnali się, jak przed cudownemi obrazami... Lecz i z nich żadna nie zainteresowała się liścikiem.

Przechodzili tamtędy panowie, starzy i młodzi, w futrach i paltotach, w płytkich i głębokich kaloszach. Ten miał złote okulary, inny laskę z kością słoniową, ów częstował znajomych kilkunastu cygarami, tamten posiadał kamienicę, a jeszcze inny najlepsze serce w świecie. Wielu z nich było członkami Towarzystwa Dobroczynności, albo Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Wielu troszczyło się o paralityków, lecz list Jasia, oddawna leżący w skrzynce, żadnemu nie przyszedł na myśl.

Nareszcie i on zwrócił na siebie uwagę.

Przez dziedziniec pocztowy przesuwiał się codziennie jegomość chudy i łysy, w długim granatowym płaszczu. Zły to był i chytry starzec!.. Ilu on panów, co powozami jeździli, wy kierował na dziady; ilu kupców wsadził na Leszno; ile zgubił wdów i sierot; ilu młodym ludziom olbrzymiemi procentami zwichnął karjery — o tem dopiero dowiemy się w dzień sądu ostatecznego.

Ponieważ staruszek przez całe życie pisywał listy na koszt, z obawy więc: czy i teraz do którego nie zapomniął przylepić marki i czy mu go nie odrzuciła poczta — często zaglądał do szafki. I otóż, w czasie jednych z takich odwiedzin, przeczytał adres:

„Do rąk własnych wielmożnego i kochanego pana Anzelma w Wólce, żeby prędko doszedł“.

Zobaczywszy to, stary aż się zatrzęsł z gniewu i uderzając laską w kamienie, mruknął:

— A to dopiero, oślisko jakieś!.. Chce, żeby mu list prędko doszedł, a marki nie przylepia...

Z temi słowy szybko pobiegł do bramy, lecz tu nagle się zatrzymał i znowu mruknął:

— Dobrze mu tak, niech się pilnuje!..

Ale na środku ulicy Nowo-Senatorskiej znowu stanął i, jakby kłócąc się z kimś, mówił gniewnie:

— A to co nowego?.. Ja... ja mam marki kupować dla jakichś tam hołyszów, urwipołciów?.. Zjesz djabła, czy ci się uda!

Daremnie się jednak wykręcał, daremnie klął i usiłował biec naprzód! Schwyciła go za kark potężna prawica boża i już z Placu Teatralnego zawróciła na pocztę. Ale lichwiarz jeszcze nie dawał za wygraną i począł się tłumaczyć płaczliwym głosem:

— Pewnie już niema urzędników na pocztcie... Oniby też czekali dla głupiego listu! A czy lichy nadało z tą kanalją?.. A czy nie mógłby tego samego zrobić jaki bogaty człowiek?..

Mimo to wracał, choć stękał, i zaszedł do biura, gdzie sprzedają marki. Ach! jakże mu trudno było znaleźć woreczek z pieniędzmi, jak mu się trzęsły ręce, jak ciężko żałował dziesiątczyn... Mimo to — musiał zapłacić i list poszedł.

Dziwne rzeczy wyrabiasz, o Pani! że, pominąwszy tyle zacnych i wykwinnych osób, do spełnienia sierocej woli użyłeś lichwiarza w wytartym i zabłoconym płaszczu!..

Z tem wszystkiem zdawało się, że jakaś klątwa ciąży nad biednym liścikiem Jasia. Po wysłaniu go z Warszawy, zajechał na inną stację, znowu wrócił,

i dopiero po Bożem Narodzeniu, doszedł do właściwych rąk. Akurat w dzień św. Szczepana, około 10-tej wieczorem, gdy dzieci już spały, pani zaczęła nową powieść, a pan Anzelm myślał o niektórych dyspozycjach na jutro, do niskiej jego izdebki wszedł Młynkiewicz, który w tej chwili powrócił z miasteczka.

— Cóż, są pisma? — spytał pan Anzelm.

— A są, i jeszcze list jakiś — odparł ekonom, kładąc na stole sporą paczkę.

Szlachcic wziął przedewszystkiem list do ręki, a przeczytawszy adres, wybuchnął śmiechem:

— Także koncepcista jakiś! — zawołał.

— A może to nasz Jaś? — wtrącił półgębkiem ekonom.

— Zapewne, że on!.. to tak jakby jego charakter—mówił szlachcic, szybko rozrywając kopertę.

A potem zaczął głośno czytać:

„Kochany paniel! Mama chciała sama do pana napisać, ale już umarła...”

— O nieszczęście! — mruknął pan Anzelm.

Szlachcic utarł nos, zaczął szybko mrugać powiekami i stłumionym głosem czytał dalej:

„Już wkońcu była nam taka bieda, że strach!.. a mama przed samą śmiercią ciągle wspominała o panu. Teraz jestem u pana Karola, który mię wziął z łaski. Dobrze mi tu, ale tęskno, bo nieraz nie ma człowieka do kogo gęby otworzyć, choć jeść i pić jest co. Z początku mieszkalem z chłopcami, ale potem dali mi osobny pokoik i do stołu niezawsze wołają, to też mi bardzo smutno. Od wakacji wzięli mię chłopcy uczyć, ale więcej tam klęczenia i łap dawania,

niż tego co potrzeba. Mają oni fuzję i welocyped, ale mi tego do ręki nie dają, choć ja i niewiele o to dbam, bo wolałbym się uczyć z kim starszym. Najgorzej mi tylko żal, że naskarżyli na mnie z panią przed ojcem, żem leniwy i próżniak. Za to pan Karol rozgniewał się i mnie w domu zostawił, choć wszyscy wyjechali na wieś, aż mi się płakać chce...

„Mój kochany panie, niech się pan nie gniewa na mnie za takie brzydkie pismo, ale to nie z lenistwa i próżniactwa, tylko przez złe pióro... Mój kochany panie, co ja mam z sobą robić, kiedym już tak sam został na świecie? Trzebaby mi pójść na własny zarobek, ale nie śmiem podziękować panu Karolowi, bo on zawsze taki jakby chorował i ciągle się tylko za głowę łapie. Może jabym się tam na wsi przydał do czego, to już i nauce dałbym spokój, aby tylko stąd wyjść.

„Całuję ręce i nogi panu i pani, całuję także Antosię i Józia i Manię i Kazię; panu Młynkiewiczowi się kłaniam i Wojciechowi jeżeli jest i niech mi pan odpisze jak się tam powodzi i czy wszyscy zdrowi?“

Następował podpis imienia i nazwiska, tudzież adres.

Szlachcic, skończywszy czytać, stanął przed ekonomem i rzucił mu jedno tylko pytanie:

— He?!...

— Wola pańska — odparł osiwiiały ekonom, kłaniając się. — Musi tam być chłopcu okrutnie źle...

— Wydobędziemy go!... — rzekł jakby do siebie Anzelm, i począł wielkimi krokami chodzić po pokoju, rozmyślając.

— Potrzebuję z pięćset rubli...—szepnął.—Trzeba chłopca tu przywieźć i od wakacji oddać do szkół...

— Ładny grosz! — mruknął ekonom.

— Mamy przecież trochę zboża na sprzedaż? — spytał pan Anzelm.

— Tak! zboże jest, ale o kupca niełatwo, a przysiętem to ekstraordynaryjny wypadek... Zresztą i Józia czasby już do szkół...

— Tępy chłopiec!—odpowiedział szlachcic. — On się jeszcze i za dwa lata nie przygotuje.

Nastało znowu milczenie, które przerwał ekonom:

— Jeżeli taka wola pańska, to pieniądze się znajdą. Przecież tydzień temu pan Adam za cugowe konie dawał akurat pięćset rubli z czemś...

Słowa te podziały na pana Anzelma, jak kubeł zimnej wody. Przez chwilę jeszcze się wahał, lecz wkońcu rzekł już innym głosem:

— Niech Młynkiewicz idzie spać.

Potem znowu począł rozmyślać:

— Żał mi wprowadzić chłopca, no! ależ i ja mam obowiązki... Od kwartału jest w domu nauczyciel do Józia, mógłby się więc przy nim trochę poduczyć, ale—ze szkołami ciężka sprawa... Szkoda chłopca!..

Coprawda, pan Anzelm wstydził się nawet przed sobą wyznać, że mu trochę żał było pary cugowych koni, które stanowiły pamiątkę lepszych czasów. Długów teraz nie miał, lecz dla edukacji Jasia musiałyby się przez lat parę ograniczać w wydatkach. Rok obecny był wyjątkowo pomyślny i pozwolił mu nawet na kupno żniwiarki, lecz czy tak zawsze będzie?..

Ale z drugiej strony pan Anzelm wiedział, że Jaś jest ogromnie obiecujący i domyślał się, że pozostając nadal w dzisiejszych rękach, zmarnować się może.

— Szkoda chłopca! — szeptał wzruszony. — No, ależ i ja mam obowiązki, i to ciężkie...

— Podolasz im! — odezwał się jakiś głos.

— Zapewne! — odpowiedział szlachcic — ale w takim razie wolę poprawić byt własnej rodziny. Edukacja chłopca może kosztować z parę tysięcy rubli, lepiej więc to odłożyć dla swoich...

— A co zrobisz dla kraju? — szepnął głos.

Szlachcic, na środku swej izdebki stanął struchlały i, jakby pragnąc odegnać trapiące go myśli, spojrzął dokoła siebie. Tym razem wzrok jego padł na trzy odwieczne portrety. Jeden z nich przedstawiał jakiegoś rycerza w zbroi, drugi starca, trzeci matronę.

I otóż zdarzyła się rzecz niesłychana. Portrety te ożyły i poczęły mówić:

— Ja wygrywałem bitwy, a w ostatniej z nich położyłem głowę... — odezwał się rycerz.

— Założyłam szpital i szkołę, w której uczyło się kilka pokoleń... — mówiła matrona.

— Założyłem miasteczko i kilkanaście wsi... — odezwał się starzec.

— A wy coście zrobili?... — pytał głos. — Ty, ojcze, goniąc za tytułem hrabiego po niemieckich oberżach, strwonił prawie cały majątek, a ty resztę...

Anzelmowi kroplisty pot wystąpił na czoło. Odwrócił się od obrazów i chciał usiąść przy biurku, na starym, żelaznym fotelu, obitym skórą. Nagle coś nęcił się: w tej chwili, pierwszy raz w życiu przyszło mu

na myśl, że niegodzien jest siadać na tem krześle, które zajmowali kiedyś znakomici obywatele kraju i święte matrony.

Tymczasem portrety mówiły znowu.

— Dom mój był przytułkiem inwalidów...—szeptał wojownik.

— Do mego stołu zasiadały sieroty... — mówiła matrona.

— W złych czasach kilka tysięcy ludzi uratowałem od głodowej śmierci i dałem krajowi kilkunastu rzemieślników — odezwał się starzec.

— Twój ojciec wykształcił na pożytek ogólny kilkunastu żokiejów i psiarczyków... a ty — furmana i kuchtę, który cię okradł — uzupełnił głos.

— Żokiejów i psiarczyków—furmana i kuchtę!..—powtórzył z goryczą pan Anzelm. — Wartoż było dla tak nędznych rezultatów strwonić majątek, rodzić się z bohaterów i statystów, nosić odwieczne nazwisko i mieć pretensję do tytułu: członka klasy przodującej?.. Nie byłem jednak gorszym od innych—szepnął szlachcic, jakby tłumacząc się przodkom, którzy w tej chwili spoglądali na niego martwemi oczyma.

Istotniel inni nawet psiarczyków porządnych nie umieli wykształcić!..

Myśli jego znowu skierowały się do sieroty.

— Dobrze — mówił — więc sprzedam cugowe konie, ograniczę się jeszcze bardziej, spadnę do klasy dorobkiewiczów — ale któż mi zaręczy, że cała moja praca nie pójdzie na marne, że chłopiec nie umrze, albo nie zepsuje się?

— Czyń to, co przypada na ciebie, a o reszcie nie myśl!... — mówił głos.

I otóż szlachcic zdecydował się. Postanowił powiększyć rodzinę o jednego członka, który go miał najwięcej kosztować. Robił to bez fałszywego entuzjazmu, na zimno, czując, że spłaca dług, nieuiszczony w pomyślniejszych czasach.

Jeżeli mu się Jaś nie uda, wówczas czeka go zawód, pośmiewisko ludzkie, a kto wie nawet, czy nie wyrzuty ze strony własnych dzieci. Ale jeżeli się uda?...

Było to duże ryzyko, lecz nie on pierwszy ryzykował. Jego pradziad kilkanaście razy grał o życie, a choć wkońcu przegrał, zostawił dobre imię. Jego znowu ojciec grał także raz... w djabełka o dwie wsie!

Wybiła trzecia rano, gdy pan Anzelm siadł do pisania listu, a siadł na żelaznym fotelu, który niegdyś zajmowali wojownicy, znakomici obywatele i święte matrony. Czuł on, że jest im równy, choć składa w ofierze tylko ostatnią parę cugowych koni!...

Około czwartej wszedł Młynkiewicz.

— Trzeba odesłać ten list i konie panu Adamowi — rzekł szlachcic.

— Wola pańska!... — odparł ekonom.

A potem spytał:

— To pojedzie pan do Warszawy?...

— Pojutrze! — odpowiedział pan Anzelm.

Ekonom pokręcił głową i wyszedł.

Gdy szlachcic znowu został sam, już śmiało spojrzał na portrety przodków. I on także umiał poświęcić dla ogólnego dobra chociaż część skromnych

resztek i on do stołu swego prowadził sierotę, aby przygotować społeczeństwu obywatela.

XI. OPUSZCZONY.

Jaś, uciekwszy od majstra, opamiętał się dopiero na Placu Teatralnym. Zmęczenie pohamowało go w biegu, powietrze orzeźwiło. Spojrzał dokoła i zobaczył ludzi zamyślonych, rozmawiających lub uśmiechniętych, którzy szli za swojemi interesami, nie mając zamiaru łapać go ani zakuwać w kajdany. Zrobiło mu się jakoś rzeźwiej i bezpieczniej. Czuł, że w tem miejscu, wobec tylu osób łagodnych, pięknych i dobrze ubranych, majster nie śmiałby go bić i nazywać złodziejem. A zresztą niechnoby spróbował!.. Jasiowi przyszedł na myśl goniony przez oprawcę pies, którego uratowali przechodnie. Mielizby ci sami przechodnie być mniej litościwymi dla niego?..

W Saskim Ogrodzie śmiałość jego spotęgowała się, jeszcze bardziej. Kto go tu zechce chwycić?.. Czy ten siwy a rumiany pan, któremu z niebieskich oczu patrzy uczciwość?.. Czy ta w aksamitnej okrywce dama, której prześliczna twarz tchnie dobrocią?.. Czy może ci mali chłopcy, którzy wyglądają tak, jakby się z nim chcieli bawić?.. Niepodobna, aby kto zapragnął go skrzywdzić, tu, wobec pogodnego nieba, drzew szronem okrytych, wiecznie zadumanych posągów, i ludzi, przynajmniej na pozór, szczęśliwych!

Obszedłszy parę razy ogród, Jaś wydobył się za Żelazną Bramę. Myśli jego uległy zmianie. W miarę

oddalenia się od eleganckiej części miasta, spotykał coraz więcej ludzi skromnie a nawet nędźnie ubranych. Twarze były blade i smutne, spojrzenia dzikie. Jaś uczuł głód, a jednocześnie począł się lękać. Zdawało mu się, że każdy przechodzień patrzy na niego podejrzliwie i gniewnie, że wielu ogląda się za nim i wskazuje na niego palcem. Bez uzasadnionej przyczyny obawa jego przeszła w trwogę, w paniczny strach, w rozpacz... Przyśpieszył kroku; serce poczęło mu gwałtownie bić, nie odróżniał już przedmiotów, a instynkt począł go naglić do ucieczki. Szczęściem ostatnie błyski rozsądku powstrzymały go, szedł więc zwolna jak automat, potrącając ludzi i ocierając się o ściany domów.

— Patrzcie! — zawołała jakaś kobieta — ten chłopiec musi być pijany, albo ślepy!..

Jasiowi, gdy to usłyszał, zdawało się, że go coś dusi za gardło; lecz i tym razem nie przyśpieszył kroku i po upływie kilku minut znalazł się na mniej ludnej ulicy. W jednej z bram spotkał chudą dziewczynę z konewką wody i rzekł:

— Pić!..

Dziewczyna napoiła go i coś mu odpowiedziała z uśmiechem, lecz nie zrozumiał jej. Gdy poszła dalej, podniósł głowę machinalnie i zobaczył szyld z napisem:

Ochrona.

Był to przytułek dla dzieci biednych, lecz jeszcze nie tak biednych jak on. Jaś wiedział o tem, zawrócić się więc i powędrował dalej. Dokąd?..

Na Placu Wareckim stanął przed ogromnym szpi-

talem. Tu chronili się ci, nad którymi ciążyła ręka śmierci. Ponieważ jednak nad nim ciążyło tylko sieroctwo i zarzut kradzieży, spuścił więc głowę i znowu poszedł dalej.

Ponieważ dał mu w oczy ostry wiatr, chłopiec skręcił na lewo i dostał się na uliczkę pustą i spokojną. Stracił już wątek myśli, władzę nad sobą i stał się podobnym do rzeczy martwej, której lada powiew nadaje nowy kierunek.

Na Nowym Świecie zbudził go niezwykle hałas; to gromada ludzi otaczała dwa indywidua, prowadzące pod ramiona obdartego biedaka.

— Co to jest?.. — spytał Jaś na los szczęścia.

— Pijanego prowadzą do cyrkułu — odpowiedział ktoś z tłumu.

Chłopiec począł znowu myśleć. Ubogie dzieci mają przytułek w ochronach, chorzy w szpitalach, pijaki w cyrkułach...

Ale gdzież on się pomieści, on, najuboższe dziecko na świecie?.. Chyba w więzieniu!

Jaś był bardzo zmęczony: nogi pod nim drżały i ugiwały się, ręce ciążyły mu w bolesny sposób. Czuł głód, lekkie mdłości, morzył go sen, potrzebował spocząć choć na chwilę, lecz nie miał gdzie. Miejsca w ochronach, szpitalach i cyrkułach były zajęte przez innych, a do więzienia nie chciał iść.

W takim stanie umysłu, idąc ciągle naprzód i potykając się na nierównym chodniku, sierota zwrócił oczy na środek ulicy, po której mnóstwo sanek i powozów przebiegało, i — po raz pierwszy w życiu, mając dopiero lat jedenaście, uczuł pociąg do samo-

bójtwa. W tej chwili wyobraził on sobie ból, jakiby mu sprawiły uderzenia końskich kopyt, usłyszał głuchy chrzęst własnych kości, lecz nie czuł trwogi, podobnie jak człowiek, który cierpiąc na ząb, raczej z rozkoszą aniżeli z przestraczem myśli o wyrwaniu go.

Tymczasem powozy i sanki roiły się jak muchy wśród lata. Jaś stanął. Jeden z przechodniów zepchnął go ze środka fliz na krawędź, drugi — z krawędzi na ulicę. Zdaleka nadjeżdżały wielkie sanie, ciągnione przez cztery konie. Chłopiec posunął się krok naprzód, machinalnie odwrócił głowę i — ujrzał nad sobą olbrzymią postać obarczonego krzyżem Chrystusa, który pochylił się i wyciągnął ku niemu rękę, jakby mówiąc: — Co ty robisz?..

Jednocześnie, u stóp męża boleści, który tak dziatki miłował, sierota dostrzegł otwarte drzwi; cofnął się z ulicy i wszedł do podziemnego kościoła. Siedzi-ba umarłych przygarbna zmęczone dziecię.

Minawszy wąski kurytarz, Jaś dostał się do piwnicy; wyszukał w niej najciemniejszy kącik, usiadł na stopniu zepsutego katafalku i oparł głowę o ścianę. W podziemiu było kilka trumien ze zmarłymi różnej płci i wieku. Najbliżej sieroty leżała jakaś kobieta, nieco dalej mała dziewczynka. Jasiowi przyszły na myśl: matka i Antosia, lecz tylko na chwilę. Wspomnienia te nużyły go teraz, nie miał sił ani chęci zajmować się niemi, natomiast czuł z rozkoszą, że siedzi i że mu jest ciepło. Niebawem zasnął.

Gdy się obudził, uczuł pod palcami ręki, opartej na skraju paltota, jakiś przedmiot mały, płaski i okrągły. Ognie uderzyły mu na twarz, odgadł bowiem, że

to musi być pieniądz. Istotnie, między syberyką i podszewką znalazł pięć groszy, które Bóg wie odkąd leżały tam, aby zjawić się wówczas właśnie, gdy ich potrzebował najbardziej.

Na dworze zapadał już mrok. Jaś kupił trzy podługowate bułki, zjadł je, popił wodą z wodociągu i znowu poszedł na wędrowną.

Zrobiło mu to dobrze. Był wyspany i najedzony, dla rozrywki więc począł oglądać sklepy. W jednym widział eleganckie stroje, w innych biżuterję, owoce, zabawki... Najdłużej zatrzymał się przed pewnym handlem korzennym, w którego oknie siedział porcelanowy Chińczyk, kiwający głową i wywieszający język.

Cacko to podobało mu się i począł rozmyślać: jaki mechanizm jest we środku?.. Nagle usłyszał śmiech:

— He! he! he!..

Za nim stał wynędzniały robotnik, który utkwiszszy obłąkane oczy w twarz Chińczyka, śmiał się — ale tak dziwnie, tak strasznie, że Jaś pędem uciekł od okna.

— Dlaczego tylko jemu i mnie podobała się ta zabawka?—myślał chłopiec.—Dlaczego jest tak nędzny, a śmiech jego tak okropny?.. Co on dziś jadł, czy także tylko bułki?.. Gdzie będzie spał?.. Gdzie będzie spał?.. O Boże! a gdzie ja?..

I znowu począł się tułać. Stopniowo zamykano sklepy, ruch na ulicach słabnął, światła gasły. Niekiedy na przestrzeni kilkuset kroków słyhać było szybki chód jednego tylko przechodnia, lub ziewanie stróża. Turkot dorożek dolatywał z miejscowości bardzo odległych. Wreszcie wszystko ucichło. Na dalekiej wieży wybiła pierwsza, na całej ulicy świeciło się tylko w dwu oknach.

— Co ja tu pocznę?.. — szeptał sierota. — Co ja tu pocznę?..

Wzniósł oczy do nieba, które w połowie lśniło się jeszcze od gwiazd, a w połowie gęstemi pokryło się chmurami. Sąż to te same gwiazdy, które widywał kiedyś?..

Wielkie i ruchliwe miasto budzi właściwy sobie rodzaj przestachu w czasie nocy. Jaś uległ tej trwodze tak dalece, że nie śmiał się ruszyć z miejsca; własne kroki przerażały go. Oparł się o słup gazowej latarni i załamawszy drobne rączyny, wyjąkał:

— Jestem sam!...

Przesadzał: w tej chwili bowiem doleciał go jakiś szelest. Szelest ten stopniowo zbliżał się, a niekiedy ustawał... Jaś wyteżył wzrok i dostrzegł — psa biegnącego środkiem drogi.

Za owym psem, który szukał żeru wśród nocnej pomroki, Jaś przeszedł jeszcze parę ulic. Ściemniło się zupełnie, a chłopca ogarnęła senność. Fizyczne i moralne jego cierpienia dosięgły szczytu; najstraszliwszem z nich było uczucie zupełnej samotności. Wiedział, że nie tylko był sam, ale że nadto niema już chyba na świecie tak nędznej jak on istoty.

Lecz omylił się i tym razem. O kilkanaście kroków dalej, przy migotliwym świetle latarni, dostrzegł cień przytulony do muru. Podeszedł tam ostrożnie i na schodkach sklepu zobaczył siedzącą kobietę.

— Kto tu?... — zapytał.

— To ja z dzieckiem!... — odparła przestraszona. — Ja nic złego nie zrobię...

— Nocujecie tu?...

— Tak... odpoczywamy. Do domu daleko.

Jaś usiadł przy niej.

— Panicz z tej kamienicy? — zapytała teraz kobieta.

— Nie! — odparł zakłopotany, cichym głosem.

— Może panicz się spóźnił na kolej?...

Chłopiec nie odpowiedział nic.

— Jakoś ciepło na dworze—rzekła znowu, a potem oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy.

Dziecko spało ciągle. Jaś dotknął jego nagiej rączki i wstrząsnął się. Była ona tak pomarszczoną i chłodną, jak to pisklę, które niegdyś z jego winy straciło życie.

Teraz przyszło mu na myśl, że go Bóg skarał za śmierć ptaszka. Przypomniawszy sobie piękne, okrągłe gniazdeczko i mimowoli porównał je z gniazdem łachmanów, na których spoczywało pisklę rodu ludzkiego.

.

Wkrótce, wśród miasta, na schodach okrytych zmarzniętym błotem, miłosierny sen, lekarz cierpiących, ukołysał trzy istoty, pozbawione dachu nad głową.

I On także nie ma nad głową dachu,

Ten, który sobą wypełnia nieskończoność...

.

Rzecz dzieje się na drugi dzień w południe.

Blżej Wisły, wśród zbiorowiska drewnianych domów, na wielkim podwórzu, widzimy dwie osoby: pewną panią Weronikę i niejakiego Antka.

Panią Weronikę, według jej własnych zapewnień, Bóg stworzył na wielką damę, lecz piorun losu, z wyżyny salonów stracił na skromne stanowisko śmieciarki. Zgodnie z tem ostatniem powołaniem, 50-letnia Weronika dźwigała na plecach wór z konopnego płótna, a w ręku piastowała drewniany ożóg zakończony wygiętem żelazem, w formie haczyka lub siódemki. Dodajmy do tego wysoki wzrost przy pochylonej postaci, oblicze noszące ślady walk z przeciwnościami, parę kosmyków siwiejących włosów i garderobę, z której zęb czasu porobił szmaty — a mieć będziemy dokładny wizerunek damy, wołającej obecnie na podwórzu sopranem, który przypomina operę włoską:

— *Kosci!.. koscji* kupuj!..

Antek, stojący o kilkanaście kroków od niej, jest młodym mężczyzną, mogącym mieć od sześciu do dwudziestu lat wieku. Posiada on ex-wojskowy mundur, któremu można zarzucić zbytek dziur w miejscach niepoplamionych, tudzież brak guzików, kołnierza i jednej poły. Głowę, wdzięcznie przystraja mu fantastyczny garybaldyjski kapelusz, lewą nogę kamasz, prawą but z cholewą. Antek prócz tego jest bardzo mały, chudy i żółty na twarzy, posiada niewiele włosów, nos jak wiśnię i opinię — skończonego łajdaka. Był kiedyś na dobrej drodze i roznosił pisma po domach; od czasu jednak, jak na własny rachunek sprzedał kilka egzemplarzy, a kilkadziesiąt rzucił w rynsztok, literatura straciła w nim pracownika.

Od kilku godzin przyjemny Antek nudził się; najprzód bowiem coś go *ckliło we wnętrzu*, a powtóre pozbawiony był towarzystwa. Ponieważ duża śmie-

ciarka miała w sobie coś pociągającego, zbliżył się do niej i płaczącym głosem począł mówić:

— Moja panil.. moja złota pani...

Lamentując tak, trzymał ręce w dziurach pełniących funkcję kieszeni i czochał się plecami o biodro wielkiej damy.

— Czego ty chcesz śmieciugo?—zapytała dobrotliwie dama.—A gadaj w lewe ucho, bo na prawe nie dosłyszysz!

Gdy się schyliła, Antek począł wrzeszczeć na całe gardło:

— Niech mi też pani da tabakil.. moja pani w złoto okuta!

— A tobie na co tabaki?..

— Bo widzi pani, jak przechodzę koło *siódemki*, to mnie zaraz kręci w nosie, a nie mogę kichnąć!—wrzeszczał chłopiec, i znowu obtarł się o nią plecami, jeszcze poufalej niż poprzednio.

Na taką impertynencję pani Weronika zakipiiała z gniewu i podniosła do góry haczyk, wołając:

— Bodaj cię przejechalil! bodajesz zmarniał, ty zdrajcol.. kapeluszniku!

— Ihiil — krzyknął przeraźliwie łobuz, usuwając się na bok i nie wyjmując rąk z kieszeni.

— *Siódemka* ci w nosie kręci? — mówiła oburzona pani. — A czy ty wiesz, że żebyś cały leżał w śmietniku, tobym cię jeszcze nie podniosła, łachmanie jakiś!..

— Jaka aksamitna!.. — odparł chłopiec, pogardliwie plując przez zęby.

Zobaczywszy to, dama krzyknęła w najwyższym gniewie:

— O Boże miłosierny! a czy już sprawiedliwości niema na tym świecie, żeby taki ochłap, uczciwych ludzi zaczepiał na ulicy i jeszcze pluł przez zęby!.. Poczekaj, zobaczę ja cię na Starem Mieście, jak cię będą piętnowali, jeżeli cię za młodu psy nie zjedzą!..

Tak odgrając się, obrażona dama poszła ku śmietnikowi—Antek zaś, zobaczywszy dużą bryłę piaskowca, usiadł na niej i począł ostrzyć nóż, z wyrazem takiej obojętności i znudzenia, jakiej pozazdrościłby mogli najwięksi panowie.

W tej chwili wszedł na dziedziniec Jaś. Rozejrzał się bojaźliwie dokoła, a spostrzegłszy śmieciarkę, zbliżył się do niej i cichym głosem przemówił parę wyrazów.

— A nie pójdziesz mi tu!... — wrzasnęła nieuspokojona jeszcze dama, rzucając się na sierotę. — Dam ja ci tabaki aż zgubisz łeb, że ci go nie odszuka sama „Gazeta Policyjna!...”

Przestraszony Jaś począł uciekać, co widząc Antek zawołał:

— Hej tam!... łobuz!... A chodź ino tu!

Jaś, niepewnym krokiem zbliżył się do ulicznika i stanął opodal.

— Czego ty chcesz od tej sałaciarki, co jej mąż był maszynistą u Bergera? — spytał go Antek.

— Chciałem prosić, żeby mi dała jaką robotę — odpowiedział Jaś po chwili wahania.

— A skądęś ty się tu wziął? — badał Antek podejrzliwie, patrząc na dość przyzwoite ubranie sieroty.

— Z miasta.

Odpowiedź ta uspokoiła nieco ulicznika, pytał bowiem dalej:

— Co tobie po robocie?

— Jeść mi się chce.

— Fiul fiul — gwizdnął łobuz, a potem dodał: — Mógłbyś przecie sprzedąć ten rajtrok, tobyśmy oba mieli jedzenia na jaki tydzień.

— Ja tam wolę robić — szepnął Jaś.

Antek włożył swój nóż do kieszeni i zamyślił się.

— A możebyś ty do mnie poszedł w służbę? — rzekł nagle Antek, patrząc ostro na Jasia. Zadarł przytem głowę do góry, ponieważ był od niego niższy.

— A boś ty co za jeden?.. — spytał zdziwiony Jaś, uśmiechając się, choć miał ochotę do płaczu.

Pytanie to ubodło widać ulicznika; podrapawszy się bowiem w okolicach kołnierza, odparł z godnością:

— Wiesz ty, sałato, że przez moje ręce przeszło już z dziesięciu takich jak ty durniów? Co ty sobie myślisz?.. Tylko się do mnie zgódź, a dam ci jedzenie i takie spanie, że się będziesz pocił w trzaskające mrozy!

— Ha! spróbuję...—rzekł Jaś po krótkim namyśle.

— No, to daj rękę na zgodę! — zawołał ulicznik i uderzywszy go w dłoń z całej siły, dodał: — Chodź za mną, a dopiero poznasz, com ja za jeden!..

Wyszedszy stamtąd i wyminawszy kilka niezabudowanych uliczek, dotarli do lepianki otoczonej zrujnowanym parkanem. Tu Antek kazał zatrzymać się Jasiowi, a sam wszedł na podwórko.

Na podwórku stał wózek, leżała spora kupa piasku, a obok niej, jak żołnierz na warcie, spacerował burczysty mężczyzna, z rudemi włosami, w półkożusku i z wyrazem filozoficznego spokoju na twarzy, nie odznaczającej się zresztą inteligencją.

Antek skradał się jak wilk, mając widocznie powody unikania tego zbudowanego mężczyzny. Niebardzo też zagłębiając się w podwórze, stanął przy furtce i krzyknął:

— Panie Marciniel.. *Bondziur!..*

Drab zwolna odwrócił się, uważnie popatrzył na ulicznika i, przesunawszy czapkę od tyłu głowy ku przodowi, odparł:

— Na jeden bok!..

— A oddał panu ten Walek, złodziej, woreczki? — pytał Antek.

— Tyś sam złodziejl boś mu worki sprzedał za keliszek wódki, choć były nie twoje.

Odpowiedź ta uspokoiła nieco ulicznika, który począł ostrożnie zbliżać się ku środkowi podwórza, mówiąc:

— Łże jak pies!.. żeby mię Matka Boska skarała.. Sam mi wyrwał worki i jeszcze mię tak strzelił pod oko, że musiałem chodzić do doktora... Żeby mię tak choroba tłukał!

Słabo rozwinięty pan Marcin nie wiedział, czy wierzyć, czy nie wierzyć tej dziwnej historii. Antek tymczasem zbliżył się do kupy piasku i, uderzając ją nogą, rzekł z westchnieniem:

— Żeby mi ja tak miał worki... Ehl w *mig*by mi panu sprzedał tę kupkę.

— Daj co w zastaw, to ci worków pożyczę.

— Uul także się pana Marcina żarty czepiają — mówił Antek drepcząc w miejscu i wsuwając ręce w rękawy. — Ja nie mam koszuli, a panu się zastawu żądzi.

— A gdzieżeś ją podział? — spytał ciekawie Marcin.

— Zgubiłem na Krakowskiem. Jakiem, mówię panu zdjął *paltok*, tak ci psiakość spadła na ziemię, żem jej nie mógł napowrót odrychtować. Niech ją choroba tłucze!

Pan Marcin, podrapawszy się w głowę, rzekł:

— Phyl.. i workibym ci dał i piasku zakredytował, żebym wiedział, że mi nie ukradniesz...

— A mój honor to pies?.. — krzyknął obrażony Antek.—Cóż to, czy ja nie miałem interesów z ludźmi porządnymi? O! i jeszcze z jakimi!

— No! no!.. — mruknął Marcin i poszedł ku lepiance.

— A i powróż niech pan wytaszczy, bo przecie w pysku nie będę nosił...

— To ty gnacie nawet powroza nie masz? — dziwił się Marcin, kręcąc głową.

— Skądże mam mieć?..—odparł ladaco.—Przecie jeszcze nie było licytacji w lombardzie.

W kilka minut potem, pan Marcin, naładowawszy dwa worki piasku, przywiązał je do pleców Antka, którego pożegnał temi słowy:

— A zaprzepaść mi co, albo kupuj od innych łobuzów piasek, nie ode mnie, to ci tak podziękuję, że ci zęby za uszami wyrosną!..

— Iiii!—wrzasnął łotr na odchodne, dając jednocześnie hasło Jasiowi.

Gdy tym sposobem wezwany sierota przybiegł, Antek przełożył na niego swoje worki, mówiąc:

— A co, może nie będzie interesu?.. Sam djabeł nie odejmie ci tego, co przy mnie zarobisz!

— Cóż ja mam z tem robić? — spytał zdziwiony Jaś, oglądając się niespokojnie na swoje obciążone plecy.

— Jakto co?.. Będiesz za mną piasek nosił, a ja będę krzyczał i jeszcze—będę się frasował o ciebie.

Wkrótce na podwórzach domów, w okolicy Nowego Światu i Alei Jerozolimskiej, słyszano przeraźliwe wołanie Antka:

— *Ho—pia!.. pia—tego!.. wiślanego!*

I niepewny głos Jasia:

— Piasku białego!..

Takie były owoce edukacji miłosiernego pana Karola.

.

W godzinę po odejściu Antka, na Marcinowe podwórze wbiegł jakiś człowiek zziąjany, rozgorączkowany i stłumionym ze wzruszenia głosem począł wypytywać piaskarza:

— A nie widzieliście człowieku takiego chłopca w czarnym paletocie i w czapce z daszkiem?

— Nie widziałem! — odparł Marcin, robiąc na niego wielkie oczy.

— Ładny taki chłopiec, powiadam wam, cichy... Oj, jakże mi dech zapiera... Jaś mu na imię...

— Ani mi się śniło o takim! — mruknął niechętnie Marcin.

— Jak to może być?.. — ciągnął dalej błagalnym głosem przybysz. — Ludzie przecież spotykali go... Tułał się w tych stronach... Alboż ja wiem, może i w Wisłę wpadł!

— Co miał wpaść? Przecież teraz Wisła stoi.

— To prawda! — mówił przybysz. — Pozwólcie mi tu spocząć, trochę. Jak to może być, żebyście go nie widzieli, przecie to taki znaczny chłopiec... Powiedział majster, że go okradł, a onby mu nawet krajki nie wziął... O jakżem się zmęczył!.. Jakby tu przyszedł, to spytajcie, czy on Jaś, i powiedzcie, że to Jędrrek ukradł i że ja go szukam po całej Warszawie.

— Musi mieć kiepsko we łbie! — pomyślał Marcin, który sam przecie nie odznaczał się geniuszem.

— Powiedźcie mu to, a Bóg wam wynagrodzi...

Z temi słowy zerwał się znowu i pobiegł, jak pies szukający zgubionego pana. Opuściwszy podwórze, zatrzymał się jeszcze i przez parkan zawołał:

— A nie zapomnijcie com wam mówił... Jaś mu na imię!..

.

Nakrzyczawszy się aż do chrypki i nasprzedawwszy piasku coniemiarą, Antek i Jaś, jego oficjalista, kupili sobie nad wieczorem flaszkę piwa, pełne kieszenie bułek, pół funta *lakierosa* i weszli w ustronną uliczkę, celem zjedzenia kolacji. Słuszność nakazuje wyznać, że Antek, choć mały, wziął sobie znacznie większą częsteczkę, oddając Jasiowi resztki. Na deser zaś, począł sierotę obelgiwać:

— Wiesz ty łobuz, — mówił — że Marcin, jak się dowie o tem, żeśmy od innych piasek brali, to nam będzie chciał lanie zrobić?.. Ale się nie bój, ja w tem jestem!.. Ho! ho! mówię ci, że jakbym ja się wziął do niego, toby się jeszcze nie obejrzał, a jużby na ziemi leżał. Ho! ho! ja, mówię ci, tom w bitwie taki zawzięty, jak Żyd w tańcu — a taką, mówię ci, mam moc, żebym zmógł żołdata z karabinem i z pałaszem.

— To czemu ty sam piasku nie nosisz? — spytał Jaś.

— Ehl.. bo ja tylko w bitwie taki. A wreszcie, mówię ci, że ja byle jakiej roboty nie lubię. się podejmować. Kiedym pisma nosił, to nieraz gadali: żebyś ty Antek nie był taki złodziej, toby z ciebie było co dobrego — alem puścił pisma w trąbę!.. To czas zabiera. No, chodźmy na spacer!

I poczęli włóczyć się po mieście. Nagle Antek stanął przed kantorem wekslarza i wskazując na garstkę złota za oknem, rzekł:

— Wiesz ty łobuz, że to wszystko moje?

— At!—odparł Jaś z uśmiechem.—Roi ci się coś po głowie i tyle.

— Ma się wiedzieć, że moje, bo jak zechcę, to ci się nie dam patrzeć.

I powiedziawszy to Antek, odepchnął swego oficjalistę od okna. W Jasiu zawrzała krew, tak więc ścisnął za kark swego pana, że ten aż się w kłębek zwinął, a uwolniwszy się z trudnością, gniewnie zawołał:

— Uhu!.. to z ciebie taki zuch?.. Spróbuj się ty tak ze mną jeszcze raz, a dam znać o tobie do cyrkułu, psiawiaro!

Jaś, usłyszawszy to, struchlał. Czuł on, że bezsilny ten chłopiec pobił go dyplomacją i że wobec niego niczem jeszcze byli: pan Piotr, pan Karol, a nawet majster Durski!

Około dziesiątej wieczorem, dwaj chłopcy poszli znowu ku nadwiślańskiej dzielnicy. Tam przeleźli jakąś dziurę w parkanie i o kilka kroków od niej ujrzeni wielką beczkę po cukrze, która leżała poziomo.

— A co?.. to ci spaniel!.. — szepnął Antek, włączając pierwszy do tego osobliwego buduaru.

— Bój się Boga!—odezwał się drżący Jaś—a jak nas tu kto złapie?

— To i cóż?.. nic nie ukradłem, nikogo nie zabiłem... Cóż mi kto zrobi?—odparł Antek.

Z ciężkiem sercem Jaś wgramolił się za nim i utonął w starej, napół przegniłej słomie, pośród której znajdowało się wiele innych rzeczy, stanowiących to, co zwykli ludzie nazywają śmieciami.

Wkrótce zmęczenie pokonało wstręt i Jaś zasnął w barłogu tak spokojnie, jak niegdyś w rozsuwanem łódeczku, ukołyszany szmerem matczynej modlitwy.

Na drugi dzień, jeszcze szaro było na dworze, gdy obaj chłopcy wymknęli się przez ten sam otwór w parkanie, który służył im za wejście. Idąc pustemi ulicami Jaś mówił pacierz, a pod wodociągiem umył się; Antkowi wystarczyła czystość—duszy. Potem, tak samo jak wczoraj, Jaś nosił piasek, a przedsiębiorca Antek kupował *towar*, lub brał go na kredyt ze *składow*, omijając jednak lepiankę barczystego Marcina.

— Nie chcę się wadzić z Marcinem! — objaśniał Antek.

Po posiłku wieczornym, złożonym z chleba, wędzonki i dwu butelek piwa *szlacheckiego* po pięć groszy, dwaj mali tułacze zetknęli się z innym chłopcem, Walkiem, który zawołał:

— Chyl.. Antek... żebyś wiedział, jak się na ciebie Marcin wygraża?.. Mówi, żeś wczoraj wymanił od niego powróż i woreczki, że bierzesz piasek od innych i że ci tak mordy nakuje, aż wypłujesz parę!..

— Co on tam szczeka! — mruknął pogardliwie Antek, poruszając plecami tak, jakby go przeszły ciarki.

Potem włączyli się we trzech, a gdy zapadła noc, Antek, odzyskawszy dobry humor, krzyknął:

— Chodźta kundle na bal do resursy...

— Na jaki bal?—spytał Jaś.

— O Jezul!..—pochwycił Walek — jaki on głupi!.. Patrzy na *haleganta*, a nie wie, że dziś Sylwester.

Gdy stanęli pod resursą, Antek, przysłuchując się dźwiękom muzyki, uronił następną uwagę:

— To tak *na nas* tańczuj! Żeby nie my, toby w Warszawie nie było żadnego balu.

Powiedziawszy to, schwycił Walka za ramiona i przy melodji kontredansa, począł wywijać *szota*. Zrobił się rozgardjasz, chłopcy bowiem potracili jakąś staruszkę, sami o mało nie wpadli koniom pod nogi, i — dostawszy pięścią od milicjanta, a batem od do-rożkarza, zabrali Jasia i poszli spać na zwykłą kwatere. W drodze, jeden z nich zarzucił drugiemu niezręczność w tańcu, w następstwie czego pochwycili się za czupryny. Aż Jaś musiał ich rozbroić.

Gdy doszli do swego podwórka i beczi, Antek pierwszy wsadził tam głowę i ze zgrozą spostrzegł

parę zabłoconych butów. Wypadek ten takim gniewem napęłnił ulicznika, że, zapominając o potrzebie ostrożności, wrzasnął:

— Co tu jest?... Wyłaż stąd łobuziel...

— Cicho! cicho!... — ostrzegł go Walek.

— Co mam być cicho?... — krzyczał ulicznik. — Skąd on się tu wziął?... Jak się rozgniewam, to pójde na policję, żeby do cyrkułu zaprowadzili tego złodzieja.

Para butów poruszyła się leniwie, a w głębi beczki rozległ się głos.

— Nie zaczepiaj, pókim dobry!...

— To pijak!... — szepnął Walek.

— Co z tego, że pijak!... Niech nie zabiera cudzego mieszkania, złodzieisko! — mówił Antek, chwytając najeźdźnika za nogi.

W tej chwili jeden z ogromnych butów, zakreślając w powietrzu łuk, obtarł się o wyszarzany surdut Antka tak energicznie, że chłopiec zatoczył się.

— To ci go przeżegnał, o Jezu!... — mruknął Walek.

W beczce wciąż chrapało. Antek odprowadził Waleka na bok i szepnął mu coś do ucha. Potem obaj zbliżyli się ostrożnie do beczki, schwycili ją za krawędzie i z ogromnym wysiłkiem podnieśli ją do góry.

Śpiący najeźdźnik znalazł głowę swą w pozycji, w której zwykli ludzie utrzymują nogi.

— *Ollaboga!* — stęknęło w beczce, a jednocześnie dwa urwisy poczęli się drzeć w niebogłosy:

— Złodziej!... złodziej!...

Z beczki wtórował im gruby głos:

— *Ollaboga!*... Ratunku!...

Teraz trzech chłopcy uciekli za parkan. W lepiance zapłonęły światła, a na podwórze wybiegli ludzie z kijami, dążąc ku beczce, z której ciągle rozlegały się okrzyki i kołatania.

Noc tę, pełną wrażeń, Jaś i jego towarzysze spędzili pod jakąś szopą, na belkach.

— To tak jakbyś spał w karecie!—mówił Antek.

Nadszedł ranek Nowego Roku. Antek, który równo ze świtem zapomniał o bezsenności i trudach, utworzył radę wojenną:

— Oto co dziś, to użyjemy—mówił. — Będziemy chodzić z powinszowaniem. Ty Walek pójdz ze mną, a ty Jasiek daj mi swój *paltok* i czapkę...

— A w czymże ja zostanę?..—spytał oburzony Jaś.

— W moim surducie! Cóż to, może nie porządekny? — ciągnął dalej wskazując na cały rękaw. — No, zdejmuj, bo jak nie, to... pójde do cyrkułu i zaraz powiem, coś ty za jeden!

Napróżno biedny Jaś groził i prosił! Nie pomażało nic. Nikczemny Antek zdał z niego prawie gwałtem pałto, spodeńki i buciki, i ze złośliwym śmiechem rzucił rzewnie płaczącemu swoje ohydne łachmany. Wkońcu zapowiedział mu, aby nad wieczorem czekał go na Obożnej ulicy, obok szynku.

Leniwie i wśród najczarniejszych myśli zeszedł nieszczęsnemu sierocie smutny dzień, w którym za cały pokarm miał zeszlą skórę chleba. Na umówionem miejscu Antek zjawił się dopiero około siódmej, a choć nic Jasiowi do jedzenia nie przyniósł, sam jednak był nadzwyczaj wesoły, ba! nawet dobrze pijany.

— Mówię ci — prawil ten łotr — poszło mi jak po mydle!... Wszędziem gadał, zem z „Kurjera“... Bo widzisz, zabrałem ci na drodze jednemu łobuzowi powinszowania... Mam nawet jeszcze...

Nie dokończył, w tej chwili bowiem dwie jakieś olbrzymie ręce chwyciły go i uniosły w powietrze.

— Gwałt! ratuj Jasiek!.. — wrzeszczał Antek.

— Oj, damże ja ci teraz! — mówił napastnik.

— Mój panie Marcinie! mój święty panie Marcinie! — wołał łobuz, zanosząc się od płaczu.

— A masz worki!... a masz powróz!... a masz piasek!... A nie mań ludzi uczciwych!... a nie kradnij co nie twoje!...

Każdemu z tych wysoce moralnych napomnień towarzyszył świst jakoby rzemienia i kłaśnięcie podobne do tego, jakgdyby rzemień stykał się ze skórą Antka. Trwało to dobry kwadrans, z niewielkimi przerwami.

Tymczasem Jaś, zobaczywszy o co chodzi i poznawszy, w jaki sposób wał piaskarze, uciekał pędem w stronę Krakowskiego Przedmieścia, wyprzysięgając się służby u Antka, noclegu w beczie, a nawet swego ubrania. Teraz już nie wiedział co się z nim stanie, lecz wołał raczej więzienie i śmierć, aniżeli stosunki z indywiduami podobnemi do Antka.

Od kilku dni termometr trzymał się powyżej zera, na dworze było dość ciepło, śnieg i lód stopniał. W tej samej godzinie, w której Jaś uciekł od Antka, na miasto opadły kłęby par. Światła latarni wśród wilgotnej i niebieskiej mgły, podobne były do zawieszonych w powietrzu czerwonych płomyków, a prze-

chodnie wyglądali jak cienie. Na ulicach, z powodu Nowego Roku, ruch był niewielki, i jeszcze się zmniejszał.

Około dziesiątej mgła podniosła się do góry, a jednocześnie zaczął padać deszcz, który stopniowo stał się bardzo obfitym i gwałtownym. Rynsztoki nabrzmiały i niebawem całą szerokością ulic zaczęły płynąć strumienie rzadkiego błota. Ludzie najedzeni i dobrze ubrani, czas ten nazywali szkaradnym — dla obdartych i głodnych był on strasznym.

Od początku deszczu Jaś dostrzegł, że kapelusz i surdut Antka, jakieś twarde dotychczas, robiły się coraz miększymi. Z pogiętego ronda woda zaczęła mu spadać na ramiona. Nagle uczuł na karku wielką kroplę deszczu, a gdy się wstrząsnął i ścisnął łopatki, kropla ta spłynęła mu na plecy. Z drugiej strony, mokre ubranie przylgnęło mu do całego ciała, a dziurawe buty napełniły się błotem.

Wtedy przebiegł go lekki dreszczyk...

Deszcz tymczasem wzmacniał się ciągle, wiatr miotał nim na wszystkie strony; na kamienicach od dachów do podstaw porobiły się wilgotne smugi, ulice znowu opustoszały i zamarły. Jaś zaczął biegać od bramy do bramy, od framugi do framugi, szukając schronienia przed deszczem, który prześladował go z zaciętością żywej i złośliwej istoty.

— O Boże! ratuj mnie... — szepnął chłopiec, zakręcił się parę razy w kółko i znowu popędził naprzód.

Zdawało mu się, że po tem, czego dotychczas doświadczył, nie spotka już rzeczy gorszej. Obecnie jednak położenie było gorsze od wszystkich poprzednich. Nie chodziło już o ucieczkę przed ludźmi, ale

przed naturą. Biegł nie wiedząc gdzie, ścigany od deszczu, głodu i niedospanej nocy.

Około pierwszej, zmordowany bezużyteczną gonitwą, rzucił się na jakieś schodki. Trapiło go takie zimno, że zębami szczekał, a głowa mu pałała. Uczuł zawrót, ocieężałość i wpadł na chwilę w stan bezwładu, środkującego między snem a zemdleniem. /

Gdy wrócił do przytomności, zadziwił się, poznawszy, że cierpienia jego ustały. Miał tylko język suchy i bardzo spieczone usta, lecz zarazem czuł jakiś błogi spokój i swobodę umysłu. Chwilami nie wiedział gdzie jest, chwilami sądził, że jest jeszcze w domu matki. Maszyna znowu jak kiedyś turkotała i lampa świeciła jak dawniej.

To nie lampa, tylko latarnia uliczna; to nie turkot maszyny, tylko hałaśliwy szmer wody spadającej w kanał!

Jaś przetarł oczy, patrzył z uśmiechem na padający deszcz, na bystre potoki wody, i znowu począł marzyć. Zdawało mu się, że słyszy klekot młyna i przypomniał sobie, że w jednym z ogrodowych krzaków ma schowaną wędkę.

— Pójdę łapać ryby do stawu... — rzekł.

Świadomość znowu ostrzegła go, że to nie młyn klekocze. Lecz gorączka pokonała świadectwo zmysłów. Otóż i ogród: jak tu [pachnie!... Wszystkie drzewa okryte są kwiatami, a ścieżki suchym żwirem. Słońce pali tak, że Jaś jest cały mokry i musi oczy zamykać przed blaskiem...

Gdy się ocknął, dostrzegł gazową latarnię i przekonał się, że migotliwy jej płomień drażni go. Zda-

wało mu się, że się cofa przed nim i kryje w lochu, w którym gospodyni utrzymywała mleko w hładyszkach. W piwnicy tej znalazł wszystkie dzieci: Antosię, Manię, Kazię i Józia. Ucieszył się tak, że aż klasnął w ręce, lecz zarazem przekonał się, że go nie widzą.

— No, nie udawajcie... nie sprzeciwiajcie się! — zawołał.—Lepiej dajcie mi trochę mleka, bom ogromnie zmęczony!...

Ale dzieci nie słyszały go i wybiegły z lochu, a on za nimi. Obojętność ich tak go rozżaliła, że się chciał poskarżyć przed matką; począł więc jej szukać, wołając:

— Mamo! mamo!

Ale i matka uciekała przed nim i kryła się, że jej żadną miarą nie mógł dostrzec. Goniłwa ta wprawiła go nieledwie w szal; wyciągnął ręce i rzucił się naprzód.

Gdy mu wróciła przytomność, poznał, że jest na ulicy i że deszcz cokolwiek się zmniejszył. Przypominał sobie marzenia, lecz nie mógł pojąć co to znaczy, ani zrozumieć, czy jest tym samym Jasiem, który biegał kiedyś po ogrodzie i łąkach, uciekł od Durskiego i został obdarty przez Antka? Czuł, że stało się z nim coś nadzwyczajnego i że grozi mu jakieś wielkie niebezpieczeństwo. Nagle przyszedł mu na myśl wyraz: *śmierć*...

Śmierć w nocy, wśród pustego miasta, pod chmurą niebem, na błocie, zdala od wszelkiej żyjącej istoty, z którą mógłby się pożegnać, lub przynajmniej rzucić na nią ostatnie spojrzenie, jakaż to straszna rzecz!... Dokoła niego jest tylu ludzi, a żaden ani po-

myśli o tem, że o parę kroków nędzne dziecko ma umrzeć...

Ogarnęła go rozpacz; chciał pukać we drzwi i wołać: zlitujcie się!... Po chwili jednak uniesienie przeszło, a Jaś ruszył dalej i począł mówić podniesionym głosem:

Kto się w opiekę podda Panu swemu...

Stracił on już poczucie bytu. Myśl zwróciła się ku Bogu i matce, a sztywniejące nogi niosły go gdzieś... Gdzie?... Zapewne do ciemnej krainy, z której nikt nie wraca.

Bez planu i wiedzy znalazł się w Alejach Jerozolimskich i szedł środkiem drogi, ku Wiśle.

Zdawało się, że niebo leje łzy nad tym żyjącym atomem, który, jak umiał, polecał Stwórcy duszę, pełną żalu i niewymownej trwogi.

.

XII. PRZYJACIEL.

Pan Anzelm stanął w Warszawie w wigilję Nowego Roku. Wynajął pokój w hotelu Polskim i nie tracąc ani chwili czasu, poszedł do domu, w którym według słów Jasia, powinien był rezydować opiekun sieroty.

— Czy tu mieszka pan Karol?—zapytał szlachci stróża, zatrzymując się w bramie.

— Tu, na pierwszym piętrze, ale musi go niema, bo dopiero co wyszedł.

Szlachcic sięgnął do portmonetki, a stróż zdjął czapkę.

— Nie wiesz, mój przyjacielu — mówił daleki szlachcic — czy u pana Karola jest taki mały chłopiec, Jaś?...

— Aha!... to ten, co mu matka w lecie z głodu umarła?... Był on tu, ale teraz jest u krawca, u Durskiego, i nawet nigdy u pana nie bywa.

Usłyszawszy o śmierci z głodu, pan Anzelm wstrząsnął się. Potem zapytał stróża o adres krawca, dał mu dwa złote, i gniewny, kazał się wieść w okolicę Starego Miasta.

W magazynie ubiorów męskich, znalazł tylko jejmość panią Durską. Gdy ją zapytał o Jasia, tłusta dama, załamując ręce, krzyknęła:

— Ach mój panie serdeczny! także pan trafił... Imaginuj pan sobie, że ten łajdak Jędek, o ten, co się za szafę chowa, okradł nas, a mój stary — posadził Jasia! No i wyobraź pan sobie, że biedny chłopiec uciekł!... A takem go kochała! Przepadałam za nim, mówię panu!...

— Mniejsza o to — przerwał szlachcic, oblewając się rumieńcem — ale gdzie on jest teraz?...

— Otóż to, że nie wiemy, drogi panie! — jęknęła przestraszona majstrowa. — Albo ja wiem? może się zabił, a może się zastrzelił?!

— A do stu tysięcy diabłów!... — krzyknął rozgniewany szlachcic, tupnąwszy nogą. — To wy się tak opiekujecie sierotami w Warszawie?...

— Ach, dobry paniel... ach, szlachetny paniel...— lamentowała biedna majstrowa, patrząc z trwogą na sękaty kij gościa. — Ach, to ten mój... niby mąż wienien, a nie ja nieszczęśliwa!... Z innej ja pochodzę kondycji, drogi panie, i mogłam wyjść za urzędnika...

— Gdzież więc mąż pani?! — wrzasnął szlachcic, uderzając kijem o podłogę.

— Ach!... pobiegł przecie szukać Jasia i tego łajdaka Panewkę... Jędre! a skoczno po kuf..., po pana, chciałam powiedzieć...

Łotr szybko rzucił się do drzwi, i za chwilę sprowadził majstra, który stawiał nogi w sposób bardzo niepewny, miał niezwykle bladą twarz i jak zwykle nos amarantowego koloru.

— Gdzie Jaś?... — zapytał krótko pan Anzelm.

Durski spojrzał na wylęknioną żonę, zachwiał się na nogach jeszcze bardziej i odparł z rezygnacją:

— Uciekł, paniel choć go kochałem jak rodzownego syna... Teraz szukam go panie po całych dniach, ale... że trzech kupców petersburskich spotkało mnie tu, naprzeciw w bawarii, więc...

— Zapłacęż ja wam, poczcwi opiekunowie! — mruknął Anzelm, i wybiegł ze sklepu, trzaskając drzwiami.

— Spóźniłem się!.. Bóg widać pogardza moją ofiarą — szeptał szlachcic, biegnąc do ratusza.

Gdy przybył tam i zażądał, aby szukano Jasia, jeden z urzędników rzekł:

— Chłopca tego już szukają. Wczoraj był tu jakiś Panewka i zostawił szczegółowy rysopis. Twarz okrągła, włosy blond... Ubrany był w czarne palto,

czapkę z daszkiem... Znaków szczególnych nie miał żadnych.

— Mnie tam nie chodzi o znaki szczególne, tylko o chłopca!.. — odparł szlachcic i, obiecawszy agrodę temu, kto znajdzie Jasia, poszedł dalej, mrużąc: — Ciekawym, kto jest ten Panewka?.. Jakiś niskiej klasy, ale uczciwy.

Zkolei, pan Anzelm począł obchodzić kościoły, sądając, ażeby z ambon ogłoszono o zaginięciu chłopca nieniem Jaś, ubranego w czarne palto i czapkę z daszkiem. Księża z uprzejmością uwzględnili to żądanie, dodając od siebie, że już o to samo byli proszeni przez jakiegoś niskiego człowieka, z wielką głową.

— To musi być sprytny człowiek! — myślał pan Anzelm o Panewce, nie wiedząc, że ten człeczyna — traje jak *Szabu*, a głupi jak but!..

Wróciwszy do hotelu, pan Anzelm rzucił się na łożko zmartwiony. Czuł on, że po nitce litości, wkra-
dło się do jego serca wielkie przywiązanie do sieroty.

2-go stycznia, około jedenastej w południe, dano znać panu Anzelmowi, że Jaś znalazł się i że jest w ratuszu. Szlachcic w parę minut stanął w kancelarji.

Tu zastał jakiegoś robotnika, starą kobietę, komisjonera i stójkowego, którzy otaczali chłopca ubranego w czarny paltocik. Anzelm spojrzał mu w oczy i osłupiał:

— Jak ci na imię? — spytał to indywiduum.

— Jaś, proszę pana... żeby mię tak *holera* zatłukła!.. — odpowiedział chłopiec z wiśniowym nosem i kilkoma sińcami na twarzy.

Szlachcic nie wiedział co myśleć. W tej chwili jednak zbliżył się do ulicznika jakiś stary policjant, popatrzył mu bystro w twarz, a następnie, odchyliwszy kołnierz paltota i przeczytawszy na podszewce etykietę: „Kalasanty Durski w Warszawie“, rzekł:

— No, gadaj prawdę, tyś okradł tego małego!..

Anzelm upadł na krzesło, a tymczasem chłopak wrzaskliwym głosem odpowiedział:

— Nie okradłem... jak Boga kocham! On mi sam ten *paltok* darował... żebym tak w ziemię wrósł!.. On przecie służył u mnie, niech sam powie... Karmiłem go jak własnego syna... Ale jakeśmy się pobili z Marcinem, wczoraj wieczór, tak on, psia kość, wziął i uciekł!.. Żebym tak skonania nie doczekał!..

— No, a dlaczego ty się Jasiem przeżywasz, kiedy ty jesteś Antek? — badał dalej policjant.

— To też Antek!.. przecie mówiłem, że Antek.

— Co ty tu będziesz łgał łotrzel!.. wszyscy słyszeli, żeś się nazywał Jasiem!..

— Ehe!.. — odparł zadziwiony ulicznik — kiedy tak, to pewnie musiałem zapomnieć!..

Ponieważ Antek był dobrze znany policji, przyniesiono więc jego stan służby, z którego dowiedziano się, że ulicznik był już kilkanaście razy pod aresztem. Raz — zato, że dmuchał w rurki wodotrysku przed pocztą, drugi raz, że wybił kamieniem szybę w omnibusie, dalej zato, że okradł pudła i zabrał mu obrożę i kaganiec, potem zato, że się nieobyczajnie zachowywał na ulicy, że ukłęcał mosiężne klamki i że z jakimś żołnierzem zrobił awanturę w szynku... Panu

Anzelmowi stanęły włosy na głowie, gdy porównywał mały wzrost ulicznika z ogromem jego występku!

Skutkiem tego, robotnik, stara kobieta, komisjoner i stójkowy, którzy znaleźli ulicznika, odeszli z kwikiem.

Prawie w tej samej chwili, przyniesiono panu Anzelmowi dwie wiadomości. Pierwszą, że poczciwy Jędrus, terminator Durskiego, oskarżony o okradzenie majstra, zajął już w ratuszu łożę *obywatelską*, od strony Daniłowiczowskiej ulicy. Druga wiadomość była gorsza: ktoś bowiem doniósł, że Jaś musiał się utopić, ponieważ w tym czasie, kiedy pękły lody na Wiśle, słyszano krzyk.

Na prośbę pana Anzelma, celem sprawdzenia wieści, rozesłano telegramy na wszystkie strony miasta i okazało się: że lody na Wiśle pękły pomiędzy Warszawą a Pragą i że o tej samej porze usłyszano krzyk za Wolskimi rogatkami. Sprawdzone też, że krzyk ów nie pochodził z ust topiącego się Jasia, ale z piersi niejakiej Magdaleny Robaczek, pobitej przez męża, Walentego Robaczka, wyrobnika, który odznaczał się zamiłowaniem w nietrzeźwości.

Gdy wszelkie wątpliwości zostały rozjaśnione w zadawalający sposób, zdesperowany szlachcic opuścił ratusz, i bez celu tułał się kilka godzin po ulicach. Przeszedł Stare Miasto, był na Nowym Zjeździe, zwiedził Warszawski brzeg Wisły, a wreszcie, około szóstej wieczorem, zawrócił do hotelu.

Gdyby w tej chwili uważniej spojrzał dokoła siebie, dostrzegłby wynędzniałego chłopczykę, który drepcząc nogami i chuchając w skostniałe ręce, zabiegał mu to

z prawej, to z lewej strony i zaglądał w oczy, z wyrazem nieopisanego niepokoju.

Ale pan Anzelm nie uważał i zamyślony szedł dalej. Wyminął kilka ulic, dotarł do hotelu, wdrapał się chwiejnym krokiem na schody i otworzył swój numer.

W chwili, gdy zapaliwszy świecę, zwrócił się ku drzwiom, aby je przymknąć, zobaczył jakąś kupkę drżących łachmanów, które padły na ziemię i oplątały mu nogi. Jednocześnie uczuł, że ktoś całuje mu kolana i, wśród jęku i szlochań, usłyszał wyrazy:

— Panie mój!.. panie!..

Szlachcicowi serce bić przestało. Porwał dziecko w objęcia, podniósł je do góry, przypatrzył się mizernej twarzyczce i zawołał:

— O dziecko, ileś ty mi narobił zmartwienia!..

Jaś to był; obdarty, zmęczony i głodny. Lecz kto go aż tu doprowadził?..

Chyba Ten, który przylatującym bocianom i ja-skółkom wskazuje niezawodną drogę!..

.
3-go stycznia, jeden z terminatorów Durskiego, spotkał na ulicy Panewkę w stanie oplakany. Czeladnik był pijany tak, że ledwie się trzymał na nogach.

— Co panu jest?.. — krzyknął zdumiony chłopiec, ujrawszy go.

— Idź do djabła!.. — mruknął Ignacy.

— A pan wie, że Jaś się wczoraj znalazł?..

— Co ty gadasz?..

— A tak, znalazł się i jest u jednego szlachcica w hotelu Polskim — odparł terminator.

Panewce zabłyszczały oczy. Otrzeźwiało, wyprostował się i pędem pobiegł do hotelu, a spotkawszy przed bramą szwajcara, rzucił się do niego z pytaniem:

— Gdzie Jaś?.. gdzie ten chłopiec, co go to wziął jakiś szlachcic?..

— A acanu co do niego?..

— Powiedźcie, gdzie on?.. — błagał Panewka, chwytając szwajcara za rękę.

— Już wyjechali na pocztę z tym panem! — odparł obrażony oficjalista, chcąc jak najprędzej uwolnić się od uścisków niezwyklego interesanta.

Czeladnik pędem ruszył przez ulicę Miodową. Gdy wszedł na Kozią, usłyszał za sobą dźwięk trąbki. Obejrzał się... W tej chwili przejechała pocztowa karetą, w głębi której zobaczył — bladą twarz Jasia.

Teraz Ignacy zebrał wszystkie siły i począł biec cwałem; odtąd już odległość, między nim a ciężkim powozem, nie zwiększała się, w każdym jednak razie wynosiła kilkadziesiąt kroków.

— Nie dognam go! — mruknął Panewka, czując, że lada chwila padnie.

Przy moście, z powodu ścisku, karetą zwolniła bieg. Panewka zbliżył się do niej na kilkanaście kroków i zawołał z całej mocy:

— Jasiu! Jasiu!...

Nie trzeba krzyczeć po ulicy! — ostrzegł go jakiś urzędowy głos.

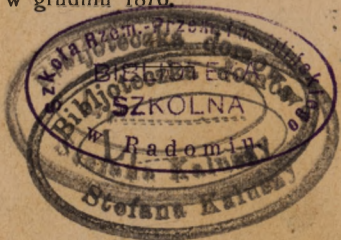
Czeladnik wpadł na most i jeszcze przez kilka-
naście sekund pędził, wołając:

— Jasiu! Jasiu!...

Nagle karetą ruszyła prędzej, Panewka stracił siły,
i zziębnięty — patrzył na oddalający się powóz.

— Nawet nie spojrział na mnie... — szepnął z żalem.
On także był sierotą.

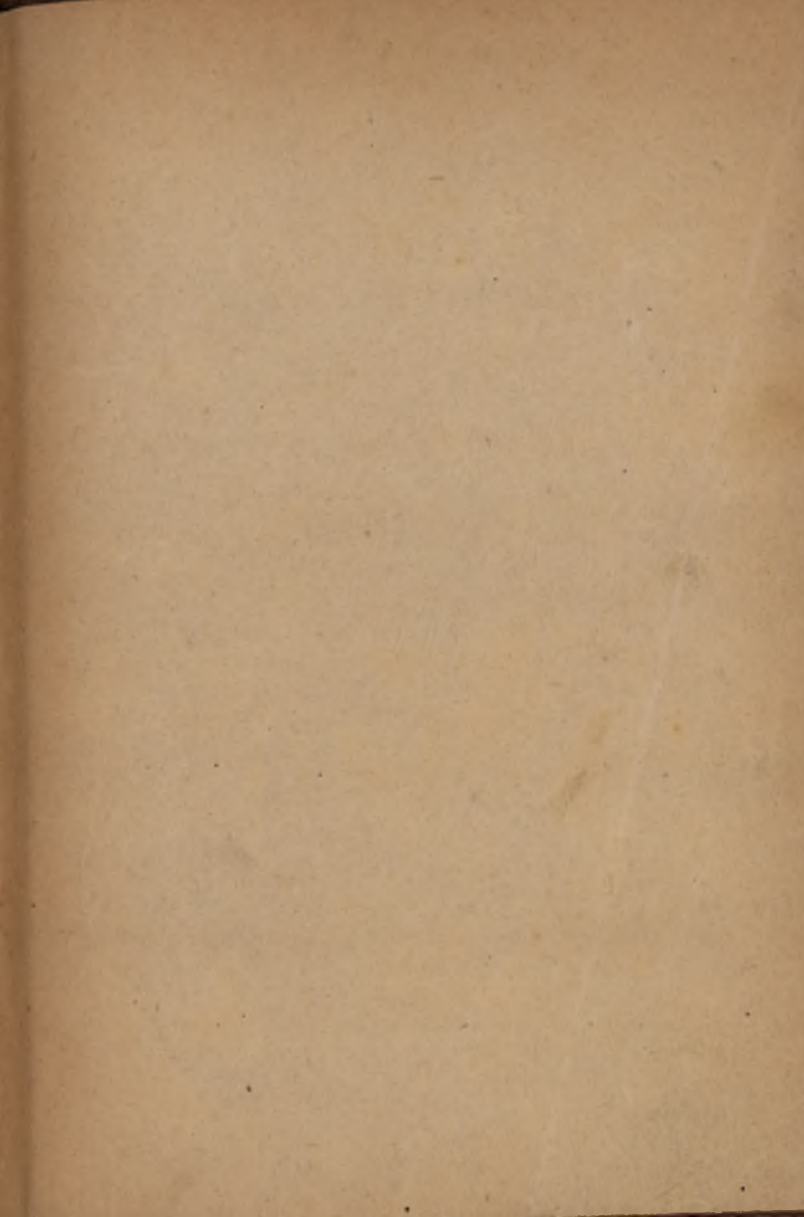
Warszawa, w grudniu 1876.

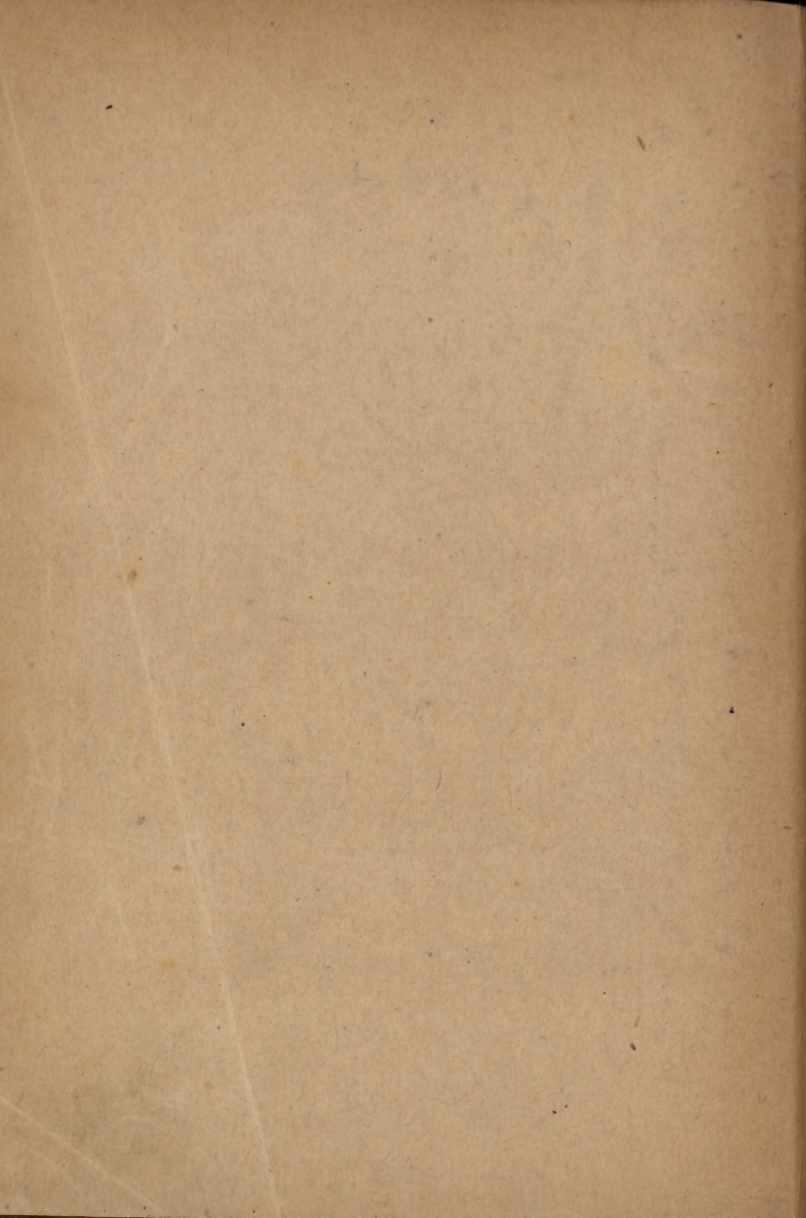


SPIS RZECZY.

Przygoda Stasia	5
Antek.	65
Powracająca fala.	103
Michałko	209
Sieroca dola.	239







30

438105-

24.5.71-

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

101297

Biblioteka WSP Kielce



0161146